

*Głosz*

70

# PRZEBUDZENIE

ARTUR GRUSZECKI

75

TEGOŻ AUTORA:

KANDYDAT. Powieść. Cena Rb. 1·50.

KRÓLEWIACY. Powieść. Cena Rb. 1·80.

LITWACKIE MROWIE. Powieść współcz. Cena Rb. 1·50.

MARYAWITA. Powieść. Cena Rb. 1·80.

POD CZERWONYM WIRCHEM. Powieść współczesna.  
Cena Rb. 1·80.

U ŹRÓDŁA WIEDZY. Powieść. Cena Rb. 1·80.

W TYSIĄC LAT. Powieść na tle stosunków słowacko-  
węgierskich. Cena Rb. 1·50.

---

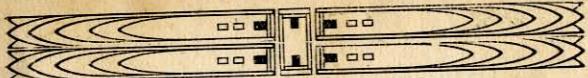
# PRZEBUDZENIE

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA



WARSZAWA -- 1914

NAKŁADEM KASY PRZEZORNOŚCI I POMOCY WARSZAWSKICH  
POMOCNIKÓW KSIĘGARSKICH—SKŁADY GŁÓWNE: WARSZAWA  
GEBETHNER I WOLFF — KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA



Przedruki nieuprawnione przez autora są wzbronione.  
Wszelkie prawa autorskie co do przeróbek i tłumaczeń  
zastrzeżone. Prawa autorskie co do tłumaczeń i t. d. w Rosji  
zastrzeżone na mocy ustawy z d. 3. kwietnia 1911 r.



BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA  
im. Jerzego Giedroycia w Białymostku



FUW0403999

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

K-H6/78/89641

1

I.

Do biura domu komisowo-handlowego weszła pani Nakielska, kobieta niemłoda, w sukni żałobnej i spytała woźnego w liberyi, który na jej widok wstał leniwie z krzesła.

— Czy pan Lelicki w biurze?

— Jest.

— Mogę z nim mówić?

— Dlaczego nie? Niech pani wejdzie do biura, tam powiedzą — otworzył drzwi do jasnego, dość obszernego pokoju, oświetlonego dwoma oknami.

Stały tam przy oknach dwa biurka, na środku stół przykryty sukнем zielonem, przy ścianach trzy szafy, prócz tego były dwie kanapki i kilka krzeseł.

Na trzask otwierających się drzwi, brunet przystojny, z małymi wąsikami, pracujący przy biurku, odwrócił się ku drzwiom, poprawił szkła na nosie lekko garbatym i spytał uprzejmie:

— Czem mogę służyć?

— Przyszłam w interesie do pana Lelickiego.

— Pan pryncypał w tej chwili zajęty, pani zechce spocząć.

— Czy to długo potrwa? — usiadła na kanapce.

— Zaraz zobaczę, — wstał z wyściełanego krzesła, — może panią przyjmie zaraz. Mogę prosić o nazwisko?

— Klara Nakielska.

— Pani szanowna w interesie... mogę wiedzieć w jakim?

Spojrzała na niego z lekkiem zdziwieniem i powiedziała z wahaniem:

— Sądziłam, że rozmówię się z panem Lelickim samym.

— Jestem zarządzający jego biurem... A jeśli sprawa ważna... przyjmie szanowną panią zaraz. Czy nie lepiej?

— Idzie o dług hipoteczny na mojej kamienicy.

— Rozumiem, — skinął głową, — idę, — poszedł do drzwi pobocznych, zapukał i po chwili wrócił z gabinetu, a zostawiając drzwi otwarte, rzekł z ukłonem:

— Pan pryncypał prosi panią. Czy nie mówiłem?

Pani Nakielska podniosła woalkę i odwróciła twarz bladawą, ze śladami dawnej piękności, z której zachowały się najlepiej ładne, ciemne oczy i bujne ciemno-blond włosy.

W gabinecie ładnie, prawie zbytkownie umeblowanym, przy jej wejściu podniósł się trochę z fotela szpacikowaty mężczyzna, z twarzą szczerą, otwartą, spojrzał szybko na wchodzącą, i rzekł z ukłonem:

— Raczy pani usiąść, — wskazał fotel w pobliżu biurka, — czem mogę służyć?

— Wyczytałam w Kuryerku, — zarymieniła się leciutko ze wzruszenia, — że pan posiada kapitały na lokatę hipotecną... i właśnie ja potrzebuję

— Istotnie rozporządzam pewnymi kapitałami i mam je umieścić na hipotece, — gładził ładny wąs białą ręką, — ale hipoteka musi być pewna i czysta. Pani ma kamienicę czy wieś?

— Kamienicę... przy ulicy Wielkiej...

Gdy na żądanie Lelickiego udzieliła mu bliższych szczegółów, spytał o długi hipoteczne.

— Na kamienicy jest trzydzieści tysięcy Towarzystwa, z których połowa spłacona... następnie piętnaście tysięcy, wdowy po tym bracie... i dziesięć tysięcy Frejlicha Benjamina... on wymówił mi tę sumę i na jego miejsce potrzebuję kapitału.

— Hm... trzecie miejsce... lokata nie bardzo pewna...

— Ależ spłcone pół Towarzystwa, — zawała poruszona, — i cały dług kamienicy, ocenionej na sto piętnaście tysięcy,

wynosi właściwie czterdzieści tysięcy rubli, a pan mówi, że lokata nie jest pewna.

— No... tak... zapewne, ale z cudzymi kapitałami muszę być ostrożny.

— Niechże mi pan nie odmawia... tak mi ciężko samej... termin już bliski... a ja nie mogę wydostać pieniędzy, — skarżyła się po przez wewnętrzne łzy, — jeśli nie zapłacę, on nas zlicytuje... i co ja zrobię z dziećmi?

— Dlaczego pani nie starała się wcześniej? Trzeba było pójść do adwokata.

— Tego samego dnia, gdy mi wymówił, poszłam do adwokata, pana Handelsburga. Obiecał, że zrobi, i zwlekał, zwlekał, a teraz powiedział, że Frejlich nie chce zgody... Niechże pan wejdzie w moje położenie, — prosiła prawie pokorne.

— Dlaczego pani nie udała się do Towarzystwa Kredytowego? Po spłacie połowy dlułu mogła pani dostać tych dziesięć tysięcy.

— Byłam... odmówiono mi.

— Źle się pani udała, — uśmiechnął się, — trzeba było udać się do Einawera lub Krankheita.. przez świętych do Boga. Jeden, albo drugi byłby to przeprowadził napewno.

— Udawałam się i do jednego i do drugiego, obiecywałam dobry procent.. ale mówią, że na razie nie da się nic zrobić, dopiero jesienią... a do jesieni Frejlich zlicytuje.

— A do bankiera Erca? On także ma wpływy.

— Odmówił... odkłada na jesień.

— Hm... to źle... ale zobaczę kamienicę, zbadam hipotekę i może da się co zrobić.

— Całe życie będę wdzięczna panu... niech pan mię poratuje. Tak nieszczęśliwie wpadłam z tym Frejlichem...

— Dawno pani ten dług zaciągnęła?

— Niema jeszcze roku, bo to zięć mój wymagał posagu obiecanego, córka prosiła, a ja, chociaż widziałam niebezpieczeństwo, zdecydowałam się na pożyczkę, bo trafiła mi się dobry interes.

— Jaki? — spytał przez grzeczność.

— Przystąpił do spółki wyrobu cegieł i dachówek. Może pan słyszał: Datner i Spółka.

— A nazwisko zięcia pani?

— Witold Jarmuski.

— A, Jarmuski, czy nie syn Michała, niegdyś właściciela Brzezinek?

— Ten sam.

— Jakże mu się powodzi?

— Kryją przedemną, ale wiem że nieszczególnie, pokazały się jakieś zobowiązania, warunki, i produkcja cegielni zawisła jest od Fajgenbauma, który zabiera wszystkie zyski.

— Tak... tak, słyszałem o tem, — spojrzał na zegarek, — a co do interesu pani,

bardzo chętnie pomogę, o ile przekonam się o pewności lokaty. Tembardziej, że zięć pani jest synem mego kolegi.

— Więc mogę liczyć? — wstała, — bo termin tak bliski... a co do procentu, gotowa jestem dać sześć, a nawet więcej od sumy pożyczonej.

— Pomówimy o tem, gdy interes będzie załatwiony, — podał jej rękę, — nie zedrę pani, wezmę zwykły procent i poniesie pani koszta.

Po jej wyjściu przysunął znów książkę komisów, przeglądał i z westchnieniem zamknął. Interesa szły nieszczególnie, jakkolwiek nie brakło zleceń korzystnych i zyskownych... ale w ostatniej chwili jakoś nie dochodziły do skutku i on wychodził z próżnemi rękami, a wydatki zostawały te same, jeśli nie zwiększały się znacznie.

Za sam kantor płaci czynsz o wiele większe, od kiedy żyd kupił tę kamienicę. Pensye pracownikom trzeba było powiększyć. Prawda, że ten Jakób Reinherc sprytny, obrotny, zna się na interesach i umie przewachać korzystną sprawę, ale też pensye ma wysoką, no a ten drugi, Płachetka, uczciwy, co prawda, ale nie umył się do Jakóba, wół roboczy, wykonawca, nic więcej.

Wstał i przechodząc się po gabinecie rozmyślał z goryczą o wydatkach i winił złe, niespokojne czasy, że jego dom komi-

sowy, niegdyś tak świetnie rozwijający się, popadł w jakiś zastój.

Przechodząc obok biurka dostrzegł notatkę zrobioną w sprawie pani Nakielskiej, wziął ją i wszedł do kantoru.

— Panie Płachetka, pójdzie pan do hipoteki i sporządzi pan szczegółowy wypis długów i zobowiązań, ciążących na kamienicy pani Nakielskiej, — spojrzał na zegarek, — teraz jest dwunasta, zdąży pan przed mojem wyjściem.

— Dobrze, panie pryncypale, — wstał i poszedł do przedpokoju, ażeby się ubrać do wyjścia.

— Panie Jakóbie, — zwrócił się do Reinherca, — dał pan ogłoszenie w sprawie lasu Nitkowieckiego?

— Dziś będzie... to interes dobry i można zarobić ładny grosz.

— Tak, tak... byle doszedł do skutku.

— Co niema dojść? Jutro zbiegną się hurtownicy i można wybierać między nimi, a czy to złe dla nas? — uśmiechnął się, — ja z tego się cieszę, a pan pryncypał nie?

— Hm... zobaczymy, — patrzał przez okno na znaczny ruch w Alejach Jerozolimskich, a widząc wóz naładowany cegłąmi wspominał Jarmuskiego i spytał:

— Panie Jakóbie, nie słyszał pan, jakie interesa robi cegielnia Datner i spółka?

— Ja wiem, — uśmiechnął się, — na niej robi dobry interes tylko Fajgenbaum, jemu to dobrze... a dlaczego pyta pan pryncypał, czy mogę wiedzieć?

— Interesuje mnie jeden ze współników, pan Jarmuski.

— Ja znam ten interes. Jarmuski wstępował na miejsce Szpasa, i on mu zrobił dobry szpas, — zaśmiała się z gry słów, gdyż to nazwisko żyda po niemiecku znaczy żart, — tam w interesie jest feler ukryty, glinę zakupił Fajgenbaum i cegielnia tyle tylko zarabia, ażeby szła.

— Ale że Jarmuski nie dopatrzył tego?

— Panie pryncypale, czy taki Jarmuski jest człowiek do interesu? — wzruszył ramionami, — żydek byłby się upewnił i za-bezpieczył, ażeby Szpicman nie sprzedał gliny Fajgenbaumowi. On się nie dopilnował, i czyja w tem wina, że traci?

— To prawda, sam sobie winien, — przyznał słuszność Reinhercowi, a swoją drogą współczuł z Jarmuskim i postanowił pomóż Nakielskiej. — Wyjdę na chwilę do miasta, gdyby ktoś przyszedł z ważniejszą sprawą, niech zaczeka.

Wprost z biura udał się do kamienicy pani Nakielskiej, której wygląd zewnętrzny zadowolił go.

Do kantoru zgłaszało się dosyć osób, przeważnie faktorów i pośredników żydów,

pragnących coś zarobić przy załatwianiu interesów.

Reinherc informował ich z chłodną grzecznością człowieka, znającego wartość ludzi i interesu, a wnioskując z rozmowy, dbał usilnie o korzyść kantoru.

Z hipoteki wrócił Płachetka, blondyn szpakowaty, z twarzą surową, poważną i w milczeniu zasiadł przy swem biurku.

— Panie Płachetka, — przemówił Reinherc głosem, który zdradzał poczucie właściwej wyższości, — jak stoi hipoteka tej kamienicy?

— Mojem zdaniem, hipoteka ta w stosunku do innych czysta... ale na czwarty numer nie dałbym.

— Ma pan wypis?

— Oddam go panu Lelickiemu, — powiedział obojętnie i zapalił papierosa.

— Czy pan myśli, że ja zjem pański wypis? — zaśmiała się z przymusem Reinherc.

— Nie sądzę, ale polecenie otrzymałem od pana Lelickiego i jemu oddam.

— I pan myśli, że ja nie będę go miał dzisiaj? — zadrwił, — ja mówię...

Przerwał dalszą rozmowę, gdyż do kantoru wszedł gruby, łysawy, szpakowaty brunet. Na szerokiej, rozlanej twarzy błyszczały małe, przenikliwe oczy, zarost miał krótko przycięty, również wąsy na gru-

bych, mięsistych wargach, zwilżanych bardzo często językiem.

— Przepraszam, — powiedział po rosyjsku, — ale wpierw odetchnę.

Usiadł ciężko na kanapce, wyjął z kieszeni marynarki kraciastą chustkę, obtarł nią twarz spoconą i garbaty, mięsisty nos.

— Czy ja się nie myliłem, — rzekł po wysapaniu się, — to kantor Lelickiego?

— Tak jest, pana Lelickiego, — poprawił Reinherc gościa.

Ten wykrzywił usta do uśmiechu drwiącego i rzekł tonem człowieka, nawykłego do rozkazywania:

— Ja nie znam waszych tytułów, u nas powiem „otieczestwo“ i to wystarczy najbogatszym, a jakie on ma „otieczestwo“?

— Kto taki?

— Nu, Lelicki!

— Marek Antonowicz Lelicki.

— Tak wiem; czy on jest w kancelierce?

— Wyszedł, wkrótce wróci.

— Co to jest? — zawała, — jak on ma kantor, to powinien pilnować... ja tu drugi raz nie będę się fatygować. Czy wy rozumiecie?

— Może pan zechce mi powiedzieć.

— Wam? A wy kto taki? Ja mam interes do właściciela kantoru, nie do was.

— Niech pan zaczeka chwilę.

— Czy wy myślicie, że ja mam czas na zbyciu? — oburzał się, — ja nie taki, jak wy w tej Warszawie, — uśmiechnął się wzgardliwie, — jak interes, to interes, a potem można pogadać i zabawić się.

— Ja zastępuję pana Lelickiego i pan może mi powiedzieć... moje nazwisko: Jakób Reinherc.

— Nu, mówiono mi o was, — na te słowa Reinherc spojrzał zaniepokojony na Płachetkę, co zauważał gość i dodał: — ale co wy, to wy, a ja potrzebuję gospodarza. Czy wy rozumiecie?

W tej chwili wszedł do biura Lelicki, a Reinherc zawała:

— Jest i pan pryncypał.

— Nu, ja was się doczekał, — i nie wstając z kanapki, wyciągnął wielką, tłustą, wilgotną rękę: — przepraszam, że nie wstaję, to z gorąca... ja jestem Osip Mojżeszowicz Lewite, kupiec gildyjny i właściciel kamienicy.

Lelicki podał mu rękę i spytał również po rosyjsku:

— Pan do mnie w interesie?

— Nu, przecież nie z wizytą, — zaśmiała się głośno, — a wy co myśleli? Czy ja czekałem tutaj?

— Proszę do mego gabinetu.

W pierwszej chwili chciał puścić gościa przodem, ale Lewite wydał mu się

tał niemiły, że sam wszedł pierwszy, usiadł za biurkiem i wskazując fotel obok, rzekł:

— Proszę siadać... jaki interes?

— Nu, poco ten pośpiech?... Najpierw potrzebuję was, Marku Antonowiczu, objąć z kim wy mówicie. Ja mam, — dotknął tłustą ręką marynarki na piersiach, — hurtowny skład galanterii moskiewskiej na cały prywislanski kraj i mam reprezentację kilku bogatych firm moskiewskich, — umilkł, czekając wrażenia.

— To piękny interes, — rzekł obojętnie Lelicki i wyjmując pudełko z papierosami, podsunął gościowi, — może pan zapali?

— Nu, ja wam nie chce odmówić, — wziął papieros i obejrzał, — jaki to tyton palicie?

### — Noblesse.

— Co taki tytoń wart? — zawała pogardliwie, — on nic nie jest wart. Mój zięć, Nuchim Jankielowicz Turyn, on ma reprezentację fabryki Osmołowa na kraj prywilejowany, spróbujcie tylko, a wyrzucicie te wasze paskudne tytonie. Ja mu powiem, to on przyszle wam na próbę. Co, dobrze?

— Dziękuję, przyzwyczaiłem się do tego tytoniu.

— Nu, jest przyzwyczajenie, jest i odzwyczajenie. Czy nie tak? — pokazał w uśmiechu żółte, nadpsute zęby.

— Hm... zapewne, ale wracajmy do interesu, o co idzie?

— O co ma iść, jak nie o pieniądze?! Wy macie do ulokowania pieniądze, a ja mam wielką, piękną, pięciopiętrową kamienicę. Lokata jak złoto, jak brylant. Ja mam czterdzieści tysięcy rubli na pierwszym numerze hipoteki, a mnie trzeba do ukończenia kamienicy jeszcze czterdzieści tysięcy.

— Więc kamienica nieskończona jeszcze?

— Dlaczego nieskończona? Ona stoi jak byk. Za tydzień będzie już dach, materiały czeka, tylko tutejsi robotnicy nie umieją pracować, to takie bydło leniwe. Gdyby tutaj była artel nasza, kamienica byłaby już gotowa i od pierwszego lipca wynajęta, ale to taki paskudny kraj, że nie zna żadnego terminu, — zaśmiał się, — on sobie żyje z dnia na dzień i jak mają iść nasze interesa? Czy ja źle mówię?

Lelickiemu nie bardzo podobała się ta krytyka, uważały jednak za niewłaściwe stanąć gorąco w obronie kraju, byłoby to donkiszoteryą kłócić się z żydem o Polskę i zadowolił się odpowiedzią:

— A jednak żyliśmy tu i żyjemy, i nie było źle.

— Ale jak wy żyjecie! — zaśmiała się drwiąco, — wy, jak trzeby w sadzawce, one sa-

kontentne, że mają trochę zgniłej wody i błoto na schowanie. My dopiero zrobimy tu handel, fabryki, my zbudujemy Warszawę, my ją zrobimy „Eine Handelsstadt“, bo u nas kapitał nie może próżnować, on musi pracować.

— Wróćmy jednak do interesu, — rzekł znudzonym głosem Lelicki, gdyż stykając się z żydami osłuchał się już z ich krytyką kraju i społeczeństwa, a uważały za niewłaściwe i nie prowadzące do celu spierać się z nimi.

— Czy my już nie skończyli? — udał zdziwienie Lewite, — czy ja wam nie powiedziałem, że wy, Marku Antonowicz, nie możecie znaleźć lepszej lokaty na czterdziestki tysięcy rubli, jak tylko na mojej pięciopiętrowej kamienicy? Ja uważam interes za skończony, przecież wy dobry gospodarz, kiedy macie taki porządkowy kantor i takie zaufanie u ludzi.

— Ależ ja nie zbadałem jeszcze hipoteki, nie znam kamienicy, nie znam stanu waszych interesów.

— Od czego wy macie ludzi? — zasmiał się, — niech idą, niech sprawdzą i przekonacie się, że ja rzetelny kupiec, nie taki blagier, jak tutejsi, którym nic nie można wierzyć.

— Dobrze, sprawdzę, a wtedy pomówimy o interesie.

— Nu, co to jest? — zawała zgorszony, — jak wy możecie mnie tak obrażać! Jeśli Lewite powiedział, to jest prawda, i możecie przysięgać na jego słowa, — widząc jednak chmurną minę Lelickiego dodał z dobrosusznym uśmiechem: — poco nam się kłocić, czy my sobie wrogi? Wy, Marku Antonowicz, nie załujcie fatygi, ja to rozumiem, ja nie pożałuję pieniędzy za waszą usługę, nu, a ten wasz kapitalista, on się bardzo rozraduje, że znalazł lokatę na mojej pięciopiętrowej kamienicy, nu, my już skończyliśmy, — wyciągnął wielką, wilgotną rękę, — nu, przybijcie targu, Marku Antonowicz, taki złoty interes tylko raz wam się trafił.

Lelicki dotknął ręki, mówiąc:

— To nie moje kapitały, muszę sprawdzić stan hipoteki... kamienicy...

— Nu, a jak wszystko będzie w porządku, — trzymał Lewite wyciągniętą rękę, — to interes załatwiony. Co?

— Wówczas pogadamy.

— To nie ze mną, — zawała Lewite, — jeśli do was przychodzi taki kupiec, jak ja, to on ze słowami nie może odchodzić. Wy możecie z tutejszymi tak robić, ale nie z nami. Ja wiem, wy dobry kupiec i wam idzie o meklerstwo... nu, ja daję zwykle pół procent, dla was zrobię wyjątek, dam jeden procent, a koszta hipoteczne po połowie.

— Nie, tak nie idzie, — powiedział stanowczym głosem Lelicki, — pan da trzy procent, przecież na listach Towarzystwa straci pan więcej...

Zaczęły się targi. Żyd rzucił się, krzycał, zlizywał językiem spiekłą ślinę z warg, i wreszcie zgodzili się na dwa procent.

Gdy wychodził z gabinetu, zatrzymał się w kantorze, mówiąc do Reinherca:

— My z gospodarzem skończyli, ale zależy mi na czasie, dajcie mi znać, kiedy dostanę pieniądze... znajdziecie mnie na ulicy Gęsiej, pytajcie o Osipa Mojżeszowicza Lewite, mnie tam każde dziecko zna dobrze. Ja każdego dnia jestem w moim magazynie od godziny szóstej wieczorem.

— Jak tylko się dowiem, przyjdę do was Osipie Mojżeszowiczu.

— Nu, i ja tak myślę, — sklonił się głową i nałożywszy kapelusz, wyszedł do przedpokoju.

— Podły litwak! — mruknął dosyć głośno Płachetka.

Z miną niezadowoloną zwrócił się ku niemu Reinherc i rzekł tonem obrażonym:

— Panie Płachetka, zwracam uwagę pana nie pierwszy raz, że pan nie potrzebuje używać takich brzydkich słów o naszym interesancie. Ja chciałbym być taki bogaty, jak on, — westchnął.

— I ja także, byle nie litwakiem, — zaśmiał się cicho Płachetka, — przylazło tu to żydowskie tałatajstwo i dmie się, jak ropucha.

— Panie Płachetka, — poczerwieniał Reinherc, — pan nie potrzebuje obrażać naród żydowski.

— A ten litwak, co na nas wygadywał!

— Co oni temu winni? oni są wygnańcy nieszczęśliwi, oni nie rozumieją, że obrażają ambicję naszą, — podkreślił ostatni wyraz, — im trzeba to darować, bo oni mają takie wychowanie.

Płachetka gotował się do odpowiedzi, gdy wszedł Lelicki i spytał:

— Panie Płachetka, czy jest wykaz hipoteczny?

— Jest, — podał złożony arkusz papieru.

Lelicki rozwinął arkusz, odczytał uważnie i podając go Reinhercowi, rzekł:

— Dziś jeszcze napisze pan list do pani hrabiny, że lokatę dziesięciu tysięcy na siódmy procent, na kamienicy pani Nakieliskiej uważam za korzystną i najzupełniej pewną.

— Dobrze, panie pryncypale.

— Doda pan, że Towarzystwo oceniło wartość kamienicy na sto piętnaście tysięcy, a suma pani hrabiny mieści się faktycznie w połowie wartości.

- Rozumiem.
- List da mi pan do podpisu dzisiaj po południu.
- On będzie gotów, — skłonił się Reinherc wychodzącemu Lelickiemu.
- Nu, panie Płachetka, — śmiał się po wyjściu pryncypała, — czy nie mówiłem, że dzisiaj będę miał wykaz?
- To mi obojętne. Idź pan na obiad, a nie spóźnij się pan z powrotem, jak było onegdaj.
- Ja pilnuję się terminu, — zaśmiała się i wyszedł.

## II.

Reinherc szedł Alejami Jerozolimskimi w kierunku Marszałkowskiej na skromny obiad, rozmyślał z uśmiechem zadowolenia, że zarobi swoją prowizję u Osipa Mojżeszowicza Lewite, który zaprosił go na Gęsią ulicę. On wie, że idzie o czterdzieści tysięcy rubli, on to dobrze słyszał przez drzwi, bo on ma doskonały słuch.

Ten Lewite może mu dać kwieciny procent, może pół, a może cały, jeden, i aż cmoknął z radości. Jak on użyje za te pieniądze!

— Kuba!... Kuba! — posłyszał za sobą wołanie.

Odwrócił się i z uśmiechem odpowiedział:

- Tajtelbaum, czego ty się tak drzesz?
- Dlaczego nie mam się drzeć, kiedy ty idziesz jak lokomotywa. Czy ty wiesz Kuba, że ja mam do ciebie interes?
- A jaki?
- To delikatny interes, a ty, Kuba, chcesz zjeść dobry obiad?
- Poco to pytanie? Ja chcę, ale ty powiedz co za interes?
- Zaraz! Ty potrzebujesz pójść ze mną do restauracyi, tam zjesz obiad i poznasz Benjamina Frejlich... „ein feiner Mensch“. Czy ty jego chcesz poznać?
- Powiedz mi Tajtelbaum, czy to mi się opłaci, a ja pójdę.
- Zawsze ty zjesz obiad, czy to źle?
- Obiad dobry, ale interes lepszy; co za jeden ten Frejlich?
- On przez mego pryncypała, adwokata, robi jeden dobry interes... i mnie adwokat posłał do ciebie, ażebyś sobie pogadał z Frejlichem. Czy ty rozumiesz?
- Ja sam nie wiem, czy ja rozumiem, ale gdzie ta restauracja?
- A ten bar, to nie restauracja? — zaśmiała się Tajtelbaum, — on na nas czeka.

Weszli przez salę bufetową do ustronnego pokoju przepełnionego gości, i prze-

sunęli się do małego stolika, przy którym siedział brunet, dość starannie ubrany. Tajtelbaum przedstawał po rosyjsku:

— Benjamin Aronowicz Frejlich... Jankiel Boruchowicz Reinherc.

— Bardzo mi przyjemnie, — powiedział zły akcentem po rosyjsku Reinherc i uściśniął podaną rękę.

— Siadajcie, — rzekł z powagą Frejlich, patrząc na obydwóch, — zanim obiad obstatuję dla was, ja chcę coś wiedzieć. Czy wy, Janklu Boruchowiczu, jesteście w kantorze?

— Tak jest... Lelickiego.

— Czy u was była dzisiaj jedna kobieta chrześcijanka?

— U nas bywa dużo ludzi, i mężczyzn i kobiet, a o którą pytacie?

— A słyszaście wy o Nakielskiej?

Reinherc ukrył swe zadowolenie, i nieznacznie dotknął się bocznej kieszeni marynarki, bo niechcący wziął ze sobą wypis hipoteczny.

— Ona, Benjaminie Aronowiczu, była dzisiaj u nas w sprawie pożyczki na swą kamienicę.

— Nu, wy, Janklu Boruchowiczu, jesteście mój człowiek, — uśmiechnął się i pogładził czarną brodę, w której świecił tu i ówdzie włos siwy, — teraz zjemy obiad. Ja wam nie pożałuję, ale i wy pamiętać o moim interesie. Czy dobrze?

— Dlaczego ma być źle? — zaśmiała się Reinherc.

Po krótkiej naradzie zgodzono się, żeby dla formy dać jeden kieliszek wódki i trzy śledzie.

— Człowiek! Człowiek! — zawała bułtynie na garsona Frejlich, a gdy ten się zbliżył, rozkazał: — jeden kieliszek oczyszczonej, trzy śledzie, nie żałuj cebuli, ona lepsza od śledzia.

Garson z nietajoną niechęcią spojrzał na tych gości i rzekł po polsku z odcieniem drwin.

— Czy nie będzie za skąpo wódki?

— Co to jest! — krzyknął Frejlich po rosyjsku, — jak ty śmiesz do mnie tak mówić, czy ja nie płacę!? Co ty powiedziałeś?

— Proszę tak nie krzyczeć, tu nie Gęsia ulica.

Tych słów za wiele było wszystkim trzem żydom i wrzasnęli chórem:

— Ja ciebie „swołocz“ nauczę... Gospodarz!... Gospodarz!... — wołali po rosyjsku.

Wśród zebranych gości dały się słyszeć oderwane słowa:

— Cicho tam!... Nie krzycz żydzie!... Wynosić się!... Zjeść nie można!

Reinherc w obawie niemiłej awantury starał się uspokoić wzburzonego Frejlicha:

— Benjaminie Aronowiczu, czy taki goj paskudny może was obrazić? Dajcie spokój, on przecież nie człowiek.

— Ja wiem, że on świnia, ale on powinien mnie uszanować.

— Nu, idzie gospodarz, — wskazał na szatyna wymuszanego, ubranego dość pretensyjnie, z miną pana niezależnego.

Wszyscy trzej równocześnie zaczęli opowiadać o zajściu, ku rozweseleniu publiczności:

— Nauczcie waszego człowieka grzeczności. On jest bezczelny! — krzyczał Frejlich z błyszczącemi oczami.

— On nas obraził! — wołał Reinherc.

— On nie umie obchodzić się z gośćmi! — starał się innych przekrzyczeć Tajtelbaum.

— Nie rozumiem, o co idzie? — spytał flegmatycznie gospodarz po polsku.

— Ja to wytlumaczę, — ofiarował się Reinherc, — ten pan, — wskazał na Frejlicha, — obstałował kieliszek wódki i trzy śledzie, a garson odesłał nas na Gęsią ulicę.

— Czy to być może? — oburzył się gospodarz spokojnie, — Paweł! — zawała na garsona, — jak możesz obrazić panów?

Nagle jeden z gości, siedzący tuż w pobliżu, człowiek starszy, z wielkim, sumiastym wąsem, zawała:

— Ten pan kłamie! — wskazał ręką na

Reinherca, — i chce skrzywdzić garsona, na co nie pozwolę.

Co to jest? — zakrzyczał zaperzony Reinherc, — czy to pański interes? Co pan się miesza do nas?

— Milczeć! — huknął obrońca garsona. — Rzecz była taka: tych trzech ichmościów zażądali jeden kieliszek wódki i trzy śledzie z dużą ilością cebuli, — uśmiechnął się, — a garson spytał w przyzwoitym tonie, czy nie będzie za skąpo jeden kieliszek. Żydzi gwałt podniosły o obrazę, a ten im spokojnie powiedział, że tu nie Gęśia ulica... Taka jest prawda!

— Tak było!... I ja słyszałem!... Prawda święta! — odezwały się głosy.

— Jak wszy oblazły nas te żydy i stają dęba teraz, — zawała ktoś z gości.

— Dam panom innego garsona, — przemówił gospodarz do trzech gości, — czem moge służyć panom?

— Jak wy, gospodarzu, tego sługi, który nas obraził, nie wypędzicie, — rzekł z groźną miną Frejlich po rosyjsku, — to my wychodzimy i wszystkim rozpowiemy, jaki z was gospodarz.

— Nie zawiń, więc go nie ukarzę, — powiedział z chłodną grzecznością gospodarz, — a pan zrobí, co uzna za stosowne.

— Chodźmy, — rzekł Frejlich, — ten lokal nie jest dla nas, nas tu obrażają.

Reinherc, widząc drwiące miny gości, pociągnął za połę Frejlicha i szepnął:

— Czy mamy ustąpić gojom? Oni mają tryumfować?

— To prawda, ale nie w tej izbie, jakbym patrzał na nich, całe jedzenie przewróciłoby się we mnie.

— Nu, znajdziemy inne miejsce.

Z miną dumną, udając, że nie słyszą sarkastycznych uwag gości, przeszli do innego pokoju i kazali sobie podać trzy śledzie.

— A może wódki? — spytał usłużny garson.

— My już pili, — pospieszył Frejlich i do swoich: — naco nam wódka, czy my pijacy, jak te goje?

Zajadając śledzie z mlaskaniem i pomagając sobie pałcami, prowadzili rozmowę o interesie, ale Reinherc przedtem udał, że ma znajomego w dalszym pokoju i odczytał szybko wykaz hipoteczny. Ucieszył się znalazły w nim Frejlicha z sumą dziesięciu tysięcy i w lot zrozumiał, o co chodzi Frejlichowi.

— Cały interes w tem, że ja potrzebuję kamienicy Nakielskiej, ona mi się spodobała, — mówił z powagą Frejlich, — ja chcę kupić, ale ta głupia chrześcijanka droży się. Nu, ty się drożysz, to ja ciebie zmuszę, — zaśmiał się.

— A ile ona za nią chce? — spytał z niewinną miną Reinherc.

— Naco to pytanie? — skrzywił się Frejlich, — czy wy, Janklu Boruchowiczku mój wspólnik? To nie należy do interesu. Ja mam na tej kamienicy pewną sumę...

— Dziesięć tysięcy rubli, — rzekł obojętnie Reinherc, — to ładny grosz, ale kamienica warta jest między braćmi sto dwadzieścia tysięcy.

— Co za paskudne słowo gadacie, — obruszył się Frejlich, — ona dla mnie i połowy tego nie warta. Jeśli wy, Janklu Boruchowiczku, tak rozumiecie interesu, to nie mamy co gadać. Ja myślałem, że mówię do swoich, a wy stoicie za chrześcijanką? Czy to się godzi?

— Ja mówię tylko do swoich, — uśmiechnął się Reinherc, zajadając trzecią bułkę z rzędu, — i ta kamienica to złoty... to brylantowy interes dla was.

— Co za złoto!? Co za brylanty? — zaśmiał się drwiąco Frejlich, — kupa cegieł i trochę wapna. I żeby mi się ona nie podobała, ja nie kupiłbym jej wcale.

Zaczęła się ożywiona rozmowa. Frejlich w obawie, że Reinherc zechce korzystać z tego interesu, obniżał jak mógł wartość kamienicy, a przeciwnie Reinherc wysyłał ją, ażeby módz zażądać wysokiego procentu.

— Ja to widzę, — rzekł wreszcie Frejlich, — że wy, Janklu Boruchowiczu, mące dobrą głowę, poco kłotnia, powiedzcie jednym słowem, ile wy chcecie, ażeby ona nie dostała z kantoru pieniędzy?

— Ile? Ja nie chcę dużo, dacie mi tylko dziesięć procent... i zgoda.

— Co!? — chwycił się za brodę Frejlich i zatargał nią, — wy, meszogene, czysty waryat! — i wysypał się potoków słów oburzenia.

Wszyscy trzej zaczęli drzeć się, i w niespokojnej gestykulacji, nerwowej, nieumiarkowanej, wymachiwali rękami, głową, nogami, całym ciałem.

Niektórzy goście przypatrywali się im z uśmiechem, inni gniewnie, a ktoś poskarzył się gospodarzowi na hałas i niepokój.

Gospodarz podszedł do nich i powiedział gniewnie:

— Może panowie zechcą ciszej mówić, to przeszkażda innym.

Frejlich chciał się oburzyć, ale pomnac, że ma zapłacić za trzy śledzie i nie załatwiać interesu, rzekł uprzejmie:

— Co wam to szkodzi? My tylko żartujemy głośno. Dajcie mi małe piwo, — zlizywał językiem zapiekłą ślinę a kąty warg obcierał brudnym palcem.

— Nu, i my napijemy się piwa, — powiedział z wyrzutem Tajtelbaum.

— Możecie pić, co mi to szkodzi, ale ja zapłczę dopiero po interesie. Czy to nie jest sprawiedliwie?

Garson przyniósł trzy małe piwa, a Tajtelbaum widząc pusty koszyk po bułkach, zażądał nowych.

— Szarańcza podła! — zaklął garson po cichu, gdyż w tym barze garsoni opłacali bułki dla gości.

Skończono targi, a ponieważ Frejlich bardzo narzekał na poniesione koszta, gdyż musiał adwokata Handelsburga opłacić za zwłokę w sprawie Nakielskiej, i dać dobrą łapówkę Einawerowi i Krankheitowi, ażeby Towarzystwo kredytowe nie przyszło z pomocą właścicielce kamienicy, więc po prośbach zgodził się Reinherc na dwa procent w razie odmówienia kapitału przez Lelickiego.

— Tylko pamiętajcie, Janklu Boruchowiczu, — nauczał Frejlich, — niech ona sobie myśli, że dostanie dziś, jutro, i niech głupia czeka, uśmiechnął się, — a jak raz będzie skarga na nią w sądzie, nikt jej nie da.

— Ja to wiem, — spojrzał na zegarek i wstał, — ja muszę do biura, a wy dajcie dwieście rubli.

Nastąpiły nowe targi i na propozycję Reinherca pieniądze miały być złożone w trzecie ręce. Na razie nie mogli się zgodzić

na osobę, niespodzianie Reinherc przypomniał sobie kupca Lewite i wymienił go.

— A wy skąd go znacie? — zdziwił się Frejlich.

— Co nie mam znać? On przecież pewny.

— To bardzo honorowy człowiek, jak on powie, to można wierzyć. Wiecie, on nam zapowiedział, że zbuduje sobie pięciopiętrową kamienicę za pieniądze głupich gojów i on ma ją prawie skończoną. Już buduje czwarte piętro. Oj, jaka to główka! jaki to rozum! — emoknął głośno, a dwaj młodzi z podziwem potrąsali głowami. — Daj Boże każdemu z nas, czy nie tak?

— Ja już idę, — nałożył kapelusz Reinherc.

— I ja z tobą, — zawała Tajtelbaum.

Zatrzymał ich garson, pytając, kto zapłaci śledzie i piwo.

— Tamten pan, — wskazali na Frejlicha.

— Czy płaci pan wszystko? — niedowierzał garson nauczony doświadczeniem.

— Ja płacę! Co mam robić! — westchnął Frejlich i wyciągnął stary, załuszczony woreczek.

Tajtelbaum, skoro wyszedł na ulicę, zaczął łagodnie po polsku:

— Kuba, ty dzisiaj miałeś dobry dzień, a wiesz, komu masz podziękować?

— No, komu? — uśmiechnął się.

— To ja, Tajtelbaum, twój przyjaciel, ja to zrobiłem. Czy ty myślisz, że on trafiłby do ciebie? Czy dałby tobie dwieście rubli?

— Ty mi powiedz, jak on wie, że Nakieńska była u nas, w kantorze?

— No, jak tobie to potrzebne, to ja, twój przyjaciel, tobie powiem. Frejlicha szwagier ma sklep w kamienicy, tam schodzią się służące z całego domu i on wie wszystko, co mu trzeba. On posłał za nią chłopaka aż do drzwi kantoru i dał znać Frejlichowi, któremu Handelsburg powiedział, że my dwaj przyjaciele. Ja mogłem nie iść... Ja potrzebowałem tylko powiedzieć, że my się pogniewali, ale ja znam ciebie, Kuba, to ja poszedłem. Czy ty mi wdzięczny?

— Dlaczego mam być niewdzięczny? Ja tobie powiem, że ten Frejlich, to sprytna głowa, jak on ją otoczył na wszystkie boki... o, on kupi tę kamienicę. A ty jak myślisz?

— Słuchaj, Kuba, ty nie potrzebujesz myśleć, że ja taki głupi, ja jestem u adwokata. Ty powiedz słowo mądre i daj mi połowę zarobku. Czy ja nie zasłużyłem?

Zaczęły się targi, przystawali, przyskakiwali do siebie, nawymyślali sobie, ale już szwargotem żydowskim i zbijani, spo-

ceni, zgodzili się wreszcie na siedem i pół procentu.

Tego samego dnia, przed zamknięciem kantoru, wśród innych listów i korespondencji przedłożonych Lelickiemu do podpisu, Reinherc oddziennie podał list w sprawie pożyczki hipotecznej na kamienicy Nakieńskiej i badał wrażenie, jakie on sprawi na pryncypale.

— List bardzo dobry, — pochwalił Lelicki, — zwłaszcza ten ustęp o Frejlichu, — czytał półgosem:

„Wierzytel hipoteczny, Benjamin Frejlich, na którego miejsce J. Wielmożna pani hrabina z sumą dziesięciu tysięcy rubli wstępuje, korzystając z chwilowego zastoju na rynku pieniężnym, wymówił niespodziewanie swą sumę, ażeby zmusić właścicielkę do płacenia mu lichwiarskich procentów. Umieszczając tę sumę, J. Wielmożna pani hrabina zapobiega wyzyskowi i lichwiarswu przy najzupełniejszem bezpieczeństwie swego kapitału, oprocentowanego za siedem procent, który jest płatny półrocznie z góry”.

— Tak, ten ustęp jest dobry, — skinął głową Lelicki, — ale skąd pan odgadł zamiary Frejlicha?

— Znamy, panie pryncypale, naszych żydków, — uśmiechnął się, — im wszystkiego za mało. Nie dość Frejlichowi, że brał siedm procent z góry na cały rok; że jego szwagier ma za psie pieniądze sklep w tej kamienicy, on chce więcej. To litwak, a litwacy są nienasyci, gorsi od naszych żydów.

— Tak, tak, panie Jakóbie, — gotował się do podpisania, — dawniej było lepiej i co lepsi z żydów polonizowali się, a dzisiaj ruszczęją, — westchnął i podpisał.

Reinherc zabrał całą korespondencję do ekspedycji na pocztę, a uważając, że list w sprawie hipotecznej jest bardzo ważny, nie powierzył go woźnemu do oddania na pocztę, lecz postanowił odnieść go osobiste i upewnić się, że list pojedzie na miejsce swego przeznaczenia.

### III.

Lelicki zajmował przy ulicy Wiejskiej apartament, złożony ze sześciu pokoi na drugiem piętrze, umeblowany nietylko wygodnie, ale wykwintnie.

W przedpokoju spytał lokaja, który mu drzwi otworzył:

— Czy przyjechał pan Jan? — miał na myśli swego najstarszego syna.

— Tak jest, i z nim jeszcze drugi pan.

— Kto taki?

— Nie wiem... jakiś młody.

Lelicki przeszedł do swego gabinetu i zasiadł za biurkiem, odczytując swą korespondencję prywatną. Pierwszy list, który mu wpadł w oczy, był od jego drugiego syna, Władysława, kształcącego się zagranicą. Szybko rozdarł kopertę i czytał, na razie z twarzą rozjaśnioną, lecz stopniowo chmurzył się i z niezadowoleniem rzucił list na biurko.

W tej chwili weszła cicho bocznemi drzwiami żona, szatynka, niemłoda, ale jeszcze dość piękna, z oczami żywemi, cieknemi i zbliżając się do męża, rzekła:

— Masz list od Władzia, czytałeś?

— Już... może chcesz? — podał jej list wzięty przez nią skwapliwie. Usiadła na krześle nieopodal i zagłębiła się w czytaniu.

On, przeglądając inną korespondencję, z pod oka przypatrywał się żonie, chcąc wyczytać wrażenie z jej twarzy pogodnej i spokojnej. Skończyła, złożyła list starannie i podnosząc oczy na niego, powiedziała tonem lekkiego wyrzutu:

— Oddałeś mi list z taką miną, że przypuszczalam coś złego, on jednak jest zdrów i roi plany jak każdy młody.

— A tak, tak, — ironizował, — śliczne plany. Ojciec niech się zamęcza, zapraco-

wuje, a on pojedzie sobie do Londynu na dalsze studya, a z czasem znajdzie zapewne dobrą posadę na obczyźnie. Skąd jednak wziąć pieniędzy dla niego, na jego kaprysy, o to głowa go nie zaboli.

— Mareczku, jakiś ty niesprawiedliwy! — zwołała zaczerwieniona, — chłopiec chce się kształcić, pisze, że nie chce być nam ciężarem, że poszuka posady, a ty żałujesz mu marnych trzystu franków!... Przecież on musi żyć, ubrać się, zabawić...

— Ależ ty chyba nie czytałaś całego listu, — mówiąc zgorszony, — albo też nie zrozumiałaś, — wziął szorstko list z jej ręki, rozwinął i czytał:

„Plan tatusia, ażebym już wrócił do Warszawy i albo wstąpił do Domu komisowego tatusia jako wspólnik, albo poszukał innej posady, powstał zapewne pod wpływem chwilowego zniechęcenia, albo też osłabienia energii. Bo co ja będę robił w tej Warszawie!? Tatuś po tylu latach uczciwej i natężonej pracy majątku nie zrobił, a żydzi-faktorzy u tatusia mają kamienice i kapitały. I w tem nic dziwnego, bo cały handel w ręku żydów, a przemysł w ręku Niemców, i oni zabierają lwią część zysków, a dla nas zostawiają ochłapy. I tatusie, abym ja w tych wstępnych wa-

runkach pracował!? Ich dochody, ich majątki polegają na wyzysku ludności naszej i ja mam być pionkiem, narzędziem w ręku tych wyzyskiwaczy!? Tu dopiero, we Francji, zrozumiałem, jak siła i dzielność narodu jest ściśle związana z handlem i przemysłem. Ja nie mogę wrócić do tej zatęchłej i zgniłej atmosfery naszych stosunków handlowo przemysłowych. Mam zamiar pojechać na jakieś pół roku, może na rok do Anglii, będę pracował jako wolontariusz w światowych firmach i mam prawie przyrzeczoną posadę w jednej z najpierwszych firm handlowych. Bardzo tęsknię do domu, do kraju i jak tylko stanę o własnych siłach, przyjadę do domu nie pospieszonym, lecz expressem...“

Rzucił list na biurko i patrząc na żonę, spytał rozdrażniony:

— Czy zrozumiałaś?  
— Naturalnie... i co w tem widzisz złego?

— A więc to ja pracuję w zatęchłej i zgniłej atmosferze, — unosił się gniewnie, — ja jestem pionkiem i narzędziem w ręku żydów i Niemców, wyzyskujących nas. Ja ułatwiam żydom robienie majątków! Ja jestem ślepy, głuchy, niemy, a on mądry,

przewidujący, czysty, daleki od wyzysku kraju i dlatego chce pracować na obczyźnie!

— Mareczku, co tobie!? Nie poznaję cię! Ileż razy skarzyłeś się na żydów? Na ich oszustwa!?

— To co innego. Wszędzie są żli ludzie, oszuści, ale to wyjątki. Dla niego jednak, ta atmosfera, w której ja pracuję, jest cała zgniła... A dobrze, wstąp sobie do firmy światowej, ale bez mej pomocy. Albo wróć do kraju, albo bądź zdrów i kwita! — uderzył ręką w biurko.

— Niepotrzebnie się unosisz, zapomniesz, że to twój syn i tych swoich teorii nie wyssał z palca, ale ma z ciebie. Prosiłabym cię o jedno: nie odpisuj mu, póki nie naradzimy się wspólnie — czy dobrze?

— A dobrze, dobrze; ale jeśli myślisz, że zmienię moje postanowienie, to bardzo się mylisz.

— Czy wiesz, kochany, że Janek przyjechał. W tej chwili przebiera się z podróży, opalony, ale zdrów.

— Wiem... Kto z nim przyjechał?

— Pan Tadeusz Liński, dawny kolega, z którym Janek się przyjaźni i podobno on ma cię prosić o radę.

— Czy zajechał do nas? na dłujo?

— Nie wiem. Janek wprost z kolei wziął go do nas na obiad. Czy już podać?

— Dobrze.. tylko wpierw ręce umyję;  
a co za jeden ten Liński?

— Pracuje w jakimś biurze czy fabryce w Nowo-Radomsku, albo w okolicy. Janek pisał o nim w swych listach.

— Nie pamiętam.

— Nic dziwnego, ty taki zapracowany, tyle masz na głowie, — mówiła z rozczuleniem.

— Tak, tak, ale synałek jedzie do Anglii, śmierdzi mu praca tutaj, — powiedział z goryczą.

— Tylko nie narzekaj na Władzia, uczy się, pracuje, nie gra, nie hula, nie pije, on naprawdę dobre dziecko i szczerze nas kocha, — broniła syna, — i jak teskni do nas, radby „ekspressem” przyjechać.

— No, już dobrze, dobrze... każ dawać obiad, już wpół do siódmej, — przeszedł do bocznego pokoju dla umycia rąk.

W pokoju jadalnym przez dwa otwarte okna i drzwi balkonowe wpadały promienie zachodzącego słońca czerwcowego i nąłyły zapachy i świełość z obszernego ogrodu Frascati. Na stole owalnym, nakrytym białym obrusem, nęciły oko dwa bukiety pięknych róż, żywą barwą czerwoną czereśnie i wielkie ciemne truskawki, a lśniąca czystość nakryć i pokoju sprawiała bardzo miłe wrażenie.

Pani domu opowiadał Liński drobne przygody dzisiejszej podróży. Z jego wesołej twarzy blondyna, nie schodził rozbawiony uśmiech. Śluszne wzrostu, silnie zbudowany, miał jednak ruchy przyjemne, umiarkowane, mimo żywości temperamentu, która się zdradzała w głosie i błyszczących, piwnych oczach.

Weszli Lelicki z Jankiem, ciemnym szatynem, szczupłym, nerwowym, z twarzą wrażliwą, ze spojrzeniem skuponem, poważnym.

— Tatusiu, pan Tadeusz Liński, — prezentował Janek, — mój przyjaciel, którego przemocą zabrałem do nas.

— Słowa Janka usprawiedliwiają moje zjawienie się u państwa, — uścisnął podaną rękę, — a Janek zbyt się nie wysiłał, gdyż bardzo pragnąłem poznać szanownego pana, a jeśli uchybiłem przyjętym formom, serdecznie przepraszam.

— Mniejsza o formy, — uśmiechnął się gospodarz przyjaźnie, — przyjaciel Janka jest naszym przyjacielem... Zosiu! — zwrócił się do żony, — a gdzie dziewczęta?

— Wróciły przed chwilą ze spaceru, zaraz przyjdą.

— Pójdę je zwołać i przywitać, — ofiarował się Janek.

W tej chwili otworzyły się drzwi i pierwsza weszła Terenia, szczupła, fili-

granowa szatynka, podobna do Janka, tylko oczy miała piękniejsze, większe, rozmarzone, a w ruchach dużo wdzięku i harmonii.

Za nią ukazała się Hala, ciemna blondynka z piwnemi oczyma, z twarzą weesołą, energiczną. Jakkolwiek młodsza, była wyższa od siostry, silnie zbudowana, w ruchach zdecydowana i swobodna. Ojciec z powodu jej səmowoli i krańcowych przekonań, nazwał ją „rewolucyjką” i ten jej przydomek utarł się w domu.

Przedstawiając Lińskiego Janek objaśnił go z uśmiechem:

— Moja siostra, Hala, pospolicie „rewolucyjką” zwana.

— Mój Janku, już wyrosłam ze zdobniałych przewisk, wolę być rewolucyją aniżeli mdłą i bezbarwną rewolucyjką, — uśmiechnęła się zarumieniona.

— Nie wyrosłaś, nie wyrosłaś, — zasmarła się Janek, — masz dopiero siedemnasty rok i dużo ci brakuje do pełnoletności.

Siadali do stołu, lokaj rozniósł zupę, a ojciec patrząc z rozczerwieniem na Halę mówił żartobliwie:

— Masz słuszność, Janku, taki to jeszczę dzieciak, zachciewa się jej rewolucyi.

— Ja znów zgadzam się z panią, — odezwał się Liński, — rewolucyjka jest

brzydką i wstreną, a rewolucya może być wspaniała i piękna.

— Widzieliśmy ją, widzieliśmy, — westchnęła Lelicka, — i nie daj Boże, ażeby się ona powtórzyła.

— I ja widziałam, — dodała Terenia, — i o ile nasz pochód był przepiękny, to reszta była okropna.

— Dużo widziałaś, ty i manusia, — zasmarła się Hala, — skryłyście się do ciepnego pokoju, a ja stałam na balkonie, chociaż kule gwizdały.

— Bo nie rozumiałaś co ci grozi, — zasmarła się Janek.

— Rozumiałam, i gdy to podłe żydowszczo wrzeszczało, ażebym usunęła nasz sztandar, stałam spokojnie przy sztandarze. Później nawet wierzyć nie chciałyście, że ci wstreni żydzi wołali na naszego orła: „precz z białą gęsią!” i rzucali kamieniami. Dlaczego nie miałam rewolweru! — pobladła z oburzenia.

Liński przestał jeść zupę, patrzył na Halę, zmarszczył czoło i rzekł popędliwie:

— Szkoda, proszę pani, prochu na takich łotrów, powywieszać, wytłuc co do nogi!

— Ho, ho, ho, taki pan zawzięty, — uśmiechnął się Lelicki, — ale to była rewolucya, wypłynęły męty i śmiecie żydowskie, a resztę zrobila chwila podnieczenia.

— Teraz to tatuś mówi tak spokojnie,— uśmiechnął się Janek, — a wówczas piorunował i gotów był krucyatyę urządzić.

— Uległem nastrojowi danej chwili, ale dziś, w normalnych czasach, widzę, że nic nie zbuduje się nienawiścią. Trzeba miłości, wyrozumiałości, pobłażania i oni nas zrozumieją, że droga zgody jest najlepsza i najkorzystniejsza dla nich i dla nas.

— Czy i z litwakami? — spytał Janek z przekąsem.

— Może i z nimi, tylko na to potrzeba dłuższego czasu. Wiesz, mówiłem z kilku spolonizowanymi i wpływowymi żydami. Opowiadali mi, że litwacy chętnie zawiążą z nimi stosunki towarzyskie, uczą się po polsku i skłaniają się do naszej kultury.

Lokaj zmieniał talerze, podawał nową potrawę, a rozmowa chwilowo urwana, znów się nawiązała.

— Daj Boże, aby litwacy przejrzeli, — powiedziała pani domu, — jako chrześci-janka nie mogę ich nienawidzieć, a swoją drogą uważam za wielkie nieszczęście dla nas, że oni tu są.

— A ja ich jak najszczerzej nienawidzę, i ich, i wszystkich żydów, — zarumieśniła się Hala.

— Ona nie może im darować tych krzyków na nasz sztandar, — usprawiedliwiała matka.

— O, nietyka za te podłe wrzaski, — zaprzeczyła Hala z żywością, — i teraz, na każdym kroku widzę ich arogancję, butę, słyszę wszędzie ich wstętny żargon. Drażnią nas nieustannie, udając rodowitych Rosyan i grają rolę gospodarzy kraju i miasta. Mamusia i Terenia przymykają oczy dobrotliwie, a ja ich nienawidzę.

— Widzę to widzę, — uśmiechnął się ojciec wyrozumiale, — ale co innego litwacy, a co innego nasi żydzi. Oni są przeważnie gorąco przywiązani do naszego kraju, mówią prawie tylko po polsku, wzbo-gaczą kraj handlem, przemysłem, zapobiegliwością swoją tak, że żaden interes nie uda się, nie będzie miał powodzenia bez współdziału żydów.

— Tak, tak, — rzekł poważnie Liński, — najlepszy dowód sklep rolniczy Janka.

— A prawda, Janku, co słyszać z tym sklepem? Rozwija się?

— Lepiej niech tatuś nie pyta, — nachmurzył się; — sklep bokami robi, a ja, oprócz tego co dopłacę, najadlem się wstydu.

— Ale co się stało? Opowiadałeś mi, że doskonale idzie.

— No, tak, z początku, sprowadziłem towar z Częstochowy, po części z Warszawy i Łodzi, ale mąkę, krupy, drozdze wziąłem od sąsiadów.

— Bardzo słusznie.

— Skoro jednak żydzi z Nowo-Radomska dowiedzieli się, że zakładam sklep, zaczęła się krecia ich robota. Dostawcy towaru odmówili nam nietylko kredytu, ale i towarów, odsyłając nas do zakładów żydowskich w Nowo-Radomsku. Do nafty, spoiwszy parobka, dolali wody; do krup, mąki, dosypali piasku, kolonialne towary naperfumowali nam terpentyną i naftą. Na każdym kroku szkody, psucie towaru, dawanie wybiórków, dość, że i chłopi i okoliczni obywatele, księża, zniechęcili się i sklep dogorywa.

— Dlaczegoż nie udało się do mego pośrednictwa? — rzekł z żalem Lelicki.

— Rzecz prosta, sklepem spółkowym zarządza rada i gdybym był zaproponował dom komisowy tatusia, mówionoby, że przy sklepie piekę pieczeń Lelickich, zresztą, żydzi nie w składach psuli towar, ale w drodze do wsi.

— To źle, bardzo źle, — westchnął Lelicki; — a tak się cieszyłem twą samodzielnością.

— I niech szanowny pan nie sądzi, że to zrobili litwacy, — przemówił Liński, — to nasi żydzi, których pan tak chwali.

— Woda na mój młyn, — uśmiechnęła się Hala.

— Istotnie, żydzi nie przebierają w środkach konkurencyjnych, — rzekł Lelicki, — ale w tem i nasza wina. Gdyby Janek zawiązał był stosunki handlowe z firmami poważnemi, miałby towar wyborowy i sklep byłby się rozwinał i utrwały.

— Ależ tatusiu, — zaśmiał się Janek, — czy mogę mieć bardziej poważną firmę na naftę, jak rezeruar przy kolej, albo mąkę z parowego młyna jednego z sąsiadów? Ale nie mam sposobu na podstępne i przebiegłe psucie towarów w czasie transportu. Nawet dobry towar, nabyty w naszym sklepie, potrafią zepsuć, zanim się dostanie do rąk gospodyni. Jeśli idzie o szkodzenie nam, żydzi są niewyczerpani w pomysłach i nadzwyczaj solidarni.

— To nie ich wina, że są ciemni i niekulturalni, — mówił Lelicki, — wina społeczeństwa, że tak mało dbano o ich wykształcenie i uobyczatelenie. Z czasem znikną i u nich te wandaliczne środki konkurencyjne, trzeba tylko cierpliwości i pracy.

— Cieszyłabym się, Janku, — powiedziała matka, — gdybyś przejął się zasadami tatusia. One są szlachetne, godne chrześcijanina i Polaka.

Janek i Hala spojrzeli na siebie porozumiewawczo, co spostrzegła matka i dodała:

— Hala, to dziecko, które kieruje się tylko uczuciem... ale ty, jesteś dojrzały człowiek i rozumiesz, że w życiu potrzebne jest nietylko uczucie, ale i rozum.

— Mamusiu, — zaśmiała się Hala, — jeśli rozum ma prowadzić do tego, ażebym lubiła brudy, szwargot i oszustwa żydowskie, wolę go nie mieć.

Wszyscy się zaśmiali, prócz matki, której niejednokrotnie dokuczyła niechęć Hali do żydów przy robieniu sprawunków i w stosunkach z ludźmi. Korzystała tedy ze sposobności i powiedziała tonem dość surowym:

— Słyszałaś, co tatuś mówił, że to, co cię razi, nie ich jest winą, lecz społeczeństwa i z tego powodu powinnaś być wyrozumiałą, jeśli masz poczucie sprawiedliwości.

Hala spojrzała buntowniczo na matkę, dotknęło ją niemile, że udzielanych jej nauk słucha obcy człowiek i zarumiona, nadąsana, spuściła oczy, jedząc machinalnie leguminę.

Wśród chwilowego milczenia odezwał się niespodzianie Liński:

— Pozwoli pani, że zwróci uwagę pani na jeden szczegół w tej samej sprawie.

— Owszem, proszę.

— Wysoko cenię szlachetne pobudki szanownego pana, — spojrzał na Lelickie-

go, — które pozwalają mu usprawiedliwiać ciemnotę i niekulturalność żydów, ale nasi chłopi i proletariat miejski byli i są bardziej zaniedbani przez społeczeństwo, aniżeli żydzi, którzy zawsze posiadali swoje szkoły i wśród nich prawie niema analfabetów, a jednak ani nasz chłop, ani proletaryusz nie dopuszczają się tak wyrafinowanych oszustw, jakie są powszednim chlebem u żydów... no i każdy sprawiedliwy sąd musi winę przypisać żydom i ich charakterowi.

Hala rozjaśniła się i z pewną wdzięcznością spojrzała na Lińskiego.

— Dajcie już pokój z tymi żydami. To jednak wiem, że moją prawą ręką w interesie jest żyd, Reinherc, i bez niego trudno by mi było prowadzić biuro.

— Tatuś, jak każdy szlachcic, musi mieć swego wyjątkowo dobrego żyda, — zaśmiała się Janek.

— I ty będziesz go miał... a jakie są zasiewy?

Wszczęła się rozmowa o stosunkach wiejskich, potem o dziennikach, a pan Lelicki mówił:

— Już to przyznać trzeba, że prasa nasza w stosunku do niemieckiej, a nawet francuskiej, ma czyste ręce i nie jest przekupna.

— Natomiast ma dar narkotyzowania społeczeństwa, — zaśmiał się Liński.

— Jak to pan rozumiesz?

— Dzienniki nasze zajmują się chętnie wielką polityką, a poza tem poruszają tylko kwestye hygiény, wychowania, literatury, sztuki, mody, i tem usypiają publiczność, ażeby nie widziała i nie odczuwała, jak z rąk jej i z pod nóg usuwa się podstawa życia, chleb codzienny, który w swe ręce biorą nam obcy i każą sobie drogo płacić.

— To już przesada tendencyjna, — uśmiechnął się Lelicki, — twórczość nasza rośnie, handel się rozwija, pieniądze są w kraju.

— No tak... ale dla przykładu weźmy zboże, nasze bezsprzecznie, ale cały handel zbożem w rękach żydowskich. Nasze są młyny, ale handel mąką, kaszą, otrębami w ręku żydów. I gdy przed kilku laty podniesiono myśl wyzwolenia się od tej zależności, żydzi podnieśli gwałt, że naruszono prawo odwieczne ich posiadania, — a widząc uśmiech Lelickiego, dodał: — byłoby to śmieszne, gdyby nie było smutne i prawdziwe.

— Pan jest zdecydowany antysemita, — uśmiechnął się gospodarz z politowaniem, — i wszystko złe widzi pan przez szkła sztucznie zabarwione, a więcej w tem winy naszej, aniżeli żydów... Zosiu! — zwrócił się

do żony, — każ nam podać kawę w moim gabinecie.

Dla Lelickiego przekonania Lińskiego były niemiłe i drażniły go, gdyż nietylko przypominały mu list Władka o żydowskim handlu i przemyśle, ale czuł w głębi duszy, że do pewnego stopnia ci młodzi mają słuszność, i to poczucie mąciło jego spokój, równowagę moralną i to głębokie przeswiadczenie, że jego przekonania i prowadzenie interesu, są jedynie rozumne i korzystne dla kraju i społeczeństwa. Młokosy, rozmyślał z goryczą, jeszcze ten Władek, usprawiedliwiał syna, żyje zdąla od kraju, nie zna i nie rozumie warunków, wśród których żyjemy, ale ten Liński, fanatyk i warchoł, buntuje Halę, Janka... i poczuł głuchość niechęć do swego gościa.

Janek, który był praktykantem gospodarczym w jednym z większych majątków w Częstochowskim, opowiadał ojcu, gdy przeszli do gabinetu, różne, zabawne szczegółły z życia wiejskiego, co wprowadziło Lelickiego w dobry humor i w czasie rozmowy spytał Lińskiego:

- A pan również gospodaruje?
- Nie, jakkolwiek lubię gospodarstwo.
- Czemże się pan zajmuje?
- Byłem korespondentem fabryki w Zawierciu, a w ostatnich czasach kasyerem fabryki w Radomsku.

— Hm... to ładnie, dobija się pan stanowiska własną pracą, — powiedział Lelicki z obojętną grzecznością.

— Ale wie tatus, Tadek podziękował za miejsce, — wmieszał się Janek do rozmowy, — chociaż miał dobrą pensję.

— Ile?

— Sto siedmdziesiąt pięć rubli, mieszkańie, opał i światło.

— Zapewne miał pan ważne powody, — rzekł Lelicki.

— A tak. Fabryka jest wprawdzie akcyjna, ale rządzi w niej żydzi. Jako urzędnik fabryczny musiałem tolerować różne nadużycia i pod względem handlowym, i względem personelu, robotników! Nie chciałem być pionkiem i narzędziem w ręku żydów i dlatego podziękowałem za miejsce.

Lelicki nachmurzył się i spojrzał w stronę szuflady biurka, do której schował list Władka. I ten także nie chce być pionkiem i narzędziem, czy oni powaryowali? czy myślą, że są magnatami? Poprostu mierzi ich praca wytrwała, uczciwa i zachęca się im lekkiego i przyjemnego zarobku, użycania życia i miłego towarzystwa.

Odezwał się w nim człowiek, który naprawdę twardą, niestrudzoną pracą zdobył stanowisko, dochody i zabezpieczył przy-

szłość dzieci i żony. Spojrzał na Lińskiego surowo jak na winowajcę i rzekł twarde:

— Jako człowiek starszy i doświadczony, pozwolę sobie powiedzieć prawdę panu. Czy dobrze?

— I owszem, bardzo proszę, — sklonił się z szacunkiem.

— Otóż nikt z rozsądnych nie uzna powodów pana do opuszczenia posady za słusze i usprawiedliwione. Praca w tych, czy w owych warunkach nie hańbi, byle sumiennie pełnić swe obowiązki. Dziś, gdy przed nami zamknięta jest kariera w rządowej służbie, każda posada jest placówką narodową i nie wolno z niej uciekać dla kaprysów.

— Ależ tatusiu! — zawała zgorszony Janek, — czy ja dla posady, czy posada dla mnie?

— Już ty mnie nie ucz, — rzekł chmurny, — dzisiejsza młodzież pojmuję życie, jako miłe przepędzenie czasu i szuka tylko przyjemności... a życie jest pracą obowiązkową i nie wolno od niej się usuwać.

— Ja tak samo pojmuję życie, — odezwał się łagodnie Liński, — ale pracując na życie, chcę być w zgodzie z moim sumieniem i mieć moralne zadowolenie z mej pracy.

Nie tyle te słowa, ile ton ułagodził Lelickiego, ochłonął i pomyślał: poco się u-

noszę? nie znam go prawie, a jest moim gościem, co mi do tego, w jaki sposób on urządzi sobie życie? i rzekł uprzejmie:

— Może wyraziłem się zbyt ostro, daj pan staremu... mówiłem szczerze co myślę... Janku! należę kieliszki i każ dać kawy... pozwoli pan papierosa?

— Dziękuję... staram się odzwyczać.

— E, co tam! I tak mało jest przyjemności w życiu, — zaśmiała się, — pal pan. Co tedy zamierza pan czynić po rzuceniu posady?

— Wie tatuś, Tadek ma bardzo piękne plany i zamiary, jeśli doprowadzi je do skutku, będzie to rzecz bardzo dobra... a może tatuś, taki doświadczony w kupiectwie, poradzi mu w tej sprawie.

— O co idzie? — rozparł się wygodnie w fotelu, puścił kłab dymu i przygotował się do słuchania.

— Pragnąbym założyć centralę dla sklepów wiejskich, w którychby one mogły mieć towar lepszy i tańszy, aniżeli u składników.

Lelicki spojrzał uważniej na swego gościa i rzekł po chwili:

— Jest dosyć tego rodzaju sklepów, w których zaopatrują się sklepiki po osadach i wsiach w potrzebny towar, jeden więcej mógłby istnieć, ale nie wytrzyma pan konkurencji. Są to składnice żydowskie, swej

klienteli nie dadzą panu, zresztą, w takim handlu operuje się kredytem i trzeba wiezieć dokładnie, komu i ile można pokredytować. Mojem zdaniem, ryzyko wielkie, a zysk mały i wątpliwy.

— Ja też nie liczę na klientelę żydowską, — uśmiechnął się, — ani myślę, ażebym dotychczasowi odbiorcy składników żydowskich przenieśli się do mojej składnicy, byłoby to łudzeniem siebie.

— No, jeśli pan nie chcesz współzawodniczyć, w takim razie dla siebie i swych znajomych otworzysz interes, a to zabawka za kosztowna i niepotrzebna, — zaśmiała się, — chyba, że pan masz pieniądze na wyrzucenie.

— O, co to, to nie, a co do współzawodnictwa ze składnikami żydowskimi, wiadzę wielkie trudności, prawie nie do zwalczenia i nie myśl z nimi walczyć. Chcę stworzyć sobie własną klientelę.

— Własną? no, tak... ale jakim sposobem?

— Zamierzam założyć cały szereg sklepów wiejskich, któreby u mnie zaopatrywały się w towar.

— Hm... plan szeroko zakreślony, — uśmiechnął się, — obawiam się tylko, że jest zrobiony jak owe plany wojenne, przy biurku, i w praktyce okaże się niewykonalnym. Pomijając pracę i cały sztab pomo-

cników, trzeba dużo pieniędzy. Ponieważ pan zaufał mi i chce mej rady, nie będzie niedyskrecją, gdy spytam, jakim kapitałem pan rozporządza?

— Mam gotówki dziesięć tysięcy rubli.

— Hm... to nie wiele, jak na taki plan. Zapewne odziedziczył pan, i czy nie byłoby lepiej schować tę sumę na ciężkie czasy, a samemu poszukać posady i zrzec się swego planu. Ojciec zapewne oszczędzał się, gromadził kapitalik, a pan może go stracić lekkomyślnie.

— Planu ani mogę, ani chcę się wyzruc, a co do pieniędzy, to są moje własne.

— No, chyba nie oszczędzone? — zasmiał się, — bo nie miał pan tak dalece z czego.

— To prawda, jednak oszczędziłem pierwsze dwa tysiące, a naczelnik biura fabrycznego, w którym pracowałem, namówił mnie do gry na giełdzie.

— I wygrał pan? — spytał zainteresowany.

— Tak jest. W ciągu niespełna roku, po dwóch operacyach giełdowych miałem zysku ośm tysięcy i... wycofałem się z gry.

— No, a naczelnik biura?

— Ten wygrał był, jak obliczał, około trzech kroć tysięcy... chciał doprowadzić

do pół miliona i zaledwie część swego pierwotnego kapitału uratował.

— Trzykroć powiada pan?

— Tak on mówił.

— I dlaczego przegrał?

— Chciał przetrzymać zniżkę i grał dalej.

— Hm... pan ma szczęście, ale nie trzeba go nadużywać i szczerze radzę panu wyrzec się owej składnicy i sklepów.

— Nie mogę. Widzę jasno, jak wyzyskują żydzi chłopów, jak bogacą się z krzywdą ludności, a jeżeli temu można zapobiedz, dlaczego nie spróbować?

— Idealista z pana, — uśmiechnął się lekceważąco, — i nie rozumiem, jak można się poświęcać dla handlu.

— Ja się też nie poświęcam wcale, z mojej składnicy chcę mieć dochód, chcę zarobić, ale uczciwie, i dam zarobek pewnej liczbie ludzi, a przedewszystkiem usunę żydów.

— To są złudzenia i nic więcej, — westerchnął, w oczach jego zamigotały jakieś odblaski i mówił: — Kiedyś, kiedyś, i ja coś podobnego marzyłem, ale trwało to krótko. Mieszczanin u nas nie rozumie ani swych praw ani obowiązków, a chłop, zwłaszcza przedzej zaufa i uwierzy żydowi, anżeli nam. My nie umiemy trafić do ich duszy...

— Niech tatuś raczej powie, że nie chcemy grać na nizkich instynktach chłopów, czy małomieszczan, na ich chciwości, pijaństwie, na ich głupocie i przesądach, — odezwał się Janek.

— Znów przesada, — rzekł zniechęcony, — i nie rozumiem, dlaczego wy zawsze wracacie do kwestyi żydowskiej, gdy mamy mówić o interesie.

— Ach, tatusiu! — zaśmiał się Janek, — czy tatuś zapomina o nagniotku, gdy boli i dokucza? — a widząc zachmurzonego ojca dodał: — mówmy jednak o interesie. Co tedy tatuś radzi?

— Tak, z miejsca, trudno powiedzieć coś stanowczego... Muszę się zastanowić, namyśleć... Pan na długo przyjechał do Warszawy?

— Przypuszczalnie na stałe.

— Dlaczego pan nie rozpoczyna interesu w innej miejscowości, znanej panu lepiej? W takim Zawierciu, gdzie pana znają i pan zna ludzi.

— Warszawa jest stolicą i jak zawsze, lud w sąsiedztwie stolicy jest bardziej wdroniony do handlu, łatwiej zrozumie korzyści.

— Jest w tem pewna racya, — skinął głową Lelicki.

— Tatuś jednak odnosi się tak zimno do planu Tadka, że aż mnie to dziwi, —

powiedział podrażniony Janek, — przecież tu idzie nietylko o sam handel.

— Mój kochany, daję dowód szcerości, mówiąc prawdę twemu przyjacielowi, a swoją drogą pomyślę o tej sprawie i może zechce pan zajść do mego biura, pogadamy praktycznie o tym interesie.

— Bardzo chętnie, czy tylko nie przeszkodzię panu?

— Przecież sam proszę pana i najdogodniej byłoby tak po godzinie trzeciej, bo mniej ruchu.

— Dziękuję panu i nie omieszkam skorzystać z dobroci pana, — wstał i dodał: — bardzo mi było miło poznać szanownego pana i polecam się jego łaskawej pamięci.

— Tadziu! Już odchodzisz? Sądziłem, że cały wieczór przepędzisz z nami.

— Byłoby mi bardzo przyjemnie, ale na dziewiątą umówiłem się z kuzykiem, a ponieważ to interes, nie mogę się spóźnić... Paniom zechciej, Janku, oświadczyć moje uszanowanie, — pożegnał się i wyszedł.

#### IV.

Reinherc szedł z ulicy Twardej, przy której mieszkał, do biura komisowego przy Alei Jerozolimskiej przez Plac Grzybowski

i pilnie się rozglądał, czy nie zobaczy kogoś ze znajomych.

Spojrzał na zegarek, była dziewiąta, godzina otwarcia biura, nie spieszyl się jednak, wiedział bowiem, że Płachetka przyjdzie punktualnie, zaś Lelicki prawie zawsze przychodził około dziesiątej.

W pobliżu ulicy Bagno, zaułka żydowskiego, pełnego brudu i handlu starzyzną, zabiegł mu drogę żyd z twarzą niespokojną, nerwowo obciążał znoszoną marynarkę z licznymi plamami na klapach i poprawiał brudnawy kołnierzycy, który źle przypięty do ciemnej koszuli pozwalał widzieć nagie, żółtawe ciało. Krótkie spodnie i powykrzywiane kamaszki ze zwisającą gumą, dopełniały ubrania.

— Dzień dobry panu, panie Reinherc, — dotknął zatłuszczonego melonika.

— Dzień dobry, — skinął mu lekko głową.

— Panie Reinherc, ja tu czekałem na pana, ja mam te śmiałości przypomnieć panu moją prośbę.

— No?

— U mnie teraz taka bieda, — mówiąc szybko szwargotem, — ja mam pięcioro dzieci, żonę i matkę chorą, ja nie mam im co dać jeść. Teraz panowie wszyscy wyjechali z miasta, co ja mam robić? Ja na chleb potrzebuję, jabym poleciął na koniec

Warszawy za dziesięć, nawet za pięć kopiejek. Panie Reinherc, czy pan słyszy?

— Ja słyszę, — westchnął, — ale jak ja każdemu faktorowi dam pięć kopiejek, co ja będę miał!

— Czy ja o tem nie wiem? Ja wiem, — mówił szybko, — ale w komisach jest zawsze coś do zarobienia. Czy nie tak? Może jest coś do sprzedania? do kupienia?

— No, Szloma, ja tobie dam zarobek, czy dobrze? — uśmiechnął się przyjaźnie Reinherc.

— Po co te pytania? Ja tylko potrzebuję wiedzieć co? gdzie? jak? Ja wszystko zrobię.... Ja na wszystko gotów. Czy pan nie zna Szlomy? Nu, jaki to interes? — przytrzymał Reihera za marynarkę.

— Czego ty mnie szarpiesz? Ty, Szloma, możesz zarobić, czy ci nie dosyć?

— Ale jak?

— Nam trzeba dwieście korcy owsa z dostawą na kolej za cztery dni. Ty rozumiesz?

— Dlaczego nie? — rozjaśniła mu się twarz. — Ja biegnę zaraz do Symchy, do Buttermilcha, oni zbożem handlują, dlaczego nie mieliby dostawić?

— To nie są pewni kupcy, to nie dla nas, my musimy mieć firmowych. Ty, Szloma, idź do Blumendufta i sputaj go... po-

tem ty idź do Birkenmilcha i jego spytaj.  
Czy już wiesz?

— Co nie mam wiedzieć? — zaśmiał się, — od czego ja Szloma? Oni zaraz przyjdą, przyniosą próbki i pan Reinherc z nimi skończy, czy nie tak?

— Szloma, ja się nie dziwię teraz, że ty taki biedny, a wiesz dlaczego?

— Nu?

— Boś ty głupi, — zaśmiał się. — Ja tobie daję zarobić, a ty pieniądze w błoto rzucasz. Czy tak robi mądry?

— Nu? Co ja zrobiłem głupiego?

— Zaraz. Jak ty masz interes w ręku, to ty nie potrzebujesz im gadać, skąd ty dostałeś, tylko targuj się, weź próbki i ty przyjdź do naszego biura, a jak ja ci powiem, że biorę od Birkenmilcha, ty z nim pogadaj, co on tobie da. Czy ty, Szloma, pojałeś, jaki to interes?

— Aj, aj, — cmoknął kilka razy, — żebym ja miał połowę głowy pana Reinherca, co ja mówię? ćwierć głowy pana Reinherca, ja miałbym dać co jeść moim dzieciom, ja byłbym bogaty. Jak on mi da kopiejkę od korca, to ja będę miał na trzy dni co jeść.

— Szloma, ja muszę tobie znów powiedzieć, żeś ty głupi. Co to jedna kopiejka? — wzruszył ramionami, — ty weź trzy, albo

dwie, ty naszego nie skrzywdzisz, bo to goj zapłaci.

— Ja rozumiem, panie Reinherc, i ja już idę, biegnę, — sklonił się nizko kapeluszem.

Reinherc, spełniony dobry uczynek, wyprostował się, dumniej podniósł głowę i wszedł na Marszałkowską. Zaledwie uszedł kilka kroków, gdy zbliżył się do niego żyd, w marynarce wyściechanej, na łokciach rozepchanej, ukłonił się lekko kapeluszem, poprawił zieloną krawatkę przy zbrukanym kołnierzyku i zawałał z przymilającym się uśmiechem:

— Dzień dobry, panie Reinherc!

— Dzień dobry, panie Aftermilch! — uścisnął lekko podaną rękę.

Obaj szukali siebie, ale nie chcieli się z tem zdradzić i zaczęli rozmawiać o rzeczach obojętnych, idąc w kierunku Jerozolimskich Alei.

— Ładny czas, panie Reinherc.

— Dlaczego miałby być brzydki w lecie? — uśmiechnął się, — a pan za interesem tak rano?

— Jakie rano!? Ja od szóstej na nogach, teraz taki czas paskudny do interesów, jego dobrze nazywają ogórkowy, bo co mi z ogórką, jak niema chleba ani mięsa. Czy nie tak, panie Reinherc? — śmiał się głośno.

— Alboż wiem? U nas, w interesie, do ogórka jest zawsze albo chleb albo mięso. Inni mają taki kłopot, ale nie my i poco on nam?

Aftermilch błysnął oczami i rzekł z uśmiechem:

— Czy my się znamy od dzisiaj, panie Reinherc? My potrzebujemy się znać od dawna. Pan mówił staremu Lejzorowi, że chciałby mnie spotkać. Czy nie było tak? Czy ja nie przyszedł?

— A pan wie, poco ja potrzebowałem widzieć pana? Pan mi winien pięć rubli z interesu tej willi w Młocinie, ja chcę odebrać.

— No, a czy ja wróbel, co odleci zaraz? Ja miejscowości, jak ja winien, ja zapłacę. Czy pan widział kiedy, żeby Aftermilch swego oszukał na kopiejkę?

— No, ale na pięć rubli, to ja widziałem.

— Co to gadać, ja zapłacę przy drugim interesie i będzie zgoda. Co?

Szli jakiś czas w milczeniu, wreszcie Aftermilch, widząc, że biuro jest już niedaleko, powiedział z uśmiechem:

— Panie Reinherc, naco nam jechać z Placu Zamkowego na Nalewki przez Belweder i Bagatelę? Czy nie szkoda czasu? Pan wie, ja potrzebuję zarobić, no, czy jest jakiś interes?

— Może i jest, ale pan mi zapłaci trzećiączęść zarobku, — powiedział zimny i stanowczy głosem.

— Co to jest? Czy ja dobrze słyszę? — zawała zdziwiona, — trzecia część? Czy pan wie, co to jest? Ja muszę nogi schodzić, gebę wygadać, oczy wypatrzeć, a pan siedzi sobie spokojnie w kantorze. Czy to po sprawiedliwości? Czy tak robi swój swemu?

— Albo trzecia część, albo nic z interesu. Czy pan słyszy?

— No, ja, chwała Bogu, nie głuchy, ale ja nie chcę słyszeć takie paskudne słowo z ust szlachetnych. A gdzie moje bieganie? gdzie gadanie? gdzie fatyga? Ja wolę sobie spacerować, aniżeli mieć taki interes. Niech moje wrogi robią zawsze takie interesu.

— No, panie Aftermilch, niech pan sobie spaceruje za okólnym tramwajem, niech pan krzyczy i gada; no, i co pan będzie miał? — zaśmiała się Reinherc.

Zaczęły się targi, pośrednik Aftermilch zgodził się wreszcie na trzeciączęść z dodaniem niedopłaconych pięciu rubli i spytał o interes.

— Pomiędzy Jaktorowem a Grodziskiem jest mały folwark na sprzedaż. Ziemi dziesięć morgów, jedna morga ogrodu owocowego, dom i stajnia. Ona chce sprzedać,

bo trzeba dzieci do szkół posyłać, tylko ona się droży.

— Ile ona chce?

— Ta Jarewiczowa chce piętnaście tysięcy, ale to w gębie, ona weźmie ośm, a Woliński na Pięknej, numer pięćdziesiąt, on tam mieszka, daje sześć tysięcy. Pan zrobi zgodę między nimi. Jej bardzo się chce do Warszawy dla dzieci. Jemu bardzo się chce z Warszawy, bo on słabowity na serce i nerwy, jego męczy hałas Warszawy. Czy pan zrozumiał? — uśmiechnął się porozumiewawczo.

— Co ja nie mam rozumieć? Czy to mój pierwszy interes?... No, panie Reinherc, za tę moją trzecią część, co ja daję, niech mi pan nie przeszkadza w moim interesie. Czy dobrze?

— No?

— Ja umieszczę pieniądze Jarewiczowej na procent. Co to panu szkodzi?

— Ja wiem lepiej, czy mi szkodzi; ona będzie potrzebować przynieść te pieniądze do naszego kantoru, a mnie prosił jeden z Nowolipek, ażebym pamiętał o nim, on ich potrzebuje bardzo do interesu. Czy ja mogę nie pomóż naszemu?

— A czy ja nie potrzebuję żyć? No, a jak ona nie da do kantoru?

— Ja dopilnuję, a jeśli pan zechce coś robić na swoją rękę, ja nie dopuszczę do

interesu żadnego. Ona potrzebuje mieć zaufanie do Lelickiego i ona musi je mieć. Czy pan rozumie?

— Dlaczego nie? No, niech ja będę pośrednikiem z tym z Nowolipek. Czy ja nie zasłużył?

— My pogadamy... idź pan odemnie! — zawała nagle z gniewem, — czego pan chcesz? Ja z faktorami nie chcę gadać, — krzyczała oburzona.

Tylko na krótką chwilę zdziwił się Aftermilch, spojrzał na bok, poznał Lelickiego i zrozumiał w lot interes. Sklonił się nizko Reinhercowi i rzekł pokornie:

— Ja bardzo przepraszam, panie Reinherc, ja myślałem....

— Coś pan myślał, nie moja rzecz... idź pan swoją drogą i nie zaczepiaj!

Teraz dopiero spostrzegł Lelickiego, któremu sklonił się nizko, podbiegł prawie i mówił zdyszanym głosem:

— Ja, panie pryncypale, byłem już przy klamce kantoru, ale przypomniałem sobie interes z owsem, on taki pilny, to ja pobiegłem do kupców.

— Cóż będzie?

— Kupców ja nie zastałem, ale kazałem jednemu żydkowi, ażeby ich przypilnował i dał znać do kantoru. Jemu da się pół rubla i kontent będzie. Czy pan pryncypał gniewa się za moje opóźnienie?

— Skądże? Byłeś pan przecież w interesie kantoru.... Czego pan tak skrzyczał tego faktora?

— No, on mi proponował procent, jeśli dopuści się go do kantorowych interesów. On myślał, że ja, jak pierwszy lepszy żydek, złaknię się na procent... ale jemu odechce się takich propozycji, ja jemu nagałał. Czy pan pryncypał uważał?

Szkoda, że nie słyszą tego nasi domo-rosli antysemici, — pomyślał z uśmiechem Lelicki, — taka Hala, Władek, zrozumieliby teraz, dlaczego ufam Reinhercowi, sam słyszałem, jak go skrzyczał, a ostatecznie propozycja nie była zbrodnią.

Weszli do kantoru, gdzie zastali już kilku interesantów. W chwili, gdy Lelicki w swym gabinecie z jednym z nich konferował, nadszedł listonosz.

Reinherc szybko przerzucił listy, a spostrzegłszy jeden z nich z firmą majątku hrabiny, w sprawie lokaty dziesięciu tysięcy rubli, zręcznie go ukrył, zostawiając resztę korespondencji nietkniętą.

Po chwili wszedł Lelicki do biura, a obaczyszy listy, szybko się zbliżył, przerzucił, odczytał adresy i rozczarowany spytał Reinherca:

— Czy to wszystkie listy?

— Tak jest, panie pryncypale. Czy brakuje jakiego?

— Z Marczynie... Według mego obliczenia, dziś najpóźniej powinna być odpowiedź w sprawie tych dziesięciu tysięcy.

— Co? Ona powinna być, panie pryncypale, dziesięć dni temu, kiedy ja napisałem; co to znaczy, że nie mamy odpowiedzi od pani hrabiny?

— Tak, ale ja sam onegdaj napisałem do Marczynie i dziś spodziewałem się odpowiedzi, — zabierał listy i gazety.

— Panie pryncypale, czy taka pani hrabina zna się na interesie? Czy ona rozumie co to termin?

Około dwunastej przyszła pani Nakielska i spytała uprzejmie, czy pan Lelicki w biurze?

— Pan pryncypał zajęty, — odpowiedział odstręczająco Reinherc.

— Więc zaczekam, — westchnęła i usiadła na kanapce.

Reinherc zagłębił się w pracy biurowej, a po chwili rzekł:

— Pani może długo czekać, bo jak pan pryncypał skończy konferencję, to potrzebuje iść na śniadanie.

— Kiedy mogę przyjść? — spytała zaniepokojona, — mam ważną sprawę.

— Alboż ja wiem? Może jutro, może pojutrze. Co ja mogę wiedzieć?

— Kiedyż mi bardzo zależy na czasie, — powiedziała z naciskiem.

— Czy ja mogę poradzić temu? — wzruszył ramionami.

— A może pan wie, czy już nadeszła odpowiedź z Marczyniec?

— Ja nic nie wiem. Pan pryncypał sam odbiera pocztę. Skąd ja mogę wiedzieć?

Otworzyły się drzwi od gabinetu, a Lelicki, zobaczywszy klientkę, poprosił ją do siebie.

— Panie szanowny, co słychać? Jestem taka niespokojna, — mówiła szybko, usiadłszy na fotelu, — wie pan, ten żyd rozporządza się w mojej kamienicy już jak gospodarz... krzyczy na stróża... łaje służące... odgrąża się.

Lelicki, widząc ją niemal drżąca z oburzenia i niepokoju, powiedział łagodnie:

— Niech się pani nie irytuje... szkoda sił i zdrowia.

— Cóż? Czy jest odpowiedź? Pan spodziewał się dzisiaj.

— Nie otrzymałem i w głowę zachodzę, co się stało. Wiem, że pani hrabinie zależało na szybkiem umieszczeniu tej sumy... i tak zwleka.

— A gdyby spytać jej telegraficznie? Ja chętnie poniosę koszt.

— Nie! Nie wypada... może wyjechała za granicę... może nie zostawiła plenipotencyi. W każdym razie musi być poważ-

niejsza przyczyna tego uporczywego milczenia.

— A może nie dowierza panu i dała zlecenie komu innemu, — szepnęła zmartwiona.

— To niemożliwe... byłaby odwołała dane mi polecenie.

— I cóż ja teraz zrobię? — załamała ręce, — od czasu gdy wzięłam te pieniądze od żyda, nic mi się nie wiedzie... adwokat zwlekał... Towarzystwo odmówiło, no i pan przyrzekał, obiecywał, a w rezultacie nic pan nie zrobił i była tylko zwłoka nowa.

Lelicki nie poczuwał się do winy, w pierwszej chwili chciał ostro jej odpowiedzieć, ale widząc jej twarz zgnębioną, uczuł litość i rzekł uprzejmie:

— Niech pani wierzy moim dobrym chęciom, sam pisałem... może nadajdzie list wieczorem... może jutro. Zaraz dam pani znać.

— Dziękuję panu, — ożywiła się nieco, — pan jednak dobry człowiek.

— Ale ja nic nie obiecuje, — wziął w nim góre ostrożny przemysłowiec, — i niech pani nie ustaje w poszukiwaniu kapitału potrzebnego.

— Czyż go nie szukam? — zawała z wyrzutem w głosie.

— Może zna pani kogoś, kto by chciał

i mógł nabyć tę kamienicę z wolnej ręki... zawsze to korzystniej, aniżeli z licytacji.

— Więc i pan przypuszcza, że on mnie zlicytuje? — zabłysły łzy w jej oczach.

— Hm... wszystko możliwe.

Nastało milczenie, nagle Nakielska zawołała.

— Panie! a gdybym ja sama pojechała do tej pani hrabiny?

— Co znowu? — skrzywił się niechętnie, — z panią nie zechce mówić, będzie podejrywała jakiś szantaż... nie, to niemożliwe i bezcelowe. Co da się zrobić, zrobiłem i zrobię, ale bez takich nadzwyczajności. Pani sobie samej ubliżyłaby, jadąc z prośbą.

— Ach, co tam ja? Idzie mi o dzieci, — łzy polały się z jej oczu, które szybko otarła.

— Da Bóg, wszystko dobrze się skończy, — wstał od biurka, — i skoro otrzymam odpowiedź, zaraz zawiadomię.

— Dziękuję panu, — wyszła znękana.

Biedna kobieta, — westchnął, patrząc za nią. — Otóż to, zostaw kobicie majątek po śmierci, — rozmyślał nie bez goryczy, — miała kamienicę niemal czystą, dochód pewny, przyszłość zabezpieczoną dla niej, dla dzieci i wiazła w długi, nie ubezpieczyła się należycie... no, i może stracić wszystko.

Przez zwykłe skojarzenie myślowe nadsunęły mu się jego domowe stosunki. Dziewczęta mają posag po piętnaście tysięcy; dla żony i siebie odłożył dziesięć tysięcy. Nie wiele to, czterdzieści tysięcy, ale zawsze jest coś. Pieniądze te ulokuje na pierwszym numerze po Towarzystwie, gdy trafi się korzystne kupno wsi dla Janka, on kocha rodzinę i nie skrzywdzi jej, a zięciowie muszą zadowolić się procentem. Zostaje Władek, ale i temu dopomoże, ma przecież kredyt, no i dochody....

Prawda, że z roku na rok kurczą się one... wprawdzie namnożyło się dosyć konkurentów, zwłaszcza tych litwaków, ale oni głównie na Rosyę liczą, więc nie szkodzą tak bardzo jemu, a mimo to interesa nie idą szczególnie.

Trudno, trzeba przetrwać złe czasy, — westchnął i według zwyczaju poszedł na skromne drugie śniadanie do cukierni, w której zjadł dwa jajka na miękko i wypił szklankę herbaty.

W popołudniowych godzinach biurowych zjawił się Liński i wchodząc do kantoru, spytał:

— Zastałem pana Lelickiego?

Reinherc obejrzał gościa uważnie, a wiedząc swobodne ruchy, opaloną cerę i nie dość modne ubranie, przypuszczał, że to jakiś nowy klient z prowincji.

— Pana pryncypała na razie niema, przyjdzie za chwilę.

Liński usiadł, wyjął z kieszeni świeżo kupiony dziennik i czytał. Reinherc drażnił ten spokój klienta i nie zwracanie uwagi na jego osobę. Po chwili rzekł do Lińskiego:

— Jeśli panu się spieszy, to może ja udzielę panu potrzebnej informacyi.

— Mogę zaczekać, — odpowiedział, nie przerywając czytania.

Po dłuższem milczeniu znów przemówił Reinherc:

— Pan pryncypał czasem się opóźnia, czy mogę wiedzieć, jaki interes sprowadza pana do nas?

— Nie! — przeglądał ogłoszenia.

Ta sucha odpowiedź obrazała ambicję Reinherca, przecież o jego protekcję starały się bogaci kupcy żydowscy, a ten goj z prowincji nawet nie spojrzy.

— Proszę pana, — powiedział tonem uszczypliwym, — ja nie żaden woźny, ja prowadzę biuro pana pryncypała.

— Nic mnie to nie obchodzi, — i z uśmiechem na rozbawionej twarzy, składał dziennik.

Reinherc postanowił zemścić się na tym goju i uśmiechnął się do chwili, gdy sprawa tego klienta znajdzie się w jego ręku.

Wszedł Lelicki, a poznawszy Lińskiego, przywitał się dość chłodno, mówiąc:

— Pytał 'mię Janek w listach o pana. Gdzie pan się podziewał? — prowadził go do swego gabinetu.

— Chciałem poznać tutejsze stosunki kupieckie, zbadać teren działania... i przyjść do pana z czemś jasnym i zdecydowanem.

— Proszę, siadaj pan, — sam zajął zwykłe swe miejsce przy biurku, — przypuszczam, że pan się rozmyślił, to, zdaniem mojem, interes niepewny i ryzykowny.

— O ile rozejrzałem się w tym interesie, widzę potrzebę założenia podobnej składnicy i przypuszczam, że jest to niezły interes.

— Hm... no, trudno... ale wie pan, u nas istnieje ruch na polu kooperatywy, zawiązują się syndykaty, towarzystwa, kółka... możeby pan zwrócił się do nich i tam zużytkował swe dobre chęci.

— Myślałem o tem, ale stowarzyszenia, jak każda maszyna złożona, działają ostrożnie, pomału, co zresztą jest zupełnie w porządku. Zaś nam, w Polsce, brakuje inicjatywy prywatnej w kierunku handlowym, rzutkości, trzeba innych zachęcić, namówić... i dlatego zostaję przy mym planie pierwotnym.

— Ha, jeśli pan chce koniecznie, niech

pan próbuje, co do mnie, najszerzej żywczę powodzenia...

Zapalił papierosa, przeszedł się po gabinecie i zaczął:

— Proszę pana, a ma pan jasne pojęcie o tym handlu?

— Teoretycznie tak, a prócz tego wziąłem na wspólnika wykwalifikowanego specjalistę. Jest to mój kuzyn, Jan Kierski, człowiek jeszcze dość młody, energiczny i zapalony do tego planu.

— To dobrze, bardzo dobrze... nie będzie pan na łasce dostawców. A gdzie zamysła pan otworzyć sklep?

— Już wynajęty, przy ulicy Wspólnej, niedaleko Placu Aleksandra.

— Czy nie będzie to z drogi pańskim głównym klientom?

— Chyba nie, a liczę na klientelę sklepową w tych stronach. Zresztą nie miałem wielkiego wyboru i wziąłem sklep, który się nadaje do mego interesu.

— Będziemy tedy w sąsiedztwie, — mówił Lelicki, — bo z Wiejskiej niedaleko na Wspólną... odwiedzę sklep pana.

— Bardzo proszę... Otóż niektóre towary dostanę bezpośrednio u producentów... co do innych prosiłbym o informacje, bo biorąc z drugiej lub dalszej ręki płacie drożej. Pan szanowny prowadząc przez tyle lat biuro komisowe, wie zape-

wne, gdzie są składnice główne i jakie dają warunki.

— No, tego rodzaju komisy na towary miewam rzadko, ale zdarzają się... Zwykle załatwia to mój pomochnik, naturalnie pod moim dozorem. A czego pan potrzebuje?

— Jak do sklepu wiejskiego, — uśmiechnął się, — świec, żelaziwa, herbaty, kawy, cukru, korzeni, powrozów, uprzęży i t. d. Zależy mi na bezpośrednich stosunkach, jeśli nie z producentami, to ze składem głównym. Ośmieniam się liczyć na to, że zamawiając towar powołam się co do opinii o mnie na firmę szanownego pana, w której mogą zasięgnąć referencyj o mnie.

— A dobrze... chętnie nawet... zaś co do adresów wytwórców i składów głównych, poradzimy i na to, — wstał, otworzył drzwi do biura i zwołał: — panie Reinherc, proszę do mnie!

Za chwilę wszedł zwołany i poprawiając podsuwającą się w góre kamizelkę, rzekł z przymilającym się uśmiechem:

— Jestem, panie pryncypale.

— Pan Liński... pan Reinherc, — przedstawił ich.

Liński obojętnie skinął głową. Reinherc wyciągnął prawą rękę, czego nie chciał widzieć Liński, i Reinherc pokrywając zmieszanie śmiechem, cofnął szybko rękę, której dwa palce włożył w kieszonkę kami-

zelki. Lelickiemu nie podobało się zachowanie Lińskiego i chcąc wynagrodzić Reinhercowi to lekceważenie, powiedział bardzo uprzejmie:

— Panie Reinherc, proszę, usiądź pan, chcemy zasięgnąć doświadczonej rady pana.

— To są łaskawe żarciki pana pryncypała, — usiadł na foteliku i wyciągnął nogi, — co ja znaczę, co ja wiem, to wszystko przez pana pryncypała.

— Otóż pan Liński zamierza otworzyć w Warszawie składnicę towarów kolonialnych, galanteryjnych i łożkowych, w zakresie potrzeb sklepików wiejskich. Prosiłbym pana o udzielenie adresów firm, w którychby pan Liński mógł dostać towar z pierwszej ręki.

W czasie tych słów Reinherc przypatrywał się z pod oka badawczo Lińskiemu, nie podobało mu się bardzo zachowanie tegoż w kantorze, bolało go odmówienie podania ręki, a słuchając wyjaśnienia Lelickiego, uśmiechnął się w duchu tryumfującą, bo w handlu już on urządzi tego goja.

— Panie pryncypale, z pierwszej ręki trudno dostać towar. Fabryka, czy też wielki przedsiębiorca, nie może się wdawać w drobny handel, w małe zapotrzebowania... on potrzebuje mieć swego groshendlera. Czy to może się opłacić fabryce sprzedać komuś na rok towaru za trzysta, za pięćset

rubli? Jego kosztowałaby więcej administracja handlowa. Czy nie tak?

— No... tak... zapewne... zatem radzi pan udać się do głównego odbiorcy?

— Co ja mam radzić? Ja mówię fakt. No, i taki groshendler także nie wdaje się w sklepikarski interes. On sobie daje towar swój w komis na kraj, albo na gubernię, albo na miasto i dopiero od tego, co ma komis, może brać sklepikarz, — kończył z miną mądrym, wyjaśniającego uczniom, a słowa o sklepikarstwie podkreślał, patrząc drwiąco na Lińskiego.

— To, co pan nam opowiada, panie Reinherc, — rzekł Lelicki, — są znane rzeczy, a nam idzie o adresy bezpośrednich odbiorców z fabryk, albo też hurtowników towarów kolonialnych i galanteryjnych.

— No, dobrze... kawę ma na składzie Szmutzhand na Nalewkach, herbatę Fingerhut na Nowolipiu, cytryny i pomarańcze Stinkwasser na Dzikiej....

— Niech się pan nie trudzi wyliczaniem, — odezwał się z uśmiechem Liński, — od żydów nie chcę i nie wezmę towaru. Jeśli pan zna firmy polskie lub inne, byle nie żydowskie, zechce mi pan powiedzieć.

— Ja znam polskie sklepy, — zawałał podrażniony Reinherc, — ale one wszystkie potrzebują brać towar w hurtowniach żydowskich. Czy to będzie cynamon, albo

pieprz? aksamit czy zabawka, to wszystko biorą z Nalewek, z Dzikiej, z Muranowa, bo tam tylko są miliony Warszawy, tam całe bogactwo, tam prawdziwy handel.

— Tak... tak, — westchnął Lelicki, — jest w tem pewna racya. Żydzi są panami handlu i bez nich nie można nic zrobić. I to źle, że pan, panie Liński, nie chce zawiązać stosunków z żydami, pan sobie utrudnia założenie sklepu, a może i uniemożliwia.

— Ależ, szanowny panie, w tem co mówi ten pan o żydach, — nie spojrzał Liński w stronę Reinherca, — dużo jest przesady i przechwałki. Żydzi rozmyślnie piętrzą trudności i przeszkadzają porozumieniu się kupców z fabrykami i głównymi odbiorcami czy też hurtowniami. Z tego pośrednictwa żyją i bogacą się, cóż dziwnego, że nie chcą dopuścić do bezpośrednich stosunków? I tak: kawę można mieć z Hamburga, herbatę z Moskwy; perkale i płótna z fabryk nieżydowskich; mąkę, kasze, z naszych młynów; cukier z naszych cukrowni i t. d., i t. d., żydom zdaje się i wmawiają w nas z rozmysłu, że na nich zaczyna się i kończy cały handel, a właściwie dziewięćdziesiątych ogólnu żydów są tylko faktorami i pośrednikami obcej przedsiębiorczości.

Oczy Reinherca błysnęły nienawiścią

i z pasją rozmyślał, jak ten goj śmie się tak wyrażać o wybranym narodzie, o jego handlu, o jego znaczeniu. No, on pozna czem są żydzi w handlu. On nie dostanie towaru i sklep jego zginie, zmarnieje, przepadnie.

Słowa Lińskiego były też niemiłe i Lelickiemu. Pomyślał z niesmakiem, jaki ten kolega Janka jest niedelikatny, źle wychowany, gruboskórnny. Czyż nie rozumie, że obraża uczucia Reinherca! Wprawdzie sam Reinherc lekceważy żydów, nie lubi ich, drwi z nich bardzo często, ale co innego wyrażać się lekceważąc o całym ogóle żydów. Co zresztą winien Reinherc, że urodził się żydem? To uczciwy, zdolny i zacny człowiek. Podrażniony słowami Lińskiego rzekł Lelicki z uśmiechem złośliwym:

— Wobec tego, że pan zna lepiej źródła otrzymania towarów, aniżeli ja i pan Reinherc, rady nasze są zbyteczne.

— No i ja tak myślę, — zaśmiała się Reinherc głośno.

— Wcale nie, — zaprzeczył Liński z żywością, — pan szanowny ma mir i zaufanie wśród ziemiaństwa, zna pan te sfery i księży na wsi, prosiłbym tedy o wskaźówki, gdzie i do kogo mam się udać w sprawie sklepów wiejskich. Idzie mi

nietylko o miejscowości, ale więcej jeszcze o ludzi chętnych, czynnych.

— Hm... to da się zrobić. A w których okolicach zamierza pan rozpocząć swe działanie?

— W pobliżu Warszawy, bliżej kolej, ażeby było łatwiej z ekspedycją towarów, z dojazdem, z kontrolą...

— A dobrze; przejrzę adresy moich klientów, wynotuję, a gdy pan wybierze miejscowości, omówimy sprawę.

Z biura kantoru dochodziły jakieś głosnejsze rozmowy, Lelicki zwrócił się do Reinherca:

— Zobacz pan, kto przyszedł?

Po jego wyjściu Lelicki powiedział tonem na pół żartobliwym:

— Zdaje mi się, że pan za daleko posunął swój antysemityzm... to może się odbić bardzo niekorzystnie na pańskim interesie.

— Mój antysemityzm ograniczam do tego, że omijam żydów, tak, jak każdy z nas omija bagno lub rzeczy cuchnące, a co do mego interesu, tak czy siak, nie użyczą mi żydzi poparcia żadnego, gdyż chcę ich wyprzeć z placówek wiejskich, a wolę otwartych wrogów, aniżeli fałszywych przyjaciół.

— O wszystkich żydach nie może pan tego mówić. Znam wielu z nich, którzy

potępiają wyżysk i szachrajstwa przekupniów, i z czasem wszystko to się zmieni na lepsze.

— Może, ale ja nie wierzę, — i zmieniając temat rozmowy, spytał: — dawniej pan miał wiadomość od Janka?

— Przed kilku dniami; obiecał, że w tych czasach wpadnie do Warszawy na jeden lub dwa dni.

— Bardzobym pragnął go widzieć; jego energia i wiara w przyszłość, działają pozbudzająco na mnie. Naprawdę, wychował pan syna na dzielnego człowieka.

Słowa te mile pogłaskały ambicję ojca i rzekł serdeczniej:

— Tak, w Janku jest materyał na człowieka i cieszy mnie, że pan z taką przyjaźnią mówi o nim.

— Z moich znajomych i przyjaciół, on najgoręcej zachęcał mnie do tego przedsiębiorstwa handlowego i jestem mu szczerze wdzięczny, — wstał z fotela, — a u państwa wszyscy zdrowi?

— Dziękuję, — żegnał odchodzącego, — a może pan zajdzie kiedy do nas?

— Zostawiam sobie tę przyjemność na czas pobytu Janka.

Wychodząc, sklonił się głową Reinhercowi, który ze względu na obecność Lelickiego, oddał mu ukłon rozmyślnie bardzo uprzejmy.

W kantorze na kanapce siedziało dwóch mężczyzn, widocznie czekali na wyjście Lińskiego z gabinetu, bo wstali z miejsca. W jednym z nich poznał Lelicki, znanego sobie z widzenia doktora Grzelskiego, właściciela zakładu leczniczego, zaprosił obu panów do gabinetu i po przedwstępnej rozmowie, rzekł doktor Grzelski, blondyn około trzydziestu pięciu lat, poprawiając binokle:

— Przyszedłem do pana w dwóch sprawach. Pierwsza dotyczy mego zakładu, druga mojej kamienicy. Co do pierwszej, chciałbym poruczyć panu sprowadzenie i umontowanie aparatów inhalacyjnych i elektrycznych.

— Bardzo chętnie będę pośredniczył... na kiedy pan doktor potrzebuje?

— Zastrzegam sobie, ażeby nie objęła tego firma Einfus i Bitner.

— Ona jednak jest najpierwsza u nas.

— Wiem, ale nie wierzę w dokładność i czystość roboty żydowskiej. Niech się pan porozumie z firmami zagranicznymi i cenniki pan mi przedłoży.

— Dobrze, panie doktorze, za kilka dni przyślę panu doktorowi cenniki i kosztorys.

— To jedna sprawa, a teraz druga... Tu obecny, pan Taśnik, mój dobry znajomy, posiada na mojej kamienicy, na drugim numerze, t. j. po Towarzystwie, dwadzieścia

ośm tysięcy rubli, na siedm procent. Obecnie potrzebuje tych pieniędzy na interes i zawiadomił mnie zarazem, że pan posiada do ulokowania pieniądze. Lokata jest pewna, procent płaci kwartalnie. Czy może pan, a raczej mocodawca pański, wejść na miejsce pana Taśnika?

Lelicki zawahał się z odpowiedzią. Wprawdzie obiecał pożyczkę litwakowi Osipowi Lewite, ale właściciel sumy postawił warunek, ażeby kamienica stanęła pod dachem, co nastąpi w tych dniach, jak przyrzekał litwak; znane jest jednak żydowskie „zaraż“, a tymczasem pieniądz leży bez procentu. Możeby lepiej umieścić na kamienicy doktora, dał mu przecież komis, na którym da się zarobić i ze strony doktora i z fabryki...

— Gdyby nie konieczność włożenia pieniędzy w interes, — odezwał się Taśnik cichym głosem, — nie pragnąłbym lepszej i pewniejszej lokaty, jak na kamienicy pana doktora... Oto jest dokładny wykaz hipoteczny, — wyjął papier i podał, — poświadczony urzędownie, może pan przeczyta...

— Dziękuję panu, — wziął w rękę wykaz i przejrzał, — ale zważcie panowie, że są to cudze pieniądze, muszę być podwójnie ostrożny. Zbadam sprawę i za dwa, trzy dni, dam stanowczą odpowiedź.

— Zależy mi na czasie, — przemówił Ta-

śnik, gdyż chcę kupić fabrykę oleju i farb. Interes dobry, nawet bardzo dobry, ale wdowie spieszysz się sprzedać fabrykę po śmierci męża. Żydzi kręcą się, wiedzą, że to dobry interes, a ponieważ znam się na fabrykacji oleju i farb, chcę nabyć. Szkodaby było oddawać taką dobrą fabrykę na fuszerkę żydowską.

— Jak pan widzi, — uśmiechnął się doktor do Lelickiego, — umieszczając pieniądze u mnie, zrobi pan dobry interes materialnie, bo lokata i procenty pewne, no i moralnie, bo fabryka zostanie w polskich rękach... Czekamy tedy odpowiedzi, — podał rękę na pożegnanie, — i naturalnie cenników instalacyjnych.

— Jak tylko otrzymam, odeślę... i pozwoli mi pan, — zwrócił się do Taśnika: — że do jutra zatrzymam wykaz hipoteczny.

— Dobrze... w danym razie przysle pan wraz z odpowiedzią.

Po wyjściu klientów, Lelicki przejrzał wykaz i doszedł do przekonania, że umieszczenie pieniędzy będzie korzystne, lepsze aniżeli u Lewite, którego kamienica nie jest wykończona. W związku z tą sprawą po myślał o instalacyi w zakładzie leczniczym i zwołał swego pomocnika.

Reinherc z kilku dosłyszanych słów domyślił się, że ci panowie przyszli o sumy hipoteczne. Zdjęła go obawa o procent obie-

cany mu przez litwaka Lewite i postanowił wybadać sprawę. Na wezwanie szybko wbiegł do gabinetu ze słowami:

— Pan pryncypał rozkaże?

— Proszę mi przynieść cenniki zagranicznych fabryk dostarczających instalacyji w zakładach leczniczych. Zdaje się, że są u nas?

— Zaraz zobaczę.

W szafie wyszukał cenniki firm żydowskich w Berlinie i Wiedniu, a oddając rzekł:

— Panie pryncypale, najpierwszą firmą jest Einfus i Bitner... poco obcym dawać zarabiać?

— Mówię o nich doktorowi, nie chce, bo to żydzi.

— Czy to nie dziwne, panie pryncypale, ażeby ludzie inteligentni stawali razem z motłochem i krzyczeli: hep! hep! bo to żyd! Czy im tacy żydzi, jak inżynier Einfus, co złego zrobili?

— No, zapewne... ale doktor mówił, że robota tej firmy nie jest dokładna.

Wprawdzie Reinherc nic nie wiedział w tej sprawie, ale broniąc firmy żydowskiej, rzekł z przekąsem:

— Za dobrą robotę trzeba dobrze zapłacić, a jeśli kto tak płaci nieregularnie jak doktor, nie może wymagać coś dokładnego.

— Czyż doktor Grzelski źle płaci? — spytał zaciekawiony Lelicki.

— Ja coś słyszałem o nim takiego, ale to nic pewnego, jeśli pan pryncypał chce, ja mogę się dowiedzieć. Czy panu pryncypałowi zależy na tem?

— Tak jest, — i zaczął przeglądać cenniki.

Rozmowa właściwie była skończona, ale Reinherc postanowił dowiedzieć się szczegółów i rzekł z miną zawstydzoną:

— Panie pryncypale, ja zapomniałem w nawale interesów kantoru, powiedzieć o dzisiejszym mojem spotkaniu, gdy wracałem z obiadu. Czy mogę teraz mówić? Czy nie przeszkapdzam?

— Co takiego? — podniósł oczy z książki.

— Ja spotkałem Lewitego. On mi mówił, że dziś, jutro, dach będzie stał na jego kamienicy... i on liczy na przyrzeczenie pana pryncypała. Ja mu powiedziałem, że tak, i czy dobrze ja zrobiłem?

— Eh, on z tym dachem ciągle obiecuje, i dłużej nie chcę czekać.

— Panie pryncypale, co on temu winien? On ciągle powtarza i żałuje, że nie sprowadził artiel, ale on tego nie chciał, on powiedział sobie: kiedy ja tu buduję, dlaczego nie mają zarobić tutejsi?... Pan pryncypał zna naszych rzemieślników, oni

nigdy na czas nie zrobią; ale jak on teraz mówi, że dach będzie, to już napewno będzie. Panie pryncypale, on jutro tu przyjdzie, co ja jemu powiedzieć?

— Onegdaj przejeżdżałem obok jego budującej się kamienicy... nie było ani jednego robotnika. Jeśli on tak prowadzi budowę, to do jesieni nie skończy.

Ten szczegół znał przypadkowo Reinherc i wiedział, że robotnicy gromadnie opuścili budowlę, gdyż żyd przedsiębiorca nie płacił im regularnie i chciał potrącać za zepsuty materyał.

— Panie pryncypale, czy pan nie zna naszego robotnika? — zaczął szybko, — on za jedną uwagę, za jedno słowo, zaraz strajkuje. On im powiedział, żeby się spieszły, a oni na przekór żydom zastrajkowali. On mi sam to opowiadał. Mnie się zdaje, że jego nie trzeba zrażać do naszej Polski, on ma duże pieniądze, on myśli o fabryce, a to bogactwo kraju. Jak jemu pan pryncypał odmówi z powodu polskiego robotnika, on się zniechęci, i czy to będzie dobrze?

— Coś pan zanadto broni tego Lewite, — spojrzał podejrzliwie.

— Jakto broni? Kogo broni? Co mnie obchodzi taki litwak? On szkodzi tylko tutejszym żydom... ja bronię tylko interesu kantoru. Jeśli on rozgłosi między żydami,

a on potrafi to zrobić, że kantor nie dotrzymał przyczepienia, to nam zepsuje opinię, a pan pryncypał wie, co to znaczy dobra opinia, a co może zła opinia?

— Dobrze już, dobrze... jeśli do dwóch dni nie skończy z tym dachem, niech się pożegna z pożyczką. Mam inną lokatę, pewną, wprawdzie nie na całą sumę... ale może to lepiej, — spojrzał na biurko, a widząc wykaz hipoteczny, zostawiony przez Taśnika, dodał, — daj pan ten wykaz panu Płachetce, niech sprawdzi w hipotece.

Tego tylko trzeba było Reinhercowi, zmuszającemu się do spokoju. Wziął papier i poszedł do kantoru. Pilnie odczytał i wręczył Płachetce z poleceniem sprawdzenia.

Sprawa zaczyna się wikać, rozmyślał Reinherc, może przepaść mój procent, a Lewite straci pożyczkę. Trzeba zawiadomić go dzisiaj jeszcze, spojrzał na zegarek, za dziesięć szósta, no, ma dosyć czasu, ażeby złapać Osipa Lewite.

V.

Z uczuciem człowieka wracającego w rodzinne strony, wchodził Reinherc na ulicę Dziką, na której spędził swe dzieciństwo i młode lata.

Zalatywały go znane mu zapachy ostre, przenikliwe, dzień bowiem lipcowy był gorący i duszny. Mimo posuchy kilkudniowej bruk ulicy był błotnisty w miejscach zacienionych, a wszędzie wilgotny, bo i poco trudzić się chodzeniem do zlewu, gdy można wylać wodę brudną, pomyje i inne płyną na ulicę, a ta wilgoć osadza kurz uliczny i wytwarza chłód orzeźwiający. Różnego rodzaju śmieci barwiły chodnik i ulicę. Były tam różowe łupiny z cebuli, z czosnku, zgniecone marchwi i pietruszki, odpadki kuchenne, pestki, skórki z pomarańcz, łupiny z jaj, ości śledziowe, a wśród nich brudne kawałki papieru, podejrzane bibuły, połamane pudełka tekturowe i odpadki papierosów. Baczny obserwator mógł wyśledzić według warstw i miejsca, co i w jakim porządku jedli mieszkańcy kamienic i w jaki sposób dbali o porządek wewnętrzny swej siedziby.

Na ulicy panował nieustanny gwar, szwargot, narzekania, śmiechy, nawoływanie, a od czasu do czasu wyrywał się głosniejszy krzyk. Małe, gęste sklepiki nie tylko nie mogły pomieścić towaru, który w koszykach, paczkach, pudełkach, zdobił wejście do nich, ale wysiedzieć w nich nie mogli kupcy i kupcowe, stawali też we drzwiach, brudni, zaniedbani i czas wolny

od klientów, spędzały na ożywionej rozmowie z bliższymi sąsiadami.

Ulubionem miejscem do rozmowy w dzielnicy żydowskiej jest chodnik. Tu, w grupach mniejszych lub większych, układa się przedstępne warunki umów, targi, tu złatwiają się spory, omawia się wypadki dnia i nocy, skandale i plotki, a wszystko przy turkocie wozów, piskach dzieci, krzykliwych głosach kobiet....

Reinherc znał tu każdy zaułek, każdy dom, każdy niemal kamień, a gdy się zbliżył do kamienicy, w której niegdyś mieszkał, z rozkoszą przypatrywał się rzeczom i ludziom. Wiedział, że w kramiku przy bramie siedzi piegowata, z kaprawemi oczyma, zawsze zakłopotana Małka, która musi wyżywić pięcioro dzieci i zawsze w talmudzie zatopionego męża. Jej średnia córka, Jenta, jest bardzo ładna dziewczyna, ona go lubiła, a on ją, ale ona chciała ślu- bu, no i rozeszli się.

Zajrzał do kramu i zdziwił się, że nie dojrzał jasnej, brudnej spodnicy Małki, natomiast w głębi zawijała Jenta trochę cukierków czerwonych w drukowany papier.

— Jenta! Dobry dzień, — zaszwargotał, wchodząc do kramu, — a może ty mi sprzedasz także coś, co ja chcę?

— Aj! Jankiel! — zawała uradowana, — jak ty mnie przestraszył, jak mi serce

bije, — przyłożyła ładną, ale brudną rękę do piersi, co ty tu robisz?

— Co mam robić? — śmiała się, — jak ty mnie nie chcesz, to ja przyszedłem chociaż zobaczyć ciebie. Czy mi nie wolno?

— Dlaczego nie wolno? Ciebie to nie kosztuje, to ty sobie patrz.... Ty teraz cały purec, — oglądała go, — czy masz takie dobre dochody?

— A ty myślisz, że ja kradnę? śmiała się, — jak człowiek pracuje, to on ma, tylko takie ładne dziewczęta jak ty nie potrzebują pracować, a wszystko mają, jeśli tylko zechcą. Jenta, czy tak?

— Ty jesteś paskudnik, — śmiała się zaczerwieniona, — ty potrzebujesz tak mówić do tych, co spacerują w szabas w ogrodzie Krasińskich, a może i w Saskim, one ciebie zrozumieją, ale nie ja... a kiedy ty się ożenisz?

— Na co mi żona? Czy ty myślisz, że mnie nie lubią dziewczęta? Aj, aj, jak wy ciągnę rękę, — zrobił odpowiedni ruch, — to na każdym palcu wisi ich pięć! Jest w czem wybierać, ale tych pięć razy pięć porzucę dla ciebie, Jenta. No, co ty na to?

— Co ma być, jak ja ciebie nie widzę, bo ty przychodzisz raz na miesiąc? No, a jak idzie twój interes?

— Dlaczego on nie ma iść? On idzie, od tego mam głowę... a gdzie Małka?

— Gdzie? Mame poszła do szpitala, bo tate chory tam leży. Czy ty nie wiesz?

— Jak mam wiedzieć? A co brakuje twemu tate?

— Jemu wszystko boli i doktorzy kręcą głową. Ja nie wiem, co będzie....

Do kramiku weszła żydówka po cynamon za kopiejkę i po migdały za dwie kopiejki. Za nią przyszedł żyd po pięć groszy.

— Jenta, ja tu znów przyjdę, dowiem się, co z twoim tate, czy dobrze?

— Poco się pytasz? ty tylko przyjdź.

Reinherc spojrzał na zegarek, było pół do ósmej, a o tej porze, jak go zawiadomiono telefonicznie, Lewite bywał w swym sklepie na ulicy Gęsiej.

Przez bramę kamienicy wszedł na obszerne podwórze z oficynami po prawej i lewej stronie, zaś w poprzecznej oficynie, z lewej strony na parterze, mieściła się stajnia, a z prawej sklepik i warsztat szewca, oraz kram i warsztat krawca, jak wskazywała w oknie rycina z podpisem: „Mode de Paris“, na której figurowali panowie w surdutach, frakach, tużurkach.

W podwórzu, prócz zwykłych zapachów żydowskiej dzielnicy, unosiła się gryząca woń odchodów końskich. Do wielkiej, wykopanej bryki zaprzegano trzy konie, chude, smutne, obite, jeden z namulonym

do krwi karkiem, drugi z przetartą skórą od postronka, trzeci z rozbitem kopytem. Furmana żyda zaciekało wejście przyzwoicie ubranego Reinherca i uśmiechając się, zawała wesoło:

— Giten Tug!

Reinherc zainteresowała naładowana bryka i spytał:

— Dokąd jedzie ta bryka?

— Co ona ma jechać? — zaśmiał się, — ją wiozą konie, a konie i ja jedziemy do Radomia. Może macie interes jakiś? Może razem pojedziemy? W bryce jest bardzo wygodne siedzenie.... Nu, co?

— Co ma być? Ja nie mam interesu w Radomiu. A ten towar, to od Lewite?

— Czy tu jeden tylko towar? Jest od Lewite, jest i od innych. A poco te pytanie?

— No, czy nie wolno?

— Wolno wam pytać, a mnie wolno powiedzieć: idźcie wy na złamanie nogi bo dlaczego ja mam tracić czas bez żadnego zarobku? — wziął się do zaprzegania koni, wołając: — ja furman, ja ciężko pracuję, a taki purec, on spaceruje i pyta. Ty pytasz twoje mame, tate, ale nie mnie, — szwargotał dalej i wyzwalał na koniach doznany zawód w zjednaniu pasażera.

Reinherc udał, że nie słyszy słów furmana i z przesadną elegancją, widząc, że

kilka żydówek przygląda mu się badawczo, szedł do lewej oficyny. Nie zważył, gdzie stąpa i omal, że nie przydeptał wygrzewającej się w słońcu kury, która z wrzaskiem i łopotem skrzydeł, zerwała się, rzuciwszy przerażonem okiem na Reinherca. On sam także się trochę przestraszył kury i syknął przez zaciśnięte zęby przekleństwo:

— A szwarce jur!

Wszedł do ciemnawej, wilgotnej izby z półkami pełnemi towaru, a w głębi widać było dalsze izby, zawalone pakami. Przy oknie za stołem siedział blady, szczerąły żydek, który na pytanie, gdzie gospodarz, odpowiedział:

— Gdzie ma być? On jest w cukierni Borucha, na Dzikiej. Znacie?

— Co nie mam znać?

Z podwórza wyjeżdżała bryka, dudniąc po nierównych kamieniach; furman krzycała na konie, okładając je batem; zgraja dzieciaków z wrzaskiem biegła przy bryce; przestraszone kury gdakały, a gęsi w kojcu, wykręcając szyje przez szczeble, gegały melancholijnie.

Reinherc szedł za bryką w pewnym oddaleniu i wywijając laską, rzucał zdobywce spojrzenia na uśmiechnięte żydówki w oknach.

Na Dzikiej spojrzał po szyldach i łatwo dostrzegł znaną cukiernię z napisem: Bro-

nisław Frémler. Zresztą i bez szyldu każdy wiedział, że to cukiernia, gdyż chodnik przed nią był ozdobiony kilku suchotniczymi oleandrami i kilku skrzynkami zwiędniętych bluszczów, które miały reprezentować świeżość pól i lasów.

Godzina była jeszcze wczesna, nie zamknięto bowiem sklepów, więc przy stolikach w cieniu oleandrów mało było osób, natomiast gwar, dobywający się z wewnątrz przez otwarte okno, wskazywał na licznych gości.

Reinherc wszedł do sklepu cukierniczego, gdzie owionął go mdły zapach zepsutego cukru, słodkawy smak cykoryi, przypalonych tłuszczy i skwaśniałego mleka. Za ladą, w brudnym, niegdyś białym fartuchu uwijał się żydek, subjekt, wołając na zabrudzonych chłopaków:

— Mojsie, wisz ab stolik!

— Lejba mach porzondek!

— Zwei Kafe z ciastkiem!

Chłopcy mimo zachęty słownej i czynnej za ladą, poruszali się ospale, włócząc za sobą nogami zgiętymi w kolanach. Przy kasie siedziała chmurna, ze złą twarzą żydówka, która piskliwym głosem krzyczała na chłopaków, a wdzięczyła się do płacących gości.

Reinherc minął sklep i wszedł do obszerniejszego pokoju, napełnionego gościemi

i dymem cygar, fajek i papierosów. Wszystkie stoliki były zajęte, a przy oknie stała grupa żydów, przypatrujących się i głośno objawiających swe zdanie o grze dwóch szachistów. Po chwilowem milczeniu w oczekiwaniu posunięcia, naraz podnosił się wrzask kilkunastu głosów, krytykujących lub pochwalających grę z równoczesnymi ruchami rąk, głowy, brzucha, nóg.

W przyćmionej salce nie mógł Reinherc dostrzec gości głębiej siedzących i stanął na chwilę, wtem posłyszał wołanie przyjacielskie:

— Jankiel!... Jankiel Boruchowicz!... Kim, Jankiel!

Reinherc, przesuwając się pomiędzy stolikami, dotarł do kąta, gdzie przy stoliku z blachy pomalowanej w czerwone i żółte kwiatki siedziało grono poważniejszych kupców, a pomiędzy nimi Osip Mojżeszowicz Lewite.

Reinherc przystąpił bliżej i witając się z Lewite rzekł po rosyjsku:

— Czy wiecie? Ja byłem u was w kantorze?

— Nu, i co? Czy kantor daleko? — zaśmiał się Lewite, — on jest blisko, a jak wy zmęczeni, napijcie się kawy. Czy wy lubicie kawę?

— Dlaczego nie? Ja do was, Osipie

Mojżeszowicz z interesem pilnym. Rozumiecie?

— Co tu do rozumienia? Wy sobie sięądźcie z boku, pijcie kawę, ja zaraz z kupcami skończę i was posłucham, — zwrócił się do swych sąsiadów.

Reinherc usiadł przy małym stoliku, przy którym siedział gość zagłębiony w odczytywaniu żydowskiej gazety; ten przy stuknięciu krzesła łyknął oczyma na Reinherca i czytał dalej.

Po pewnym czasie zwołał Lewite:

— Jankiel! Jankiel!... Moi goście, co mieszkali w Kijowie i w Brześciu, oni chcą was poznać, siadajcie przy nas. Słyszycie?

— Czemu nie? Ja mogę się poznać, — zbliżył się z krzesłem, a Lewite przedstawił:

— Pan Podliszewer Aronowicz Abrum... pan Bialer Jankielewicz Fiszel... a to kantorszczyk Jankiel Boruchowicz Reinherc... nu, a gdzie wasza kawa? O, wy chytry, wy czeckacie ażebym ja kupił? Czy tak?

— A czy może być inaczej? — zaśmiała się Reinherc, wasz interes, wy płacicie; będzie mój, ja zapłacę. Czy to nie jest sprawiedliwie?

Lewite kazał dać małą szklaneczkę czarnej kawy, a Podliszewer patrząc na Reinherca rzekł:

— Jak to zaraz poznać, że wy od ino-rodów uczyli się naszego języka, ja was poznałbym na wiorstę, że wy nie nasz, nie ruski. Czy nie tak, Fiszel? — zwrócił się do sąsiada.

— Co nie ma być prawda? kiedy tak jest. W tym Prywiślu my dopiero nauczy-my ich po rusku. A wy znacie dobrze ich język? — patrzał na Reinherca.

— Dlaczego nie mam znać, kiedy tu chodziłem do szkoły? On jest nam potrzebny tutaj, czy może nie?

— Wam może i potrzebny, bo wy tu-tejsi, ale nie nam z Rosyi, — rzekł Podlisszwer z dumą, — my tu przyjechali po-między inorodów ażeby ich nauczyć, co to jest matiuszka Moskwa, co to jest wielki handel, wielki interes. Fiszel, czy ja mówię nieprawdę, że oni tu w Prywiślańskim kraju mieli tylko kramy i kramiki? Czy oni znali, co to jest wielki kupiec?

— Co oni mieli znać? — zaśmiał się Fiszel, — oni nic nie znali. Nasi tu mieli wszystko w ręku, a jednak bali się ino-rodów, tych Polaków, — uśmiechnął się wzgardliwie, — uczyli się ich paskudnego języka, głaskali ich, kłaniali się im, ustępowali we wszystkiem... nu i co im przy-powali z tego? Jaki interes zrobili? — umilkł i łyżeczką pił kawę chlipiąc głośno.

— Aj! aj! Fiszel! — zachwycał się Le-

wite cmokając, — jak ty mądrze mówisz! Dlaczego dalej nie mówisz?

— Nu, co jest? Ja mogę więcej powie-dzieć, — zaśmiał się. — Nasi tutaj tyle zrobili, że goje z nich się naśmiewali, ich ga-zety także się śmiały, ich teatry także się śmiały... Nu, i my przyszli, my wyzwolili naród nasz wybrany z niewoli, my pokazali jego siłę i znaczenie, a teraz gdzie są Polaki? Nu, gdzie oni są? — śmiał się drwiąco.

— Ja wiem! — zawała uradowany Lewite, — oni się pochowali z głową i rę-ka-mi, oni będą w chlewie, a my w kamie-nicach; oni będą nam służyli i grube ro-boty robili, a my będą im panowali i u-żywali. Oni będą nasze bydło robocze!

— Aj! aj! Tak będzie! — zawał ucie-szeni, nawet żyd zaczytany w gazecie, a siedzący w pobliżu, spojrzał na nich ra-dośnie i dodał:

— Sy git! Tak i będzie!

Reinherca rozpierała duma, bo przecież i on będzie uczestnikiem władzy i potęgi Izraela; jemu będzie się kłaniał Lelicki i czekał jego rozkazów, a tego Płachetkę wy-pędzi, niech ginie z głodu, a tego Lińskiego niech stoczą robaki, niech on zgnije, on nie chce żydów, nu, on pozna, co znaczą żydzi!

Rozmyślając tak o słodkiej zemście,

przypomniał sobie sprawę hipotecznej pożyczki i zawahał się, czy nie zaszkodzi to kredytowi Lewite, gdy z nim zacznie mówić o tem.

Wtem zbliżył się gruby żyd, z wielką, obrosłą twarzą, z głośnym śmiechem uderzył lekko ramię Osipa Lewite i zawałał wesoło w żargonie:

— Ozyasz! Ja ciebie widzę?

— Nu, czego ty się dziwisz Szaja?

— Ja się nie dziwię, ale ja ciebie pytam, gdzie ta kamienica twoja za pieniądze inorodców?

— Co niema być? Ona już stoi, a ty, Szaja, spytań Jankla, — palcem grubym z czarnymi paznogciami dotknął Reinherca, — czy nie leżą przygotowane dla mnie czterdzieści tysięcy rubli goja?

— Co jest? Czy to prawda? — zawała Szaja.

— Dlaczego nie ma być? — uśmiechnął się Reinherc, — Ozyasz Lewite zawsze prawdę mówi i pieniądze leżą.

— Ale czy będą jego?

— Skąd ja mam wiedzieć, czy on zechce? Ja właśnie przyszedłem w tej sprawie i chcę się dowiedzieć, co będzie?

Twarzysze Ozyasza Lewite, Abrum i Fiszel wszczęli szybką rozmowę na ten temat, dopytując się, dlaczego nie podniósł pożyczki do tej pory?

— Ten Lelicki, akum, — co w języku żydowskim oznacza poganina, czciciela gwiazd, — chce dachu na kamienicy, nu, dach będzie, bo i jaka to kamienica bez dachu? to człowiek bez włosów i czapki na głowie, — śmiał się ze swego konceptu, a inni wtórowali, — a wy, Jankiel, jak myślicie? — trącił ręką Reinherca.

— Co ja myślę? — westchnął, — ja wiem, że dach będzie, ale ten goj Lelicki postawił termin i on powiada, jeśli dachu nie będzie za dwa dni, nie da pożyczki. Ja do was Ozyaszu przyszedłem z pytaniem: co będzie?

Lewite poczerwieniał z gniewu, uderzył ręką w stół i zawałał:

— Co jemu do mego dachu? Co to jest, ażeby taki prosty goj, taki świniarz, naznaczał mi termin? Czy on wie, kto ja jestem? Ja jego z całą budą przewróczę, on nie będzie miał co jeść, on będzie za parobka u mnie! Jankiel, jak można było pozwolić mu na takie słowo i do mnie przynosić?

— Co ja miałem robić? — powiedział głosem zmartwionym, — ja jemu mówiłem, że to źle będzie, że to zepsuje opinię, ale on takie bydle uparte, nie chciał zrozumieć tego. Czy to moja wina?

Podliszewer patrzał spokojnemi oczyma w twarz Lewite i rzekł zwolna:

— Ozyasz, czy ty wiesz, co rabi mówi?

On powiada: mądry znosi krzywdę spokojnie, on myśli jakby ją usunąć. Co ci krzyk pomoże?

— Czy ja nie mam krzyczeć? — oburzył się Lewite, — gdy ja widzę, że moje zabiegi, moja praca, moje myślenie idzie na przepadłe? I to przez kogo? Czy ty, Abrum, to sobie pomyślałeś?

— Co ja mam myśleć? Czy to mój interes? — wzruszył ramionami, — ty się wpierw rozpytaj, jak to było, a dopiero szukaj sposobu na złe.

— Czy ty wiesz Abrum, że ty dobrze radzisz, — rzekł uspokojony Ozyasz.

— Co ja nie mam wiedzieć? Ja już taki. Nu, Jankiel, wy mówcie, a ty, Ozyasz, chcesz posłuchać?

— Jak ty możesz pytać? Ja cały, to jedno ucho teraz.

Jankiel Reinherc poczuł zadowolenie, że tacy kupcy będą zważali na jego słowa i odchrząknąwszy zaczął:

— Do naszego kantoru przyszedł dzisiaj...

— Jankiel! — przerwał mu Abrum Podliszewer, — jaki to kantor? Gdzie on jest?

— Abrum! — powiedział z grymasem niechęci Lewite, — poco ty przeszkadzasz? ale ja tobie chcę powiedzieć: to jest kantor

głupiego goja Lelickiego przy Alei Jerozolimskiej. Czy wiesz?

Abrum skinał głową i do Jankla Reinherca:

— Dlaczego ty nie mówisz?

— A dlaczego wy przerywacie? Ja teraz powiem... Do naszego kantoru przyszedł dzisiaj...

— Czy my to już nie słyszeli? — uśmiechnął się Fiszels.

— Cicho! — położył palec na ustach Ozyasz.

— ...dzisiaj po południu jeden doktor Grzelski. On chce na drugi numer swojej hipoteki dwadzieścia ósm tysięcy rubli.

— A doktorowi poco tyle pieniędzy? — zdziwił się Fiszels.

— Naco? Ja zaraz powiem. U niego ma te pieniędze jakiś Taśnik...

— Kto jest on? — spytał Abrum.

— Skąd ja mogę wiedzieć?

— Wy nie wiecie? ale ja wiem, — wmszał się do rozmowy żyd, który dotychczas czytał gazetę, — ja później powiem. Nu, dlaczego nie mówicie?

To wzmieszanie się obcego, nikogo nie zdziwiło, bo czyż synowie Izraela nie tworzą jednej rodziny? I naco się przedstawiąć, kiedy każdy wie, że to swój.

— Ten doktor daje siedm procent, a Lelicki powiada, że on długo czeka, że pie-

niądz próżnuje, on chce procentu. On mnie poprosił i mówił, że jak do dwóch dni nie będzie dachu, on zrywa umowę.

— Co on sobie myśli? — zawała Lewite, — jak ja mówię, że dach będzie, to dlaczego on nie ma być?

— Sza, Ozyasz! — upomniał Podliszewer, czy ty sam postawisz dach? Na kamienicy chłopy, proste muzyki stawiają dach, oni mogą nie zrobić i co będzie? Tu trzeba mieć delikatny rozum.... Jankiel, a kto jest ten doktor?

— Czy ja go znam? — wzruszył ramionami.

— Nu, my się dowiemy... trzeba poszukać....

— Nie potrzeba daleko szukać, — odezwała się żyd sasiad, odkładając gazetę, — a wy chcecie wiedzieć?

— Czy nie słyszeliście? A gdzie ten, co wie?

— Tu był przed chwilą Lejzor. On pracuje pomiędzy doktorami. On zna i tego. Czy mam poszukać?

— Dlaczego nie?

Żyd podniósł się i zawała na cały głos:

— Lejzor! Lejzor!

Ci i owi odwrócili głowy w stronę wołającego, a ktoś spytał:

— Który Lejzor?

— Lejzor Reich.

Naraz ze wszystkich stron odezwały się głośne nawoływanie, nawet na chodniku:

— Lejzor!... Lejzor!

We drzwiach ze sklepu do pokoju stanął żyd siwawy, lekko pochylony i śmiejąc się, zawała:

— Czego tak krzyczycie? Ja tu stoje a oni krzyczą. Nu, czego?

— Lejzor! Ty, chodź tutaj! Czy ty słyszysz? — zawała sąsiad Lewitego.

Lejzor przesunął się do kąta i spytał:

— Nu, czego chcecie?

— Czy ty znasz doktora Grzelskiego? — spytał żyd sąsiad.

— Może znam, a może nie znam; a komu on potrzebny?

— Nam, — rzekł Lewite.

— A jaki to interes do niego?

— Jaki? To nie do niego, ale do jego kamienicy, czy zrozumiałeś?

— A co ja na tem zarobię?

— Co? Ja tobie kupię kawę? Czy dobrze?

— Ja nie wiem, ja zobaczę, co to jest warte, — usiadł na krześle. — Nu, co takiego?

— Nu, ty posłuchaj, — objął Podliszewer, bębniąc palcami po stole, — ten doktor Grzelski przeszkadzi jednemu z naszych do interesu. My potrzebujemy wiedzieć, co to za jeden i co on wart?

— Co za jeden, — uśmiechnął się, — tyle wiecie, co i ja. On młody doktor, ma niezłą praktykę i on liczy na swój zakład zdrowia, że zrobi majątek. On sobie niczego, ma dla biednych godzinę, a resztę dla płatnych. Czy wam dosyć?

Podliszewer i inni spojrzeli na siebie rozczerowani taką wiadomością, a Lewite, zwracając się do sąsiada, który zwołał Lejzora, rzekł z wyrzutem:

— Nu, co to jest?

Zagadnięty wstał, położył rękę na ramienniu Lejzora i przemówił:

— Ty, Lejzor, nie żartuj. Naco tobie żartować? Czy chcesz powiedzieć prawdę?

— Jak mam mówić, kiedy nie znam interesu. Jak ja będę wiedział, o co idzie, ja będę wiedział, co gadać. Czy ty tego nie rozumiesz?

— On ma „recht“ — skinął głową Podliszewer. — Lejzor, ty powiedz nam, jak stoją interesu tego Grzelskiego?

Wezwany, wyjął z kieszeni stary, zużyty notatnik, ślinił palce i odwracał kartki, przypatrując się pilnie zapisanym stronicom. Wreszcie natrafił na właściwe miejsce i zaczął:

— Chcecie wiedzieć, jaki on? Nu, on teraz jest u nas czysty. On winien jednak w banku trzy tysiące rubli, ale on płaci i nie ma kłopotu. Czy wam dosyć?

— Nie! Nam idzie o jego kamienicę, czy ona w porządku? — spytał Lewite.

— Dlaczego nie ma być w porządku? — zaśmiała się, — on trzyma stróża.

— Ty Lejzor, nie żartuj, ty mój przyjaciel, to ja tobie mówię, że tu idzie o interes, — upomniał żyd, który go zwołał, — o ważny interes.

— A jaki on?

— Ja powiem, — odezwała się Reinherc, — idzie o to, że Grzelski potrzebuje spłacić dług hipoteczny, dwadzieścia ósm tysięcy rubli. Jak on dostanie te pieniądze, to nasz ich nie może już dostać, a przecież zawsze lepiej, ażeby nasz dostał, a nie goj. Czy Lejzor pojął teraz?

— Czemu nie? Ja już wiem. Ta kamienica, ona jest dużo warta dla doktora, bo ona ma lecznicę, ale dla innych, to ona ma kłopot i wydatki na przeróbki różne... Ta kamienica z wierzchu czysta, ale ona ma „feler“. Tam jest proces. Siostra tego doktora poszła za mąż, a szwagier procesuje o posag, który doktor włożył w lecznicę. Proces nie jest straszny, ale dla tego, co pożyczca na nią, może być strachem. Czy rozumiecie? — spojrzał po słuchaczach porozumiewawczo.

— Git! — zaśmiała się Reinherc, — ja wiem już wszystko.

— Czy to już wszystko? Ja nie wiem, —

przemówił przyjaciel Lejzora, — mnie się zdaje, że to dopiero jeden kawałek.

— Co jest?... Jak?... — zawałano.

— Zaraz... te dwadzieścia ośm tysięcy na kamienicy doktora, należą do Taśnika. On chce gotówki; a wiecie, naco on chce gotówki?

— Nu?

— On chce kupić fabrykę oleju i farb, to jest niezły interes. Ta fabryka należy do wdowy, nu, i ona, jak każda wdowa, chce się jak najprędzej pozbyć majątku i kłopotów męża, ona chce sprzedać. Tam są już nasi, oni chcą kupić, nu, i przyszedł Taśnik; ten goj psuje naszym interes. On nie powinien dostać pieniędzy, bo on naszym zaszkodzi, rozumiecie?

Wszyscy słuchacze mieli miny oburzone i posypały się wyzwiska:

— A goj!... a ganef!... rozbójnik!...

— Jankiel! — upominał poważnie Reinherca Podliszewer, — to już nie jest prywatny interes, to nasz interes! I ten Taśnik nie może dostać pieniędzy. Czy ty to zrobisz?

— Ja chcę zrobić i pewno zrobię.

— Co, chcieć? — zadrwił Fiszel, — to mało, to nic! Potrzebujesz sobie powiedzieć: to musi być zrobione, i ono się zrobi.

W tej chwili wszedł do pokoju rewiowy ze swym znajomym. Za nimi biegł

gospodarz cukierni, wołając po rosyjsku:

— Panie naczelniku! Niech pan tu siedzi, będzie bardzo wygodnie, — odsunął, niemal odepchnął od stolika trzech gości, którzy bez protestu natychmiast ustąpili, rozumiejąc, że przecież tego wymaga interes gospodarza.

— Co pan naczelnik każe podać?

Rewiowy w czapce usiadł ciężko na krześle, odetchnął z ulgą i spytał towarzysza:

— Aleksandrze Michajłowiczu, a czego się napijemy?... Może wam kawy? czasu? — zaśmiał się.

— Iii, co tam z ich kawą żydowską!... Czarne pomyje i tyle. Dajcie nam oczyszczonej, no! butelkę!

— Zapieczętowaną, — uzupełniął naczelnik, — bo wy, żydzi, wszystko fałszujecie.

— Zaraz, panie naczelniku, a może coś na przekąskę? — i do chłopca, stojącego w pobliżu: — Mojsie! Butelka wina russkiego! Za szkłem, w szafie! Geszwind!... Panie naczelniku może śledzia, mam doskonałe, moja żona sama marynowała.

— Śledź! — rzekł rewiowy, — zawsze na śledzia, dobry przed wieczerzą.

— Słuchaj, gospodarzu, — rzekł towarzysz rewiowego, — a u ciebie jest ogórek?

— Co nie ma być? Doskonały, kwaszony, wyborny!

— Dawaj ogórkę, — zdecydował naczelnik.

Goście obecni w pokoju, przed wejściem naczelnika, rozmawiali tylko żargonem, obecnie, przy władzy, mówili tylko rosyjskim językiem.

Rewiowy, po wypiciu dwóch kieliszków i zjedzeniu kilku plasterków ogórka, wyjął z kieszeni papierośnicę, lecz zanim otworzył ją, już usłużny gospodarz podbiegł z papierosami i podał:

— Panie naczelniku, pan mój gość, a u mnie wolno palić tylko moje papierosy, — uśmiechnął się służalco.

— Co u ciebie wolno, a co nie wolno, to ja wiem, — rzekł z godnością rewiowy, i oglądając papierosa, dodał: — pewno liche....

— Sam najpierwszy sort, niech pan naczelnik spróbuje, — podawał ogień.

— Nus, zobaczymy, — zapalił papierosa, — tak i niezłe.... A u ciebie grają w karty? — spojrzał po stolikach w pokoju.

— Co pan naczelnik mówi? Jak to może być? Jabym takiego wyrzucił na pysk przez okno! U mnie, niech Bóg bronii, karty! Żadne karty!...

— Idź już, my pogadamy o tem później, — nalewał kieliszki, i trącając się z towarzyszem: — wasze zdrowie.

Wypili, a gość rewiowego, ocierając usta ręką, rzekł z uśmiechem:

— Nus, Piotrze Iwanowiczu, w waszym uczątku spokojnie i posłusznie. Człowiekowi aż miło, że gdzie stąpi z wami, wszędzie nasz język.

Rewiowy zrobił wzgardliwą minę i powiedział lekceważąco:

— Ta publiczność żydowska może tylko obrzydzić język russkiemu człowiekowi, tak charkoce, przekręca.

— Ale zawsze mówią, — uzupełnił gość.

— Ot, prawdę wam powiem, mówią po naszemu, bo za nami siła, a nie daj Boże, żeby jej zabrakło, anibyś słowa posłyszał po naszemu, taki to już naród.

— Nu, wiadomo, żydowski!

Lewite, poleciwszy jeszcze raz sprawę swoją Reinhercowi, zabierał się do wyjścia, ażeby znaleźć przedsiębiorcę budowy swej kamienicy i przynaglić go do pospiechu.

Za nim wyszli inni, a Podliszewera droga wypadła razem z Reinhercem. Rozmawiali o różnych sprawach, trochę o interesach, trochę o ludziach, i w tej pogawędce spytał Podliszewer:

— Czy kantor tego goja, to dobry interes?

— Dlaczego ma być zły, kiedy on istnieje już dwadzieścia lat?

— Ile on daje rocznie?

— Jak ja mogę wiedzieć? To zależy od interesów. Jest ich dosyć, to jest dosyć dochodu. Czy to można obliczyć?

— Nu, zawsze można, a wy tam dawno?

— Już trzeci rok, i myślicie, że ja tego żałuję? — zaśmiała się.

— Ja to wiem, przy kantorze zawsze można prowadzić i swój interes... a nasi zarabiają?

— Ja robię, co mogę, i nasi nie mają żadnej krzywdy. Czy ja obcy? Czy ja nie swój?

— A kto mówi inaczej? Ja to wiem, ja widziałem to dzisiaj... a jakie interesa głównie są w kantorze?

— Czego niema? spytajcie, — zaśmiała się; — są majątki, domy, folwarki, zboże, cegły, różne towary, sumy na hipoteki.... Lelicki chwalił się, że miał dawniej po piętnaście, po dwadzieścia tysięcy dochodu. Czy to jest źle na kantor?

— Co ma być źle? — mówił zamyślony Podliszewer, — nu, on musi mieć zaufanie u ludzi, znajomości... i dużo?

— Co nie ma mieć? Jemu wierzą.

— A dlaczego on ma teraz mniejsze dochody?

— Ja nie wiem, — uśmiechnął się Reinherc, — może dla tego, że naszych tylu przyjechało z Rosji. Czy ja wiem?

Zbliżyli się do rozstajnego miejsca, a

Podliszewer, podając rękę Reinhercowi, rzekł tonem przyjacielskim:

— Jankiel Reinherc, ja tobie mówię do widzenia!... Ja potrzebuję się namyśleć, ja się obrachuję... a może my zrobimy jeden interes.

— Dlaczego nie? Jak on będzie dobry, to my go zrobimy.

## VI.

Kamienica, w której Liński wynajął sklep przy ulicy Wspólnej, była własnością emeryta z kolei terespolskiej, Bałuta, człowieka oszczędnego, dbającego o każdy grosz.

Sklep niewynajęty stał już drugi miesiąc, ku wielkiemu zmartwieniu właściciela. Nie można powiedzieć, ażeby nie było chętnych do wynajęcia. Pierwszy zgłosił się Liberman, kupiec towarów modnych i łokciowych z Muranowa, i dawał za sklep frontowy, z oknem wystawowym, z izbą za sklepem jako magazynem, z komórką obszerną w podwórzu i piwnicą pod sklepem, tysiąc rubli rocznie, gdy dotyczyły te ubikacje przynosiły tysiąc sto, a gospodarz ze wzgledu na ciężkie czasy, podniósł jeszcze o sto.

Trafiali się i inni kupcy żydzi, galanteryjni, krawieccy, zegarmistrze, blaszanych

kuchennych i innych naczyń, ale żaden z nich nie dawał nawet tysiąca rubli.

Liberman zjawiał się od czasu do czasu u gospodarza i kusił go ceną tysiąca rubli, zmówili się bowiem żydzi kupcy, ażeby nie dawać więcej za ten sklep. Już, już skłaniał się do ustępstwa gospodarz, jednak w ostatniej chwili zawziętość postawienia na swej cenie, brała góre i odmawiał. Liberman kłaniał się nizko i mówił łagodnie:

— Ja mogę zaczekać, aż pan dobrodziej będzie potrzebował lokatora. Poco taki sklep ma być pusty? Ja tu znów przyjdę, — głaskał nierówną brodę.

— Przychodź pan, albo nie przychodź, ja inaczej sklepu nie oddam.

— Kłanię się pokornie, a jeśli pan dobrodziej będzie potrzebował się rozmyśleć... to tu mój adres, — położył na stoliku drukowaną kartkę.

Liberman po takiej wizycie u gospodarza zachodził do sklepu korzennego Eibenszycy w sąsiedniej kamienicy i słyszał pytanie:

— Nu, co nowego?

— Co ma być? to uparty goj. Wiesz co, Eibenszyc, ja mu dodam pięćdziesiąt, a może i sto.

— Czy ty zwaryowałeś, Liberman? — oburzył się kupiec, — ty nam wszystkim popsujesz interes. Jak on dostanie tysiąc

sto rubli, nam wszystkim czynsz podwyższą kamieniczniki. Ty swoim zaszkodzisz i narobisz sobie wrogów.

— A jeśli kto inny weźmie ten sklep?

— Co ma wziąć? Kto ma wziąć? My już pilnujemy wszyscy i my jemu posyłamy dużo lokatorów, ale każdy daje mniej od ciebie, — zaśmiał się, — ty potrzebujesz być spokojny. Czy my wszyscy z całej ulicy nie pilnujemy?

Uspokojony Liberman szedł na Muranów, on wiedział, że na solidarność swoich liczyć można, bo gdyby nawet przypadkiem, jakiś nieznany kupiec wziął sklep, to musiałby się zrzec, jeśli nie dobrowolnie, to z rozkazu rabina.

I Eibenszyc, kupiec korzenny, naprawdę pilnował interesu Libermana, aż jednej soboty, kiedy każdy porządnego kupiec oddaje się modlitwie i życiu rodzinнемu, przyszedł Liński ze swym kuzykiem Mierskim, obejrzeli sklep, magazyn, komórkę i poszli wprost do gospodarza, który dowiedział się, o co idzie, zwołał z naciskiem:

— Ani grosza mniej, ani więcej, tylko tysiąc dwieście rocznie i czynsz kwartalny z góry.

O wysokości najmu już wiedzieli od stróża i w zasadzie zgadzali się na tę cenę.

— Przypuściwszy, że damy tę kwotę... — zaczął Liński.

— Tu niema co przypuszczać, dajecie panowie, czy nie? To pierwsze.

— Dajemy.

— A teraz możemy pogadać, — mówił spokojniej, — jaki to będzie sklep?

— Składnica dla sklepów prowincjalnych, no i sklep frontowy na drobną rozprzedaż, kolonialno-galanteryjny.

— Hm... zależy mi na powodzeniu panów, bo ono zabezpiecza regularne płacenie czynszu... ostrzegam tedy, że obok mamy konkurenta, Eibenszyca.

— A gdzie niema konkurentów! — zasmiał się Liński.

— Pan dobrze wie, — zaczął Mierski, — że urządzenie sklepowe będzie nas drogo kosztowało, następnie firma na jednym miejscu zyskuje stałą klientelę, nie możemy tedy wynajmować sklepu na rok jeden, ale na czas dłuższy, co najmniej na pięć lat.

— Ależ i owszem, nic nie mam przeciw temu.

— Bardzo to pięknie, ale my ludzie śmiertelni... albo też trafi się kupiec na kamienicę i nasza umowa nie ma wartości, więc chcielibyśmy zrobić kontrakt reentalny, z wpisem do hipoteki.

— Może i to być, chociaż nie widzę żadnej, dobrej racyi, ale chciecie panowie, niech i tak będzie, — godził się tem łatwiej,

że lokal już drugi miesiąc stał pustką, pod tym warunkiem, że to na wasz koszt.

Lińskiemu wydało się to żądanie reentalnego kontraktu trochę dziwnem, ale ustąpił, przypuszczając, że Mierski ma ważne powody, a chcąc raz zakończyć z wynajęciem, zaproponował, ażeby dzisiaj jeszcze poszli razem do rejenta, co też uczyniono i Liński złożył po podpisaniu ratę czyszczącą.

Gdy znaleźli się na osobności, spytał Liński kuzyna z wyrzutem:

— Czy potrzebny był ten wydatek? Gospodarz zdaje się uczciwy i byłby umowy dotrzymał bez rejenta.

— Może... ale widzisz, jeśli pod bokiem mamy żyda konkurenta, możesz być pewny, że użyje on wszelkich sposobów, ażeby nas wysadzić z tego miejsca, a kontrakt reentalny nas zabezpiecza.

— Hm... może i racya twoja, z żydami nigdy nie można być pewnym. A kiedy zaczynamy urządzać sklep?

— Od poniedziałku. Mam już upatrzone lady i szafy... zdaje się, że będą w sam raz. Może pójdziemy razem do stolarza, im przedzej, tem lepiej.

Tego samego dnia stolarz wziął miarę sklepowych ścian i obiecał wstawić lady w poniedziałek rano.

I tak się jakoś złożyło, że kupcy i liczni

sklepikarze żydzi nic nie wiedzieli o wynajęciu sklepu; aż dopiero w chwili, gdy wóz z ładami zajechał przed kamienicę Bałuta, błyskawicznie rozeszła się wieś, że sklep wynajęty.

Wrażenie było nadzwyczajne. Żydzi, żydówki, żydzietka, wybiegli na chodnik przed swymi sklepami i kramami. Rozległy się nawoływanie przerażone, okrzyki zdziwieńia, gniewu i oburzenia.

Sam kupiec Eibenszyc, człowiek stateczny, grzeczny i uprzejmy dla swoich klientów, chlubiący się swą delikatnością, pobiegł do furmana bez czapki i spytał zdyszany:

— Co to jest? Co to znaczy? Czego stoicie tu z tą starą ławką? — wskazał na dwie lady.

— A wam co? To od stolarza, pana Zajchowskiego, do sklepu.

— Do jakiego sklepu? Tu niema żadnego sklepu. To musi być na Żórawiej, na Nowogrodzkiej, na Wilczej, ale nie tu.

— Ja nie wiem, tam poszedł już maja-

ster.

W tej chwili otworzyły się drzwi frontowe sklepu, stanął w nich krępy szatyn, w ciemnej marynarce i zawałał do furmana:

— Cofnijcie konie, zaraz przyjdzie stróż i pomoże wam znieść.

Do niego drobnym, nierównym krokiem, poszedł Eibenszyc i rzekł:

— Ja bardzo przepraszam pana... ale na co te lady?

— Do sklepu.

— Do jakiego?

— A do tego tutaj.

— Czy on już wynajęty?

— Widocznie, — uśmiechnął się, — skoro wstawiam lady i szafy.

— Przepraszam pana bardzo, a kto potrzebował wynająć?

— Nie pamiętam nazwiska.

— Czy on z naszych?

— Nie! On katolik.

Eibenszyc odetchnął z ulgą, goj nie wytrzyma tu długo, on taki głupi przecież, że nie spytał sąsiednich kupców, jakie tu są targi, jaki towar potrzebny. I raczej z przyzwyczajenia, aniżeli z potrzeby, spytał:

— Ja jeszcze raz przepraszam bardzo, ale jaki to ma być sklep?

— Podobno kolonialny, — odpowiedział mimochodem, pilnując złożenia ład w sklepie.

Eibenszyc cofnął się, czuł, że mu serce mocno zabiło i zawałał:

— To nie może być! Pan potrzebujesz się omylić. To nie jest tak. Tu może być sklep galanteryjny, bławatny, z pościelą, z meblami, ale nie kolonialny. Czy nie tak?

— Nie przeszkadzaj mi pan! — zwołał zniecierpliwiony, — mam robotę.... Tam idzie sam kupiec, pytaj go pan.

Od Placu Aleksandra szedł Liński spieszonym krokiem. Eibenszyc cofnął się ze sklepu na chodnik i bardzo pilnie przypatrywał się rywalowi, a widząc twarz młodą, szczerą, wesołą, uspokoił się, taki rywal nie jest niebezpieczny. Przeczekał chwilę i zbliżył się.

— Dzień dobry panu.

— Dzień dobry, a czego?

— Ja, nic. Ja sąsiad, i taki jestem zdziwiony, że pan wynajął taką wilgotną dziurę. Tu był kupiec i musiał się wyprowadzić, bo wszystko gniło.

— Nie widzę wilgoci.

— Ona jest, ona będzie. A jakie tu myszы! a szczury, wielkie jak koty, oni wszystko zgryzą, zjadą, zniszczą.

— Główstwo!

— To nie żadne głupstwo, to straszne szkodniki... nu, a wilgoć, to nic?... a gospodarz kapryśnik, to nic? On co kwartał podnosi komorne, a wszystko mu źle, a z pukania zaraz głowa jego boli, a z paki idzie smród. Nu, i drogo pan płaci za te paskudne piwnice?

— Proszę pana, idź pan do swoich interesów, nie mam czasu i ochoty rozmawiać z panem. — Odwrócił się do stolarza.

— Proszę pana, — zaszedł Eibenszyc z drugiej strony, — pan nie pożałuje rozmowy ze mną. Ja panu prawdę mówię, wielką prawdę, największą prawdę; tu nie jest żaden interes ze sklepem. Tu każdy bankrutował. Szkoda pańskich pieniędzy na lady, na półki, to pan ich wyrzuca w błoto. Nie wierzy mi pan, niech pan spyta kupców, — a widząc żyda, zagładzającego z ulicy do sklepu, krzyknął: — Mojsie, chodź tu i powiedz sam....

— Idźże pan sobie do stu dyabłów! — krzyknął Liński, — szwargocze mi nad głową nieproszony i niedziękowany.

— Ja dobry człowiek, ja uczciwy i rzetelny, ja nie chcę straty pana. Wie pan, co ja powiem? Pan chce sklepu, niech pan kupi mój, ja tanio oddam, ja ze stratą oddam. Ja się uraduję, że wyprowadzę się z takiego paskudnego miejsca.... Chodź pan do mnie... mam doskonały śliwniak... my pogadamy, raz, dwa, i interes skończony. Nu, co pan na to? — spytał z uśmiechem przyjaźni.

— Wyoś się pan, bo wyrzucę za drzwi.

— Aj, aj, jaki z pana raptownik... ja zaczekam, aż pan będzie spokojny... co ja panu szkodzę?

— Ruszaj ze sklepu!

— Dobrze, ja już idę, ale pan tego be-

dzie gorzko żałować. Nu, a może zaczekać, jak pan będzie miał wolną głowę?

— A niedoczekanie twoje! Wynoś się! — udał, że zamierza się na niego.

Żyd szybko odskoczył i stanął w otwartych drzwiach.

— Co to jest!? — krzyczał, — to rozbój, to gwałt! Każdemu wolno wejść do sklepu, od tego jest sklep. Co pan sobie myśli? Ja pana zaskarżę do policyi, ja panu nie daruję!

Na jego krzyk zbiegły się zaraz kilkunastu żydów i jeden przez drugiego zaczęli się dopytywać:

— Co jest?... Co się stało?... Co za gwałt?

Zbiegowisko rosło z każdą chwilą, hałał się wzmagaj.

A u progu sklepu Eibenszyc rozwodził swe żale, skargi i pretensye. On przyszedł, jak sąsiad do sąsiada z radą, grzeczny, delikatny, wszyscy go znają jaki on delikatny, a ten huligan chciał go bić, obrzucił go przewiskami, obraził, wyrzucił ze sklepu, do którego każdy może przecież wejść, bo od tego jest sklep.

Żydzi nietylko współczuli z jego wielką krzywdą, lecz ulegając poczuciu sprawiedliwości i oburzeniu, zaczęli ze swej strony wygrażać Lińskiemu i wymyślać mu. — W dalszych szeregach i świeżo nadchodzą-

cym opowiadano, że jakiś huligan, antysemitnik pobił, pokrwawił kupca, że ten ledwie z życiem uciekł, że była to pułapka złodziejska, ażeby obiedzieć gościa wchodzącego do sklepu....

Przez otwarte drzwi zaczęli się pchać żydzi, krzycząc, wygrażając pięściami, błykszczały im oczy, brody rozwiąły się.

Lińskiego na razie bawił krzyk i odgrążanie się Eibenszyca i wraz ze stolarzem śmiały się, dogadując żydom:

— Cóż więcej!... Zabiłem cię?... Uduśiłem?... Kopnałem?!

Gdy jednak żydzi zaczęli cisnąć się do sklepu, zwrócił się przeciwko nim i grożąc laską zawałał:

— Precz!... Wynosić się!

Żydzi, co prawda, cofnęli się, ale podnieśli krzyk, jak gdyby ich mordowano.

Ten nieporządek na ulicy, zbiegowisko, wrzaski, zdecydowały wreszcie stróża bezpieczeństwa publicznego do wkroczenia w tę sprawę i rozpoznania jej.

Przed powagą władzy i na jej rozkaz, żydzi rozstąpili się i utworzyli ruchomy szpaler do sklepu i winowajcy rozruchu. W przechodzie jednak wyjaśniali policyantom na różne tony i sposoby, jaki to zbrodniarz, huligan, rozbójnik znajduje się w sklepie i że trzeba go aresztować, zakuć w kajdany.

Policyant stanął w drzwiach sklepu i ulegając suggestyi żydów wskazujących palcami i słowami na winowajcę, spytał z miną surowego sędziego śledczego:

— Kak wy śmiejetie ustraiwať draki? Da ot wy czełowieka pobili.

— Ani mi się śniło, — odpowiedział na to Liński, — przyszedł tu żyd, gdy ustawniano ładę, kazałem mu wyjść, a ten w krzyk, a że zbiegł się mołoch żydowski, to nie moja wina.

— Wriot!... Wriot! — zakrzyczeli żydzi na wszystkie tony.

— Dlaczego pan pozwala na taki wrzask? — spytał policyanta spokojnie Liński.

— Buntownik!... Huligan!... Rozbójnik!... Nożownik!

— Ja was arrestuję, pojdiomtce w czast'! — i do żydów: — Poszli won, nus, a gdzie pobity?

— To ja, — westchnął Eibenszyc z miną nieszczęśliwej ofiary.

— Nu, tak i wy w czast'!

Liński, gotując się do wyjścia, rzekł do stojącego obok stolarza:

— Bądź pan tak dobry, zamknij sklep i wraz z chłopakiem przyjdź pan do cyrkułu, może komisarz zażądać świadectwa pana.

— Przyjdę za chwilę.

Naturalnie, gromada żydów szła do cyr-

kułu świadczyć na korzyść pokrzywdzonego współwyznawcy, szwargotali głośno, wskazując rękami na winowajcę, i roztrząsali zawzięcie, jaka kara powinna go spotkać według kodeksu karnego.

Liczni przechodnie, widząc tę gromadę ciągnącą środkiem ulicy, przystawali, przypatrując się ciekawie.

Ten uroczysty pochód w towarzystwie policyanta i żydów przestał być zabawnym epizodem dla Lińskiego, a stawał się przykrym. Przyszło mu na myśl, że może spotkać Lelickich i zobaczyć go Hala w takim otoczeniu. Chęć skrócić drogę, zwrócił się do policyanta:

— Proszę pana, wsiadźmy do dorożki, ja zapłacę, a żydzi przyjdą.

— Nie wozmożno, pajdiom pieszkom.

— A gdybym był pijany, musiałby pan wziąć dorożkę. Siadajmy, — wskazał na stojącą jednokonkę, — tak mi wstyd.

— Nie stydiliś pabit', czewoż stydiliś idti pieszkom?

Liński poddał się konieczności, przyspieszał kroku, aż go musiał powstrzymywać policyant, i nareszcie doszli do kancelaryi cyrkułu.

Szli na pierwsze piętro odrapanej oficyny.

W tak zwanym przedpokoju, ciemnej komórce, z oknem wychodzącym na cie-

mnawe schody, stały wytarte i wyślizgane ławy, a jedyny, chwiejny płomyk gazowy oświetlał dyżurującego policyanta.

Do tego przedsonka wprowadził konwojujący policyant oskarżonego i oskarżyciela, polecając ich dozorowi dyżurującego kolegi, a sam poszedł do biura z raportem. Świadkowie żydzi zostali z rozkazu policyanta w sieniach i na schodach.

Pan komisarz cyrkułu nie przyszedł jeszcze do biura; ale na szczęście dla Lińskiego, urzędował w biurze pan adjunkt, który wysłuchawszy raportu, kazał strony przywołać.

Pierwszy wszedł Liński i swobodnie ukłonił się, stanąwszy z boku. Za nim wpuścił policyant raportujący Eibenszyca, który, skulony, pogięty, kłaniał się nieustannie, bystremi oczkami zbadał pokój, i pokorny wzrok utknął w twarzy i w wielkich wąsach adjunkta.

Protokół zaczął się od zapytania:

— Kto zawinił?

— Ten! — wskazał ręką na Lińskiego.

Adjunkt widząc porządnie ubranego człowieka, w czystym kołnierzyku, zdecydował się przemawiać do niego nie przez „ty“, ale „wy“. Pierwsze pytanie było o imię i nazwisko. Liński odpowiedział.

Następnie przyszła kolej na mieszkanie,

a gdy Liński podał swój adres, niezmiernie zdziwił się adjunkt.

— Jakim sposobem pan, który mieszkasz aż w innym cyrkule, zrobisz skandal taki w naszym? Niech tam oni zajmują się panem, ale nie my, i tak mamy dosyć do roboty.

— Wynająłem sklep.

— Co, sklep! I pan meldował?

— Nie, dopiero w sobotę zrobilem umowę co do wynajmu. Sklep nie jest jeszcze otwarty.

— On otwarty... ja tam byłem dzisiaj, — wracił z pokorną i cierpiącą miną Eibenszyc.

— Otwarty, czy nie? — zwrócił się adjunkt do przedstawiciela porządku.

— Nu, on był otwarty, ale pusty, nic, tylko ściany i jakieś ławy, — odpowiedział wyprostowany policyant.

— Proszę zanotować do kary właściciela i stróża za brak meldunku, — polecił adjunkt pisarzowi i do Lińskiego: — Powiedz pan, tylko prawdę, w jaki sposób on pana napadł?

— To on mnie napadł! — zawała żołnie Eibenszyc.

— On, ciebie? Jak ty się nazywasz?

— Kto, panie naczelniku?

— Nu, ktoż? ty!

— Ja? Chaskiel.

— To imię, ale jak się nazywasz?  
— Ja? Ja Eibenszyc, kupiec.  
— Także mi kupiec, — zadrwił, — u was każdy kupiec, co handluje, — i do pisarza: — zapiszcie kramarz i żyd. A teraz opowiadaj prawdę.

— Czy ja kiedy kłamię? Ja zawsze prawdę mówię, zwłaszcza przed panem naczelnikiem.

— Tylko nie kręć, mów!

— On, — wskazał głową na Lińskiego, — sprowadził stare lady i otworzył sklep. Nu, ja sąsiad, mam zaraz obok kolonialny interes, sam towar najlepszy sort, pan naczelnik potrzebuje się sam przekonać, to nie kosztuje....

— A ten gada swoje... mów o pobiciu.

— Zaraz... nu, ja zaszedłem do sklepu, pytam bardzo grzecznie, bardzo delikatnie, o sklep, o towar, nu, jak między sąsiadami... a ten na mnie z krzykiem, z hałasem, najpaskudniejsze słowa, których w życiu nie słyszałem jeszcze, a mam, chwałą Bogu, trochę już lat; i z kijem do mnie. Ja tak się przestraszyłem, tak mi serce biło, ja myślałem, że już nie przeżyję... ja nigdy nie miałem takiego napadu... ja teraz chory, połamany, niezdolny do pracy żadnej... ja się trzęsę.

— Nu, tak powiedz, bił ciebie?

— Czy on bił? Pewno, że bił strasznie,

ale ja nie pamiętam, ja taki byłem, że nic nie pamiętam, tylko widziałem, że on na mnie z kijem, z taką pałką, jak rozbójnik.

— Nu, dziwno, że nie pamiętasz, a może ty zemdlałeś?

— Czy ja wiem. Może i zemdlałem.

— A masz świadków?

— Mam, ile pan naczelnik tylko chce, oni stoją na schodach. Czy zwołać?

— To do mnie należy, nie do ciebie, — rzekł adjunkt. — A teraz pan powiedz, — a przypomniawszy sobie sądowe rozprawy, dodał: — co pan masz tu do usprawiedliwienia?

— Dziś rano stolarz Zajchowski usta-  
wił lady w moim sklepie, w mojej obe-  
cności. W czasie roboty przyszedł ten żyd.

— Co to jest żyd? — oburzył się Eiben-  
szyc, — czy ja nie człowiek?

— Milcz! — zgromił go urzędnik, — ty  
swoje już powiedziałeś... ty żyd i żydem  
zostaniesz.... Opowiadaj pan dalej.

— W obecności stolarza i jego pomo-  
cnika, zaczął żyd gadać o wilgoci sklepu,  
o myszach, szczurach; że każdy w tym  
sklepie bankrutowie; że szkoda wydatków.  
Terkotał mi nad głową nieustannie. Kaza-  
łem mu wyjść raz, drugi raz, aż wreszcie  
udałem, że chcę go wyrzucić.

— Dobre mi udanie, — zadrwił Eiben-  
szyc, — on na mnie z pałką.

— Miałem w ręku tę laskę, — podniósł w góre spacerową laskę, — nie dotknąłem się tego żyda, na co mam dwóch świadków....

— I nie wyrzucił go pan za kark?

— Nie.

— I nie był pan?

— Nie.

— Nu, a czego ty chcesz? — spojrzał surowo na żyda.

— Jakto czego? Każdemu wolno wejść do sklepu otwartego, a ten na mnie z krzykiem, obraził mnie, wyrzucił, ja się tak przestraszyłem, on mnie może i był... ja mam świadków.

— Nu, zobaczymy, — i do policyanta: — zwołaj świadków, ale tylko takich, co widzieli.

Do biura weszło dwóch żydów z nizkimi ukłonami. Pierwszy zeznawał Joś Pejsach, stary, siwawy żyd.

— Ja mam sklep galanteryjny naprzeciw, — mówił, — ja sobie stałem przed nim. Naraz słyszę krzyk. Nu, kto taki gwałt robi? Słucham, a to Chaskiel Eibenszyc, bardzo delikatny kupiec, ja pobiegłem i widziałem dwóch strasznych ludzi na jednego.

— Bili go? — spytał adjunkt.

— Jak on tak krzyczał, to pewno, że go bili... on był blady jak ściana, cały się trząsł od strachu, ja myślałem, że on upa-

dnie, że on pokaleczony, poraniony... zabity.

— Ot sobie, — zaśmiał się adjunkt, — jakże zabity, kiedy żyje. A ty, poraniony? pokrwawiony? — zwrócił się do oskarżyciela.

— Ja nie wiem, — jęknął Eibenszyc, — ja nic nie pamiętam... ja chory....

— Nu, ty żaden świadek, nic nie widziałeś... a ty? — zwrócił się do Lejby Spicmausa, — gadaj, co widziałeś?

— Ja?... Takiego krzyku, takiego nieporządku, takiego hałasu nie było jeszcze na naszej ulicy, od kiedy pan naczelnik rządzi. Trafiało się różnie, jakiś łobuz coś zrobili, jakiś pijak, ale żeby porządnego kupca bić, wyrzucać, gwałt mu robić w sklepie, ja tego nigdy nie słyszałem, ani widziałem.

— Ty gadaj, coś widział?

— Ja widziałem, jak Eibenszyc wchodził do sklepu i „za try migi“ on się znalazł na ulicy. Panie naczelniku, czy porządnego kupiec na to wchodzi do sklepu, ażeby zaraz wyskoczyć na ulicę? i to z takim gwałtem, krzykiem, lamentem? Nu, ja nic więcej nie powiem, niech pan naczelnik swoim delikatnym rozumem to rozsądzi, czy taki kupiec, jak Eibenszyc, wyskoczyłby ze sklepu, żeby jego nie bili? nie zrobili mu gwałtu? nie wyrzucali?

— Ach, ty kłamco, — śmiał się ad-

junkt, — nie idzie o to, co ja myślę, a tem mniej, co ty myślisz... ty mów, co widziałeś?

— Czy to nie jest dosyć? — oburzył się Szpicmaus, — jak to może być, ażeby w biały dzień napadli w sklepie na porządnego kupca? Czy to nie rozbój? Czy to nie gwałt? To kryminalna sprawa i ona pojedzie do sądu. Jemu trzeba sklep zamknąć, zapieczętować i jego posłać w Sybir. Dopiero będzie sprawiedliwość i spokój na naszej ulicy, a jak on zostanie, to każdy będzie się bał o swoje życie, pieniądze i zawsze będzie bunt. Niech tylko pan naczelnik pomyśli, czy nie będzie tak, jak ja mówię?

— Co ty mówisz? — spojrzał surowo na Szpicmausa, — bunt?! Ja wam dam bunt! — zaśmiała się drwiąco, — pewno jesteś bundzista i myślisz o rewolucji.

— Co pan naczelnik mówi?! Ja do bundu?! Niech ich choroba weźmie! Ja nawet nie wiem, co to bundzści? Czy nie tak? — zwrócił się do współwyznawców, — czy ja bundzista?

Obydwaj żydzi zaprzeczyli bardzo energicznie, adjunkt zaś rzekł:

— Ot, dobrął sobie świadków, wszyscy wy jednacy... a co do napadu i bicia ciebie, — spojrzał na Eibenszyca, — twoi świadkowie nic nie widzieli.

— Jakto? Co to jest?... Ja przysięgnę na prawdę! — zawałali.

— Milczeć, tu nie bóżnica, ale urząd! — krzyknął surowo i do oskarżonego: — gdzie pański świadek?

— Stolarz Zajchowski i jego pomocnik, pewno czekają.

— Zawałaj! — rozkazał policyantowi.

Za chwilę weszli obydwaj i stanęli przed adjunktem.

— Czy wy byli świadkami zajścia?

— Tak jest, od samego początku, — odpowiedział stolarz.

— Jakże to było?

— Przyjechałem z ładami, ażeby je wstać do pustego sklepu. Zaraz przybiegł ten żyd, — wskazał na Eibenszyca, — i dopytywał się na co? po co? Na to nadszedł pan Liński, żyd pyta, radzi, proponuje kupno swego sklepu, chociaż pan Liński nie chce słuchać i prosi, ażeby sobie poszedł...

— Nu, ładne prośby z krzykiem, z kijem! — zaprotestował Eibenszyc.

— Czy miał mówić: panie dobrzeju, bądź łaskaw opuścić mnie? — zaśmiała się Zajchowski, — żyd szwargotał i nudził, wreszcie pan Liński krzyknął: wynoś się! i podniósł laskę w górę. Żyd skoczył w drzwi i narobił wrzasku, przybiegli inni, zrobiło się zbiegowisko.

— Czy traći żyda?

— Nie.

— Czy był?

— Nie, nie dotknął się nawet.

— Nu, tak czego wy chcecie żydy? — zawała surowo, — to wy dla głupich pretensiów będącie zajmowali urząd? Wynosicie się!

Żydzi, wracając z cyrkułu, naradzali się, co zrobić z tym gojem, który ośmienił się wtargnąć w ich dziedzinę i chce szkodzić synom Izraela? Szpicmaus, zawzięty, nalegał, ażeby wytoczyć mu proces karny, bo przecież taki goj musi być ukarany.

— Eibenszyc, ty możesz nam prawdę powiedzieć, — rzekł Szpicmaus, — czy on ciebie wyrzucił?... czy był?

Oburzony i zdumiony Eibenszyc aż przystanął i schwyciwszy oddech, zawała szybko:

— Lejba, ty już zwaryowałeś! Czy ty nie wiesz, co stoi w naszych świętych księgach? Tam stoi, że aby jednego z naszych uderzył, to jakby on uderzył Pana Boga... nu, czy ja mogłem pozwolić, ażeby taki nuchrym uderzył Pana Boga? Jabym go rozdarł, rozerwał, opluł.... On mnie się nie dotknął, ani ręką... ani kijem... ja tylko pokazałem mu, co jego czeka, jak on zechce mieć ten sklep. Czy zrozumiałeś?

— Dlaczego nie? Tylko, że on się nie bał, on wygrał sprawę. Czy nie tak?

— Aj, jaki ty zapalczyny Lejba, — zasmiał się, — a to, że on czas stracił? a to, że cała kamienica, że cała ulica dowiedziała się, że on rozbójnik, to nic? Nu, a co gospodarz powie na taki skandal, to nic?

— Co ma być? — wzruszył ramionami Joś Pejsach, — to mało.... Jemu trzeba tak zrobić, żeby on tracił, żeby towaru nie dostał. Jemu potrzeba postawić przed sklepem naszych, niech nie puszczają do niego. Czy nie dobrze?

— Lejba, czy ty słyszysz, co Joś mówi? On stary, on doświadczony! Nu?

— Co nie mam słyszeć? — rzekł Lejba Szpicmaus, — a teraz ja powiem. On w sądzie byłby ukarany, ale nie chcecie sądu, nu, niech będzie. Musimy się dowiedzieć, kto on taki? gdzie był? co robił? jak on żył? On może złodziej, a może rabuś?

— Dla czego nie! — zawała Eibenszyc, — on wygląda na takiego. Ty, Lejba, masz racyę, potrzeba się dowiedzieć, skąd ma pieniądze i ile? Gdzie chodzi? Z kim się zna? Co on myśli robić? Czy on żonaty? Czy ma może pannę? My razem to zrobimy i my damy jemu radę. Czy nie tak?

— Nu, a Liberman już wie?

— Co nie ma wiedzieć? Ja mu zaraz dałem znać. Może on już czeka?

Zbliżali się do swych sklepów. Na ich spotkanie wybiegli żydzi, żydówki, żydzięta,

a dowiedziawszy się o bezkarności goja, podnieśli krzyk oburzenia i zgrozy. Jeśli taka zbrodnia uszła jemu na sucho z bogatym Eibenszycem, co on pozwoli sobie z innymi, z biedniejszymi?

## VII.

Mierski, dowiedziawszy się o awanturze z Eibenszycem, ani się zgorszył, ani zaniepokoił.

— Wiedziałem, że żydzi będą nam przeszczadzali i robili awantury, trzeba się uzbroić w cierpliwość i spokojną wytrwałość.

— I ja to wiem, Janku, ale jeszcze sklep pusty, a już skandal z żydem.

— To ich taktyka, chcieli mieć pozory do oczernienia nas. Teraz roi się od plotek między służbą na nasz rachunek, ale to nic nie szkodzi, — zaśmiał się Mierski, — to zaostryz ciekawość służących, a powodzenie takiego sklepu jak nasz, nie zależy od panów, tylko od służby.

— Czy pojedziemy do sklepu? — spytał Liński po chwili.

— Po co? Dozorować stolarza niema potrzeby, on ma oddać klucze od sklepu gotowego. Pierwsza rzecz: trzeba zamówić towar. W piątek ma być sklep gotów, na

sobotę rano zamówimy towar, i tem lepiej, że w sobotę, nie będą nam żydzi przeszczadzali.... Ale, ale, byłbym zapomniał, trzeba nam sklep poświęcić.

— Poświęcić? — skrzywił się Liński, — po co mieszać ceremonie religijne z handlem?

— Najpierw dlatego, że taki zwyczaj, ale pomijając to, przeciwstawiamy się żydom, jako chrześcijanie, i zyskujemy poparcie drobnej klienteli.

— Ależ Janku, mnie nie zależy na drobnej sprzedaży, idzie o składnicę dla wiejskich sklepów.

— Jedno drugiemu nie przeszczadza, a gdy nasza firma pozyska wziętość w mieście, tem lepiej dla sklepów na prowincji.

— Może masz racyę... nie znam się jeszcze z tą gałęzią handlu.

Żydzi nie próżnowali, zwłaszcza Liberman, dotknięty nietylko w swoim interesie, ale i w swej ambicyi, nie mógł pogodzić się z myślą, ażeby sklep, który on sobie upatrzył, jako dogodny punkt handlowy, o którym opowiedział już swoim klientom i odbiorcom, przeszedł do innego kupca i to do goja.

Na drugi dzień rano po zajściu w cyrkule, w chwili, gdy Liński wychodził, spotkał przed swemi drzwiami wejściowemi

żyda przyzwoicie ubranego, który kłaniając się mówił:

— Ja mam interes do pana Lińskiego, czy ja jego zastał w domu?

— Jestem, czego pan chce? — zamykał drzwi.

— Ja mam ważny interes, bardzo ważny, może my pogadamy w pokoju?

— Spieszę się. Chce pan iść ze mną, to dobrze, a nie, to nie.

— Nu, ja mogę iść, — schodzili ze schodów, — a wolno wiedzieć, jaki to pilny interes, że i minutki nie może poczekać?

— To do rzeczy nie należy. Jaki pan ma interes? Mów pan.

— Zaraz... a może ja później przyjdę? Może pan mi wyznaczy godzinę?

— Nie, bo nie mam żadnego interesu do pana i nie myślę czasu tracić.

— Nu, to nie wiadomo, czy pan na tem nie zarobi? Ja myślę, że pan tylko zarobi, ja chcę pana uchronić przed wielką stratą i zmartwieniem.

— Nie znam pana, pan mnie nie zna, i nie potrzebuję żadnego ratunku, ani opieki. Czego pan chcesz?

— Po co te gniewy, ja przychodzę do pana z przyjacielstwa, a pan zaraz się gniewa. Czy to ładnie?

— Wszystko jedno, niech pan mówi o interesie. Słucham.

— A może wstępimy na szklankę herbaty? — gdyż właśnie przechodzili obok cukierni, — przy stoliku inaczej się gada. Czy pan myśli, że pan straci, jak posłucha Libermana?

— Kogo? — zwolnił kroku.

— Nu, Libermana... to ja, mam pierwszy sklep na Muranowie, — objaśniał nie bez dumy, — a z Libermanem pan może iść na herbatę, to nie żaden szajgec, albo litwak.

Liński, trochę zaciekawiony i chcąc się pozbyć żyda, zgodził się, wstępili do cukierni.

Zanim podano im herbatę, Liberman wyjął pudełeczko z dziesięcioma papierosami i zapraszał Lińskiego.

— Dziękuję, nie palę.

— Pan bardzo dobrze robi, to szkodzi na zdrowiu i na kieszeni, ale ja nie mogę się odzwyczać. Co robić? — zapalił papierosa, — a pan dobrzej nie pali?

— Palitem, ale się odzwyczałem.

— Aj, aj, co to za siła? jaki to charakter? Ja pana podziwiam. Ja sobie tyle razy mówię: Liberman, ty nie potrzebujesz palić, na co ci to? A jednak pale.

— Jaki pan ma interes do mnie? — spytał Liński, słodząc herbatę.

— Jaki?... Zaraz... mówiono mi, że pan chce sklep założyć... ja myślałem, że pan,

to jakiś subjekt... jakiś prosty robotnik, ale jak ja widzę, że pan taki delikatny, taki rozumny człowiek, to mnie się nie chce wierzyć. Pan może sobie znaleźć bardzo dobre miejsce w biurze, ja nawet mam taką posadę dla pana, to robota dla pana, czysta, spokojna, bez żadnego ryzyka, kłopotu, bez targowania się. Czy pan chce takie miejsce?

— Nie.

— I pan chce sklepu?

— Tak jest.

— Pan tego będzie bardzo żałować, to ja, Liberman, panu mówię. Najpierw, to miejsce na sklep kolonialny jest złe, bo tam mało ludzi, a jeśli są ludzie, to oni nie kupują, a jeśli kupują, to oni idą do kolonialnego sklepu, który tam jest od bardzo dawna.

— Może... ja jednak spróbuję.

— Na co taka próba? Po co ona? Ona przecież kosztuje pieniądze, a czy pan chce tracić pieniądze?

— Chcę, czy nie chcę, to moja rzecz i moje pieniądze.

— Ja to wiem, ale jak Liberman widzi, że taki porządnego pan chce sobie za swoje pieniądze kupować nieszczęście, to Liberman nie może na to pozwolić, on nawet straci swoje, ażeby drugiego poratować. Ja już taki, może ja stracę, a może Pan Bóg

mnie poratuje, a ja swoje muszę zrobić.  
Czy pan rozumie?

— Niech pan kończy. Jaki pan ma interes do mnie?

— Zaraz... Ja panu co powiem, ten sklep nie jest dla pana, to ja, Liberman, mówię panu. Mnie pana bardzo żał i ja panu zrobę propozycję... niech mi pan odstąpi ten sklep, a ja panu zwróci koszta.

— Nie.

— Dlaczego nie? Niech pan trochę rozmyśli, po co zaraz nie? Pan sobie za własne pieniądze kupi wrogów, czy to dobrze? Taki Eibenszyc, pan go poznął, jaki to zawięty, paskudny człowiek, on panu nie da spokoju, ani w dzień, ani w nocy. Za nim stoją wszystkie żydki z tej ulicy. Ja panu takiego życia nie chcę, niech moje wrogi mają takie życie, a pan mój przyjaciel, ja nie chcę, żeby pan miał takie życie. Nu, odstąpi pan sklep?

— Nie.

— Wie pan co? Niech ja już stracę, ja mam takie dobre serce, ja pana mało znam, a już mam przyjaźciołstwo... ja panu dam odstępnego... co pan chce?

— Od pana nic nie chcę i sklepu nie oddam.

— Co znaczy: nie chcę? — zaśmiała się, — jak kto daje, to trzeba brać, bo ludzie mówią: głupi daje, mądry bierze. Nu, niech

ja raz będę głupi... ja panu dám odstępnego piętnaście rubli, dobrze? — a na przeczący ruch głową, — ja dam dwadzieścia rubli... Co?... Jeszcze nie!? to już ostatnie, ostateczne słowo: dwadzieścia pięć rubli, — wyjmowały zbrudzony pugilares.

— Nie chcę i nie odstąpię.

— Aj, jaki pan uparty! — uśmiechnął się, — nu, niech ja raz stracę, ja dodam jeszcze trzy ruble....

Liński zadzwonił na płatniczego, zapłacił swoją herbatę i do kupca:

— Panie Liberman, szkoda państwa czasu i zachodu, nic z tego nie będzie, sklepu nie odstąpię... i żegnam pana, — wstał i nałożył kapelusz.

Liberman zerwał się z krzesła i przytrzymując idącego za marynarkę, zawałał:

— Poco pan idzie? Ja jeszcze nie skończyłem... zaraz... ja dam pięćdziesiąt rubli... co? nie? No, ostatnie słowo, ja dam sto rubli! — podkreślił ostatnie słowa.

— Nie! Puść mnie pan.

— Dlaczego mam puścić? — stanął mu w drodze, pan chce się topić, a ja panu nie chcę pozwolić. Poco takiemu panu się topić?

Liński, widząc ciekawe spojrzenia gości, chciał odepchnąć żyda, ale wspomniał na wzorajsze zajście z Eibenszycem, uspokoił

się i nie chcąc zwracać uwagi gości na siebie, wrócił na dawne miejsce i usiadł.

Liberman z uśmiechem tryumfu, stanął przy stoliku i rzekł:

— Czy ja nie mówił, że pan zarobi? Nu, kończmy interes. Pan odstąpi mi swoją umowę przy gospodarzu, a ja dam sto rubli. Czy źle?

— Bardzo źle, sklepu tego nie mam do ustąpienia.

— Poco takie gadanie? — zaśmiała się, — za pieniądze wszystko można ustąpić. I ja pana nie pusczę, — zmiarkował bowiem, że Liński wstydzi się i boi skandalu, — ja nie pozwolę, ażeby pan zbankrutował. Mnie żał pana.

— Panie Liberman, chociażbym powiedział, że zgadzam się na ustąpienie, to moje słowo niema znaczenia. Ja mam wspólnika i bez jego zgody nie mogę nic zrobić.

— Kto jest ten wspólnik? — spytał zapiekły.

— Jan Mierski.

— A gdzie on?

— Pewno pilnuje roboty w sklepie.

— To my pójdziemy do niego. Zaraz, — szukała kapelusza i laski.

— O, nie! Ja mam swoje interesy i nie pójdę z panem.

— Nu, a kiedy będzie pan ze wspólnikiem razem?

— Zapewne wieczorem lub jutro rano  
zejdziemy się w sklepie.

Liberman, słysząc o wspólniku, przypomniał sobie, że stróż opowiadał mu o dwóch panach, i stolarz również, więc bardzo być może, że to prawda. Nie było tedy potrzeby zmuszać Lińskiego do zrzeczenia się sklepu, który tylko w połowie był jego własnością.

— Ja panu wierzę, — powiedział po chwili, — niech pan powie swemu wspólnikowi, że Liberman daje sto rubli gotówką, ja wiem, że on się rozraduje. Ja przyjdę do sklepu i my skończymy interes. Czy dobrze?

— Nic nie wiem, ale może pan przyjść, — i rozstali się spokojnie.

Liberman nie zastawszy Lińskiego i Mierskiego w sklepie, przyszedł znów do mieszkania, lecz Liński nie wpuścił go do pokoju i stanowczo zapowiedział, że ani on, ani wspólnik nie mają zamiaru odstąpić komukolwiek sklepu.

W piątek istotnie skończył stolarz swą robotę w sklepie, a w sobotę od wczesnego ranka zjeżdżały wozy i wózki z towarem zamówionym. Liński, Mierski i młody chłopak wzięty do sklepu na posyłki, pracowali gorączkowo, składając i porządkując towary.

Około godziny dziewiątej przyszedł do

sklepu gospodarz chmurny i rzekł suchym, urzędowym tonem naczelnika biura:

— Dzień dobry panom!

— Dzień dobry, cieszy nas, że pan nas odwiedził, dobra wróżba, — uśmiechnął się Mierski.

— Odwiedziny odwiedzinami, ale nie tylko w tym celu przyszedłem. Panowie, a właściwie pan, spojrzał surowo na Lińskiego, — zachowuje się niewłaściwie, a jak na kupca, zupełnie źle.

— Ja!? ależ nie otworzyliśmy jeszcze sklepu i nie miał pan sposobności obserwować mego zachowania.

— Co mi pan gada takie rzeczy, — rzekł opryskliwie, — wyprawia pan w mojej kamienicy formalne skandale, jakieś awantury.

— Ależ pozwól pan....

— Przepraszam, teraz ja mówię. W poniedziałek zrobił pan awanturę z Eibenszym, bardzo porządnym kupcem. Pobił go pan, wyrzucił, skopał i za co? Przyszedł się zapytać grzecznie, jaki sklep pan zakłada? Cała ulica jest oburzona tem postępowaniem pana.

— Pozwól pan jednak... — zaczął Liński.

— Przepraszam, jeszcze nie skończyłem. Zapowiadam panom, że jeśli się powtórzą podobne awantury i bijatyki, zrywam umowę i mam do tego najzupełniejsze prawo.

— Jakie?

— Widocznie pan nie czytał zawartej ze mną umowy, — powiedział z przekąsem, — a w niej jest szósty punkt, który brzmi: Wynajmujący zobowiązuje się nie zakłócać w niczem spokoju kamienicy, nie zaśmiecać podwórza, nie przybijać i nie odbijać pak lub beczek w godzinach zbyt rannych lub zbyt późnych, jak również nie trzymać w wynajętych ubikacyach cuchnących rzeczy, a to pod grozą zerwania umowy.... Czy to nie jest jasne? — spytał z dumą, sam bowiem układał umowy, — a pan co zrobił? Zaraz pierwszego dnia skandal, bójka, zbiegowisko, krzyk, wrzawa i protokół! — umilkł zasapany.

— Czy pan już skończył? — spytał spokojnym głosem Liński.

— Na razie... już.

— Otóż, przyszedł do sklepu żyd, gdy ustawiałem lody ze stolarzem i on wraz z chłopakiem byli świadkami wszystkiego, co zaszło. Żyd zaczął wydziwiać, naco wynająłem ten sklep, nazywając go wilgotną piwnicą, gdzie wszystko zgnie....

— A łajdak! Powiedz pan sam, czy jest tu wilgoć, ślad wilgoci? — spytał obrzony gospodarz.

— Mówiłem mu o tem, ale ten upierał się, że wilgoć straszna, że tu są szczury

jak koty, myszy... że pan kapryśnik, co kwartał komorne podwyższasz....

— Ależ panie, ten żyd, to skończony łołtr! — zawała zaczerwieniony, — ja mu tego nie daruję... i to prawda?

— Daję słowo i mam żywego świadka, stolarza Zajchowskiego.

— No, no, a co oni mi nagadali....

— Kazałem mu milczeć, on swoje, kazałem mu wyjść, oburzony za to oczerńnianie sklepu, on nie chce... Dopiero, gdy mu zagroziłem wyrzuceniem, wybiegł i narobił wrzasku.

— Ależ, drogi panie, — zawała z zapalem, — było go wyrzucić na łoeb, na szyję, przy pierwszym słowie... pan zbyt delikatny... tu wilgoć? — przystąpił do muru i stukał palcem, — panie, te ściany suche jak pieprz! Jaka szkoda, że pan go nie obił!

— Nie śmiałem, panie gospodarzu, wobec szóstego punktu umowy o spokoju...

— Ależ dyabli tam ze spokojem, gdy taki łołtr oczernia moją kamienicę, — wołał zaperzony, — było go wyrzucić na moją odpowiedzialność.

— A szanowny pan przyszedł z wymówkami... z groźbą...

— Trudno, panie, — rozłożył ręce, — moja wina, że wysłuchałem podszeptów żydowskich, że zawierzyłem.

— Panie, żydzi są jedyni do pokątnych intryg, — dodał Mierski.

— O, nie wszyscy! Mam tu, obok panów, dwa kramy, jeden Icka Szwernot, drugi Arona Knochebein, obydwa cisi, spokojni, płacą rzetельnie, a nawet ta Esterka, zaraz za sklepem panów, dobra żydowica. Wprawdzie śmiecią, wylewają brudy na ulicę, stróż nie może dać sobie rady z zamiataniem, ale to uczciwi ludzie.

— Obawiam się, — uśmiechnął się Liński, — że te perły są fałszywe, żyd żydem pozostanie.

— Tylko bez przesady, kochany panie, — usiadł na krześle; — że taki Eibenszyc zrobił z panem awanturę, to nie żadna racya, ażeby wszystkich w czambuł potępiać. Sam znam wielu znaczych ludzi, mimo, że są żydzi.

— I dla pięciu sprawiedliwych chce pan całe miasto oddać żydom, — zaśmiał się Liński, układając towary na półce.

— Co też pan wygaduje dla pięciu! — zżymał się, — takich jest dużo, większość. Oni zajmują się handlem, faktorstwem... ale gdy idzie o sprawy ogólne, idą zawsze razem z nami. I to jest naturalne; u nas mają zupełną swobodę, idą też z nami w jednym szeregu.

— Na ten przykład litwacy, — dodał poważnie Mierski.

— Z litwaków nie można brać miary, ale ci nasi, oni zżyli się z nami, przejęli się naszym sposobem myślenia. Dobro kraju leży im tak samo na sercu jak i nam. Naszych posłów wybierają. Tylko nie należy ich zrażać, okazywać niechęć, drwić z nich, no i nienawidzieć, jak to robią antysemiti.

— Naturalnie, naturalnie, — śmiał się Liński, — trzeba ich wielbić, kochać i całować po rękach, że pozwalają nam żyć obok siebie i że raczą nas wyzyskiwać.

Pan Bałut, właściciel kamienicy, wstał z krzesła, zapiął na wszystkie guziki letnią zarzutkę i rzucił obrażonym tonem:

— Na kpiny i żarty jestem za stary i za poważny. Móglbym być ojcem pana i tylko z poczucia obowiązku obywatelskiego powiem panu, że zasady, którym pan hołduje, są zgubne dla Polski i dla społeczeństwa, bo tylko miłością się buduje, a nienawiścią rujuje. Antysemityzm sprzeciwia się tradycjom Polski, naszym ideałom, jest zakąłą ludzkości, tak, panie, zakałą i hańbą, — upajał się własną wymową.

— I co też żydzi dla Polski zrobili? — spytał z niewinną miną Liński.

— Co!? — zaczerwienił się, — mój panie, trzeba mieć tylko oczy otwarte i pójźbyć się zaślepienia. Idź pan w sobotę do naszych miasteczek: żadnego ruchu, życia,

jak wymarłe. Idź pan na kolej, a znam to, bo służyłem na kolej, w czasie świąt żydowskich \*pustką, żadnych towarów, ekspedycji, ruchu. Komu sprzedza obywateł zboże, drzewo, bydło? tylko żydowi. Komu sprzedza chłop zboże, nabiał, jaja, kury? tylko żydowi. Żydzi są łącznikami między wytwarzcą i handlem. Wypędź pan żydów, a w kraju będzie zastój, brak pieniędzy, brak najpierwszych artykułów do życia. Możemy zwalczać ich szachrajstwa, oszustwa, wyzysk, ale oni są nam konieczni do życia, a zwłaszcza, że mimo swej roli w handlu, nie roszczą sobie pretensiów do rządzenia, idą ręka w rękę z nami, popierają naszą literaturę i sztukę.

— Jednem słowem, — uśmiechnął się Liński z goryczą, — jest to naród wybrany, pracowity, zabiegliwy, a dla takich jak my niedołędów jedyny, ażeby nas utrzymać przy życiu.

— Mój młody panie, każde, nawet najmądrzejsze zdanie można doprowadzić do absurdu i z panem dyskusja jest niemożliwa... Życzę panu powodzenia i przejrzienia, — ukłonił się ceremonialnie i wyszedł.

— A to ci okaz mamutowy! — zaśmiała się Mierski.

— A ja myślę, że bardzo pospolity, — rzekł Liński, — w nim bezwiednie poku-

tuje tradycja szlacheckiego wstępłu do łotkcia i miarki, któremi się zajmują ludzie podległy kondycji, natomiast my, Polacy, pielegnujemy wielką politykę, troszczymy się o spokój Europy, odgadujemy plany ministrów i gabinetów, żyjemy górnio i chmurnie, a tymczasem tracimy grunt pod nogami i żydzi nami się tuczą.

— Głupstwo, Tadziu, — zaśmiała się Mierski, — to tylko wymierająca generacja, a młodzi są inni... i my nie politykujemy, ale do roboty! Stefkę! — zawała do chłopaka, — wysuń proźne paki na podwórze!

Pracowali niemal bez wytchnienia przez sobotę i niedzielę, ale też uporządkowali i urządzili sklep cały, a Mierski sam, z wielkim zamiłowaniem i troskliwością zajął się urządzeniem okna wystawowego, ażeby doborem towarów i kolorów nęciło oczy przechodniów.

W sobotę, drzwi frontowe sklepu, ze względu na znoszone towary były otwarte, a żydzi spacerując po ulicy, zaglądali z ciekawością do wnętrz.

Eibenszyc, najbardziej zainteresowany, pełen zazdrości i gniewu, że pod bokiem wyrasta mu konkurent, prawie nie opuszczał ulicy, a gdy musiał zajść do domu, dzieciom kazał pilnować z poleceniem, ażeby, skoro wóz z towarem zajedzie przed

sklep, dali mu znać natychmiast, chciał bowiem od furmanów i posługaczy dowieźć się, skąd ten goj bierze towar.

Mały, dziesięcioletni, kędzierzawy brunecik Aronek, syn Eibenszyca, nazywany przez matkę Alfredem, postawiony na straży, gdy ujrzał wóz zajeżdżający przed nowy sklep, pobiegł do mieszkania i zawołał do ojca, ogryzającego nogę gęsi:

— Tateleben, do goja przyjechała furmanka z pakiem kilka.

Eibenszyc otarł ręką załuszczone wąsy i usta, chwycił czapkę i szybko skierował się ku drzwiom.

— Chaskiel, czego ty taka gorączka? — zawała żona, — ty się rozchorujesz, czy tobie paka ucieknie?

— Co ty wiesz, Róziu? Poco ty mi przeszkał dasz? Czy mi nie wolno wyjść na ulicę? — wyszedł pospiesznie i podszedł do furmana.

— Aj, aj, jakie u was dobre i ładne konie, — wskazał na zbiedzone, stare szkapy, — takie konie zaprzęgać do powozu, oni bardzo zmęczone ciężarami.

— A człowiek niby się męczy bardziej od konia i co ma z tego? — odparł filozoficznie furman.

— A gdzie wy się tak zmęczyli? Czy to daleka droga?

— Daleka, niedaleka, ale i nie blisko z Miodowej na Wspólną.

— Aj, aj, to aż z Miodowej, to kawał drogi na taki ciężar. A od kogo te paki?

— Od pana Fuchsa, wiecie?

— Co nie mam znać? I jaki to towar?

— Alboż wiem. Dali paki i tyle.

Furmana zwołano do sklepu, a Eibenszyc powoli wracał do domu z Aronkiem, który go spytał:

— Tateleben, dlaczego ten goj nie bierze towar z naszego sklepu?

— Aronek, taki goj nie sprzedaje takiego doskonały towar jak nasz. On sprzedaje same braki, paskudztwo... jemu z naszych nie dałby nikt towaru.

— Jakto? Jak on płaci, dlaczego jemu nie dać?

Eibenszyc z dumą spojrzał na syna, emoknął z wielkiej radości, podniósł chłopaka w górę, ucałował i rzekł:

— Aronku! Ty będziesz wielki kupiec, — a widząc Lejbę Szpicmausa, siojącego przed swym zamkniętym sklepem, podszedł do niego i zagadał:

— Lejba, czy ty wiesz jaki Aronek mądry?

— Dlaczego on nie ma być mądry? Zachwycony ojciec opowiedział swoją rozmowę z Aronkiem i spytał z dumą:

— Co, Lejba? Czy on nie jest mądry?

— On mądry i niech on zdrów rośnie, może doczeka lepszych czasów, ale nam ciężko. I co ty myślisz zrobić z tym gojem? — wskazał na sklep.

— Co? ja jeszcze nie wiem, ale że on tu nie będzie, ja tobie to mówię.

— Chaskiel, poco ty gadasz? ty rób!

— Czy ty myślisz, że nie robię? — uśmiechnął się, — ja czekam odpowiedzi z Zawiercia i Nowo-Radomska, może oni napiszą coś o nim i ja go złapię.

— Nu, a jaki to towar?

— Jaki? On od samych chrześcijan bierze, niech oni razem z nim przepadną. Czy ja mogę co innego im życzyć?

— A ty, Chaskiel, myślisz, że ja im co innego życzę? Niech oni mają czarny rok! Ale wiesz, Chaskiel, on nie jest żaden konkurent dla ciebie. On płaci drogo i musi drogo sprzedawać, czy nie tak?

— Co ty Lejba mówisz? Mój Aronek nie powiedziałby tego. Czy ty, Lejba, sprzedając braki fabryczne, obniżysz cenę towaru? Co kupującemu do tego, z jakiej sztuki ty mu mierzysz? On będzie miał cenę kupiecką, a ja muszę swoją obniżyć, ażeby u mnie kupowano. Czy ty rozumiesz, jaka to strata dla mnie? Ja nie wytrzymam tak długo, ja potrzebuję jego wyrzucić, ja muszę to zrobić.

— Chaskiel, czy twój gniew jemu zaszkodzi, czy tobie?

— A jakby tobie taki konkurent, goj, właził pod twój bok, czy byłbyś spokojny? byłbyś uradowany?

— Ty tego nie gadaj, ty jeszcze powiesz w złej godzinie... a u gospodarza ty zrobiłeś swoje?

— Nietylko ja, ale i Icek, i Aron byli ze skargą na tego goja za taki skandal. On obiecał im, że na drugi raz tego nie będzie, bo on go wyrzuci, ale to puste gadańie. Ja znalazłem lepszy sposób na niego. Czy wiesz jaki?

— Nu?

— Do gospodarza pojedzie szwagier Libermana i on mu da za ten sam sklep dwieście rubli więcej. Słyszysz?

— Co nie mam słyszeć, ja chwała Bogu, mam uszy, nu, i co? Czy ty myślisz, że on ich wyrzuci zaraz?

— A kto to mówi? On nie wyrzuci, bo oni na rok mają umowę, ale on będzie miał pretensję do nich, że przez nich stracił dwieście rubli. On im zacznie dokuczać, krzyczeć, jemu wszystko będzie źle od nich. Nu, co?

— Aj, to myśl delikatna! — zaśmiała się, — i to ty, Chaskiel, to zrobiłeś?

— Dlaczego nie ja? — zawała z du-

mą, — ja mam różne takie plany bardzo dobre i dlaczego nie mam mieć?

Rozmawiali jeszcze jakiś czas, aż nadeszła pora modlitwy i końca szabasu.

Nazajutrz, w niedzielę, żydzi podsłuchali i podpatrzyli, że w sklepie idzie roboła, a Chaskiel zaraz uwiadomił żydów, ażeby zwracali uwagę przechodniów chrześcijan, że w sklepie chrześcijańskim nie zachowują przykazania święcenia niedzieli.

Służące z okolicznych kamienic zostały ze szczególną skwapliwością powiadomione, że kupcy z nowego sklepu nietyliko łamią dzień świąteczny, ale zmuszają chłopca do roboty.

— To nie są żadne katoliki, — wyjaśniał Chaskiel, — to są poganie. Co dla takiego znaczy oszukać, otruć, kiedy oni nie wierzą w Boga. Jabym u nich nie to, że nic nie kupił, ale nie wziąłbym darmo. Z towaru z ich sklepu może być choroba, albo może coś gorszego.

I było to w zupełnym porządku, że katolicki i katolicy byli tem podrażnieni i złowrogo patrzyli na nowy sklep, zwłaszcza, że żydzi dodawali:

— U nas każdy musi dzień święty święcić, a kto robił, ten byłby wykłety, do niego niktby się nie zbliżył, nie zajrzał do sklepu, jemu niktby wody nie podał, bo co to za człowiek bez Boga? Nu, a u was

wolno robić i drugich zmuszać do pracy, zamiast iść do kościoła i pomodlić się Panu Bogu?

Nareszcie, w poniedziałek rano sklep został otwarty, a przechodnie mogli podziwiać nietyliko ponętnie i zalotnie urządzoną wystawę w oknie, ale i wewnętrzna czystość, świecące lady, świeżo pomalowane półki i szafy, założone towarem.

Naturalnie Mierski, jako rutynowany kupiec, objął zarząd i komendę sklepu, Liński zaś i chłopak pomagać mieli w ekspedycji, a prócz tego Liński prowadził kasę.

Mierski, szatyn, średniego wzrostu, nietyliko starannie ogolił się, ale fryzjer uczechał go modnie i ułożył małe wąsy kokieteryjnie. Bystre, żywe jego oczy co chwila lustrowały sklep, zawsze znalazły coś do poprawienia, wyrównania, odwrócenia i przemawiały do Tadeusza i Stefka:

— Pierwszym obowiązkiem kupca jest grzeczność. Gdyby żebraw przyszedł i zażądał za grosz jeden towaru, trzeba być tak grzecznym, jak dla wielkiego pana.

— No, a drugi obowiązek? — uśmiechnął się Liński.

— Sprawiedliwa waga i dobry towar; lepiej nadważyć, aniżeli niedaważyć... Stefku popraw jabłka, czerwoną stroną od ulicy... niech się prezentują.

Na tego rodzaju instrukcyach i poprawkach w sklepie upłynęła prawie godzina. Liński, znudzony oczekiwaniem, zabrał się do czytania dzienników, ale Mierskiego męczyła ta bezczynność.

Przeglądał rachunki, frachty, a co sekundę patrzał na drzwi wejściowe, czy ten lub ów nie wejdzie. Sądził, że okno wystawowe zachęci widzów do wstąpienia do sklepu, ale w oknie, co prawda, stawali kilkakrotnie żydzi, spluwali jednak jak z obrzydzenia, poszwargotali i poszli dalej. Nie mógł wytrzymać w tym martwym spokoju i podszedłszy do Lińskiego mówił rozdrażniony:

— To jakieś przeklęte miejsce... nikt, ale to nikt, nawet pies kulawy nie wstąpi... a przecież sklep zaopatrzony...

— I okno wystawowe, — uśmiechnął się Liński.

— A ty co sobie myślisz, przejedź całą Warszawę, a nie znajdziesz takiego.

— Wiem, wiem, ale kupujących niema.

W tej chwili wszedł jakiś starszy pan, obejrzał uważnie sklep, nie zważając na ukłony i powitania Mierskiego, i rzucił miarowym głosem:

— No, proszę... nowy sklep i to polski... wcale ładny... i od kiedy?

— Może pan dobrzej kupi co na początek?

— Kupić? ale co?

— Mamy wszystko. Herbata, czekolada, masło śmietankowe, owoce, galanterię skórzana, blaszaną, papierową... wszystko na rozkazy.

— Kupnem moja żona się zajmuje, a ja zaszedłem tak, przez ciekawość, — a widać, że Liński ma przed sobą gazetę, — jest co nowego w gazecie?

— Proszę... może pan przejrzy?

— I owszem... i owszem, — wyszukał okulary i zakładając mówił: — ja lubię zajść do sklepu, posłuchać nowinek, przeczytać kuryerka... szkoda, że ten sklep jest mi nie po drodze, — rozwinął gazetę i czytał.

Liński, patrząc na zrozpaczoną minę Mierskiego, omal że nie parskał śmiechem, za co ten odwdzięczył mu się gniewnem spojrzeniem.

Weszła niewiasta nie pierwszej młodości i spojrzała surowo na Mierskiego, który z najmilszym uśmiechem witał ją:

— Czem mogę służyć panience? — i do myśląc się kucharki — może jakieś kozienie? może wanilię... może...

— Najpierw, nie jestem panienką, tylko wdową, — przerwała mu opryskliwie.

— Taka młodzietka i już wdowa, a jednak wygląda pani jak panieneczka.

— Nie gadały pan, — powiedziała łapczywie.

skawiej i poprawiła włosy nad czołem, — ja niby to po cytrynę... ale i to chciałam powiedzieć, że to wstępnie nie święcić niedzieli, jak pogany i farmazony.

— Kto nas oczernił? My przykładni katolicy, dziś poświęcenie sklepu.

— A kto poświęca? — spytała zacieka-wiona.

— Ksiądz wikary z tutejszej parafii.

— To on poświęca!? No, no, a co to nie wygadują te ozory ludzkie: a pogany, a niedzieli nie obserwują, a do kościoła nie chodzą...

— Ależ pani droga, my oddaliśmy nasz sklep w opiekę Najświętszej Panny Często-chowskiej, — wskazał na wiszący obrazek,— to ktoś nas oczernił.

— A jednak słyśszeli ludzie pukania w sklepie... robotę jaką...

— Jak można słuchać plotek, — zawała niespodziewanie gość czytający gazetę,— to są Polacy, porządni katolicy i kupcy, ja to wam mówię i koniec, — znów czytał.

— Ha, jeśli tak, to wierzę... W takim razie daj mi pan trzy funty cukru, pół funta herbaty, ale dobrzej, za jednego rubla... ma-sła deserowego... a jest kuchenne?

— Doskonale, świeżutkie!

I tak się udrobuchała, że nawet na zapaś kupowała to i owo, narzekając od czasu

do czasu na złe języki ludzkie, które oczer- niły takich porządnego ludzi.

Mierski zaprosił ją na poświęcenie i za-cierał ręce z radości, pogodził się nawet z gościem czytającym, który na pożegnanie uścisnął rękę obydwóch i przyczekł zachod-zić do sklepu, a gdy Mierski nalegał, ażeby i pani dobrzejka przyszła, odpowiedział z pewnym wahaniem:

— Powiedzieć, powiem, ale czy zechce przyjść, nie wiem i nie obiecuję.

— Jaś! — rzekł Liński, gdy gość wy-szedł, — jak ty mogłeś tak bezczelnie na-blagować tej kucharce?

— To trudno, interes jest interesem... ale ona kupiła i będzie stała klientką.

— Dobrze przynajmniej, że nie powo-ływałeś się na mnie, byłbym ci wprost za-przeczył. Pamiętaj!

— Dobrze, dobrze, ale... — lecz w tej chwili weszła młoda, dosyć ładna służąca i stanęwszy we drzwiach, patrzyła trochę ciekawie, trochę lękliwie.

— Panieneczko! Prosimy bliżej, czem mogę służyć? Może grzebyczek do ślicznej fryzury? Może cukierka?

— Nie, nie, — podeszła do lady zarumie-niona, — ja przyszłam po marmoladę i ser...

— Jest jedno i drugie... a jaka marmo-lada? morelowa? ananasowa? malinowa? porzeczkowa?... do wyboru.

— Morelowa.

— Bardzo dobrze! Stefkę, podaj... na drugiej półce, na lewo, przedżej! a ser jaki? szwajcarski, litewski, holenderski, ementaler?

— Kiedy zapomniałam, — stała się purpurową.

— To pewno na deser, do stołu, więc szwajcarski...

— Nie, to do kuchni.

— A! parmezan? Co?

— Tak, tak, — uciechyła się.

— Zaraz... w tej chwili, i ile dać?

— Za dziesięć.

— Doskonale, — odważył, zawijał i mówił z przymileniem: — z panien, panienka pierwsza przyszła do naszego sklepu... należy się upominek, — otworzył szufladę, wyjął małą flaszeczkę perfum, — proszę przyjąć...

— Ale... co znowu... czy mogę?... Za co?

— Tak, tak... trzeba przyjąć, taki zwykaj u nas.

Wzięła uciechona i patrząc z ufnością na niego, powiedziała z uznaniem:

— Pan zna się na grzeczności... a jednak... aż wierzyć trudno... — umilkła zawstydzona.

— No, no... że co?

— Że pan bił kupca, — zawała jednym tchem, — aż się bałam zajść do sklepu tego.

— I nie zjadłem paniepki, chociaż pewno bardzo smaczna, — śmiał się, — ale to nie ja awanturowałem się z kupcem. Prawdę mówię, — spojrzał drwiąco na Lińskiego, — to ten pan, — wskazał na niego.

Dziewczyna spojrzała na wesołą, młodą twarz i zawała z niedowierzaniem:

— I to pan bił, skopał, pokrwawił kupca!? No, no...

— Ależ nie! Przysięgnę na ewangelię, że nawet nie dotknąłem tego żyda. Chciałem go wyrzucić za drzwi, bo mi dokuczał, a ten narobił wrzasku.

— Jednak zaprowadził pana stójkowy do cyrkułu, sama widziałam, że kogoś prowadzili.

— I komisarz zaraz mnie uwolnił, bo nic nie byłem winien.

— A mówili, że pan siedzi w areszcie, i co prawda nie pokazał się pan przez tydzień.

— To dopiero łołt nakłamał! — zawała oburzony.

— Panienko! — wmiteszał się Mierski, — jak teraz biały dzień, jak panienka panną, a ja kawalerem, tak słowo daję, że tego samego dnia po awanturze, bawiliśmy się i byliśmy w teatrze, czy wierzy mi panienka?

— Wierzę, wierzę... to ci dopiero hystorya, i żeby tak nakłamać!

— Niechże panienka rozpowie znajomym, — prosił Mierski, — nie można pozwolić, ażeby żydzi tak wygadywali na katolików.

— Pewno, że powiem... Boże! Ja się spóźnię, już idę... co się należy?

— Panienka zapłaci popołudniu, a tam pewno kucharka czeka na parmezan.

— To prawda... już idę!

— Do widzenia, panieneczko!

— Ja wpadnę tu po obiedzie i zapłczę.

— Dobrze! Dobrze!

— Nieznośny jesteś Jaśku, — rzekł Liński, — poco mnie wciągnąłeś do rozmowy? Nie mogłeś sam wyjaśnić?

— A żądałeś prawdy, — zaśmiał się, — zresztą nic nie szkodzi, dowiedzieliśmy się, że siedziałeś w areszcie!

— Jacy jednak ci żydzi sprytni, jak umieją skorzystać z lada pozoru, — powiedział Liński, — i gdyby oni swego sprytu używali w celach godziwych!

— Gruszki na wierzbie! — dorzucił Mierski i zaczął pouczać Stefka, co gdzie leży, jak się nazywa, jak się zawija, podaje.

Po obiedzie przyszedł ksiądz i poświęcił sklep. Żydzi potrząsając głowami, mówili z uznaniem:

— Nu, ten goj sprytny. On będzie trudny do zgryzienia, ale my jego wygryziemy.

### VIII.

— Panie Płachetka, czy pan sprawdził już hipotekę doktora Grzelskiego? — spytał Reinherc.

— Już.

— Ja miałbym jedną prośbę do pana, czy pan mi to zrobi?

— O co idzie?

— To jest mała rzecz, to jest nic, — zaśmiał się, — to moja fantazja. Ja chcę oddać sam panu pryncypałowi sprawdzony wykaz hipoteczny. Dobrze?

— Źle.

— Jakto źle? Dlaczego źle? Ja proszę o małą przysługę koleżeńską, a pan mi odmawia?

— Tak jest, i robię to nie przez niechęć, ale dlatego, że nie wynotowałem pewnych wątpliwości, mogę więc tylko sam objaśnić pryncypała.

— Niech mi pan powie, a ja już to zrobię. Czy panu nie wszystko jedno powiedzieć mnie? Pan sobie oszczędzi chodzenia i gadania. Czy nie tak?

— Może... ale sam zrobię.

— Dobrze! — zawała gniewnie, — ja to sobie zapamiętam.

— Wszystko mi jedno.

Wszedł Lelicki, chmurny, podrażniony

i przywitawszy się, poszedł do swego gabinetu, ażeby przejrzeć nadesłaną korespondencję.

Po pewnym czasie wszedł do biura z listem w ręku i rzekł do Reinherca:

— Wie pan, panie Jakobie, nitkowiecki las sprzedany.

— Co? Jak to może być? — zerwał się z krzesła Reinherc, — to jest oszustwo, to wyzysk! My pracowali, starali się, a ten sobie sprzedaje za nami! Na miejscu pana pryncypała, ja nie pozwoliłbym na takie oszukaństwo! Jabym podał do sądu o koszta, o stracone korzyści!

To współczucie Reinherca miłe było zmartwionemu Lelickiemu i tak zasłuchany był w słowa, że nie dostrzegł tryumfującego i radosnego uśmiechu, co się przemknął po twarzy Reinherca, który na tej sprzedaży poza kantorem zyskiwał procent i umożliwił zarobienie pieniędzy faktorowi Grincwajgowi, swemu krewnemu.

— Co tu proces pomoże! — westchnął Lelicki, — wyłożone koszta zwraca nam, a rozgłos procesu odstręczyłby innych od powierzania nam komisów.

— Pan pryncypał bardzo szlachetny, a ja myślę, że gdyby się jednego nauczyło i on zapłaciłby stracone korzyści, inni byliby uważniejsi.

— A może... namyśle się... Czy nie była

tu pani Jarewiczowa, bo pisze mi Woliński, że kupił ten folwarczek i wymawia się od płacenia nam procentu, gdyż cały interes przeprowadził faktor Aftermilch, który mu musiały się opłacić.

— To nowe oszukaństwo! — oburzał się Reinherc, — co nas obchodzi jego faktor, on mógł sobie wziąć dziesięciu, ale tylko my zapoznali go z Jarewiczową, a może i ona odmówi zapłaty? — uśmiechnął się ironicznie, — bo jej nie było tutaj.

— Była, i dzisiaj ma znów przyjść, — odezwał się Płachetka.

— Jakto była? Kiedy była? Dlaczego pan mi nie powiedział? — pytał szybko Reinherc.

Płachetka udał, że nie słyszy słów Reinherca i mówił do Lelickiego:

— Pani Jarewiczowa przyszła z uwiadomieniem o sprzedaży folwarku za ośm tysięcy pięćset rubli. Pragnie poradzić się pana co do umieszczenia tego kapitału. Odpowiedziałem, że pan pryncypał będzie napewno około piętej godziny i obiecała przyjść.

— To dobrze, będę, — spojrzał Lelicki na zegarek, — dlaczego pan mi nie powiedział zaraz?

— Widziałem, że pan zajęty, a do piętej brakuje piętnaście minut.

— A dlaczego ja o tem nic nie wiem? — spytał z wyrzutem w głosie Reinherc.

— Nie mam obowiązku składania raportów panu.

Lelicki wiedział dobrze o wzajemnej niechęci podwładnych, ale nie mieszkał się do tego, będąc zdania, że taka niechęć wzmagają współzawodnictwo i wzajemną kontrolę. I teraz, jakkolwiek widział wzrok Reinherca utkwiony weń z pretensją, nie powiedział i cofnął się do gabinetu.

Reinherc, któremu zależało na wiadomości o pani Jarewiczowej, nie mógł się uspokoić po ostrej odpowiedzi Płachetki nieskarconej przez pryncypała i rzekł złośliwie:

— Panie Płachetka, ja panu potrzebuję powiedzieć, że to ukrywanie Jarewiczowej budzi u mnie podejrzenie... może pan z nią romansuje? — śmiał się.

— Może... Wolę z nią, aniżeli z brudnymi faktorami żydowskimi.

— Co to jest? — pobladł z gniewu Reinherc — pan mnie obraża? Ja mam taki honor, jak i pan, pan nie potrzebuje obrażać mój naród! Słyszy pan?

Reinherc zerwał się z krzesła cały zaczterwieniony, już otworzył usta, ażeby wybuchnąć, gdy drzwi się otworzyły od przedpokoju i w nich ukazała się jakaś pani nizka, dobrej tuszy, czerwona na twarzy, w ciemnej sukni i spytała trochę zbyt głośno:

— Czy zastałem pana Lelickiego?

— Jest. Uwiadomiłem go o przyjściu pani i czeka w gabinecie, — odpowiedział uprzejmie Płachetka.

Reinherc uspokoił się natychmiast, usiadł i badał fwarz i układ przybyłej osoby. Za nią cicho, pokornie, ciągle w nizkich ukłonach, wsunął się faktor, żyd Aftermilch i zamienił porozumiewawcze spojrzenie z Reinhercem.

Jarewiczowa szła wprost do gabinetu, nie zapukawszy otworzyła drzwi szeroko i zawała:

— Nareszcie zastałem szanownego pana, bo już byłam tutaj.

— Wiem, żałuję, że mnie pani nie zastała. Zatem interes załatwiony... niechże pani siada... pisał mi o tem pan Woliński.

— O, to twardy człowiek. Czy wie pan, on nie wstydził się skrzywdzić nawet tego poczciwego faktora, który cały interes przyprowadził do skutku.

— Czy go skrzywdził? to wątpliwe, pisze mi bowiem, że faktora opłacił.

— Kłamie ten sklepiec, — zawała obrzona, — sam faktor mi to mówił, on przyszedł tu... Josek! Josek! Chodźno tutaj!

Przez otwarte drzwi gabinetu wsunął się pokornie Aftermilch ze słowami:

— Kłaniam się wielmożnemu panu. Co pani dziedziczka potrzebuje?

— Powiedz, Josek, czy dał ci co ten skąpiec i wyzyskiwacz Woliński?

— Co miał dać? — wzruszył ramionami, — on mi prawie nic nie dał, to taki człowiek, że onby z drugiego koszulę zdjął, ażeby mieć więcej!

— A co? Słyszy pan? — tryumfowała Jarewiczowa.

— Ile dostałeś od pana Wolińskiego? — spytał Lelicki surowo.

— Co miałem dostać? On mi zwrócił moje koszta, furmanki... ja nic nie zarobiłem.

— A jednak pisze mi pan Woliński, że ci dał, — rozwinał list, — dwa procent od sumy kupna.

— Jakie dwa procent? — oburzył się faktor, — on zapłacił osiem tysięcy pięćset rubli, to on powinien był dać sto siedemdziesiąt rubli... On mi żadne dwa procent nie dał, żebym ja był tak zdrów i moje dzieci. Czy to nie jest wielkie słowo? Jabył za tysiące, za miliony tak nie przysiągał. I jak można wierzyć takiemu kłamecy? Jak on mi dał dwa procent, to ja nie chcę ani grosza od wielmożnej pani dziedziczki. Niech sama pani dziedziczka powie, jak on ją zdarł na pługach, na bronach, na wozach... czy tak robi szlachetny człowiek i obywatel?

Lelicki chciał dalej prowadzić śledztwo

w sprawie otrzymanej zapłaty, ale Jarewiczowa pod wpływem żalu do Wolińskiego, wznowionego przypomnieniem faktora, jęła szeroko i długo rozwodzić swe skargi na wyzysk nowonabywcy i kończyła:

— Byłyby mnie obdarł ze skóry, gdyby nie Josek, który stanął w obronie mojej i sierot, — spojrzała z wdzięcznością na Aftermilcha.

— Zatem pani sprzedała swój folwark panu Wolińskiemu, — zaczął Lelicki, — i według naszej umowy należy mi się, w razie dojścia do skutku tej sprzedaży, cztery procent od sumy sprzedażnej, połowa od pani, połowa od nowonabywcy, czyli pani płaci sto siedmdziesiąt rubli.

— Co też pan mówi? — oburzyła się, — czy to możliwe, ażeby pan za proste zawiadomienie mnie, że Woliński chce kupić, żądał takiej sumy? Przecież to wszystko zrobił Josek, on chodził, on targował się, on zrobił zgodę.

— Dlaczegoż pani przyjęła pośrednictwo faktora? Pisałem przecież w liście do pani, że na żądanie podejmę się pośrednictwa z panem Wolińskim i zastrzegłem, że w razie dojścia do skutku tej transakcji bez mego bezpośredniego współudziału, procent umówiony ma pani zapłacić. Mam też u siebie list pani, potwierdzający przyjęcie tego warunku.

— List napisałam, to prawda, — mówiła zaczerwieniona, — ale wówczas nie znałam Joska. On dopiero poprowadził cały interes i jemu się należy właściwie zapłata, za pośrednictwo, nie panu.

— Czy pani mu co dała?

— Co dała pani dziedziczka? — wzmieśała się do rozmowy Aftermilch, — nic wielkiego, to między nami... Może to wystarczyło na koszta, może nie? Ja jeszcze nie zrobiłem rachunku, czy ja mam czas?

— No, tego Josek nie gadaj! — zawołała oburzona, — już nie liczę jaj, kur, gęsi, kaczek i furmanek po ciebie, ale gotówką dostałeś sto rubli, przy podpisaniu umowy, a nie liczę drobnych, które wyciągnąłeś na wydatki.

— Czy ja śmiałbym kłócić się z wielmożną panią dziedziczką? — sklonił się pokornie, — wielmożna pani dziedziczka powiada, że tyle, niech będzie tyle. Ja wiem, że wielmożna pani dziedziczka nie zechce mojej krzywdy.

— Zatem wziąłeś przeszło sto rubli? — spytał go Lelicki.

— Może i wziąłem? Ja jeszcze rachunku nie zrobiłem. Z tym Wolińskim, to było takie zawrócenie głowy, że niech Pan Bóg bronii. Niech sama wielmożna dziedziczka powie, jak on chciał zabrać drabiny, stoły, taczki, piłkę, różne drzewo i żelazo. On

chciał wszystko połknąć, jak ta duża ryba. Czy nie było tak?

— Nie ma pan wyobrażenia, — skarzyła się Jarewiczowa, — jaki to zachłanny człowiek. Ja przez niego może więcej niż pięćdziesiąt rubli straciłam. Co, Josek, nie tak?

— Co nie ma być tak? Wielmożna pani dziedziczka potrzebowała być stratna nie na pięćdziesiąt, ale na sto rubli, może i więcej, kto to zliczy?

— No, tak dalece, to nie. Mam przecież rozum i nie pozwoliłabym na taki bezczelny wyzysk.

— Mnie się tak zdawało, bo ja tak dbałem o dobro wielmożnej pani dziedziczki, jak o swoje własne, a może i więcej jeszcze, ja sam nie wiem?

— Zabrałeś jednak sto rubli, — uśmiechnął się Lelicki.

— Czy ja nie zasłużyłem? Nie zapracowałem uczciwie? Nu, niech wielmożna pani dziedziczka sama powie, czy ja kłamie.

— Co prawda, to prawda. Josek pracował uczciwie i nie żałował trudu.

— Przykro mi, że pani dała zarobić zupełnie niepotrzebnie temu faktorowi aż sto rubli, wystarczyłoby dziesięć... a teraz może pani zechce wyrównać nasz rachunek, sto siedemdziesiąt rubli.

— Pan chyba żartuje?

— Wcale nie.

— Ależ to sensu nie ma... Proszę pana, jeśli ja zgodziłam Pawła, ażeby mi, dajmy na to, skosił morgę łaki, a Paweł nie przychodzi, lecz zjawia się Gaweł i on wykosi, to naturalnie za tę robotę zapłacę Gawłowi, — wyprostowała się dumna, że znalazła taki argument.

— No tak, to jest w porządku, ale czy zawiadomiła pani Pawła, że już czas ciąć łękę, bo ten Paweł umówił się z panią, że przyjdzie z kosą na wezwanie.

— Ee, co mi pan tam będzie mówił o Pawle i Gawle, — nachmurzyła się, — ja nie mogę panu zapłacić, bo co mi zostanie, gdy na wszystkie strony rozrzucę pieniądze? Josek, czy nie mam racyi?

— Wielmożna panidziedziczka ma recht; ale i wielmożny pan ma recht.

— Jakim sposobem? — spytała zdziwiona.

— Wielmożna pani dziedziczka ma recht, bo kantor nie przeprowadził sprzedaży, a wielmożny pan ma recht, bo takie jest prawo handlowe. Kto pierwszy zawiązał interes między dwoma, jemu należy się umówiona prowizja. Czy to nie jest jasne? nie jest sprawiedliwe?

Jarewiczowa zmieszała się, rozumowa-

nie faktora trafiło do jej przekonania, uderzyła w ton prośby:

— Niechże się pan zlituje nademną. Nie wymagaj pan takiej sumy... ja przecież wdowa, mam dzieci, z czegoż żyć będę, jak wykarmię dzieci, jak je wykształcę? Panie, tyle już wydałam pieniędzy, a faktor, a droga, a rzeczy, a najęcie mieszkania i wszystko za gotówkę, tylko płać i płać.

— Współczuję z panią, ale poradzić nie mogę. I ja muszę płacić lokal, patent, urzędników, służbę i muszę zarobić, od tego jest dom komisowy.

— Panie, przecież pan sam ojcem i pomysł, że pana dzieci zostają sierotami... już nie dla siebie, ale dla sierot proszę.

— Wielmożny panie, — odezwał się Aftermilch widząc, że twarz Lelickiego mięknie pod wpływem słów Jarewiczowej, — niech pan coś opuści... Wielmożny pan na innym zarobi, na bogatym... nu, i teraz pan zarobi, bo wielmożna pani dziedziczka mówiła mi, że chce przez kantor dla pewności całej, umieścić osiem tysięcy na hipotece.

— Tak jest... Josek prawdę mówi... już dam pięćdziesiąt rubli, — obliczyła w głowie, że i tak zarabia dwadzieścia rubli, gdyż zamiast sto siedemdziesiąt, płaci sto pięćdziesiąt, — ja przecież nie chcę krywy pana.

Lelickiemu żał się zrobiło, nie jej, ale dzieci i spytał:

— Ile pani ma dzieci?

— Troje. Dwóch chłopaków i dziewczynkę.

— Aj, aj, jakie to mądre, jakie to ładne dzieci! — cmoknął żyd kilkakrotnie.

— Więc niech będzie połowa, — westchnął Lelicki, — zapłaci pani ośmdziesiąt pięć rubli.

Jednak Jarewiczowa prosiła go tak gorąco, a Josek tak wymownie przedstawiła poniesione przez nią straty, że znudzony Lelicki przyjął pięćdziesiąt rubli.

Przyszła sprawa umieszczenia ośmiu tysięcy rubli na hipotece.

— Gdzie ma pani te pieniądze?

— Zostawiłam u rejenta, bałam się przechowywać u siebie taką sumę.

— Bardzo dobrze. Moim zdaniem najlepiej będzie, gdy pani tę sumę umieści na pewnej hipotece.

— Josek radzi mi kupić papiery, ale nie wiem, boję się, to cały majątek dzieci.

— Papiery nie dla pani... przyjdzie chwila ciężka, zmieni pani jeden list, drugi, i pieniądze się rozejdą. O wiele bezpieczniej na hipotece, — a przypomniawszy sobie Nakielską dodał: — mam dla pani zupełnie pewną i dobrą hipotekę... może nawet z mieszkaniem, tańszem aniżeli gdzieindziej.

Pani Nakielska posiada ładną, prawie czystą kamienicę... Otrzyma pani ośm procent i prawdopodobnie tańsze mieszkanie.

Aftermilch słuchając tej rady zakaszła znacząco, nie tyle dla Jarewiczowej, jak dla Reinherca, który i bez tego zaczerwielił się z niepokoju przy swem biurku. Jarewiczowa spojrzała z pod oka na Joska, dostrzegła powątpiewający ruch głową i powiedziała:

— Może mi pan da adres tej kamienicy, pojdę, obejrzę ją, czy mi się podoba, a jutro przyjdę i powiem.

— Ależ, szanowna pani, — uśmiechnął się Lelicki, — czy kamienica podoba się pani, czy nie, to rzecz obojętna. Idzie o hipotekę, a ta jest zupełnie bezpieczna i swoje pieniądze może pani powierzyć. Ręczę pani.

Jarewiczowa jeszcze raz ukradkiem spojrzała na Joska, który wiedząc, że te pieniądze przeznaczył Reinherc potrzebującemu żydowi z Nowolipek, dał kobiecie znak przeczący.

— Co to panu szkodzi, że ja wpierw zobaczę kamienicę, — powiedziała swobodnie, — trudno kota w worku kupować.

— Ha... jeśli pani chce, — napisał adres kamienicy, — niech pani idzie, jutro czeckam panią o tej samej godzinie.

Gdy Jarewiczowa z Joskiem wychodzili

z biura, właśnie Reinherc przypomniał sobie, że zostawił w zarzutce ważne papiery, a biorąc je, wsunął Joskowi kartkę do ręki, którą ten w sieniach odczytał:

„Ona nie może dać pieniędzy na kamienicę Nakielskiej, musi nasz kupić, licytacja już naznaczona“.

Aftermilch uśmiechnął się, schował kartkę i poprowadził Jarewiczową do kamienicy Nakielskiej. Tam, powodowany troksliwością poszedł do kupca żyda w tej kamienicy, ażeby zasięgnąć u niego wiadomości o stanie majątkowym tej kamienicy i obiecał Jarewiczowej, że jutro rano będzie u niej i zda jej sprawę rzetельnie, uczciwie.

Po wyjściu Jarewiczowej, Płachetka poszedł do gabinetu Lelickiego.

— Panie pryncypale, sprawdziłem wykaz hipoteczny kamienicy pana doktora Grzelskiego, — podał papier.

— I co?

— Wszystko w porządku, wypis wierny, opuszczono tylko zastrzeżenie zakładu leczniczego, że w razie sprzedaży kamienicy, prawo pierwszeństwa co do odnajęcia lokalów lecznicy przysługuje wspólnikowi.

— To najmniejsza szarzecz, dziękuję panu, — i zawała głośniej: — panie Reinherc! — a gdy ten się zjawił: — czy widział się pan z Lewite?

— Tak jest, panie pryncypale, on mnie szukał i znalazł.

— Cóż mówił?

— Upewniał, że krokwie już przybite, idzie tylko o blachę, czy dachówkę. Może już skończone dzisiaj.

— Zawsze te obiecanki, — mówił niezadowolony, — idź pan dzisiaj... albo nie... panie Płachetka, pójdziesz pan dzisiaj do tej budującej się kamienicy, wie pan gdzie?

— Wiem.

— Obejrzy pan budynek i jutro zda mi pan relację. Dość mam już tego wyczekiwania.

— Ja chciałem coś jeszcze powiedzieć panu pryncypałowi, — spojrzał Reinherc w stronę Płachetki, ale ani Lelicki, a tem mniej Płachetka nie chcieli zrozumieć nienego żądania pozbycia się świadka.

— Co takiego? Mów pan!

— Zaraz, panie pryncypale... Ja wczo-raj widziałem jednego budowniczego i ja spytałem o kamienicę doktora Grzelskiego, jaka ona jest? co ona warta? Taki budowniczy, on jest specjalista, on powinien wiedzieć. Czy nie tak?

— I co powiedział? — spytał Lelicki.

— Co? On powiedział, że kamienica doktora jest marnie zbudowana i dla doktora, który ma w niej zakład leczniczy, ona swoje pieniądze warta, ale inna spra-

wa dla takiego, co nie ma zakładu leczniczego. Ona dla takiego ma inną wartość.

— Jaką?

— Zakład leczniczy, to on ma jedną salę dla chorych, drugą na kąpieli, trzecią na gimnastykę, czwartą na elektrykę, no, i małe pokoiki dla chorych... To wszystko taki nowy nabywca musi przerobić, przebudować z gruntu... on musi przecież zrobić z tego sklepy, mieszkania, no i to dużo, bardzo dużo kosztuje i nie każdy się zla pie na taki interes. Jak przyjdzie do sprzedawy takiej kamienicy, to będzie dobrze, jak ona pójdzie na licytację za sumę Towarzystwa, a już drugi numer przepadnie. To on mi mówił, ten budowniczy, a czy on ma recht, niech sam pan pryncypał to oceni, co ja mogę wiedzieć?

— Hm... no, tak... jest w tem pewna racja.

— To jest jeden feler, ale jest i drugi...

— Drugi? Jaki?

— Panie pryncypale, mnie bardzo leży na sercu nasz kantor... On powinien być najpierwszy w Warszawie i mieć taką opinię, jak sam Rotszyld. Czy nie tak?

— Ale wróćmy do kamienicy.

— Zaraz... Ten doktor Grzelski miał siostrę, pannę i miał u siebie jej posag. Ta siostra, panna, potrzebowała iść za mąż, a mąż tej siostry, szwagier doktora, po

trzebował posagu, a posag ten cały wydał doktor na lecznicę. No, oni się pokłóciли o ten posag. Szwagier tego doktora wygrał już proces w dwóch instancyach, a on jest teraz w trzeciej instancji, czy może gdzie indziej, bo doktor kręci i furt apelacje zakładą... No, czy tak robi dobry brat? dobry człowiek? Dlaczego on chce sobie przywłaszczyć posag rodzonej siostry? czy to uczciwie? No, i trzeba pomyśleć, jak on będzie kręcił z innym, jeśli tak kręci ze swoją siostrą?... On przegra ten proces, on musi go przegrać, i kamienica pójdzie na licytację, a wtedy co będzie z drugim numerem hypoteki? Trzeba będzie kupić tę kamienicę, a wtedy same tylko wydatki, same tylko rozchody, same niedobory. Doktor myśli, że o tym procesie, o tym posagu, o tem, co on zrobił swojej siostrze i swemu szwagrowi nikt nie wie, a cała Warszawa aż się trzęsie, bo co taki człowiek wart?

— Jest tedy proces... to się trafia w rodzinie, ale dla kamienicy to obojętne.

— Jakto obojętne? To przecież bardzo wielka prawda: lepiej z uczciwym zgubić, jak z nieuczciwym znaleźć, no, a ten doktor bardzo nieuczciwy, co on zrobił z siostrą? z jej posagiem?... I ten pan Taśnik, — uśmiechnął się Reinherc ironicznie, — on chce wycofać pieniądze na kupno fabryki

oleju, a fabryka już sprzedana, on boi się, że straci na kamienicy i chce ubrać drugiego w tę stratę!... Ja bardzo przepraszałam pana pryncypała, że mieszam się do rzeczy nie mojej, ale mnie tak na sercu leży dobra opinia kantoru, że nie mogłem milczeć, ja musiałem to powiedzieć. Czy pan pryncypał gniewa się na mnie?

— Po co pan pytasz, czy chcesz ażebym cię chwalił?... Dziękuję panu za te wiadomości... zastanowię się. Może to istotnie niepewny interes?

— Co niepewny? — zawała Reinherc, — on jest słaby, on mocno chory i niebezpiecznie, ja nie wiem, czy on przeżyje ten rok? No, a licytacja, czy ona przyjemna? a co powie kapitalista, który nie chce kamienicy i kłopotów, tylko chce mieć pewny procent? Czy on będzie kontent z kantoru?

— Istotnie nasuwają się pewne wątpliwości... trzeba być ostrożnym.

— To nie są wątpliwości, panie pryncypale, to fakty, a z faktami, jak to często powtarza pan pryncypał, potrzeba się liczyć. To nie jest żaden mój interes, mnie nic nie da ani kapitalista, ani doktor, ja to mówię z wielkiego przywiązania do kantoru. Ja z niego żyję, jem i piję, dlaczego mam źle życzyć kantorowi?

Płachetka przez cały ten czas przypa-

trywał się bacznie Reinhercowi i był z całym uznaniem dla jego sprytu i znajomości sprawy. Onegdaj był dopiero doktor Grzelski, a ten już wie nietylko o jego stanie majątkowym, o kamienicy, ale i o stosunkach rodzinnych. Jaki jednak on ma interes w tem, ażeby doktor nie dostał pieniędzy na hipotekę, bo że ma interes, to jasne.

Obadwaj współpracownicy przeszli do biura, a gdy zbliżył się czas zamknięcia, rzekł Reinherc przyjaźnie:

— Panie Płachetka, ja mam interes w stronie kamienicy Lewitego... pan także, może pojedziemy razem?

— Nie. Mam do załatwienia kilka spraw, pojedzie tam później.

— A kiedy to być może?

— Tak między siódmą a ósmą.

— Czy nie zapóźno?

— Wcale nie, dzień będzie jasny jeszcze.

— To prawda i dlaczego ja zapomniałem?

Reinherc, gdy tylko opuścił biuro, wszedł do cukierni najbliższej po drodze i zatelefonował:

— Numer 2037!... Czy jest Osip Mojżeszowicz Lewite w swoim sklepie? ...Niema? to wielka szkoda, interes ważny, bardzo ważny, bardzo pilny, gdzie ja jego znajdę?...

U kogo? U Aleksandra Aronowicza Podlisszewera?... który numer?... Dobrze, już wiem!

Odłożył słuchawkę i czekał chwilę, a jeden z gości cukierni, który czekał na wolny telefon, spytał:

— Czy pan już skończył?

— A pan, czy nie widzi, że jeszcze stoję? Niech pan siądzie i czeka.

Garson, słysząc tę rozmowę i widząc butnią minę Reinherca, rzekł:

— Telefon nie jest dla przechodniów z ulicy, ale dla gości, czy pan obstawał już?

— Co to jest? Ja na takie zuchwałstwo pójdę do gospodarza, poskarżę się. Ja taki gość, jak inny! — krzyczał Reinherc.

— Gość? A co pan je? co pije?

— Ja nie pozwolę na takie obrażenie! Ja zaraz nauczę ciebie grzeczności. Ty zobacysz, kto ja jestem.

— Widzę, żyd!

Reinherc spaśował, ale interes był pilniejszy, przyłożył do ucha słuchawkę i mówił:

— To ja, Reinherc, czy jest Osip Mojżeszowicz Lewite?... To interes do niego, pilny... ja zaczekam... Co słyszać z dachem?... Aj, to źle! On postał dzisiaj... Nie mnie, innego... trzeba coś radzić, ale zaraz... Do cukierni, na Dzikie ulice?... Dorożką?

No, a kto zapłaci?... Aj, co ja już miałem kosztów, ja przyjdę... Ja rozumiem, że to nasz interes, ale zaco ja mam płacić dorożkę?... Kiedy płacicie, ja jadę, ja już na Dzikiej.

Odłożył słuchawkę, widział drwiące spojrzenia gości. A możeby się poskarżyć gospodarzowi? Ale czy taki prosty goj, taki garson, może mnie obrazić? to taki pies co szczenka. On nie wart skargi. Wyszedł i siadłszy do dorożki kazał się wieźć na Dziką. Rozparł się, nogi wyciągnął, kapelusz przesunął trochę w tył głowy i na bakiern, na lewą stronę, jak jest stałym zwyczajem wszystkich żydów, i jechał, patrząc z góry i z pogardą na idących pieszo.

Zajechał przed cukiernię i zapłacił dorożkę. Znalazł Lewite i Podlisszewera w drugim pokoju i witając się rzekł:

— Oddajcie mi, Osipie Mojżeszowiczku, dwadzieścia pięć kopiejek za dorożkę.

— Za jaką?

— Powiedzieliście, żebym przyjechał na wasz rachunek, teraz oddajcie.

— To był żart, poco jechać dorożką?... Nu, dobrze, ja zapłacę, ale kurs kosztuje dwadzieścia, nie dwadzieścia pięć.

Naprózno Reinherc upierał się, tłomaczył, gniewał... Lewite stanowczo odmówił dopłacenia pięciu kopiejek, a Abram, nazy-

wający się dla gojów Aleksandrem, Podlisszewer, rzekł tonem mentora:

— Jankiel Boruchowicz, ta nauka dla ciebie potrzebna, „piataczek” to pieniądz, a może dorożkarz był goj i ty jemu dałeś nasze zarobione pieniądze, a u nas ten pieniądz zrobiłby pieniądz. Czy ty to pojąć?

— Co nie miałem pojąć? ale zawsze mi żał pięciu kopiejk i ja dziś nie napiję się kawy. Co mam robić, ja nie mogę być stratny.

— Jankiel, ty żonaty? — spytał nagle.

— Nie, majątna jeszcze mnie nie chce, a biednej, ja już nie chcę.

— Ty mądry i tobie trzeba się ożenić! Ja już wiem, że twoja żona będzie miała wszystko dobre i twoje dzieci także. Czy ty pomyślisz o tem?

— Dlaczego nie? Tylko ja bez posagu nie chcę, bo i poco?

— Wiesz, co ja ci powiem? Ten interes może da się zrobić. Dobrze?

— Jankiel, — zawała nagle Lewite, — czy ty za moje pieniądze przyjechałeś, ażeby swoje interesu załatwiać? Ty potrzebujesz mi zwrócić moje dwadzieścia kopiejk, albo ty potrzebujesz mówić o moich interesach. Czy rozumiesz?

— A poco ja tu przyjechałem i dopłaciłem pięć kopiejk? No, za interesem, a jak

wy milczycie, naco ja mam psuć sobie gębę i gadać?

— Ty gądaj co jest?

— Ja temu Lelickiemu powiedziałem wszystko o doktorze Grzelskim, on się złąkł i on będzie zwlekał z daniem pieniędzy, a wy dach róbcie! Słyszcie?

— Jak mam robić? Czy ja wylezę na dach i będę pracował jak czarnoroboczy? Ja płczę, a on niech robi, a może dach jest?

— Osipie Mojżeszowiczu, ja już widzę, że wy dokończycie tej kamienicy swoimi pieniędzmi, a nie gojów, jak wy obiecaliście wszystkim. Dziś posłał Lelicki do waszej kamienicy Płachetkę.

— Kto to Płachetka?

— Goj, co ze mną siedzi w kantorze.

— A czego on jego posłał?

— Czego? No, on ma zobaczyć gotowy dach. Jak on pójdzie i zobaczy, że dachu niema i powie to Lelickiemu, to ja nie ręczę, czy dostaniecie te pieniądze; a co wy na to?

— Co ma ten Płachetka?

— On ma to co na sobie, co on ma?

— A ile on bierze na miesiąc?

— Siedemdziesiąt pięć, a ja biorę sto, bo czy ja nie znám się na interesach? — uśmiechnął się z dumą.

— To ja jemu dam pięć rubli i dach będzie stać. Co? Nu, Jankiel, co?

— Taki goj, on się nie zna na delikatności, on możeby wziął, ale on się boi.

— Co ma się bać? Czy pięć rubli jego ugryzą? — zaśmiał się, — a jak on raz weźmie, to on już nasz. Czy nie tak?

— Taki goj, — rzekł Podliszewer, — on może wziąć pięć rubli i nic nie zrobi.

— Wy, Abrum Aronowicz, może macie recht, — skinął głową Reinherc, — i ja bałbym się dać jemu pięć rubli. Kto wie, co on zrobi?

— Nu, tak co będzie? — spytał Lewite, drapiąc się w brodę, a chcąc podniecić Reinherca, dodał: — ja widzę także, że wasza prowizya, Jankiel, przepadła, bo nie dostanę ja, nie dostaniecie wy, czy była taka umowa?

Reinherc poczerwieniał, ale uśmiechnął się i rzekł prawie wesoło:

— Osipie Mojżeszowicz, naco te żarty? Ja wiem, że wy potrzebujecie bardzo tych pieniędzy goja, bo gdzie podzieje się wasze słowo kupieckie? A nie weźmiecie wy tych pieniędzy i przepadnie u was moja prowizya, to inny pożyczycy te pieniędze i kto inny zapłaci mi prowizję. Wy możecie straszyć dzieci kominiarzem, albo psem, ale nie mnie. Czy myślicie teraz, że ja się złęknę o moją prowizję? Ja was popieram gorąco, bo wy nasz, a kto mi bliższy nad swego?

— Ozyasz! Czy ty wiesz, co ja ci powiem? — odezwał się Podliszewer, — Jankiel ma dobrą główkę, on ma recht. Czy ty tego sam nie powiesz?

— Poco ty mnie pytasz? — mówił zniecierpliwiony Lewite, — ty radź, co robić?

— A dlaczego ty mnie nie spytał? Ja mam radę, a ty ją chcesz?

— Nu?

— Ty potrzebujesz zaraz pobiegnąć na twoją budowlę. Tam są jeszcze chłopy, ty daj im wódki i po pięć kopiejek, i niech oni ciągną na sam wierzch drzewo, deski, patyki... i niech ciągną... i ciągną, póki ten łapserdak od Lelickiego będzie patrzał paskudnimi oczami... nu, a ty mu wy tłumacz, jak ty na wielki gwałt pracujesz, czy rozumiesz?

— Dlaczego ty, Abrum, dopiero teraz to powiedział? — wstał z krzesła, — ja idę, ja już na budowli, oni już ciągną... a ty, Jankiel, chodź ze mną, bo jak ja poznam tego goja?

— I ja z wami, — zawała Podliszewer, — ja chcę widzieć mój plan.

Za chwilę wsiedli do dorożki i pojechali. Przybyli w chwili, gdy robotnicy zaczynali się rozchodzić. Lewite poszwargotał z przedsiębiorcą żudem, i w jakiś czas zaczęli robotnicy wyciągać w górę deski i krokwie, zaś Lewite, Podliszewer i Rein-

herc ze środka domu rozpatrywali się po ulicy, aż szepnął Reinherc:

— Goj idzie!

— Gdzie? Który? — patrzał Lewite ciekawie na ulicę.

— Ten w jasnym kapeluszu, ma bladość na twarzy, laska w ręku... on patrzy.

— Ja już idę! — szepnął Lewite i mimo tuszy poszedł szybko w stronę Płachetki, a zbliżywszy się, ukłonił się uprzejmie i rzekł po rosyjsku:

— Ja sam nie wiem, czy mam powiedzieć dzień dobry, czy dobry wieczór, bo teraz tak jasno na świecie, prawda?

— No, tak, — mruknął zdziwiony Płachetka.

— Co ja widzę? Pan mnie nie poznaje? To bardzo dziwne, a ja zaraz pana poznął, z daleka, bardzo z daleka.

— Ależ przeszędłem z bocznej ulicy, — odpowiedział po polsku.

— Daruj pan, że ja nie mówię tym językiem... ja już rozumiem... ja się jego wyuczę... ale jeszcze nie mogę. Nu, co słyszać w kantorze? Lelicki potrzebuje być zdrów?

— Tak jest.

— Ja widzę, że pan tak patrzy na moją kamienicę, co? Prawda, że ładna? A jaka wysoka, aż na pięć pięter. Ja pilnuję dachu, i to ja sam, co mam robić, kiedy mi

robią zawód? Ja zapłaciłem dobrze chłopom, ażeby dach dzisiaj był gotów.

— Ależ dopiero wciągają belki czy deski!

— Nu, a można dach zrobić bez belki i deski? Oni całą noc będą robili, taki jest mój rozkaz, dach musi być gotów na jutro... czy on nie będzie gotów?

— Nie wiem... może materyał wciągną, ale zanim ustawią, przybiją, przykryją, upłynie kilka dni.

— Co to jest kilka dni? On jutro stanie, może rano, może wieczorem, ale on stanie. Niech pan przyjdzie jutro, a pan zobaczy. Pan mieszka w tych stronach, czy zaszedł przypadkiem?

— Tak sobie... i żegnam pana.

— Dlaczego nie do widzenia? Ja jutro albo pojutrze przyjdę po pieniądze do Lelickiego, my się zobaczymy.

Gdy pożegnał Płachetkę, podrażniony tem, że musiał być grzeczny dla takiego goja, łapserdaka, zaklął:

— Szlag zoł dich treffen! paskudnik! — i splunął kilka razy.

— Nu, co jest? — spytał Podliszewer.

— Co ma być? Ja byłem dla tego goja grzeczny, delikatny, a on ze mną mówił jak rewiowy... jak inspektor od akcyzy. Czy słyszycie?

— Ozyasz, a dlaczego goj nie ma być

głupi? On jest także głupi, oni wszyscy są głupi! Co tobie to szkodzi?

Wszczęli rozmowę o interesach, wracając do siebie, a gdy Reinherc został z Podliszewerem, ten, zatrzymując go na trotuarze, rzekł:

— Jankiel, ja tobie coś powiem, z czego ty potrzebujesz się rozradować.

— Dlaczego nie? żeby tylko było z czego?

— Czy wiesz Jankiel, dlaczego ty mi się tak spodobał?

— No?

— Bo ty tak żałowałeś tych pięciu kopiejk, i także dlatego, że ty robisz interesy dobre przy Lelickim, i także dlatego, że ty masz dobre serce dla swoich. Czy ty słyszysz?

— Dlaczego nie? Ja już taki dobry człowiek i nie pierwszy Podliszewer to mi mówi. Nie wierzycie?

— Co mam nie wierzyć, ale jak tobie to kto mówi, to inne jest gadanie, a jak ja, Podliszewer, mówię, to znów inne gadanie, czy ty rozumiesz?

— A jakie jest wasze gadanie?

— Zaraz... Jankiel, jak ty chcesz być bogaty, szczęśliwy i szanowany, ty potrzebujesz się ożenić z moją siostrzenicą, wy pasujecie do siebie. Ona jest oszczędna, ona jest sprytna do handlu, ona jest zdrowa

i wy będącie mieli dużo zdrowych dzieci... i ona ma posag, i dobry posag, gotówką.

— Ile?

— Ona ma trzy tysiące i ładną wyprawę. Ona z familii pochodzi; jej pradziadek był pierwszy kupiec w Pińsku, jej dziadek był pierwszy kupiec w Grodnie, a jej ojciec ma manufaktury magazyn na Nowiniarskiej rów Franciszkańskiej. Ona pracuje w tym magazynie i ma dziesięć rubli na miesiąc i życie na cały dzień.

— To mała pensja, co z nią robić?

— Jankiel, a naco kobiecie więcej? Czy na to, żeby ona się stroiła? Czy żeby miała dużo spódnic i kapeluszy?

— A jaka ona?

— Co ma być jaka? Nu, dziewczyna, jak dziewczyna... ona do mnie podobna, bo ja jej wuj.

Reinherc spojrzał na spuszczony, mięsistы nos, szerokie usta, na wielkie, odstające uszy.

— Ona ładna... czy wiesz, co ona mi powiedziała: wuju, ty mi pożycz tysiąc rubli na piętnaście procent, ja sobie założę na Marszałkowskiej sklep z konfekcją damska, ja zrobię majątek, bo goje wszystko kupią, tylko trzeba umieć sprzedawać, a ja to umiem. I wiesz, Jankiel, jak ty jej nie chcesz, ja jej dam tysiąc rubli, interes pójdzie, on musi iść, ale ona potem ciebie nie

zechce... ona zrobi majątek, żebym ja tak zdrów był, a moje wrogi pozdychali. Nu, co ty?

— Ja? Ja potrzebuję się namyśleć.

— A kiedy skończy się twoje namyślenie?

— Jak ona się nazywa?

— Masza Nostenower.

— Ja ją jutro zobaczę... tylko posag taki mały, co z nim zrobić?

— Ona sama jest największy posag. A ty ile masz?

— Ja mam dwa tysiące pięćset i jedną ósmą sklepu tabaczego.

— Nu, czego chcesz? Posagi równe, ona będzie pracowała w sklepie, ty w kantorze, a wieczorem i rankiem wy naradzicie się nad interesem. Co ty na to?

— Ja zobaczę ją i my pogadamy. Dobrze?

— Czy dobrze? ja nie wiem, ja tylko dla ciebie to zrobię, że zaczekam trzy dni, bo za trzy dni będzie do wynajęcia sklep na ulicy Marszałkowskiej, ładny sklep, dobry sklep, a nie będzie on dla was, to ja go wynajmę dla mego kremwego z Moskwy; ale ty się namyślisz, i ty mi zatelefonujesz, to my pogadamy, co z tego będzie.

— Dobrze... a kiedy wy w domu?

— Pomiędzy piątą a szóstą jestem za-

wsze i ja czekam telefonu, — pożegnali się i rozeszli.

## IX.

— Panie Płachetka, — spytał Lelicki, wchodząc do biura, — był pan wczoraj przy kamienicy Lewitego?

— Byłem około siódmej, przy mnie wciągali robotnicy drzewo na budowę dachu.

— Więc go niema?

— Wczoraj nie było, ale Lewite, który rozmawiał ze mną, upewniał mnie, że robotnicy będą pracowali i w nocy, a dach skończą dzisiaj, o czem jednak wątpię.

— Dlaczego?

— Za mało było robotników i robili ospale, jakby od niechcenia.

— Ale że on poznął pana? Czy przedtem rozmawiał pan z nim kiedy?

— Nigdy. Widziałem go tutaj tylko.

— Jaką jednak pamięć mają ci żydzi i jak wyborne obserwują, — pochwalił Lelicki.

Popołudniu, w oznaczonym czasie, przyszła Jarewiczowa w towarzystwie swego faktora, Joska Aftermilcha, i zasiadła w gabinecie szefa.

— Widziała pani kamienicę pani Na-

kielskiej? — spytał Lelicki po przywita-  
niu, — podobała się pani?

— No, tak... kamienica wcale ładna, ale  
nie myślę lokować na niej moich pie-  
niędzy.

— Dlaczego?

— Proszę pana, właścicielka kamienicy  
jest w przededniu bankructwa... lada dzień  
ją zlicytują i bardzo mnie to dziwi, że pan,  
znający się na interesach, może mi propo-  
nować podobną lokatę, i to sumy stanow-  
iącej jedyny fundusz wdowy i sierot, —  
mówiąc głośem rozdrażnionym.

— Panią fałszywie poinformowano. Ka-  
mienica według oceny Towarzystwa po-  
siada wartość stu piętnastu tysięcy rubli.  
Pożyczka trzydziestu tysięcy jest w po-  
łowie umorzona, zostało tedy piętnaście ty-  
siecy, a pani przychodzi na trzecie miejsce  
z ośmioma tysiącami, czyli mieści się pani  
w trzydziestu ośmiu tysiącach na sto pię-  
tnaście. Trudno o lepszą i pewniejszą lo-  
katę.

— To tak wygląda na papierze, ale  
w rzeczywistości inaczej, i nie jestem fał-  
szywie poinformowana, ale pana, jak przy-  
puszczam, wprowadzono w błąd. Ja, panie,  
jestem matka, ja muszę dbać o moje dzieci  
i być bardzo ostrożną, i tam gdzie mężczy-  
zna widzi tylko cyfry, serce matki prze-  
czuwa niebezpieczeństwo grożące jej dzie-

ciom, — mówiła z patosem. — Papier jest  
cierpliwy, pan może tak i' owak przedsta-  
wiać interes, ale ja, matka, przeczuwam co  
złe, a co dobre.

— Tu niema nic do przeczuwania, tu  
są fakta i cyfry stwierdzone urzędowo.

— Dla pana, ale nie dla mnie. Ja prze-  
cież doskonale rozumiem, że panu, jako  
pośrednikowi, zależy na zrobieniu interesu  
i zadowoleniu jednej i drugiej strony, ale  
co innego matka. Ona musi dbać przed-  
wszystkiem o interes swych dzieci.

— Zgoda i na to, proszę panią, ale co  
pani ma do zarzucenia lokacie swych pie-  
niędzy na kamienicy Nakielskiej?

— Co? I pan się jeszcze pyta? — zwo-  
łała oburzona, — a to mi się podoba! Otóż  
ja powiem panu. Ona była winna żydowi  
dziesięć tysięcy rubli...

— Tak, to prawda, — skinął głową Le-  
licki.

— Żyd wymawia jej tę sumę przed  
kwartałem, bo obawia się straty. Ona szuka  
pieniędzy, rozbija się, daje dziesięć procent  
i każdy boi się dać, chociaż tyle pieniędzy  
jest w Warszawie. Towarzystwo jej odma-  
wia, banki także, bo przecież to jasne, jeśli  
żyd, który tak chętnie ryzykuje pieniędze,  
boi się o swój kapitał, to tam musi być  
bardzo złe.

— To trudno, nie chce pani, to nie, ale

upewniąm panią, że gdybym miał wolne pieniądze, swoje własne, dałbym natychmiast na kamienicę pani Nakielskiej.

— Panu wolno, ale nie mnie, jako matce.

— Hm... mamy inne lokaty hipoteczne, jeśli się pani ta nie podoba, ale może pani mi nie dowierza, ja wcale nie zmuszam, w Warszawie znajdzie pani dosyć pośredników.

— Kiedy ja nie chcę innych, tylko pana, mam zaufanie do uczciwości i rzetelności pana. Każdemu wolno się pomylić, koi ma cztery nogi i potknie się, cóż dopiero człowiek?

— Panie Reinherc! — zawałał przez otwarte drzwi.

— Słucham, panie pryncypale.

— Dajno pan wykaz tych, którzy zgłosili się o pożyczki hipoteczne.

— Zaraz, panie pryncypale. — Przyniósł książki i mówił: — Mamy zanotowanych ośmiu kandydatów, ale to wszystko na większe sumy. Jest tylko Majer Munkier, na Nowolipkach, kamienicznik i kupiec, on potrzebuje akurat ośmiu tysięcy na trzeci numer, daje ośm procent, ale ja myślę, że on da ósm i pół.

— Czy zostawił wykaz hipoteczny?

— Dlaczego nie? Ja nie przyjmuję zgłoszeń żydowskich inaczej, jak tylko z wy-

kazem, bo nie każdy żyd jest pewny. Czy mam przynieść?

— Proszę.

Lelicki wziął podany arkusz papieru, odczytał i rzekł.

— Kamienica, według oceny, posiada wartość siedmdziesięciu pięciu tysięcy. Towarzystwa trzydzięci pięć; posag żony dwadzieścia tysięcy; pani Natalii Perskiej dziesięć tysięcy; Mojżesza Flamgolda ósm tysięcy, razem siedmdziesiąt trzy tysiące.

— Pan Munkier chce właśnie spłacić Mojżesza Flamgolda, — objął Reinherc, — lokata pewna, bo właściciel kamienicy ma wielki sklep i on tę kamienicę trzyma jako dodatek na wygodne mieszkanie dla siebie.

— Jakże pani uważa tę lokatę? — spytał Lelicki.

— Ja polegam na zdaniu państkiem: powie pan dać, to dam. Nie znam się przecież na interesach.

— Mojem zdaniem, ta lokata nie przedstawia tej pewności, co na kamienicy pani Nakielskiej. Wprawdzie pani suma mieści się w sumie wartości kamienicy, ale to ostatni numer.

— A jak się nazywa ten żyd, kamienicznik?

— Majer Munkier.

— Josek! Josek! — zawała na fakto-

ra, — o jakiej to kamienicy mówiąłeś?  
Wiesz, ten żyd, u którego byliśmy rano.

— To kupiec, Majer Munkier, pani dziedziczko.

— A, to ten sam! — powiedziała ucieczona, — ładna kamienica, może trochę mniejsza od kamienicy Nakielskiej, ale dużo sklepów, a ludzie nawet w piwnicach mieszkają, ona musi dawać ogromne dochody.

— Nu, a jego sklep i skład, to nic? — uzupełnił faktor.

— Tak, to prawda... i wie pan co, ja decyduję się na tę kamienicę.

— Dobrze, ale ostrzegam panią, że pani wchodzi na ostatni numer i w razie sprzedaje kamienicy, musi pani ją nabyć.

— A cóż byłoby w tem złego? — zasmiała się, — za osiem tysięcy zostałabym właścicielką takiej kamienicy, co daje ogromne dochody.

— Ale musiałaby pani zapłacić trzydzieści tysięcy żonie właściciela i pani Perskiej.

— Wielmożny panie, taki Munkier, ze swego sklepu mógłby kupić pięć takich kamienic, — odezwał się faktor, — wielmożna pani dziedziczka widziała ten sklep. Wielmożna dziedziczka może spać spokojnie, bo jest sklep.

— Tak jest, nawet nabrałam na suknię

kaszmiru czarnego, bardzo tanio, a materiał wyborny.

— Więc jakże, — spytał Lelicki, — decyduje się pani? i da pani na ostatni numer?

— A jaki da procent?

— Ja mam zapisany ósmy, — rzekł Reinherc, zaglądając do książki.

— A ja ręczę, że da osiem i pół, — zawała faktor, — w tem moja głowa, i ja wiem, że pani dziedziczka nie pożałuje mi za moją fatygę.

— Ostatecznie jeśli da osiem i pół procent, oddam mu osiem tysięcy na hypotekę, ale procent z góry.

— Ja już to zrobię, — ofiarował się faktor, — on musi zapłacić procent z góry na cały kwartał.

— Nie chciałbym, aby pani później na mnie narzekała, — mówił znowu Lelicki, — a cały ten interes wydaje mi się niepevnym.

— E, bo pan ma jakieś uprzedzenia. Ja widziałam tę kamienicę i sklep, i pieniądze dam, większy procent też ma swoje znaczenie.

— A jak będzie z kosztami wpisu hipotecznego? — spytał Lelicki.

— Nu, jak ma być, — zawała Josek, — przecież wielmożna pani dziedziczka nie może sama płacić, nie dość że daje, jeszcze

ma dopłacać? To musi iść na połowę. Ja nie mogę pozwolić na krzywdę wielmożnej pani dziedziczki.

— Ty nie masz tu nic do gadania, — zgromił go Lelicki, — zazwyczaj proszę pani, koszta rejentalne płacą obie strony do połowy, ale tu, ze względu, że suma jest na czwartym numerze, Munkier niech zapłaci dwie trzecie, a pani jedną trzecią. Munkier w tym wypadku nic nie ryzykuje, a przeciwnie spłaca dług, którego dopomina się prawdopodobnie natarczywie Mojżesz Flamgold.

— Pan ma zupełną słuszność, — zwołała Jarewiczowa, — słyszysz Josek, nie płacę więcej ani grosza, tylko trzecią część kosztów, albo nic z interesu.

— Aj, aj, nu, co mam robić? Ja będę prosił kupca... Ja będę namawiał, ale co ja mogę wiedzieć?

— Wszystko mi jedno, — upierała się pani, — albo? albo? Wybieraj!

— Nu, ja myślę, że on się zgodzi, bo wielmożna pani dziedziczka kupiła w jego sklepie kaszmiru, a może pani dziedziczka jeszcze kupi coś dla córeczki, albo dwóch paniczów, on ma doskonały, a taki tani towar. Czy nie tak?

— Istotnie tanio... może coś wybiore, ale płacę tylko trzecią część kosztów.

— Dobrze, ja to zrobię, a kiedy pój-

dziemy do rejenta, wielmożna pani dziedziczko?

— Kiedy? — spojrzała na Lelickiego, — ja bez pana nic nie podpiszę, ja na temnicę nie znam i boję się, że żydzi jeszcze mnie oszukają. A możeby tak pójść jutro, co? ma pan czas?

— Dobrze, proszę pani, jutro o jedenaście będę u rejenta.

Po jej wyjściu, Lelicki, ulegając pierwszemu wrażeniu, zwrócił się do Reinherca:

— Ależ ona głupia! Opętał ją ten faktor i ona zaufała temu żydowi więcej aniżeli mnie, ależ głupia!

— Panie pryncypale, czy ona jedna taka głupia? Te żydkie, faktorzy, mają talent do tego, oni zawsze mają wiarę... Pan pryncypał dawał jej taką hipotekę jak złoto u pani Nakielskiej, a ona woli Munkiera, co na to poradzić?

— Może się jednak rozmyśli i nie da na ten czwarty numer, — mówił zwolna Lelicki, — jeszcze raz ją ostrzegę przy rejencji.

— Pan pryncypał bardzo szlachetny, ale ja wiem, że ona nie usłucha. Jak ona raz wypadła w ręce żydów, to już nikt jej nie wyrwie... ona jest jakby oślepiona, czy to ja pierwszy raz widzę?

— No, zapewne, ale i to prawda, że-

żaden mężczyzna nie oddałby się tak w szpony żydów, jak ta baba.

— Panie pryncypale, to różnie bywa, czasem trafi się taka kobieta, a czasem taki mężczyzna, czy nie tak?

Zaledwie Reinherc skończył to zdanie, gdy wszedł sapiąc głośno Lewite i rzuciwszy słowo powitania po rosyjsku, mówił:

— Strach, jakie gorąco, — ocierał spoccone czoło ręką, którą następnie suszył, trąc ją o marynarkę, — i jaki tu głupi zwyczaj, zawsze w ubraniu i w ubraniu. Czy nie tak?

— A wy Osipie Mojżeszowiczu, chcilibyście jak dziki, chodzić nago? — zaśmiała się Reinherc.

— Najprzód ja do was nie mówiłem, tylko do gospodarza, — rzekł z udaną obrząą, — i co to jest nago? Ja sobie przypomniał, że my w Moskwie, jak takie gorąco, chodzimy wszyscy w rubaszkach, to i zdrowo, i lekko. Nam trzeba to zaprowadzić tutaj, i naco nam się piec?

— My przywykliśmy do słońca... a z czem pan przyszedł, panie Lewite?

— Ja? Nu, z czem, jak nie z wiadomością, która i pana ucieczy. Mój dach już jest!

— To dziwne, panie Lewite, — mówił Lelicki, — wczoraj był tam pan Płachetka i dachu nie było.

— A, pan Płachetka zwrócił się do siedzącego — zdrastwujcie; nu, tak ten pan był i może powiedzieć, jak pracowali robotnicy, wciągając drzewo na dach. Oni pracowali całą noc i cały dzień, bo teraz pogoda, ale może przyjść deszcz i wszystko zamoknie. Dziś już wystawili gałąz na znak skończenia i to mnie dużo kosztowało, oni lubią wódkę, nu, niech piją. Czy to mi szkodzi?

— Ale pokrycia niema?

— Co to pokrycie? Blacha już gotowa na dole, zaciągną na górę i jest już pokrycie. Czy ja panu mam to tłumaczyć? Czy pan dziecko?

— Było jednak umówione, że płacę, gdy dach będzie gotów, a co za dach, gdy nie ma pokrycia?

— Daruj pan, ale mnie się wszystko zdaje, że pan szuka jakiejś przyczepki. Kamienica stała już, pan żądał dachu; nu, dach jest już z gałęzią zieloną, pan żąda pokrycia. Niech pan mówi wyraźnie, jak prawdziwy człowiek, czy pan chce, czy nie chce dać pieniędze? Chce pan, to pójdzemy do hipoteki, zrobimy umowę, pan mi wypłaci czterdzieści tysięcy, ja zapłczę процент i pańską prowizję, nu, interes skończony. Czy nie tak?

— Kiedy przykrycia niema?

— Co jest przykrycie? To formalność

czysta; idzie o kamienicę, o mury. Czy pan daje te pieniądze na przykrycie? Co? Pan daje na całą kamienicę z placem, murem, dachem, ale nie na przykrycie. Ja i tak jestem bardzo stratny, że tak długo czekam na moje pieniądze, nu i ten pan, co daje kapitał, także stratny, bo ja nie zapłaciłem mu procentu... a teraz znowu strata i za co? za głupie przykrycie, czy tak powinno być w handlu?

W tej chwili wszedł postanec i oddając list Lelickiemu rzekł:

— Pan doktor Grzelski prosi chociaż o kilka słów odpowiedzi.

Lewite i Reinherc zamienili porozumiewawcze spojrzenie ze sobą, pochwycione przez Płachetkę, a Lelicki zwrócił się do żyda:

— Proszę zaczekać chwilę, — wszedł do swego gabinetu.

Lewite zaniepokojony, widząc Płachetkę, pozornie pilnie piszącego, rzucił ciche pytanie:

— Nu, co będzie?

Reinherc w odpowiedzi najpierw wzruszył ramionami, a potem uśmiechnął się i skinął głową.

Lelicki usiadłszy przy swem biurku, przygotował papier listowy, a wziawszy pióro do ręki zawałał się. Co odpowiedzieć doktorowi? Czy dać żądaną sumę?

Hipoteka dobra, pewna, możnaby jemu dać dwadzieścia osiem, a reszta, dwanaście tysięcy, Nakielskiej, uratowałby może ją z rąk żydowskich; tak, to byłoby dobrze. Dogodziłoby się doktorowi, Taśnikowi i Nakielskiej. Chyba dać, bo lepiej swoim jak temu litwakowi, tylko ten proces, no, ale o procesie rodzinnym nie wypada mu piisać, póki niema zastrzeżenia w hipotece... Chyba da... a jeśli ten proces toczy się o znaczną kwotę... jeśli przyjdzie do licytacji? Wyraźnie zastrzegł się pan Stawiski, właściciel kapitału, że woli raczej mniejszy procent, ale bez żadnych zawikłań, procesów, a z tą kamienicą Grzelskiego może wpaść w kłopoty. No i już sam proces ze szwagrem rzuca złe światło na charakter doktora...

A tu jest Lewite, bierze całą sumę, nie część jakąś, chyba lepszy Lewite... i nie namyślając się dłużej odpisał, że właściciel kapitału cofnął niespodzianie poprzednie rozporządzenie co do umieszczenia kapitału, że zatem mocno żałuje etc. etc., ale nie może służyć żadaną sumą.

Napisał list, włożył w kopertę i przeszedł do biura, ażeby oddać odpowiedź posłańcowi.

— Nu, i co będzie, Marku Antonowiczu? — spytał Lewite głosem wbrew woli zaniepokojonym, — czy długo będę czekał?

— Jeśli krokwie są ułożone, dostanie pan pieniądze.

— One są, — uśmiechnął się tryumfalnie, — pan sam może zobaczyć... a kiedy pójdziemy do hipoteki?

— Chyba jutro, bo i tak mam interes w hipotece.

— O której godzinie?

— Około dwunastej.

— Nu, ja tam będę. — Pożegnał się i kłysząc się na grubych nogach wyszedł z biura, kiwnąwszy protekcyjonalnie głową Reinhercowi, pomijając rozmyślnie niepotrzebnego mu Płachetkę.

Na drugi dzień Reinherc przyszedł po południu taki wyścieżony, wygolony, odświętne ubrany, że zwróciło to uwagę Lewickiego i spytał go:

— Gdzież to wybierasz się, panie Reinherc? Czy z wizytą, czy z oświadczeniami?

— A pan pryncypał to zauważył?

— Naturalnie, zwłaszcza, że pan masz taką uroczystą minę.

— To nie jest żadna wielka uroczystość, ja potrzebuję tylko iść z wizytą i prosiłbym pana pryncypała, ażeby mi dziś pozwolił wyjść z kantoru trochę wcześniej jak zwykle. Czy dobrze?

— I owszem, idź pan, i tak, skończyliśmy ważniejsze sprawy.

— Bardzo dziękuję panu pryncypałowi,

ja sobie wyjdę, tak, pół do piątej i już nie wrócę do biura.

— Dobrze.

— Panie pryncypale, a co zrobiła Jarewiczowa, czy dała Munkierowi swoje osiem tysięcy?

— Tak jest, chociaż jej odradzałem, ale ten faktor Josek zawiódź ją do sklepu Munkiera, pozwolił jej targować się o dodatkowy pół procent, ten ustąpił i przyjechał z nią do rejenta.

— Ja to wiedziałem, czy nie mówiłem? A z Lewitem pan pryncypał skończył?

— Także, i napisałem już do pana Stawiskiego. Za trzy dni Lewite odbierze pieniądze.

— To także dobry interes, pan pryncypał potrzebuje mieć szczęście w tym tygodniu i niech ono będzie zawsze, bo dla czego nie ma być? — uśmiechnął się.

O pół do piątej wyszedł i skierował się przez Bielańską, Nalewki, na Franciszkańską, zamieszkałą gęsto przez jego współwyznawców. Wszędzie były te same duszące wyziewy, ten sam nieporządek tak miły żydom, mnóstwo śmieci, wrzawy, ruchu i szwargotu. Wprawdzie Reinherc był niezwykle czysto ubrany, w białym kołnierzyku i mankietach, ale żydzi poznawali swego, i nie proponowano mu kupna, nie wciągano przemocą do sklepów

i kramów, natomiast bardzo często usłyszał uprzejmje:

— Giten Tug!

Już zdala dostrzegł szyld z wielkimi, jaskrawemi literami rosyjskimi: M. J. Nesterower, i z malutkimi, czarnemi literami łacińskimi, tworzącemi to samo nawiisko. To jest niepotrzebne dla kupca wywieszanie polityki — pomyślał Reinherc — bo czy u niego tylko ruscy kupują? przecież i tutejsi, a taki szyld może razić patryotników i szkodzić interesowi. On na taki szyld nie pozwoli, niech będzie równouprawnienie, zaśmiał się ze swego konceptu i rozweselony wszedł do sklepu, który mieścił norymberskie towary i łokciowe.

Rzucił okiem po sklepie, na trzy dziewczęta za ladą, na starszego żyda z brodą szpakowaną, a na prawo siedziała przy kasie gruba żydówka z pomarszczoną twarzą, z kasztanowaną peruką, z wielkimi, rzadkimi, żółtawemi zębami.

W sklepie targowały rozłożone perkałki dwie niewiasty, upewniając sprzedającą dziewczynę, że u Gałkowskiego na Marszałkowskiej są niższe ceny od żądanych tutaj.

— Czy to może być? — wołała piskliwie żydówka, — my mamy towar wprost z fabryki, z pierwszej ręki, a on od nas bierze.

Wejście Reinherca zrobiło wrażenie, Podliszewer bowiem uprzedził, że przyjdzie kawaler do sklepu na zwiady, i dla tego byli przez cały dzień w sklepie i ojciec i matka.

— Co pan pozwoli? — spytał żyd bardzo uprzejmie po rosyjsku.

— Ja potrzebuję chustki do nosa, — odpowiedział w tym samym języku.

— Masza! — zwołał ojciec, — ty potrzebujesz pokazać panu najlepsze chustki, prawdziwy batyst. Masza, czy ty słyszysz?

— Co nie mam słyszeć? — uśmiechnęła się młoda, dosyć ładna żydóweczka, z ciemnorudymi, bujnymi włosami i z piegowatą ale świeżą twarzą, — ja przecież stoję obok tate. Ja bardzo proszę, niech pan pozwoli za lewą ladę, ja zaraz panu pokażę.

Nie szła jednak za ladę, lecz przesunęła się obok matki i środkiem sklepu, szesyczcząc spódnicami, doszła do lewej ladę. Była wprawdzie nizka, trochę przysadkowata, ale dosyć zgrabna, krągła i starannie ubrana.

— Proszę bardzo, — zwołała lekko ochrypłym głosem, — niech pan do mnie pozwoli, ja pokażę.

— A co mi panna Masza pokażę? — uśmiechnął się Reinherc.

— Pan zna już moje imię? — zaśmiała się, — skąd pan zna?

— Któzby nie znał imienia tak pięknej panny. Cała Franciszkańska, Nowiniarska, nawet Nalewki wiedzą, że piękna panna u Nestenowera to jest Masza.

— Pan potrzebuje żartować, — spuściła oczy.

— Poco mi żartować? Ja mówię prawdę. A czy panna Masza mówi po polsku?

— Ja na tym języku nauczyła się w naszym magazynie, — starała się mówić po polsku, — u nas bywa dużo tutejszych kobiet, a z niemi potrzebny ten język, oni nie znają dobrze nasz rosyjski.

— Oni wcale nie znajdują, — śmiała się Reinherc, — jeszcze mężczyźni jako tako mówią po rosyjsku, ale tutejsze kobiety prawie nic. Nie uważała panna Masza?

— Dlaczego nie? Oni, te kobiety są bardzo tępé do naszego języka, tylko to mają dobrego, że kupują... kupują... kupują.. — śmiała się.

— I targują... targują... — naśladował jej głos z wybuchem śmiechu.

— Aj, aj, jaki pan dowcipny, ja mam bolesć w boku.

— Oj, tate! mame! panna Masza ma kolki w boku, — śmiała się, a ona zaśmiała się głośno, trzymając się za boki.

— Masza! — upominała matka w szwar-

gocie, — co ty wyprawiasz, pan sobie pomyśli, że ty tylko śmiać się umiesz. Ty potrzebujesz towar pokazać i sprzedać. Masza, czy ty słyszysz?

— Mamo! — zawała szwargotem, — ty nie potrzebujesz się gniewać, dla wesołego gościa ja muszę być także wesoła, to obowiązek kupca... ale ja zaraz pokażę towar.

Dla zachowania pozoru, że nie zna gościa, wyciągnęła kilka pakietów chustek, a dla okazania jaka ona dobra kupcowa, zachwałała towar bardzo wymownie, targowała się do upadłego, lecz w chwili, gdy miała się zgodzić na cenę, rzekł Reinherc znacząco:

— Panno Maszo, te chustki będą i tak u mnie... ja nie potrzebuję płacić i zabierać, ja tu jeszcze przyjdę. Czy dobrze?

— Skąd ja mogę wiedzieć? Ja pana nie znam, ja dopiero widzę i nie wiem co będzie?

— Ale panna Masza zna swego wuja rodzonego, Podliszewera?

— Dlaczego nie mam znać, on przecież mój wuj, czy nie tak?

— A czy ja co innego mówię? No, panno Maszo, a teraz dobrze?

— Co ja wiem? Może i dobrze?

Reinherc podał rękę Maszy na pożegnanie, sklonił się bardzo uprzejmie rodzi-

com, i nucąc pod nosem, uderzając laską po lśniących bucikach, wyszedł ze sklepu.

Z Franciszkańskiej ulicy telefonował do Podliszewera, że przyjdzie dziś do niego.

— Ja wiedziałem, że ty przyjdziesz, — odpowiedział mu telefonem Podliszewer, — nu, i z czem?

— Czy taki interes załatwia się przez telefon? Ja potrzebuję przyjść, czy dobrze?

— Dlaczego nie masz przyjść? Ja czekam.

Podliszewer nie był zwykłym kupcem, zajmował się bankierstwem, pożyczał pieniądze na weksle bardzo pewne i skupował też weksle na Litwę i Ruś, które mu przynosiły znaczny dochód. Mimo to mieszkał skromnie, w trzech małych pokojach, w oficynie na parterze, z żoną i trojgiem młodszych dzieci, bo syna już ożenił i dwie córki wydał za mąż.

Reinherc zapukał do drzwi i wszedł do ciemnego pokoju, w którym stały pod ścianą dwa łóżka małżeńskie, a pomiędzy niemi wielka kasa ogniotrwała. Szafa na ubrania, szafa na bieliznę, stół pod oknem i kilka krzeseł dopełniały umeblowania. Abrum Podliszewer z cygarem w ustach siedział rozparty przy stole, a dwóch żydków stało przy nim. Rozmowa była bardzo ożywiona, nie tylko pod względem skali głosów, ale latały ręce niespokojne, głowy były w ru-

chu, a nogi to przytupywały, to zbliżały do stołu, to oddalały giętkie, ruchliwe ciała żydów.

Wejście Reinherca nie przerwało żywego rozmowy. Podliszewer z miną patryarchy wskazał gościowi wolne krzesło, mówiąc:

— Ty sobie siadaj!

Reinherc usiadł i pilnie przysłuchiwał się rozmowie, bo i co miał robić innego? Wysoki, kościsty żyd, Adler Ginda, dowodził z błyszczącemi oczyma, że na Wołyńiu, w okolicy Łucka istnieją bardzo dobre, wyjątkowo dobre warunki handlu.

— Ja wam powiadam, Abrumie Aronowiczu, — mówił z żywą gestykulacją, — że to kopalnia złota, tylko się schylić i chować złoto. Powierzcie nam trochę pieniędzy, a zarobicie conajmniej pięćdziesiąt procent na interesie.

— Nu, jak?

— Tam dużo majątków russkich, polskich, dużo dzierżawców, oni wszyscy się bawią, oni wszyscy potrzebują pieniędzy na gwałt. Oni pod zimę sprzedają zasiane rzepaki, pszenicę, żyto, on potrzebuje tylko zadek. Nu, dlaczego nie dać, kiedy interes pewny, on ma dwór, konie, powozy, bydło, jest co licytować, ja mu dam, i nie chcę więcej zarobku, tylko pięć kopiejk z puda niżej ceny od tej, co będzie wcześniejszą jesienią na drugi rok.

— Nu, a ile ty mu dajesz na pud?

— Ja mu daję dwadzieścia kopiejek, nu, dwadzieścia pięć. On zawsze chce więcej sprzedawać, aniżeli ma, on będzie miał pięć tysięcy pudów, to on sprzedzie dziesięć tysięcy. Ja jemu dam dwa tysiące rubli zadatku, to ja za dziewięć miesięcy do wymłotu mam już pięćset rubli zarobku. Porachujcie czy nie tak?

— Wiesz, co ja ci powiem, ja to znam, to nie jest zły interes, — rzekł Podliszewer z uznaniem.

— To wszystko dopiero początek, — zwołał drugi żyd, Lewenfisz Fisz, blondyn, z łagodną twarzą, — on nigdy na termin nie wymłoci, to on opuści z ceny. On nie dostawi na termin, to znów opuści. Nu, ja dobrze wiem, ile pudów on może mieć, i ja tymi pudami z naszymi kupcami handluję, i znów mam zarobek. Jak dobry, słotny rok się trafi, że trudno mu wymłocić i dostawić, to zarobię, sto na sto, a czasem więcej. To złoto, nie interes!

— Aj, aj, że tam nie mogę mieszkać! — westchnął Podliszewer, — to prawdziwa kopalnia złota. Tu tego niema, tu same chytre łapserdaki!

— Dajcie nam tylko kapitał, — rzekł Adler, — my prowadzimy interes, połowa zysku wasza, a połowa dla nas dwóch.

Nu, co? My wam damy dobre weksle, pewne weksle. Nu, co?

— A jak stoi tam interes leśny? — spytał w odpowiedzi.

— On taki sam, albo lepszy, — rzekł Adler. — Tam dużo takich panów, co im się nudzi na wsi, jego nie widać wcale, a przyjeżdża po pieniądze; taki, to dobry dla nas.

— Dlaczego?

— Dlaczego? — uśmiechnął się, — on nie wie, co sprzedaje. Od niego kupuje się sto sęgów, tysiąc lat, pięćset krokwi. Nu, dobrze; jemu trzeba zaraz wypłacić, a potem pogada się z rządcą, z leśniczym i dostanie się belki, słupy, maszty, nu, cały las na rozkazy, tylko rąbać. Czy źle?

— Aj! aj! To jeszcze lepszy interes od zboża! — zwołał Podliszewer, a Reinherc kilkakrotnie cmoknął z wielkiego zachwytu i radości.

— Co to lepszy? — uśmiechnął się łagodnie Lewenfisz, — i jeden dobry i drugi dobry, jeden złoty i drugi złoty, tylko na pierwszy wystarczy sześć, nu, osiem tysięcy, a na drugi trzeba piętnaście albo i dwadzieścia tysięcy, to cała różnica. Chcecie, to wam policzę, co?

— Naco mi liczenie? Czy ja sam nie umiem? — rzekł Podliszewer. — A teraz ja wam powiem. To jest interes i my jego

zrobimy, to pewne, ale naco narażać swój kapitał? naco ryzykować nas na policyę i sądy?

— Nu, a jak?... Nu, a co? — zawałali obadwaj, zaś Reinherc, pełen oczekiwania wpatrywał się w Podliszewera.

— My musimy być w porządku, my podstawimy sobie goja, my od gojów weźmiemy kapitał obrotowy... nu, jak nam się poszczęści, to i goj coś zarobi, a nie daj Boże pójdzie niedobrze, to dlaczego my mamy tracić? Nu, powiedzcie dla czego?

— Wy dobrze mówicie, dlaczego my mamy tracić? A kiedy nam dacie tego goja?

— Kiedy? Ja jego już widzę, — spojrzał w stronę Reinherca, — on tak, jak nasz. Wy jedźcie spokojnie do domu, ja was dam znać, za tydzień, za miesiąc; i sza, nikomu ani słowa, poco innym wiedzieć?

— Tak jest, naco innym mówić? jeszcze doniosłoby się do gojów, czego nie daj Boże doczekać. Czy nie tak?

— Poco takie gadanie? — rzekł poważnie Podliszewer, — czy to niema złej godziny? Czy wy już skończyli?

— Jakto skończyli? My dopiero zaczęli interes, — zaśmiał się Lewenfisz, — nu, a kiedy go skończymy?

— Czy ja nie mówiłem, że dam was

znać? A jak przyjdzie czas, to od czego jest telegraf?

Dwaj żydzi pożegnali Podliszewera, kivenąwszy głową siedzącemu Reinhercowi.

Podliszewer, nie ruszając się z miejsca, spojrzał badawczo na Reinherca i spytał poważnie:

— Jankiel, ty słyszałeś, co my tu mówili?

— Dlaczego nie słyszałem, ja nietylko słyszałem, ale ja was podziwiałem.

— Ty możesz sobie podziwiać, co mi to szkodzi? ale ty zapamiętaj, co mi mówili. A teraz ja ciebie dla formalności spytam, co ty sobie myślisz z Maszą?

— Co? Ona może być dobrą żoną.

— Co to jest: może!? — zawała, — ona napewno będzie nietylko dobra, ale najlepsza żona. To ja teraz sobie pójdę do Nestenowera i co ja tobie mówię, to dostaniesz: trzy tysiące gotówką i wyprawę.

— Ja chcę widzieć tę wyprawę? Poco mi kłocić się z Nestenowerami? Niech oni spiszą jakie srebro, jaki mebel, jaka pościel i bielizna, jakie pierścionki, suknie, rondle, garnki, samowary i inne bardzo potrzebne rzeczy do domu, ja to sobie przeczytam i zrobię poprawki. Czy nie będzie potem spokój?

— Ty nie potrzebujesz poprawki robić, Masza sama wie najlepiej ile i czego może

wziąć od ojca i matki. Ja wiem, — uśmiechnął się, — ona zechce zabrać cały sklep, ja ją znam; nu, jej na to nie pozwolą, ale ona zawsze weźmie dużo, a ja tobie spis przyniosę. Co mi to szkodzi?

— No, a ten sklep na Marszałkowskiej?

— Czy ty wiesz, co ja tobie powiem? Ja wuj Maszy, to ja dam zadatak na ten sklep, to będzie mój prezent ślubny, czy ty kontent?

— Dlaczego mam się gniewać? — zasmiał się, — ale ja mam jeszcze interes drugi. Ja chcę przystąpić do spółki, do tego interesu ze zbożem i lasem.

— Może i to być. Czy ty nie mój krewny? Ty mi nawet potrzebny do tego interesu; czy ty pamiętasz moje słowa, że ja mam, że ja widzę goja?

— Dlaczego nie?

— Nu, a ty zgadnij, który to goj?

Reinherc oparł ręce i brodę na lasce, myślał przez chwilę i zawałał uradowany:

— Ja już wiem! Ten goj, to Lelicki!

— Ty potrzebowałeś zgadnąć, to on! Nu, teraz mi powiedz, co on zarabia?

— On teraz dużo nie zarabia, ja dam przykład. Był interes z folwarkiem na osiem tysięcy pięćset z czwartym procentem, to on miał zarobić trzysta czterdzieści rubli; nu, on wziął pięćdziesiąt, a w procesie,

który nie wiem, czy zechce prowadzić, sto siedemdziesiąt.

— Nu, a kto wziął prowizyę?

— Wziął faktor i ja.

— To bardzo dobrze, bo dlaczego ten goj do naszego handlu się miesza? Tobie i faktorowi należało się słusznie, bo to nasz interes, nie gojów. Teraz, ja tobie Jankiel coś powiem, ty mu dawaj tyle, ażeby on żył i spodziewał się, że zarobi, co nam to szkodzi? Ty się dziwujesz? Ty potrzebujesz się zaraz bardziej dziwować; ja chcę nietyliko, ażeby on jeszcze żył, ale ja wezmę jego na spółnika do tego interesu zbożowego i lasowego.

— Jego? Wiem. Ale on głupi, on pośpuje cały interes. On ma siebie za pana i on panów będzie bronił. Czy ja jego nie znam? Czy wiecie? on odradzał głupiej babie oddanie pieniędzy naszemu, chociaż brał prowizyę od niej, a mógł dostać trzy procent od naszego!?

— Czy to nam szkodzi, że on głupi? Ty potrzebujesz mu powiedzieć delikatnie, po naszemu, raz na dzień, albo dwa razy, że Prywiślański kraj, to nie jest interes dla takiej wielkiej głowy, jak jest jego, że jak nas wypędzili z tamtego kraju, to on może tam robić złote interesy po naszem wypełdzeniu... nu, i takich rzeczy więcej... Jak ty go przygotujesz i jego głupia głowa zacznie

o tem namyślać się, wtedy ja przyjdę i powiem jemu mądre słowo. Czy ty zrozumiałeś?

— Czy ja głupi? — zaśmiała się, — ale jak on się dowie na czem to interes, on nie zechce, nu, i co będzie?

— Czy to twój kłopot? To mój kłopot, ażeby on zechciał z wyskokiem to zrobić. Od czego moja głowa?

— To prawda... ale ja także wspólnik, czy tak?

— Ja już ci mówiłem, poco tracić czas na pytanie. Nu, ja teraz idę do Nestenowerów, niech i oni się ucieszą i Masza także... a ona tobie, złodzieju, podobała się? — uśmiechnął się dwuznacznie, — ona apetyczna dziewczyna.

— Ona niczego, tylko te piegi...

— Ty głupi, jak są piegi, to ciało białe, takie jak śnieg, tylko, że gorący śnieg. Ja tobie to mówię.

— Ja się przekonam o tem, — zaśmiała się i lubieżnie cmoknął ustami.

## X.

— Skończyłeś rachunki? — spytał Mierski, przygotowując funtowe i półfuntowe torebki z cukrem.

— Już, — odpowiedział Liński wpatrzony w cyfry wpisane w książkę.

— A rezultat?

— Smutny. Mieliśmy w ciągu miesiąca targu sto osiemdziesiąt rubli brutto, czyli dochodu netto czterdzieści pięć, a sam sklep miesięcznie kosztuje sto. A gdzie światło, pensya Stefka, gdzie procent od włożonego kapitału? gdzie nasze utrzymanie?

— Prawda, — rzekł Mierski zbliżywszy się do Lińskiego, — i na straty liczyłem, ale żeby szło nam tak ciężko tego się nie spodziewałem. Pokaż mi książkę z dziennym targiem.

Liński otworzył książkę, obadwaj wpatrywali się w cyfry, a Liński mówił:

— Uważasz, na razie rosną cyfry, następnie chwila stałego targu, a potem coraz mniej i mniej. Musi być jakaś wada w naszym handlu, która kupującym odstręcza. A może ty obciążasz towar zbyt wysokim procentem? Wiesz, dziś spotkałem Maryannę, która zwykle u nas brała towar, a na pytanie, dlaczego nas unika, odpowiedziała mi opryskliwie, że my za drogo bierzemy, bo u innych taniej.

— Idź, Tadziu, do innych, sputaj o cenie tych czy owych artykułów, a zobacysz, że my ani mniej ani więcej nie bierzemy.

— Wierzę ci, i musimy przetrzymać ciężkie czasy. Za tydzień jadę na wieś; już po żniwach, ludzie mają czas, można omówić.

wić z nimi sprawę sklepów wiejskich, a zyskawszy odbiorców na prowincji, możemy znieść spokojnie niepowodzenie tutejsze.

Weszła jakaś służąca i z progu spytała:

— Czy jest masło deserowe?

— Jest, doskonałe, świeże.

— Po ile funt?

— Czterdzieści kopiejek.

— Proszę o pół funta, — zbliżyła się do lady, — masło tutaj tańsze.

— U nas wszystko tańsze.

— O, nie! Cukier droższy o całą kopiejkę, bo po czternaście kopiejek, tak samo inne rzeczy.

— To niemożliwe; a panienka kupuje u Eibenszyca?

— Tak jest i on bierze trzynaście.

— Może mi panienka zrobić grzeczność, tak, dla przekonania się?

— Co takiego?

— Możeby panienka kupiła dla mnie funt cukru u Eibenszyca, nie mówiąc dla kogo, a potem sprawdzimy wagę, — prosił ją Mierski.

— Dobrze, i pan się przekona, że cukier dobry, waga dobra, a u niego taniej, — wzięła wręczone pieniądze i za chwilę wróciła z torebką.

W tym czasie nadeszła do sklepu inna służąca, Antosia, ładna blondynka, po wa-

nilię, twierdząc, że zawsze bezpieczniej kupić wanilię u swego, u katolika, aniżeli u żyda, a widząc swą dobrą znajomą, Julcię, oddającą torebkę z funtem cukru Mierskiemu, przystanęła, ażeby przypatrzeć się, co z tego wyniknie.

Mierski w oczach dziewcząt zważył torebkę z cukrem i rzekł:

— Waga sprawiedliwa.

— A co, nie mówiłam? — tryumfowała Julcia, — a u pana drożej.

— Zaraz, — wysypał cukier na rozłożony papier i zdawało mu się, że ilość kawałków cukru jest mniejsza, powiedział też do wpatrzonych dziewcząt: — policzymy kawałki.

Okazało się, że jest pięćdziesiąt siedem, zaś funt ma tej samej wielkości kawałków sześćdziesiąt sześć, czyli, że żyd mimo powornej sprawiedliwej wagi, daje o dziewięć kawałków, czyli o pół ćwierci funta mniej.

Obie dziewczyny były zdziwione i zgorzcone, bo jak to być może, ażeby przy sprawiedliwej wadze było mniej cukru i to o całe pół ćwierci funta.

Mierski, ważąc w ręce kilka kawałków cukru swego i żydowskiego, zwołał nagle:

— Już wiem! Żyd trzyma cukier w miejscu wilgotnym, ażeby był cięższy!

— No, widzicie ludzie! — zwołała Jul-

cia, — na jakie to szachrajstwa puszczą się żyd!

— Tak, tak, — śmiał się Mierski, — on też może taniej sprzedawać, bo na wadze zyskuje trzy grosze.

Myśli, raz zwrócone w kierunku fałszowania towaru, odnowiły obserwacyjne dawnejsze; więc grysk trzeszczał w zębach, gdyż żyd dosypywał piasku białego; pieprz rozgotowywał się w potrawie, bo był zmieszany z groszkiem polnym. Mnożyły się prawdziwe i domyślne fałszerstwa, a Antonia przysięgała, że w maśle u żyda jest margaryna.

Każdego to boli, że stał się ofiarą przebiegłości drugiego, a cóż dopiero odczuwają takie specjalistki w znajomości towaru, jak kucharki; srodze też były oburzone na żyda i odgrzały się, że cała ulica będzie wiedziała o fałszerstwie Eibenszyca.

— Żeby nie pan, byłby psia wiara, ten żyd dalej oszukiwał katolików, — chwaliła Julcia Mierskiego, — ale od dzisiaj nogi moja nie postanie u niego.

Naturalnie, odkrycie tego fałszerstwa stało się głośnym wypadkiem dnia, i o wiele przedzej dostało się do wiadomości publicznej, aniżeli sensacyjne depesze dzienników. Nadrzeczyjne bowiem wypadki polityczne lub społeczne dotyczą tylko intelektu, czasem uczucia czytającej publiczności, zaś wypa-

dek na Wspólnej urażał dotkliwie poczucie sprawiedliwości i uczciwości, a zarazem krzywdził materyalnie.

Na przyjemnych konferencjach przy wodociągach wspólnych, u stróża, i w bramie, omawiano ten wypadek szczegółowo i komentowano bardzo niekorzystnie nie tylko dla Eibenszyca, ale i żydów w ogóle.

Sprzysiężenie przeciw nieuczciwemu kupcowi starało się pozyskać jak największą liczbę uczestników, lecz mimo zastrzeżonej tajemnicy, znaleźli się jednak tacy, którzy uwiadomili Eibenszyca o grożącej mu zmowie. On sam zresztą spostrzegł nagły ubytek klientek i klientów.

Jako „delikatny“ kupiec tłumaczył się przed nieliczną garstką kupujących, że to był uplanowany podstęp Mierskiego, którego zaskarży do sądu, bo on podsunął swój zły towar w miejsce jego dobrego towaru, lecz gdy mu zacytowano świadków, tłumaczył, że on sam padł ofiarą oszustwa, że to wina składow, z których bierze towar, i subjekta, którego już przed tygodniem wypędził, bo spostrzegł jakieś manipulacje nieczyste z towarami.

Obronnej tej nie dawano jednak wiary i sklep chrześcijański zyskiwał z każdym dniem więcej zaufania i odbiorców, co martwiło bardzo Eibenszyca: i on, i żona, oba-

wiali się, że taki stan interesów może go przyprawić o chorobę.

W tem przygnębieniu udał się Eibenszyc do doświadczonego Josia Pejsacha, kupca galanteryjnego z przeciwka, który miał zupełnie usprawiedliwiony żal do sklepu chrześcijańskiego z powodu konkurencji w interesie galanteryjnym.

— Nu, co będzie z tymi rozbójnikami? — spytał Eibenszyc rozdrażniony, — to są złodzieje naszego majątku, czy nie znajdziemy sprawiedliwości na nich?

Joś, wytrząsał spokojnie popiół z fajki, który to zwyczaj palenia wywiózł ze wsi i odrzekł:

— Chaskiel, my musimy ich wyrzucić, bo my zbankrutowujemy. Ja musiałem obniżyć cenę towaru, ja ledwie teraz żyję, ja tobie to mówię, że musimy ich wyrzucić.

— Nu, ale jak? Czy ty już pomyślałeś?

— Ja byłem już u rebe Jankla Rubinrota, ja jego pytałem co robić?

— Nu, i co? Co mówił? — zawałał z żywością.

— Ja jemu powiedziałem także o twojej krzywdzie, i ile cierpią przez tego złodzieja sąsiedzi z kamienicy: Icek Szwernot, Aron Knochebein i Esterka Cwibulower. Ja mu to wszystko bardzo jasno i wyraźnie wygadałem i ja jego prosiłem, ażeby on

sam poradził, jako mądry człowiek i biegły w piśmie.

— Nu, i co? Ty gadaj, Joś!

— Zaraz... On słuchał spokojnie, ani mrugnął okiem, a potem on się potrzebował uśmiechnąć i powiedział:

— Co? Co? Czy dał radę?

— Zaraz, czego ty gwałtujesz? Ja tobie i tak powiem, — zapalał świeżo nałożoną fajkę, — on powiedział: co ja mam psuć sobie gębę i głowę dla pięciu czy sześciu kupców, którzy nie mogą poradzić sobie z jednym gojem? Gdyby on miał szabli, piki, pistolet, to jabym pomyślał, ale jak on ma jeden sklep, a wy macie tyle sklepów, to wy potrzebujecie się tylko namyśleć i przyjdzie na niego koniec. Nu, Chaskiel, co ty na to?

— Co, ja? Nu, ja myślę, że on marecht, ale to szkoda, że ty jego nie spytałeś, jak to zrobić?

— Czy ja mogłem pytać takiego uczonego? On powiedział swoje i kazał mi iść do sklepu. Co ja mogłem zrobić?

— A ty się już namyślałeś, Joś? Ty wiesz co zrobić?

— Ja sobie myślę, Chaskiel, że jak temu rabusiowi ma być koniec, to jak? Jego trzeba wyrzucić i sklep jego oddać naszemu, wtedy będzie jego koniec.

— Nu, ale jak?

— Chaskiel, ty tylko pomyśl, jak się wyrzuca ze sklepów, przecież to się trafia i naszym. Nu, albo komornik wyrzuci za długi, albo policya za nieporządki, albo gospodarz wyrzuci. Nu, my nie wiemy o jego długach; z policyą on się pilnuje; zostaje gospodarz, ten krzykliwy a chciwy kamienicznik, Bałut. Jak on zobaczy, że przez tych rabusiów traci, on ich wyrzuci.

— Ja to wiem, ale ty mów.

— Ja sobie myślę, że jak Icek, Aron i Esterka z jego kamienicy, pójdą do gospodarza i powiedzą jemu, że albo on usunie i wypędzi tych rabusiów, albo oni razem porzucają swoje sklepy i żaden z naszych już nie wynajmie, to on będzie potrzebował wyrzucić tych złodziejów i jak powiada rebe Jankiel Rubinrot, na tych gojów przyjdzie koniec. Czy nie tak?

— Aj! Aj! Jaki ty Joś mądry! ja zaraz do nich biegnę, oni zaraz potrzebują to zrobić. Nu, te goje poznają, co to zaczynać z Eibenszycem, im ten cukier w gardle stanie, oni się uduszą. Czy nie tak?

— Co nie ma być tak? Niech ich stoczą robaki, niech ich wielka choroba napadnie i niech ich ciało psy rozniosą po polach, tego ja im życzę.

Nie kosztowało to dużo pracy i zachodu Eibenszyca, ażeby namówić krawca Icka Szwernot, handlarza żelaziem Arona Kno-

chebein i Esterę Cwibulowę, handlującą wyrobami tabacznymi, papierami, owocami i norymberszczyną, do wspólnego wystąpienia wobec gospodarza.

Wprawdzie z obawy utraty sklepów powieśli oni pewne wątpliwości w skuteczność swego wystąpienia, ale skoro Eibenszyc i Joś Pejsach powołali się na powagę rebe Jankla Rubinrota, wszelka obawa zniknęła i na drugi dzień rano o dziewiątej godzinie, zjawili się razem u gospodarza.

— Czego wy chcecie? Co to za najście?

Krawca Icka, ze względu na to, że płacił za swój lokal najwyżej, wyznaczono na mówcę.

— Wielmożny panie, co za najście? To nie żadne najście, my przyszli tu z wielką skargą i z wielką prośbą. Czy wielmożny pan zechce nas posłuchać?

Gospodarz, w obawie, że taka delegacja zechce zapewne przedłożyć żądanie jakichś ustępstw, poprawek lokalów i sklepów, nasroiły się i rzekł szorstko:

— Gadajcie czego chcecie, ale uprzedzam, że o obniżeniu czynszu, o jakichś poprawkach, odmalowaniach, mowy niema, i słuchać nie chcę.

— Dlaczego wielmożny pan tak się gniewa, czy ja nie powiedziałem, że my przyszli z wielką prośbą. Prawda, że u mnie drzwi się nie domykają...

— A u mnie piec dymi i dymi, — dorzucił Knochebein.

— A u mnie podłoga zgniła, że jej wcale już niema, — skarżyła się Cwibulower.

— Sza! — zawałał Icek, krawiec, — poco gadacie, czy wielmożny pan gospodarz sam nie wie o tem? Przyjdzie czas, to wszystko się naprawi, ale tu jest inny, ważniejszy interes.

— Jaki? — zawała kamienicznik.

— Zaraz... Niech sam wielmożny pan powie, czy w tej kamienicy, na Wspólnej, były jakieś awantury? krzyki? skargi? Nu, nie! Dopiero, jak te dwa awanturniki wzięli sklep, zaczęła się krzywda, wszyscy płaczą, narzekają, krzyczą, że nie można wytrzymać. Ja taki nerwowy, że aż się trzęsę, jemu, — wskazał na tłustego Arona, — głowa boli od rana do wieczora; Ester ciągle choruje i skarży się, a wszystko przez nich. Czy nie tak? — zwrócił się do swoich.

— Co nie ma być? Jest gorzej!

— Ale co oni wam złego robią?

— Co? — gorączkował się krawiec, — oni wszystkich buntują! krzyczą: nie chodź do żyda! Każdego odmawiają od naszych sklepów! Każdego ciągną do siebie, ażeby wycyganić pieniędzy za zły towar. Nikomu nie dają przejść spokojnie. Cała ulica na nich się skarży. Wszyscy bardzo się dziwują, że taka szlachetna osoba może trzy-

mać w swojej kamienicy takich rabuśników, takich kapcanów, którzy nie mają czem zapłacić drugi kwartał!

— Płacą, czy nie płacą, to moja rzecz, — rzekł z godnością gospodarz, — u nich czysto, porządnie, nie śmieją, nie hałasują. Czego wy chcecie?

— Oni tylko udają przed wielmożnym panem, ale to rabuśniki, oni krzywdzą wszystkich.

— No i co?

— Co? My tu przyszli do wielmożnego pana, my, co tyle lat spokojnie mieszkali i płacili komorne regularnie, że albo my zostaniemy, a wielmożny pan wyrzuci te łobuzy ze swojej kamienicy, albo nie zostaniemy.

— Hm... tak? Wyrzucić nie mogę, mają kontrakt.

— Nu, a czy niema w kontrakcie, że każdy lokator ma spokojność zachować? A jeśli oni robią taki skandal, awantury, to nie można wyrzucić? My staniemy na świadki i proces wygrany. My nie możemy przetrzymać dłużej, my się pochorujemy, i my przyszli z taką prośbą... albo oni pójdą sobie skąd przyszli, bo dłużej tego nieszczećcia nie może być, albo my od kwartału dziękujemy za sklepy i wyprowadzamy się.

— No, no, więc to groźba? przymus?

— Co ma być groźba? co to przymus? — zawałał Icek gwałtownie, — to jest prośba. My tu przecież chcemy mieszkać, nam jest dobrze u takiego szlachetnego gospodarza, ale niech oni nie będą. My damy zaraz lokatora, co więcej od nich zapłaci wielmożnemu panu i będzie spokój nietylko w kamienicy, ale na całą okoliczność, bo wszystko złe ustanie. Nu, co wielmożny pan powie? My wiemy, że wielmożny pan jest godna, szlachetna osoba i nie zechce naszej krzywdy. Co?

Gospodarz naprawdę zląkł się następstw. Trzy sklepy staną pustką i kto wie, kiedy będą wynajęte? Stracić dochód z trzech lokali, ażeby jeden zatrzymać, to przecież nie wytrzymuje rachunku, to grozi wprost katastrofą. A ile straci kamienica na opinii, gdy nagle trzy sklepy będą zamknięte!?

— Teraz wiem, o co wam idzie, namyślę się... powiem im, sprobuję.

Icek z tych wahających się słów wnioskował, że jego wymowa odniósła zwycięstwo i dodał:

— Ja wiem, że wielmożny pan posłucha naszej prośby, bo co za interes stracić trzy sklepy dla jednego? Nu, i wielmożny pan wie, że jak my się wyprowadzimy, to żaden żydek nie weźmie już sklepu, bo jemu nie wolno, jemu rabi zakaze. Co wtedy będzie?

To widmo zależności od żydów, w której możliwość wierzył, obudziło ambicję pana Bałuta i rzekł ostro:

— Powiedziałem już, że postaram się, a nie będzie można, to się wynosicie. Przerobię sklepy na mieszkania i przynajmniej będę miał spokój.

Żydzi, podobnie jak on sam, nie wierzyli w spełnienie tych groźb, ale udali, że godzą się z tą możliwością, a Icek powiedział:

— Wielmożny pan zrobi co zechce, ale to szkoda i strata... nu, a kiedy my dowiemy się, co wielmożny pan postanowił? Przecież to każdy dzień drogi, każdy dzień, to zamęcenie od tych kapcanów! Nu, kiedy?

— Za dwa, trzy dni.

— Niech będzie, my zaczekamy.

Po ich wyjściu gospodarz, Bałut, rozdrażniony i zaniepokojony tem gromadnem wystąpieniem lokatorów, rozmyślał nad tą drażliwą sprawą i stopniowo przyszedł do przekonania, że jeśli ogólnie skarżą się na zachowanie Lińskiego i Mierskiego, zapewne dali oni poważne przyczyny po temu. Przecież taki krawiec Icek i sklepikarz Knochebein, których już zastał nabywając kamienicę, a u niego mieszkają szósty rok, bez powodu nie przychodziliby z podobnym żądaniem i nie chcieliby się wypro-

wadzać dla fantazyi. Coś w tem być musi i rzecz trzeba zbadać. Są to chytrzy i podstępni ludzie, ale i z nimi da sobie radę. Wytoczy im proces o zaburzenie spokoju publicznego i w kamienicy ma przecież świadków i nareszcie pozbędzie się ich ze sklepu.

A może oni dobrowolnie ustąpią, gdy im rzecz całą przedstawi? Kto wie, czy zechcą narażać się na koszt procesu, no i na przykrości, które on, jako właściciel, może im czynić na każdym kroku.

Postanowił rozmówić się z nimi i zszedł do sklepu.

Zastał obudwu zajętych ekspedycją towarów licznym odbiorcom, tak że zaledwie mieli czas przywitać się z nim. Stanął tedy z boku i przypatrywał się ruchowi. Były to obroty drobne, oliwa, cukier, makaron, ryż itd. na codzienne potrzeby do kuchni. Czasem zabiegł chłopak lub dziewczynka po pocztówkę, pióro lub ołówek.

Znudzony oczekiwaniem rzekł wychodząc:

— Przyjdę później, mam interes ważny do panów.

— Prosimy, — powiedział Liński z uklonem, — przepraszam, że teraz nie mogę mówić z panem, ale około jedenastej będzie swobodniej.

Szedł ku Marszałkowskiej i ujrzał Eiben-

szycą na progu sklepu. Zajrzał do wnętrza, nie było nikogo, to sprawiło mu przyjemność, bo nie mógł temu żydom zapomnieć oszczerczych słów o jego kamienicy.

Eibenszyc wiedział już o odpowiedzi danej lokatorom sklepów, a widząc gospodarza wychodzącego ze sklepu Lińskiego, szukał w jego twarzy skutków rozmowy.

— Kłaniam się wielmożnemu panu — powiedział bardzo słodko i pokornie.

Bałut skinął głową obojętnie i poszedł dalej z miną surową.

O godzinie jedenastej wrócił do sklepu i powiedział z miną urzędową:

— Zachowanie się panów w sklepie wzbudza ogólne oburzenie. Rozumiem walkę konkurencyjną, trudno, taki jest porządek świata. Jedni nazywają to walką o byt, a ja myślę, że to walka o kopiejki, ale we wszystkiem powinna być miara, jaką sprawiedliwość i moralność. Ale konkurować z drugimi przez groźby, gwałty, krzyki, podburzać wszystkie złe instynktu tłumu, tego nie spodziewałem się po panach.

— Naprawdę nie rozumiem, o co chodzi szanownemu panu, — rzekł Liński.

— O, doskonale pan wie, — uśmiechnął się ironicznie, — idzie mi o ten pański antysemityzm. Przecież i żyd to człowiek, i on chce żyć. Każdy z nich ma żonę, dzieci, a ta Cwibulower wdowa z dziećmi; jakże

im można odbierać możliwość zarobku, wydzierać kawałek chleba? — upajał się swą wymową i logiką, — co panu winien taki krawiec, Icek, albo ten Aron z żelazkiem? A pewnie odmawiacie im kundmanów, zabraniacie kupować u nich. Czy to po ludzku? czy po chrześcijańsku?

— Prawdę powiedziawszy, — uśmiechnął się Liński, — żałuję, że to są tylko podejrzenia, bo gdybym mógł, wszystkich odpędzałbym od sklepów żydowskich, bo przecież i my chcemy żyć, i my mamy żony i dzieci... ale niestety, nic zrobić nie mogę i na nic byłoby moje wołanie. Nikogo nie odciągałem, nie zmuszałem, nie podburzałem przeciw żydom. A jeśli mi pan zacytuje fakta, za każdy dam pięć rubli na wpisy. Żydzi nas tak omamili swą wykrętną logiką, że każde nasze usiłowanie odparcia ich przewagi ekonomicznej my sami piętnujemy jako zachłanność, brak kultury, brak humanitarności. Niech pan tylko zważy, co my zrobiliśmy złego?

— Hm... mówić, to pan umie... ale dla czego odstręczacie kupujących od sklepów żydowskich?

— Ale kogo? kiedy?

Zastanowił się gospodarz, że żydzi nie cytowali faktów, tylko ogólniki, i zaczął wątpić o słuszności ich oskarżeń, a nawet zrodziło się podejrzenie, czy to nie jest

jakiś podstęp żydowski. Opowiedział im tedy o rannej delegacji żydowskiej i jej wymaganiu.

— A to wyborne! — śmiał się swobodnie Liński, — chcieli rękami pana wy ciągnąć kasztany z ognia. Wierz mi pan, pod słowem mówię, ani krzyt w tem prawdy, co nagadali. Jestem pewny, że to sprawka tego szachraja Eibenszyca.

— To możliwe, — skinał gospodarz głową, — widziałem, u niego w sklepie niema psa kulawego, a u was dużo.

— Mam sposób! — zawała uradowany Liński.

— Co? Jaki?

— Szanowny pan wobec ich oświadczenia posyła im rejentalne wypowiedzenie sklepów. Dopiero gwałt, krzyk, prośby... — śmiał się.

— O, co to, to nie! Ani myślę ryzykować trzy sklepy.

— A jeśli oni, aby nastraszyć pana, porzucają sklepy i wyprowadzą się?

— Hm... to prawda.

— Czy nie lepiej ich uprzedzić?

— Nie! Nie!

— Zróbmy układ, proszę pana.

— Jaki?

— Ja ponoszę koszt rejentalne, a w razie opuszczenia przez żydów sklepów, płacę panu za kwartał niewynajęty.

— Tadziu! — upominał Mierski.

— Daj pokój z ostrzeżeniem. Wiem od stróża, że krawiec mieszka w tej kamienicy dziewięć lat, ten ze sklepu z żelazem, osiem lat, a żydówka czwarty rok. Czy myślisz, że oni zechą się przenieść? porzucić klientelę wyrobioną?

— To prawda.

— Dam szanownemu panu na piśmie zobowiązanie, a wzamian, gdy żydzi zostaną, pan zażąda od nich zwrotu kosztów i podwyższy inni komorne o dwadzieścia cztery ruble rocznie.

— To byłby dobry figiel, — zaśmiała się gospodarz, który nic nie ryzykował.

— Więc zgoda? — wyciągnął rękę Liński.

— Zgoda... pisz pan zobowiązanie; no, nauczmy żydów.

— Piszę już, ale do czasu musi to być tajemnicą, — upewniał Liński, — bo skoro żydzi się dowiedzą, zaraz odwołają swe groźby... Stefkę! ani słowa!

— Dobrze, proszę pana, ja rozumiem, — śmiała się zadowolony.

— No, no, a ja udam zmartwionego, — uśmiechnął się gospodarz, — bodaj to młodość! Wpadł pan na dobry koncept, a dobry żart, tynfa wart!

Tego dnia i następnego żydzi nie zgłaszały się do gospodarza, ale spotykając go mieli minę bardziej poważną, pełną godno-

ści, zaś gospodarz był stroskany. Na trzeci dzień wysłali po odpowiedź Icka krawca, który widząc zgnębioną minę gospodarza przemówił z większą śmiałością:

— Nu, wielmożny panie, dziś trzeci dzień. My bardzo czekamy dobrej odpowiedzi. Czy ten kupiec zostanie w takiej porządkowej kamienicy?

— Kiedy to tak trudno z nim poradzić, ma kontrakt, ale jeszcze spróbuje, — mówił nieśmiało gospodarz.

— Niech wielmożny pan raz jemu koniec zrobi, poco próbować. My już czekali całe trzy dni, my nie możemy dłużej. Co on już zjadł naszego zdrowia, co on nas kosztuje! my nie możemy dłużej czekać. Niech wielmożny pan wybiera: albo my, starzy lokatorzy, co komorne płacimy regularnie, albo ten kapcan, ten paskudny łapserdak. Czy tu może być wybór? Tu każde dziecko powie, że lepiej mieć trzy komorne, aniżeli jedno. Czy nie tak?

— No, zapewne, ale tak trudno, dopiero co wynajął i już wymawiać?

— Co trudno? — uśmiechnął się, — wielmożny pan go wyrzuci, i zaraz będzie spokój w kamienicy i na całej Wspólnej, a my zaraz naraimy żydka, porządnego kupca, on tyle samo zapłaci, a może truskę mniej, ale czy spokój to nic?

Gospodarz wiedział, że dziś w południe

doręczą trzem lokatorom rejentalne wezwanie do opuszczenia zajmowanych sklepów i odrzekł:

— Dziś dam wam stanowczą odpowiedź, rozumiem, że was męczy niepewność.

— Aj, i jak męczy! — potrąsił głową, — nu, chwała Bogu nastanie spokój... my cekamy spokojnie przez dzisiaj, czy dobrze?

— Dobrze... dzisiaj.

W południe niemal równocześnie doręczono Ickowi Szwernot, Aronowi Knochebein i Esterce Cwibulower wezwanie rejentalne.

Nie chcieli wierzyć oczom, raczej spodziewali się trzęsienia ziemi, spowodowanego, jak wiadomo, poruszeniem ogona lewiataana, aniżeli rejentalnego wezwania. Przerażeni, rozgniewani, dotknięci w swych najżywotniejszych interesach, pobiegli do sprawców ich nieszczęścia, do Eibenszyca i Pejsacha. Wszczął się gwałt, harmider, krzyk, narzekania.

Szarpano ich, wymyślano, dopiero wystąpienie Lejby Szpicmausa i jego mądre słowa uspokoiły trochę tę wielką burzę.

— Co wy sobie myślicie, — tłumaczył im, — że ten goj, gospodarz, chce się was pozbyć? On jest głupi, jak każdy goj, ale on ma tyle rozumu, że nie znajdzie naraz trzech amatorów na sklepy. On chciał was

przestraszyć, i pewno krawiec Icek jego obraził, powiedział mu jakieś nieprzyjemności, no i on chce się zemścić.

Naturalnie Aron i Esterka zaczęli rozpamiętywać przemowę Icka i znaleźli dużo obraźliwych słów. Aron upewniał, że on mówiłby delikatnie a jasno i wyraźnie, nawet Esterka, chociaż kobieta, która, jak wiadomo, duszy nie ma i znacznie niższa jest mózgowo od mężczyzny żyda, i ona twierdziła, że byłaby lepiej od Icka poprowadziła sprawę. I dzięki przemowie Lejby, na Icku, który także otrzymał rejentalne wezwanie, skrupiły się żale i pretensye.

Postanowiono udać się dziś jeszcze do gospodarza i wytlumaczyć mu, że poprzednie ich wymówienie to było tak sobie, to nic, to tylko Icek nie zrozumiał, o co chodziło.

Po naradzie stanęło na tem, że będzie przemawiał Aron. Zgłosili się do gospodarza; naprzóźno jednak wyjaśniali służącej, że to interes bardzo ważny, niecierpiący zwłoki, gospodarz przez służącą odpowiedział, że jest zajęty i nie ma czasu na rozmowy.

Wyszli od gospodarza zgnębieni i rozworyczeni, a Icek, który wogół czuł się pokrzywdzonym przez los, bo w hierarchii społeczeństwa żydowskiego, jako rzemieślnik, był niemal paryasem wobec handlujących

cych pieniędzmi, a stał niżej od każdego kupca, a nawet sklepikarza, — odczuł gębo kogo niesprawiedliwość oskarżeń podnoszonych przeciw niemu z powodu tej sprawy o sklepy, zatrzymał tedy na schodach Arona i Esterę, mówiąc:

— Właściwie, prawdę mówiąc, co nam złego robią te goje? Oni nie handlują ubra niem, oni nie handlują żelazem jak Aron, oni nie handlują tytoniem ani pruskiemi cygarami i losami jak Ester, oni są konkuren tami Eibenszyca i Pejsacha. Dlaczego my mamy cierpieć i narażać się dla nich? Co nam z tego przyjdzie, jak ten goj nas wyrzuci? Nam będzie gorzej, a czy im będzie lepiej? Dlaczego my mamy być obcęgami, które dla nich wegle z ognia wyciągają?

— Icek! — zgorszyła się Ester, — ty byłeś zawsze rewolucjonista i ty jesteś rewolucjonista. My przecież tego nie robili dla Chaskla, Josia i Lejby, my robili, bo tak kazał rebe Jankiel Rubinrot.

— Ester, — zaśmiała się Icek drwiąco, — tyś głupia, od tego ty kobieta, ty nic nie rozumiesz. Ja wiem, co rebe powiedział, rebe mówił: jakto może być, ażeby tyle kupców nie zrobiło koniec jednemu gojowi? Nu, i oni nas użyli za narzędzie. Czy to dobrze? Czy to sprawiedliwie? A kto nam wróci czas stracony? A kto nam zapłaci straty, jak nas goj wyrzuci? Gdzie

ciebie będą szukali, ażeby kupić pruskie cygara i losy? Czy ty pomyślałaś?

— Aj, aj, ty Icek tego nie gadaj! nu, co mamy robić?

— Nam trzeba iść do Chaskla i Josia, niech oni zapłacą nam nasze straty.

— Icek, czy ty zwaryowałeś? — zawałał milczący dotychczas Aron, — za co mają zwracać? dlaczego? To nie jest ich interes, to jest nasz, żydowski interes, ażeby goja wyrzucić z naszego handlu. Dlatego oni poszli do rebe, a rebe nie powiedział, że ty, Chaskiel, ty Joś, zrób to i to. Rebe powiedział: was tyłu, a jeden goj. Dlaczego ty taki rewolucjonista? Czy ty myślisz nie słuchać rozkazów rebe?

— Ja słucham, ale Chaskiel i Joś niech mi zapłacą za czas stracony, oni przecież kupcy, a ja co?

Umówili się, że jutro rano pójdą do gospodarza i rozeszli się w zgodzie. Słowa jednak Icka utkwiły w umyśle Estery i Arona i wzbudziły głuchy żal do Chaskla i Josia.

Nazajutrz przyjął ich gospodarz, a Aron przemówił:

— My przyszli do wielmożnego pana powiedzieć, że to gadanie Icka było przez proste omyłkie. My tylko chcieli bardzo prosić, ażeby tamci się wyprowadzili, a jak nie, to nie, ale my chcemy zostać.

— Mówiliście jednak, że oni was prze

szkadzają, szkodzą, robią niepokój, awantury, — uśmiechał się, — poco macie to znosić, wyprowadźcie się.

— Wielmożny panie, to było sobie małe nieporozumienie między sąsiadami. Ono już dawno minęło, jego niema, jego nie było, tylko tak się zdawało. My zostajemy, i niech wielmożny pan cofnie wezwanie, i poco rejent zaraz? Nam byłoby wystarczyło jedno słowo tak godnej osoby.

— Teraz zapóźno, musicie się wyprowadzić, ja nie chcę na sumieniu mieć waszego zdrowia i powodzenia.

— Poco te żarty? My zostajemy przecież.

— Nie.

— Nu, i co będzie?

— Wyprowadzicie się, i wy będącie mieli spokój, i ja także.

— To przecież nie może być. Jakto? i trzy sklepy będą puste?

— A niech sobie będą, czy to mało katolików garnie się do handlu, znajdą się lokatorzy.

Żydzi spojrzał na siebie zdziwieni, że gospodarz, taki oszczędny, taki zabiegliwy, pozbija się tak łatwo lokatorów, którzy tyle lat tu siedzieli, handlowali, pracowali. Icek, któremu bardzo zależało na miejscu, gdyż cała jego klientela była w sąsiedztwie, rzekł z głębokim ukłonem:

— Wielmożny panie, czy człowiek za-

wsze jest mądry? On bywa i głupi. To ja byłem także głupi, bo i naco mi było chodzić z wymówieniem? Ja bardzo przepraszam i ja bardzo proszę o łaskę wielmożnego pana, ażeby mnie zostawił w sklepie. Ja nie chcę wymówienia, ja oddaję ten paszudny papier, — sięgnął do kieszeni, — niech on zginie, — podawał wezwanie rejentalne.

— Zatrzymaj, to twoje, a jeśli chcesz zostać, to pod warunkiem.

— Nu, jakim? — zawałali wszyscy troje.

— Zapłacisz koszta u rejenta, i dlatego, że ty wczoraj pierwszy przemawiałeś, podnoszę ci komorne o trzydzieści rubli rocznie.

— Aj, aj! wielmożny pan chce mojej zguby, co ja temu winien, że byłem głupi?

— Wszystko mi jedno, przyjmujesz warunek, to zostaniesz, a nie, to nie.

— Ja nie mogę, niech ja do wieczora nie dożyję, jeśli to moja wina i jeśli ja mogę zapłacić.

— Nu, a ja wielmożny panie? — wysunął się Aron.

— Ty tak samo zapłacisz rejenta, a ponieważ ty dzisiaj przemawiałeś, podnoszę ci komorne o trzydzieści rubli rocznie.

— Wielmożny pan żartuje, to nie może

być, ja przyszedłem odwołać wypowiedzenie głupie, co ja temu winien?

— Nie gadaj, przyjmujesz, czy nie?

— Ja nie mogę, ja i tak dokładam do interesu, to moja śmierć, ja nie mogę.

— Nu, a ja? — skloniła się Ester.

— Zapłacisz koszta, i powinienem ci podnieść o trzydzieści rubli, ale, że ty nie gadałaś, dopłacisz do komornego dwanaście rubli.

— Aj, aj! wielmożny panie, z czego mam płacić? Ja wdowa, mam dzieci, ja zbankrutowałem.

— No, dosyć tego! Idźcie, a kto z was się zdecyduje przyjąć moje warunki bez żadnego targu, niech przyjdzie. Z wywieszeniem kart czekam tydzień. Z chwilą, kiedy wywieszę, musicie się wyprowadzić. Do widzenia!

Wszyscy troje, gdy znaleźli się na schodach, zaczęli przeklinać gospodarza, i jego rodzinę, i jego kamienicę. Icek udawał, że rwie sobie włosy; Aron rzucał wściekłe spojrzenia, a Estera płakała ze złości i targała perukę. Na podwórzu, ze względu na obecność gojów, uspokoili się i niemal monosybabami porozumieли się, że wieczorem zejdą się u Josia Pejsacha na naradę.

Prócz nich przyszedł Chaskiel i Lejba, ażeby dowiedzieć się szczegółów. Gdy skończyli opowiadanie trzej pokrzywdzeni,

wyszczął się wielki lament i wielkie współczucie, tylko Joś nie brał udziału, pytał fajkę i milczał.

— Nu, Joś, co ty robisz?

— Ja myślę.

— Co ty myślisz? — spytał Lejba.

— Ja sobie myślę, kto zrobił to nieszczęście?

— Jakto, kto? — zawała rozgorączkowany Icek, — to przecież ten paskudny goj, kamienicznik.

— Czego ty Icek gadasz głupstwa? Czy ty myślisz Icek, że myślenie a gęba to jedno? Ja chcę wiedzieć, kto mu dał takie myślenie?

— Co? Jakto? — spytały go.

— Nu, czy wy widzieli skąpszego kamienicznika, jak ten goj Bałut, ażeby on tak z lekkiem sercem pozbywał się lokatorów regularnie płacących? Ja nie widziałem, a ja starszy od was. Jego potrzebował ktoś namówić, on jemu przyrzekł dobrych lokatorów i on teraz potrzebuje się śmiać i z Icka, i z Arona, i z Estery. Czy nie tak?

— Tak!... Tak!... Joś ma recht!

— Nu, Joś, a kto jego namówił? — zawała Icek.

— Dlaczego ty pytasz, kiedy ja sam pytam o to samo? Kto to zrobił, ja tego nie wiem i wy nie wiecie także, ale my się kiedyś dowiemy.

Nienawiść bywa tak samo jasnowidząca jak miłość. Eibenszyc, który głęboko nie-  
nawidził Lińskiego, nagle zawałał:

— Ja wiem, kto jego namówił! Jego  
namówił ten złodziej, ten zbój, Liński. Jak  
ten Bałut do niego przyszedł i powiedział  
mu, że on jego nie chce, bo straci trzy komor-  
ne z trzech sklepów, on mu powiedział,  
naco ma tracić, kiedy on mu da trzech kup-  
ców gojów, i oni będą tu handlowali żelazem,  
tytoniem i krawieczyną. Wyrzuć  
żydów, a tu będą chrześcijanie. Tak było,  
klnę się na moją duszę! I dlaczego nie miało  
być? Jeśli jemu, gojowi, tak się dobrze po-  
wodzi, dlaczego inni nie mają zarobić?

— Z ciebie, Chaskiel, przemówił dobry  
duch, — pochwalił go Joś, — ty jakbyś  
tam był i słuchałeś. Teraz my znamy na-  
szego wroga największego i jemu trzeba  
koniec położyć. Ja pójdę jeszcze raz do  
rebe Jankla, niech on poradzi.

— Nu, co będzie z nami? — spytał Icek.

— Wy macie tydzień czasu, a ja jutro  
pójdę do rebe, dlaczego nie macie czekać?

Teraz dopiero wybuchły przekleństwa  
i złorzeczenia na Lińskiego, Mierskiego, Ba-  
łuta i wszystkich chrześcijan, którzy po ca-  
łych dniach i nocach nic nie robią, tylko  
przemyśliwają nad tem, jak szkodzić synom  
Izraela.

Na drugi dzień Joś zdał sprawę ze swego  
poselstwa i rzekł:

— Wiecie, co mi powiedział rebe Jankiel?  
— Nu, co? — nastawili uszy.

— Co?... On najpierw wysuchał o nie-  
szczęściu Arona, Estery i Icka, i on bardzo  
się litował. Potem ja spytałem, co oni mają  
robić? Czy godzi się im płacić komorne ze  
swoją stratą? Czy lepiej im poszukać in-  
nych sklepów, a te co w nich siedzą po-  
rzucić?

— Nu? Nu?

— A rebe powiedział mi taką przypo-  
wieść, bardzo mądrą.

— Jaką?

— On spytał: Co ty powiesz? Był so-  
bie lew bardzo straszny, bardzo mocny,  
który wyszedł ze swej jaskini na spacer  
i na jedzenie, i posłyszał krzyk osła. I on,  
ten lew, tak się przestraszył tego krzyku,  
że porzucił spacer, jedzenie smaczne i scho-  
wał się do jaskini. Nu, czy to był lew?  
Nu, to był lew, ale on nie miał serce lwa,  
on skapcałał, bo dlaczego on na krzyk je-  
dnego osła uciekał i chował się do swojej  
jaskini? Gdyby to był prawdziwy izraelski  
lew, onby nie ustąpił, onby ryknął i po-  
żarł tego osła, tego goja.

— Aj! Aj! Jaki ten rebe mądry!

— Aj! Jaka głowa u niego! — zachwy-  
cali się.

— Nu, i co dalej? — spytał Icek.

— Rebe powiedział: ty zanies im moje słowa, a Bóg Izraela będzie z nimi i On im pomoże.

Wśród chwilowego milczenia odezwał się Lejba:

— Co tu myśleć? Wam trzeba zostać. Wy targujcie się z gospodarzem, ale zostać musicie i goja musimy wyrzucić.

## XI.

Liński, po kilku dniach nieobecności, wpadł rozpromieniony do sklepu, i nie zważając na kilku kupujących, po przywitaniu się z Mierskim mówił głośno i wesoło:

— Zmęczony jestem jak chart po lisie, ledwie oddycham.

— Dobre mi oddychanie, — zaśmiał się Mierski, — gdy śmiejesz się i wołasz tak głośno. Co się stało? Wygrałeś na loteryi? Znalazłeś skarb?

— Wyobraź sobie, trzy sklepy wiejskie już są, a dwa będą. Mamy odbiorców.

— Czy pewni?

— O, najpewniejsi. W jednym wójt poręczył, w drugim obywatel wiejski, w trzecim ksiądz. Listy pana Lelickiego były mi wielką pomocą.

— Jakie to poręczenie? Obrotu, czy dochodu?

— Także żądanie kupieckie, — śmiał się, — ręczycy za uczciwość tych, którzy podjęli się sklep prowadzić. Zapewniali, że odbiorców znajdzie się dużo, bo wszystkim dokuczyły szachrajstwa i brudy żydowskie, a gdy będzie obrót, dochód jest pewny.

— Więc sklepy prowadzą nie na własne ryzyko?

— Na razie tak, ale po kilku miesiącach próby, wolno im sklep kupić i prowadzić na swój rachunek.

— Niepewny interes, — mruknął Mierski.

— Ty bo nie wierzysz ludziom i zawsze masz pod ręką tysiąc obaw, zastrzeżeń, wątpliwości. Raz trzeba spróbować i iść przebojem, dość tego siedzenia z rękami założonymi.

— Mojem zdaniem, wystarczyłby na razie jeden sklep wiejski, a na zakładanie innych trzeba czekać czasu sposobnego.

— Tak... tak, — śmiał się Liński, — czekaj tatka latka... a dobrze wyjdzieś na tem.

— Czy wiesz przynajmniej jaki towar tam potrzebny? ile tego? w jakim gatunku?

— Naturalnie. Zrobiłem dokładny spis w porozumieniu z gospodarzami.

— Cóż chłopi na ten sklep?

— Jak zwykle, nie bardzo dowierzają, ale gdy damy nizkie ceny i dobry towar, przekonają się, że lepszy mój od żyda, — wyjął zrobione notatki i złożył przed Mierskim.

— A dostawa czyja?

— Nasza, i trzeba będzie pojechać tam, sklep urządzić, naznaczyć cenę towarów, pouczyć handlu...

— Łatwo mówić, ale kto to zrobi? — nachmurzył się Mierski, — przecież nie można zaniedbać tego sklepu dla gruszek na wierzbie.

— Czego, Jasiu, się indyczysz? — śmiał się, — nie zechcesz ty, pojadę ja, a zrobić się musi.

— Czy są tam żydowskie kramy?

— W dwóch wsiach są, ale marne, a kramarz handluje jajami, zbożem, jak się zdarzy. Będziemy prawie bez konkurencji na miejscu.

— A w pobliżu są osady? miasteczka?

— Są, i dosyć blisko. Naturalnie musimy się przygotować na walkę z żydami, ale nie taki dyabeł straszny, jak go malują. A co słychać w sklepie?

— Tak sobie. Zapał przeciw Eibenszycowi słabnie, wojuje niższą ceną i prowadzi nieustanną walkę podjazdową i naturalnie żydzi mu pomagają.

— Ach, co tam, nic nam nie zrobi, do-

staniemy lepszych odbiorców. Były jakieś listy do mnie?

— Jest jeden w szufladzie.

Liński wziął w rękę, odczytał i zawołał:

— Dziś przyjeżdża Janek Lelicki, jak to szczęśliwie, że dziś wróciłem.

Zaledwie dokończył tych słów, gdy wszedł Janek, a przywitawszy się, rozglądał się ciekawie po sklepie:

— Ho, ho, — uśmiechnął się, — to wy naprawdę macie sklep obszerny i zasobny, no i jak wam idzie? — patrzał na Lińskiego.

— Nie mnie pytaj, ale Jasia, on prowadzi tę bude.

— Jak na początek, nie możemy się skarżyć, — mówił Mierski, — naturalnie nie zarabiamy jeszcze, ale coraz mniej dokładamy, dobre i to.

— No, pokażcie mi wasze bogactwa, — zaśmiał się przyjaźnie Janek, — zgorszyłem się, że mój ojciec nie był u was, ale taki zajęty, no, i zakłopotany...

— Czem? — spytał Liński.

— Pewno jak zwykle, interesa. Spodziewam się, że pójdziesz do nas.

— Dopiero przyjechałem przed chwilą.

— Ale znajdziesz tyle sił, ażeby dojść na Wiejską, a tam usadowię cię na kanapie lub fotelu i wypoczniesz, — żartował, — a teraz pokazujcie.

— Niedaleka droga, — zaśmiał się Mierski, — a ja będę przewodnikiem.

Pokazywał urządzenie sklepu, rozkład towarów, zaprowadził do tak zwanego magazynu, ciemnego lokalu za sklepem, mówił o piwnicy, w której mieściły się koniaki, rumy, wina, miody, soki owocowe i kończył:

— Mamy jeszcze komórkę na dziedzińcu, będącą składem towarów w pakach, worków z mąką, kaszą, krupami. Sucha jest, więc nadaje się do przechowania zapasów, bo w sklepie i magazynie zaduch i zawsze trochę wilgoci z murów.

— Zaprowadź mnie pan i tam, chcę wszystko widzieć i poznać.

Z magazynu wyszli wprost na brukowany dziedziniec, gdzie oparte o mur sąsiednie kamienice stały dwie komórki zbudowane z drzewa i otynkowane. Drzwi zamknięte były na gruby skobel i wielką kłódkę. Gdy Mierski otwierał, spytał go Janek:

— I nie boicie się złodziei? Macie wprawdzie mocną kłódkę i broni ona przystępu uczciwym, ale nie złodziejom.

— Na dziedziniec patrzy tyle okien, stróż w bramie, nie ośmieli się złodziej.

— Od domowego złodzieja to nie obroni, — zaśmiał się Janek, — na wsi, tam

gdzie jestem, ze spichrza ginęły różne rzeczy, mimo stróża nocnego i psów.

— A kłódka?

— Nienaruszona, ani też dach. I wie pan, jak odkryłem złodzieja, parobka miejscowościowego?

— Jak?

— Ułożyłem dwa prochem nabite pistolety w spichrzu, przywiązałem do cęgły sznurek przymocowany do drzwi na zewnątrz. Wiedział o tem tylko gumienny i ja. I jednej nocy huknęły dwa strzały w chwili, gdy złodziej otwierał drzwi spichrza. Schwytał go nocny stróż.

Opowieści o złodziejstwie i złodziejach budzą zawsze podejrzenia u ludzi, którym można coś ukraść. Mierski bacznie obejrzał drzwi, skobel, kłódkę. Zdawało mu się, a może to było istotną prawdą, że na kłódce widniała jakaś świeża szrama i rzekł:

— A wie pan, zdaje mi się, że ktoś dobera się do naszej komory.

— Gdzie? Jak pan poznał?

— Nie widziałem tej szramy na kłódce, a teraz jest.

Janek przypatrzył się kłódce i dodał z uśmiechem:

— Dobierał się ktoś do waszych bogactw, urządź pan strzały alarmowe.

— Dobrze, pomyśl o tem, — wprowadził gościa do komory.

— Co u dyabła! — zawała Janek, — trzymacie tu karbol? Co za dezynfekcja!

— Prawda! — rzekł Mierski, łowiąc zapach, — i jakaś naftalina, czy też nafta. To dziwne.

Po zbadaniu okazało się, że do pak zatycznych z towarami nalano nafty, worki z mąką i z krupami były rozcięte i z nich dobywała się woń karboli i kamfory.

— Tyle szkody! Takie straty! — zawała Mierski. — To sprawka żydowska!

— Dawno pan był tutaj?

— Przed dwoma dniami złożyłem tu zapas towarów i nie zaglądałem. Chyba zawałam Tadzia, trzeba coś radzić? A może dać znać policyj?

— Dajże pan pokój, — upominał Janek, — to wołanie, krzyk, nic nie pomoże, tylko sprawi pan radość szkodnikom. Chodźmy do sklepu, naradzimy się.

Złożono walną naradę i stanęło na tem, ażeby dziś jeszcze oczyścić towary uszkodzone w komorze i przenieść je do magazynu za sklepem, a ponieważ ze względu na założenie trzech wiejskich sklepów przyjdzie nowy transport towarów, wówczas te już nadpsute skrzynie i worki dać napowrót do komory, świeży transport umieścić w magazynie do chwili ekspedycji, zaś w komorze urządzić strzały alarmowe. Mierski uparł się, ażeby stróża i go-

spodarza zawiadomić o zrobionej szkodzie, wychodząc z zasady, że gospodarz powinien wiedzieć, co się dzieje w jego kamienicy, a stróż będzie pilniej uważał na komorę i wchodzących ludzi, bo w dzień nikt nie dobierał się do komory tylko nocą.

— Jeśli to sprawka żydów, a prawdopodobnie Eibenszyca, — mówił Liński, — to mógł go wpuścić i wypuścić krawiec żyd, który tu mieszka.

— Wszystko jedno, — upierał się Mierski, — gospodarz i stróż powinni wiedzieć, i tak muszę zawałać stróża do przenoszenia pak.

Wizyta młodego Lelickiego zwróciła uwagę żydów sąsiadów, zaś Aron Knochenbein, handlujący żelazem, obserwował z przyjemnością zgnębioną minę Mierskiego, gdy wracał z komory po doznanej szkodzie. Liński nie pomylił się co do osoby szkodnika, tylko nie wiedział, że w tym akcie zemsty żydowskiej wspólnikiem był Aron, a nie Icek krawiec.

Gdy Liński z Jankiem opuszczali sklep, Eibenszyc, zawsze będący na straży, wysłał za nimi Aronka, ażeby wyśledził, gdzie pójdą. Zrobił to trochę przez chęć dowiedzenia się, co Liński robi, a trochę z obawy czy przypadkiem Liński nie pójdzie do policyi ze skargą.

Sprytny Aronek i bez wskazówek ojca wiedział, co i jak miał zrobić, a dumny z polecenia, starał się spełnić je jaknajlepiej. Na małego żydziaka nikt nie zważa i Aronek szedł tuż za nimi i pilnie chwycił rozmowę. Pod świeżem wrażeniem mówili o szkodzie.

— Co za jeden ten Eibenszyc, którego podejrzywany o szkodę? — spytał Janek.

— Ma sklep kolonialny w drugiej kamienicy. To z nim miałem tę sprawę w cyrkule, o której ci pisałem. I napewno on podburzył moich sąsiadów żydów, ażeby wymówili gospodarzowi.

Aronek nastawił uszu, on przecież wiedział o tej sprawie.

— I co się stało, Tadziu?

— Namówiłem gospodarza, ażeby posłał im rejentalne wymówienie, dopiero żydzi w lament, a teraz dopłacą do tego interesu.

— To dobre. I ciągle tak walczysz?

— Czasem z niepowodzeniem, jak z tą komorą. Przypuszczalnie straciliśmy około stu rubli, ale ja się odpłacę temu Eibenszycowi.

— Powodzenia! — zaśmiał się Janek, — ale nie wiem, czy będziesz miał czas, bo te sklepy wiejskie wymagają wielkiego nakładu pracy i pilności.

— Wiem o tem. Co u ciebie, Janku, słuchać?

— U mnie już dosyć, dawno po żniwach, a przyjechałem zaniepokojony listem mamy.

— Cóż takiego?

— Ojciec chodzi chmurny, przygnębiony. Z różnych drobnych szczegółów wnioszę, że poniósł jakieś straty pieniężne, ale jak, gdzie i ile, nie wiem.

— Muszą być zmartwieni i smutni u was, może lepiej nie iść?

— Przeciwnie, wniesiesz trochę życia i wesołości, chodź!

Zbliżyli się do kamienicy, w której mieszkał Lelicki. Stróż domu ukłonił im się w bramie.

Aronek przeczekał chwilę i zbliżywszy się, spytał bardzo spokojnie:

— Proszę pana, czy ci panowie, co teraz przeszli, tu mieszkają?

— A tobie co do tego?

— Jeden z tych panów kupił towar w sklepie i kazał sobie przynieść, a tate zapomniał adres. Ja biegłem za nimi, ale oni już tu zniknęli.

— Znam tylko jednego z nich, to syn pana Lelickiego.

— Ja bardzo dziękuję, — i pobiegł w stronę domu, powtarzając: — Lelicki... Lelicki...

Lokaj, otwierając drzwi, odpowiedział na pytanie, że właśnie zaczął się obiad. We-

szli wprost do jadalnego pokoju, a pani Lelicka, witając uprzejmie Lińskiego, powiedziała z wymówką:

— Nie odwiedził nas pan, a czekaliśmy.

— Byłem bardzo zajęty i panie wyjeżdżały z Warszawy.

Usiedli do stołu i Liński miał naprzeciw siebie Halę, a po prawej stronie gospodarza domu.

— Jakże panu się powodzi? — spytał Lelicki, — miejsce dobre?

— Dosyć dobre i interes się rozwija.

— No, niekoniecznie, — uśmiechnął się Janek, — raz omal nie znalazł się w cyrkule; drugi raz omal że gospodarz nie wymówił mu sklepu, a dziś byłem świadkiem, jak zepsuto mu znaczną ilość towaru.

— Cóż pan mówi, że miejsce dobre i że interes się rozwija? — uśmiechnęła się pani.

— Przykrości, o których wspomina Janek, to są miłe kwiatki konkurencji żydowskiej, — uśmiechnął się, — ale bez walki niema zasługi.

— Czyżby istotnie kupiec konkurent chwytął się takich środków, — rzekł tonem niedowierzania gospodarz, — jeszcze gdzieś na głuchej prowincji, ale tu? w Warszawie?

— Jednak są to fakta.

— Tatusiu, sam widziałem paki z her-

batą i kawą oblano naftą; worki z mąką rozcięte i polane karbolem; dwie paki z galanterią oblano naftą. Przy mnie otworzono skład i ja pierwszy zobaczyłem szkodę. Złodziej byłby ukradł, rozbił, ale tak uszkodzić mógł tylko konkurent-żyd.

— Czy to jednak żyd?

— W sąsiedztwie mam tylko dwu czy trzech żydów z konkurencyjnymi towarami.

— No, no, to dziwne i dzikie, — westchnął Lelicki, — można przecież w inny sposób współzawodniczyć, ceną, gatunkiem, kredytem...

— Nie brakuje i tego, — zaśmiała się Liński, — dawał cukier taniej, ale po zbadaniu okazało się, że dawał rozmyślnie cukier przepojony wilgocią i zyskiwał na funkcji po ćwierć funta.

— Jakież to oszustwo! — oburzyła się Hala.

— Ich etyka pozwala na to.

Pani Lelicka opowiedziała kilka oszukańczych podstępów żydowskich przy kuponie koronek, wstępów, batystów, płótna i kończyła:

— Zarzekłam się kupować te rzeczy u żydów, bo to pozornie taniej, a w rzeczywistości drożej.

— Ach, gdybym się doczekała takiej chwili, — zaśmiała się Hala, — ażeby manusia nic nie kupowała u żydów.

Rozmowa zeszła na kupców chrześcijańskich i żydowskich, na dobre i złe firmy.

Potrącono o sztukę i literaturę, a gospodarz wygłosił z zadowoleniem i z miną uroczystą zdanie :

— Nasza literatura, jak żadna inna, odbią waśnie nasze ideały, pragnienia, życie, a kto zechce pisać historyę naszych czasów, sięgając musi do literatury, jako źródła.

Są w obiegu pewne frazesy, które stają się dogmatami, a naruszenie ich uważa się za herezyę. Zdarzają się jednak przekorni i do nich należał Liński, przepojony chęcią pracy społecznej, i rzekł wśród chwilowej ciszy :

— Gdyby nas sądzić z literatury, to nas zajmuje jedynie kobieta i różne stopnie miłości dla niej, od idealnej w „Bez Dogmatu“, aż do tarzania się w „Dziejach Grzeczu“. W literaturze, kobieta jest punktem dośrodkowym i odśrodkowym całego życia, a tymczasem w rzeczywistości inne zagadnienia i sprawy pochłaniają nas tak dalece, że zaledwie kilka chwil możemy poświęcić naszej indywidualnej miłości; ale o tych sprawach, o tych zagadnieniach w naszej literaturze głuchy...

— To trudno, — uśmiechnął się Lelicki ironicznie, — ażeby pisano o handlu i walce antysemickiej.

— No, tak, my wolimy zapożyczyć się u żyda, a żyć górno, w kraju miłości i czystej sztuki, jak głoszą recepty literackie. Tymczasem życie idzie swoją drogą i gdybyśmy byli tacy, jakimi przedstawia nas literatura, nie byłoby z nas dzisiaj śladu. Zjedliby nas Niemcy i żydzi.

— Czegóż pan chcesz od literatury? — oburzył się Lelicki, — czy ma być podręcznikiem ekonomicznym, wychowawczym, handlowym, lub przemysłowym?

— Nic nie chcę, nasza literatura jest piękna i bogata, ale nie odzwierciedla życia naszego, tej walki o byt z Niemcami i żydami. W literaturze my jesteśmy tylko kapłanami miłości dla tej lub owej boganki, — zaśmiała się swobodnie.

— Pan taki młody, — uśmiechnęła się pani, — a już taki wróg miłości.

— Ja?! — zawała szczerze zdziwiony, — ależ nie! Miłość jest dla mnie najpiękniejszym kwiatem życia indywidualnego, ale prócz tego jestem obywatelem kraju, żołnierzem w służbie idei społecznej, mam obowiązki dla kraju, który mnie wydał, ukształtował i dał mi tę, a nie inną duszę. Kobieta nie powinna być celem życia, ale jego osłodą, przyjacielem i pomocnikiem w osiągnięciu celów ogólnych, społecznych i politycznych.

— No, no, — zaśmiała się Lelicki, —

znajdź pan taką, która dla wymarzonych celów poświęci swą osobistą ambicję.

— Znajdę, — spojrzał mimowoli na Halę, która się zarumieniła, — są przecież u nas takie, dla których niema szczęścia w domu, jeśli go niema w ojczyźnie.

— Mamusiu! — zaśmiała się przyjemnie Janek, — i cóż mamusia mówi na kupczyka stojącego za ladą, który zabawia się poezją? Czy taki może zrobić majątek?

— Praca w niczem nie przeszkadzi, — powiedziała Hala i zarumieniona umilkła, a widząc oczy wszystkich skierowane ku niej dodała: — zazdrośćczę wszystkim, którzy pracują i sama pragnęłabym pracować.

— No, a jak tam na wsi? Był już pan? — spytał Lelicki.

— Zapomniałem podziękować panu za listy, były mi one wielką pomocą. Powstałą trzy sklepy wiejskie, które towar będą brały u mnie.

— Za gotówkę, czy na kredyt?

— Na razie kredytuję, ale to ludzie uczciwi i dobrych chęci.

— To mało jeszcze, trzeba, ażeby znali się na handlu, a przynajmniej mieli zdolności w tym kierunku.

— Przekonam się o tem w krótkim czasie, a w razie potrzeby znajdą się inni.

— I jak pan lekko traktuje te sprawy, —

dziwił się gospodarz, — mam wrażenie, że i ten sklep pański i te sklepy wiejskie, to rodzaj jakiegoś sportu, czy zabawy, a przecież tu idzie o pieniądze.

— Gdyby tylko pieniądze? — westchnął Liński.

— A cóż jeszcze? — spytała pani.

— Bolałby mnie tryumf żydów, i mój upadek mógłby źle oddziałać na innych, to też muszę zwyciężyć, muszę mieć powodzenie! — zarumienił się i zabłysły mu oczy.

— Gdyby zapał rozstrzygał w sprawach kupieckich, — rzekł Lelicki, — wierzyłbym w powodzenie pana.

— Ponieważ jednak bilans dochodów i rozchodów rozstrzyga, więc pan nie wiezy, — zaśmiała się Liński.

— A tak, nie zupełnie wierzę.

— Ja zaś jestem pewna, że pan zwycięży, — powiedziała stanowczym głosem Hala, — a ty, Tereniu? — zwróciła się do siostry.

— Ja?.... Życzę panu Lińskiemu powodzenia, ale też podzielam obawy tatusia, i ja nie podjęłabym się tej walki.

— Otóż to, — zaśmiała się ojciec, — masz więcej zastanowienia, a ta nasza „rewolucyjka“ zaraz ogień i siarka.

— Tatusiu, ja nie taki pochopny, przeciwnie, może zbyt ostrożny, — odezwał się

Janek, — a wierzę w powodzenie Tadzia i jestem pewny, że i Władek byłby mego zdania.

— Ach, Władek! — uśmiechnął się ojciec, — ten jak Hala, zdecydowany antysemita.

— Dawno tatuś miał list od Władka?

— Tydzień temu, — odpowiedziała matka, — jest w Londynie jeszcze, pracuje w banku i ma otrzymać stałą posadę.

— Ach, ten używa, — westchnął Janek.

— Może niedługo, — rzekł surowo ojciec, — pisałem, ażeby wrócił.

— Pisałeś? — zdziwiła się żona.

— Tak jest, dzisiaj... w biurze. Zapomniałem ci powiedzieć, — patrzał na żonę, — że Reinherc ożenił się onegdaj.

— Tak?

— Żona jego zakłada sklep z konfekcją damska na Marszałkowskiej, prosiłbym cię ażebyś tam zaszła i kupiła u niej cokolwiek, podobno bluzki są jej specjalnością.

— Jeśli chcesz, to dobrze.

— No, wiesz, wypada. On jest w moim biurze tyle lat, jest wierny i przywiązyany do interesu i mam z niego wyrokę.

— Halu, a możeby ci tam kupić bluzkę na codzień, i tak potrzebujesz.

— Wystarczą mi manusiu te co mam.

— Kiedyż bo ja nie potrzebuję, Terenia ma, tylko ty jedna miałaś iść do krawcowej; pójdziemy Halu, dobrze? — namawiała matka.

— Dlaczego manusia mnie drażni? — odparła szorstko, — wie manusia, że u żyda nie kupię i nie chcę.

— Halu, — przemówił ojciec, — co innego żyd jakiś, ale to Reinherc, którego znasz, bo tyle razy byłaś w biurze.

— Tatusiu, czy dlatego, że byłam w biurze tatusia i widziałam jego, on przemienił się na katolika? — zaśmiała się, — i niech mi tatuś pozwoli na tę jedyną fantazyę, ażebym nie nosiła na sobie nic żydowskiego.

— No, na upór niema lekarstwa, — uśmiechnął się ojciec wyrozumiale, — to chyba Zosiu kup dla siebie lub Tereni.

— Dziwnie uległym i posłusznym ojcem jesteś, — uśmiechnęła się ironicznie, — ale już dobrze, nie kupię dla Hali.

Obiad się skończył, panie wraz z Lińskim i Jankiem przeszły do salonu, gospodarz wymówił się korespondencyą i poszedł do swego gabinetu.

Terenia grała na fortepianie, matka i Janek rozmawiali półgosem ze sobą. Do Hali stojącej we drzwiach balkonowych podszedł Liński i zaczął od banalnego pytania:

— Jak pani spędziła wakacyje?

— Przyjemnie, byłyśmy w Zakopanem przez kilka tygodni.

— Tam musi być miło, zdala od kurzu, zaduchu, tłoku ludzi i żydów.

— Otóż wszystko tam inaczej, aniżeli pan sobie wyobraża, — zaśmiała się, — kurzu mnóstwo, zaduchu także, ludzi bardzo wiele, a żydów na Starej Polanie, jak na Nalewkach. I u nas przynajmniej boją się policyi, a tam są rozzuchwaleni, pełni arogancji i impertynencyi. Dopiero na dalszych wycieczkach bardzo przyjemnie.

— Często chodziła pani?

— O, nie, manusia się bała o nas, ale zawsze, na sześciu byłyśmy.

Milczeli przez chwilę, on szukał w myśl tematu do rozmowy, ona zaś po chwili powiedziała:

— Nie uwierzy pan, jakbym się cieszyła, gdyby panu się powiodło, ale nie tak zwykle, tylko doskonale, wybornie! Tatuś tak ulega żydom, tak im wierzy, takie ma wyobrażenie o ich potędze handlowej, że ilekroć drwię z żydów, tatuś zaraz przytacza mi, ile sklepów posiadają żydzi, a jak mało, bardzo mało jest w polskich rękach, bo dowodzi, że my jesteśmy niezdolni do handlu.

— Dobrze pani, postaram się.

— Gdybym mogła, pomogłabym panu.

— Pani może.

— Jakim sposobem? — spytała z żywością.

— Dotychczas przychodzą do naszego sklepu służące, żony rzemieślników i t. d., ale z tej tak zwanej lepszej publiczności prawie nikt. Otóż pani, idąc ze służącą po sprawunki, może wstąpi do sklepu, nawet bez kupowania, a wiem, że to zrobi dobre wrażenie.

— Kiedy ja nigdy nie chodzę ani sama ani ze służącą po sprawunki.

— Nigdy? A cóż pani robi?

— Dawniej chodziłam na pensję, a teraz czytam, gram, idziemy z mamą, przychodzą znajomi...

— Daruj pani, ale to życie bardzo żałowe, jabym się powiesił z nudów.

— I ja się nudzę, ale co mam robić?

— Co? Pani taka młoda, uczyć się trzeba, kształcić... Niech się pani uczy języków, na przykład angielskiego, włoskiego... Nowy język, nowa dusza, bo naprawdę, w języku, w pieśniach, podaniach, jest dusza narodu, a czy może być coś piękniejszego jak poznać nową duszę, dopiero się oceni i zrozumie własną.

— Dobrze, pomyślę nad tem... Z pana jednak dobry człowiek.

— I ja tak myślę, — powiedział odurchnowo.

Ona się roześmiała, on również, dobrze  
Przebudzenie.

im było ze sobą, więc byli skłonni do wesołości i śmiechu.

— Z czego się tak śmiejecie? — spytał Janek.

— Ja, ze szczerości pana.

— I ja również.

— Niech mi pan jeszcze coś powie o swoich żydach, ale coś przyjemnego.

Opowiedział o gromadnym wypowiedzeniu sklepów i o smutnym zakończeniu zmowy.

Ucieszyła się i poszła do matki, ażeby jej i Tereni opowiedzieć o tem.

Liński, zabawiwszy czas jakiś, wyszedł, a Janek udał się do ojca. Zastał go nad książką rachunkową, którą zamknął przy wejściu syna, następnie zapalił papierosa i spytał obojętnie:

— Czy Liński poszedł?

— Już, a ja przyszedłem do tatusia z prośbą. Wszyscy widzimy, i ja również, że tatusiowi coś dolega, coś męczy tatusia, czy to choroba?

— Nie.

— Więc co takiego? Tatuś wie, jak ja kocham i szanuję tatusia, czy nie może mi tatuś powiedzieć?

— Et... nic mi, jestem rozdrażniony dzisiaj, miałem przykro spotkanie. Wiesz, ta pani Nakielska, która nie mogła spłacić żyda...

— A pamiętam, cóż się stało?

— Onegdaj sprzedano na licytacyi jej kamienicę, prawie nic jej nie zostało i przyszła do mnie z żałami.

— Któż kupił?

— Żyd, któremu była winna, jakiś Benjamin Frejlich, litwak.

— Czy to z winy tatusia?

— To nie, ale zawsze mi przykro.

— Zapewne... ale tatusiu, poco te wybiegi? — uśmiechnął się, — musi być jeszcze inna przyczyna smutku i przygnębienia.

— No, powiem ci, ale przed matką i dzieci mi ani słowa, dobrze?

— Nie powiem.

— Od dwóch lat dopłacam do utrzymania domu z dawniejszych oszczędności, i to mnie tak martwi. Starzeję się, mogę umrzeć, i co będzie?

— Ależ tatuś zdrów, w pełni sił, co za rozpaczliwe myśli, — ucałował ojca w czoło. — A będąał tatuś przyczyną ubytku dochodów?

— Naturalnie... wiesz, są czasy nieszczególnie i wprawdzie dostaję komisów dosyć, cóż, kiedy przy zawarciu ostatecznej umowy, coś się tak pokręci, pokrzyżuje, że odchodzę z kwitkiem, albo z taką kwotą, że ledwie na opłacenie biura starczy.

— Możeby się oszczędzać? Poco nam takie obszerne mieszkanie? lokaj?

— Nie mogę. Z chwilą zmiany w swoim życiu, mieszkaniu, usługi, okrzyczę mnie bankrutem. Sam oszczędzam się o ile mogę; Władzowi napisałem, że nie mogę dłużej łożyć na jego studya, to było bardzo przykro, ale musiałem napisać. Matce i dzieciom nie mogę powiedzieć, i ty nie mów, zmartwią się, zaczną się jawnie oszczędzać, mówić o tem, i nic mi to nie pomoże, a rozgosi się rzecz i zakwasi życie.

— Cóż tatuś zamysła?

— Trzeba przetrzymać ciężkie czasy. Miałem odprawić Płachetkę, ale wstrzymałem się, może mi będzie potrzebny. Ten Reinherc rządzi mi rozszerzyć działalność domu komisowego na Litwę, Wołyń... Cytował mi kilka interesów bardzo korzystnych... Trochę się obawiam, bo zawsze to poza oczyma, trudno dopilnować, ale może i rozszerzę, bo tu coraz ciaśniej.

— Może to będzie korzystniej, nie znam się na tem... a dużo tatuś dokłada rocznie do dochodów?

— To zależy... ten rok ciężki. Wyjazd matki z dziećmi zagranicę, wyprawienie ich, ubrania, podróże... ale nie mogę dziewcząt kryć i chować, muszą się pokazać w świecie, a może trafi się stosowna partya.

— Współczuję z tatusiem, a widząc te kłopoty, ani myślę się żenić, to niewola.

— Każdy z nas się zarzeka, — uśmie-

chnął się, — a przyjdzie chwila i robi to samo... Zdaje mi się, że ten Liński ma się do Hali, ale to żadna partya dla niej i przy sposobności daj mu to delikatnie do zrozumienia...

— Ale dlaczego, tatusiu? Porządny, uczciwy, pracowity i wcale dobrze wykształcony fachowo i ogólnie. Jeśli tylko on podobał się Hali...

— Nie! On sam sobie grób kopie. Tu niema dwóch zdań, walki z żydami na polu handlowem nie przetrzyma i musi upaść. To jednak byłoby jeszcze głupstwem, można mieć niepowodzenie, a potem dorobić się, ale on, jako antysemita, już się nie podniesie. Żydzi go zgnębią, zniszczą; oni są mściwi i nie darują mu tego, że rozpoczął walkę z nimi. Ja znam żydów i pierwszym warunkiem powodzenia w handlu czy w przemyśle jest zgoda z nimi.

— Ta jednak zależność od żydów, ta niewola, jest dla nas upokarzająca. Nie dość gnębią nas inni, jeszcze żydzi będą się znęcali nad nami! — poczerwieniał, — i jak tatuś może mówić o tem tak spokojnie, godzić się z tym stanem rzeczy?

— Bo muszę, życie mnie nauczyło tego. Ilęż to razy starałem się wyrwać kogoś ze szpon żydów, lichwiarzy, faktorów. Wbrew memu interesowi tłumaczyłem, wykazywałem straty, ruinę, nic nie pomagało i zro-

biłem sobie wrogów i z żydów i z ich ofiary. Nam brakuje poprostu zmysłu handlowego. Obserwuję to doskonale na moich dwóch pomocnikach, na Reinhercu i Płachetce. Obaj ucześni, zdolni, Płachetka nawet pracowitszy, sumienniejszy w wykonywaniu poleceń, i cóż z tego? Jeśli idzie o zrobienie interesu, o zasięgnięcie informacji, o obrontność i szybkość decyzyi, zawsze i we wszystkiem Reinherc go uprzedzi. On w lot zrozumie sprawę i nada jej właściwy kierunek.

— To wyjątek.

— Nie, to reguła! I dlatego jestem pewny, że Liński upadnie i na naszym gruncie nie ma co robić. Nie dostanie żadnej posady, nie będzie miał kredytu i musi wyjechać gdzieś, daleko, ażeby zacząć nowe życie.

— I wszystko to przez żydów! — zawołał Janek podrażniony. — A wie tatuś, teraz nic a nic nie rozumiem, jak może tatuś trzymać u siebie żydów, chwalić żydów i ich popierać! Więc Polak, musi uciekać, emigrować ze swego kraju, nie znajdzie chleba i zarobku, bo naraził się żydostwu! Czy to nie ohyda!? Czy krew się nie burzys? Czy tej hańby nie odczuwa tatuś?

— Nie jesteś moim spowiednikiem, — uśmiechnął się, — byłem kiedyś inny, może gorętszy od ciebie i Lińskiego, ale życie

jest nauczycielem wprawdzie twardym i bezlitosnym, ale praktycznym.

— I niema rady na to? — spytał Janek z prawdziwym żalem, — nie widzi tatuś sposobu wyzwolenia się z niewoli?

— I owszem, to zapewne kiedyś nastąpi, ale ani ja tego dożyję, ani ty. Dopiero gdy niebezpieczeństwo zalewu zajrzy w oczy, gdy zaczniemy tonąć, przebudzi się naród cały. Tu wysiłki i praca jednostek, ich poświęcenie się nawet, nic nie pomaga, nie naprawią, a przeciwnie zaszkodzą współżyciu zgodnemu. Dopiero, gdy wszyscy stanimy w jednym szeregu, wówczas zlamimy może ten pierścień żelazny, który nas gniecie i dusi.

— Tak, ale zanim to nastąpi kiedyś, kiedyś, oni nas zjadą i wykupią. Domy po miastach przechodzą do nich, handel w ich ręku, przemysł również, ziemię wykupują i będą im paryasami w kraju własnym. Naprawdę ma się ochotę wygnąć ich, ale całkowicie, bez litości i wyjątków. To był szatański pomysł, skanalizowania wszystkich żydów nad Wisłą.

— I to Janku minie. Żydzi nie mają żadnej siły asymilacyjnej, będą zawsze obcymi przybyszami, najazdem. Od nich nauczywszy się ich sztuki wojowania, pobijemy ich, własną ich bronią.

— Dziękuję za ten optymizm dalekiej

przyszłości, nic to mnie nie pociesza, — rzekł Janek z ironią; — trzeba zaraz, z miejsca rozpocząć walkę z nimi, a nie czekać, aż nas obedrą do koszuli, a i tę nam zdejmą. Tadek ma słuszność i ja pójdę za nim.

— No, no, uspokój się... idź się prześpij, sen uspokaja i usuwa rozdrażnienie.

## XII.

Aronka nietytko ojciec pochwalił i ucałował za okazany spryt, ale dał mu nawet trzy kopiejkę i był bardzo dumny, że ma takiego mądrego syna. Zaraz uwiadomił swych sąsiadów żydów, że jego domysł był sprawiedliwy, gdyż sam Liński chwalił się, iż to za jego poradą gospodarz nietytko nie uląkł się groźby trzech lokatorów, ale nawet podwyższył im komorne.

Martwiło go jednak, że Liński nie tak bardzo odczuł zepsucie towaru, i to tyle towaru. Czy on ma tyle pieniędzy, czy taki głupi i nie umie rachować? W tej wątpliwości poszedł do Josia, i opowiedziawszy, spytał, jak on rozumie ten interes i dla czego Liński nie złąkł się, kiedy powinien to zrobić i jak najprędzej wyprowadzić się z niebezpiecznego miejsca.

— Chaskiel, — odrzekł Joś spokojnie,

czy ty nie wiesz, że każdy goj ma twardą głowę? On się jeszcze nie obliczył, on nie skalkulował, ile on traci? Jemu się zdaje, że towar stracił, nu, towar nowy kupi, a co on stracił procentu, tego on nie liczy, bo głupi.

— Nu, ale dlaczego on nie liczy? — spytał Chaskiel, — jakby on obliczył, to onby zaraz potrzebował uciekać. A możeby mu napisać taki anonim, obliczyć mu wszystkie straty i powiedzieć co jego czeka, jak on tu zostanie.

— Chaskiel, Chaskiel, ja bardzo się boję, że ty rozum tracisz! Czy ty nie rozumiesz, co to jest list? Co to dokument? Czy ty chcesz, żeby ciebie złapali i wsadzili do kryminalu? Ty rozpowiadaj, i ja, i my wszyscy, że jemu przytrafiło się nieszczęście z towarem, że on nie może tracić, to on sprzedaje wszystkim taki paskudny, śmierdzący towar. Czy ty mnie zrozumiałeś?

— Ja to wiem, — zaśmiała się, — to nie jest zła myśl, a może ty masz jeszcze coś dobrego?

— Dlaczego nie? ale ty wiesz Chaskiel, że nawet cebuli za wiele, to szkodzi, czy nie tak?

— Może i tak, ja nie gotuję, — zaśmiała się, — od tego kucharka i żona. Nu, a jak ty myślisz Joś, czy jemu znów popsuć towar?

— Chaskiel, ty nie bądź taki odważny lew, ciebie może spotkać nieprzyjemność. I czy ty myślisz, że oni zostawią tą samą kłódkę?

— Aj, Joś! Ty taki mądry, ale ty nie znasz gojów. Goj straci dużo na pijństwo, na karty, na dziewczynę, ale pożałuje gorsza na to co trzeba do zabezpieczenia. Kłódka dobra, niech ona zostanie, a jak raz przyszedł złodziej, on będzie się bał przyjść drugi raz. Czy nie takie myślenie gojów?

— Czy ja wiem?

— Nu, Joś, założmy się, że zostawią? Dobrze?

— Może i zostawią, a może to będzie podstęp? Może oni tam zaczekają i napadną ciebie?

— A od czego jest Aron? Icek? jego żona? dzieci? Oni pilnują. Jak on złoży nowy towar, to jak będzie noc, ja mu zróbię to samo i ucieknę do Arona, nu, i kto mnie złapie? Stróż w bramie śpi, bo dla czego on nie ma spać, jak cały dzień jest na nogach?

— Ty zrobisz jak chcesz, ale ja się boję.

— Ale ja się nie boję! — zaśmiała się Chaskiel, — ja muszę dochodzić mojej krzywdy i jemu koniec zrobić. Czy reb Janekiel nie powiedział tego?

— Chaskiel, ty wiesz, co ja ci powiem? Ty bądź ostrożny i chytry jak wąż, to on

ciebie nie złapie, ale ja bałbym się, a ty nie?

— Dlaczego mam się bać? Nu, a kto Lelicki? Ja wiem, że on ma kantor na Jerozolimskiej, ale kto on?

— Ja nie wiem, ale ja się dowiem, ty potrzebujesz spać spokojnie.

Na drugi dzień pod wieczór, Joś uśmiechnięty, z fajką w rękach, bawiąc się cyklesami zaszedł do sklepu sąsiada i spytał:

— Chaskiel, czy ty wiesz, kto Lelicki?

— Skąd ja mam wiedzieć?

— To ja tobie powiem. Lelicki to tak jak nasz, u niego rządzi wszystkiem Janekiel Reinherc. Nu, co?

— Reinherc? Czy to syn Borucha z Dzikiej ulicy?

— Ten sam. On się ożenił z córką Nestenowera z Nowiniarskiej i on ma sklep na Marszałkowskiej z konfekcją damska. Aj, jaki to sklep! Okno takie szerokie jak dwoje drzwi, nu, a drzwi!

— Aj, ja go znam, to był sprytny chłopak, z niego ojciec miał pociechę... ale ty mów o Lelickim i Lińskim.

— Ten Lelicki ma dwie córki i dwóch synów. Jeden na wsi, drugi zagranicą. Ten co na wsi potrzebuje być w przyjaźni z Lińskim. Oni może myślą, że Liński ożeni się z jedną albo drugą, ale Reinherc na to nie pozwoli.

— Co to mnie obchodzi? — podrapał się po głowie, — ty mi mów o Lińskim. Ile on ma? Czego on chce?

— Zaraz... czego ty taki raptownik? Reinherc powiada, że większego zbója i gałgana on nie zna. Czy ty słyszysz?

— Poco mi słyszeć, ja to wiem najlepiej.

— On ma trochę pieniędzy, mówił Reinherc, ale czy ty Chaskiel myślisz, że on tylko tobie i mnie chce szkodzić?

— Nu?

— On chce mieć sklepy po wszystkich wsiach, osadach, miasteczkach, i on chce być ich hurtownikiem. Czy ty rozumiesz, jaka to szkoda dla nas, nietylko na Wspólnej, ale i na Nalewkach, na Dzikiej, na Gęsiej dla wszystkich składow. I ty myślisz, że to już koniec?

— Nu, a gdzie on?

— A co nasi zrobią na wsi? w osadach? w miasteczkach? Ty potrzebujesz trochę tylko pomyśleć, a już będziesz wiedział, czy nie tak?

Chaskiel zamiast odpowiedzi wybuchnął z furyą wschodnią przekleństwami, które zaczęły się od niewinnych słów:

— A szlag zoł ihn treffen! — a skończyły się na przekleństwie wszystkich pokoleń wstępnych i zstępnych. Gdy się co-kolwiek uspokoił, powiedział:

— Nam Joś trzeba iść razem do rebe Jankla Rubinrot. Jemu trzeba wszystko opowiedzieć o tym gałganie i zbóju. Niech on powie wszystkim, jaki to nowy wróg się zjawił dla całego Izraela, on przecież nie może chodzić w słońcu, on musi zgnić... niech go wyszlą na Sybir, niech go powieszą i rozedrą na części. Trzeba z niego dać przykład, to inny goj nie spróbuje nam przeskadzać. Czy nie tak?

— Dlaczego nie? Ty masz Chaskiel cały recht! To już nie sprawia moja, ani twoja, ale całego Izraela, to nas wszystkich.

Umówili się o godzinę, w której jutro pojedą do rebe i rozeszli się.

Rano, zanim nadeszła godzina oznaczona, zaszły niezwykłe wypadki. Najpierw przywieziono kilka pak towarów do Lińskiego, potem znów przysłano pakę, a w chwili gdy Chaskiel z gniewem w sercu obserwował taki skandal, posłyszał głośne wołanie Josia, który stał na chodniku z trzema nieznajomymi żydakami.

Zostawiwszy żonę i Aronka w sklepie, Chaskiel pospieszył do Josia, który go oczekiwał na chodniku w towarzystwie trzech żydków.

— Co jest, Joś? — spytał Chaskiel zdyszany, bo się bardzo spieszył.

— Tu jest trzech naszych z gubernii

warszawskiej, oni mają coś do gadańia.  
Mów ty, Srul Pomeranc.

Szczupły, nizki żydek, z ruchliwą twarzą, z nierówną kłaczastą brodą, w której tkwiły jakieś okruszyny, spojrzał szybko małemi i niespokojnemi oczkami na Eibenszyca i zaszwargotał jednym tchem:

— W mojej wsi, gdzie siedzę i handluję od wieków, może dziesięć, może więcej lat bez przerwy, przyjechał całkiem prosty goj i zakłada sklep. Co to jest? On nawet mnie się nie spytał i wlażł w mój interes. On zgodził sobie takiego prostego chłopa, dał mu na półki, szafy, skrzynie i chce rozpocząć interes. Ja zaraz pobiegłem na miejsce, ja jego nie zastał, ale ja już wiem, gdzie go szukać. To jest Liński, on tu ma sklep, — wskazał ręką. — Jak on może taki rozbój robić? Kto jemu pozwolenie dał? Czy to może być, ażeby my cierpieli obok siebie takiego prostego zbójnika? Ja jestem Pomeranc, Srul Pomeranc z dobrej familii kupieckiej, ja przyjechał do was po rządę. Co wy sobie myślicie? Co potrzeba z nim zrobić, ażeby on mnie nie szkodził? Nu, co?

— Aj, Srul, czy on tylko tobie krzywdę robi? Ty się spytaj, ile ja już przez niego mam straty? Ile zdrowia mnie kosztuje? — wzduchał Chaskiel.

— Nu i co? — pałały oczy Srulowi,

i wy ręce założyli sobie i nic? On, żeby był w naszym miasteczku, my podalibyśmy zaraz skargę do naczelnika powiatu, żeby go „wysielić“ i siej czas jegobyc „wysielili“, bo on jest niebezpieczny zbój i złoźniej. U nas to tak, a u was nie można?

— Srul, a dlaczego ty tego nie zrobisz w swojej wsi? Tam tylko chłop, czy nie możesz go wyrzucić? — gładził Joś brodę.

— Na wsi jest komisarz włościański, on stoi za chłopami; jakbym ja się poskarżył, on zacząłby dochodzić na jakim gruncie siedzę i ja mógłbym mieć nieprzyjemności i na co mi to? Ale wy, takie bogate kupcy, cała Warszawa wasza, i wypozwalacie?

— Srul, ty gadasz i gadasz, — odezwał się zwolna Natan Bauchtanc, kupiec z miasteczka, szpakowaty brunet, — i ja chcę przyjść do słowa. Ja i Meir Pliszkower, — wskazał na misernego blondyna, brudnego, z kaprawemi oczyma, — my kupcy. Ten goj śmiał pod naszym bokiem w dwóch naszych wsiach założyć dwa sklepy. My sobie myśleli: jak ty chcesz zatamować wodę, co tobie robi mokro i nieprzyjemnie, ty jej nie czerpaj u siebie, ty idź do źródła i ty zatkaj źródło, to ona przestanie cieknąć, czy ja źle mówię?

— Dlaczego Natanie pytasz? Ty mądrze mówisz, — skinął Joś głową, — i ja rozumiem dlaczego ty, i Meir, i Srul, przyjecha-

liście tutaj, ale ty gadaj dalej, ja ciebie słucham.

— My możemy zepsuć mu towar i w drodze i na miejscu, ale to może się raz udać a drugi raz nie udać. Ale jak my zatkamy źródło, to my już spokojni. Wy tylko powiedzcie nam, u których hurtowników on bierze, a my już sobie poradzimy. Czy tak, Meir?

Ten w odpowiedzi mruknął potakując i szturknął Josia, na znak, że czeka odpowiedzi.

— Ty wiesz, Natan, co ja ci powiem? — zaczął Joś z powagą, — ty mądrze zaczął, ale ty głupio skończył. Czy ty myślisz, że gdyby z hurtownikami można coś zrobić, my czekalibyśmy na twoją radę? Ty potrzebujesz wiedzieć, że on bierze towar od katolików, od Polaków, i co ty zrobisz?

— Aj, aj! Jaki on gałgan! Jaki oń łołtr! — zawała Natan oburzony, — z nim musi być koniec, on nas zrujnuje. Nu, a w jego sklepie nie można? On teraz przywiózł towar, ja widział, ten towar ja w sercu czułem, on jest na naszą zgubę. On nie powinien wyjść z Warszawy. A wy inaczej myślicie? — spojrzał na innych.

— Co tu długo gadać? — zawała Eibenszyc, — my tu swoje zrobimy, jemu odechce się handlu, a wy róbcie swoje, i zrobimy jemu koniec. Tutaj szkoda wa-

szego czasu i zachodu, co się da zrobić tutaj, niech was o to głowa nie boli. Czy nie tak, Joś?

— Dlaczego ma zaraz być tak? Ja myślę, że to nie będzie źle, jeśli oni we trzech pójdu z nami do rebe Jankla Rubinrot. Kiedy już przyjechali do nas, niech oni czegoś się nauczą. Co to im zaszkodzi?

— My mamy także bardzo mądrygo rebe, — rzekł na to Natan Bauchtanc, — ale my możemy i waszego posłuchać.

— Ja nie mogę iść, — zawała Sril Pomeranc, — ja mam bardzo dużo i pilnych interesów, ja tu wpadnę wieczorem i dowiem się co powiedział rebe.

Również Meir Pliszkower miał do załatwienia dużo sprawunków i obiecał przyjść wieczorem, tylko Natan, kupiec poważny, poszedł do rebe, żeby usłyszeć mądro słowo.

Przed wieczorem przyszli do Josia Sril i Meir, pytając co powiedział rebe?

— To było tak, — zaczął z wielkim namaszczeniem Joś, — jak rebe się dowiedział, co ten podły goj robi z nami, on wziął się za głowę i mało nie zapłakał, a potem mówił: Jak ty siedzisz w swoim domu, to ty pilnajesz, żeby w ścianie nie było dziury, a jak kto chce zrobić to, ty nie pozwolisz, bo przez tę jedną dziurkę idzie wiatr, deszcz, śnieg. Wy teraz macie cały dom i całą ścianę, a ten goj chce dziurę

zrobić. Jak będzie dziura mała, ona będzie większa, będzie bardzo wielka i ściana upadnie i dom się rozwali. Temu gojowi nie wolno zrobić w domu waszym żadnej dziurki, wy musicie się bronić, bo może być nietylko z wami źle ale z całym Izraelem. Od tego wasze głowy, co i jak z nim zrobić, a ja swoje już powiedziałem.

— Zanim on zrobi małą dziurkę, — zawała z pasa Sril Pomeranc, — niech on sobie rękę złamie i nogę, obie ręce i obie nogi złamie, niech on cały będzie połamany!

— Ja jemu jeszcze gorzej życzę — rzekł Meir, — co my z jego towarem zrobimy, jak on jego dostanie?

— Ja wiem, że on na sobotę obstałował wóz i konie w mojej wsi, ażeby przyjechał chłop na stacyę, — objaśniał Sril, — ja znam tego chłopa i ja go już prosiłem, żeby wstąpił do Nuchima, a Nuchim już wie, co ma zrobić, — uśmiechnął się, — Meir, czy ty znasz Nuchima?

— Ja znam i wiem, że jak on coś powie to już pewne.

— Nu, czego chcecie? — rzekł Joś, — wszystko jest w porządku i ja wiem, że on wcale towaru nie wywiezie?

— Jakto? Co będzie? — zawałali obydwaj.

— Naco gadać o rybie, kiedy ona sobie jeszcze pływa, — zaśmiał się Joś — jak ona będzie złapana, to i wy się dowiecie.

Pogadali jeszcze kilka słów o cenach zboża, o kredycie, o wekslach i rozeszli się.

Tego samego dnia Aron, który miał swoją komórkę obok komórki Lińskiego, poszedł do swego składu i obejrzał przy tej sposobności kłódkę, na której był zamknięty towar Lińskiego.

Z wielkim niezadowoleniem spostrzegł, że kłódka jest inna, gdyż Liński uparł się zmienić kłódkę, ażeby usunąć podejrzenie szkodnika o jakąś pułapkę.

Aron handlując żelazem i kłódkami, poznał natychmiast fabrykę i numer kłódki, uśmiechnął się z ironią, że goje pożałowali pieniędzy na dobrą, angielską kłódkę, a wybrali taką zwykłą, do której tak łatwo można dobrać klucza w pierwszym lepszym handlu żelazem.

Nastała ciemna noc, pozamykano sklepy, a przez niedomknięte drzwi sklepowe od ulicy wśliznął się Chaskiel do Arona Knochebein, który go oczekiwał i zaprowadziwszy do magazynu za sklepem rzekł:

— Chaskiel, tu masz klucz od kłódki.

— Dlaczego on inny?

— Goje zmienili kłódkę, oni się domyślili, że kto inny ma także klucz do ich kłódki... A masz wszystko, co tobie potrzeba?

— Ja mam — podniósł flaszkę z naftą do światła.

— A ślepą latarkę masz?

— Ja zapomniałem.

— Dam ci moją... ja teraz wyjdę na podwórze i zobaczę czy bezpiecznie.

Otworzył cicho drzwi tylne, wychodzące na podwórze i za chwilę wrócił szepiąc: — W oknach na górze się świeci, ale niema nikogo na ganku, ty możesz iść, a ja tutaj zaczekam na ciebie, światło zgaszę, bo poco świecić? ono może mnie zdradzić, trafisz do moich drzwi?

— Czy to wielka sztuka, — zaśmiała się Chaskiel, — tylko ty mnie czekaj, dobrze?

— Nu, jak ja ciebie puścił, to dlaczego nie mam wypuścić?

Chaskiel, unikając płaszczyzn oświetlonych blaskiem z okien, przemknął się do komórek. Trochę się zastraszył, ktoś bowiem przebiegł przez ganek na drugiem piętrze, wstrzymał tedy krodech i przylgnął do drzwi komórki Arona. Nasłuchiwał i dostrzegł, że na trzeciem piętrze ktoś przymyka okna. On stał i czekał, a gdy się uciszyło, podsunął się do kłódki komórki Lińskiego. Flaszkę z naftą wsunął pod pachę, ażeby mieć ręce wolne i bez trudu znalazł wreszcie otwór kłódki i wsadził klucz. Już miał otworzyć, gdy na anek drugiego piętra wyszła służąca i za-

wołała na swą znajomą z pierwszego piętra; zaczęły rozmowę i umawiały się, gdzie się spotkają jutro rano. Chaskiel zdenerwowany obawą, że może go ktoś spospostrzędz, przeklinał służące i ich gadatliwość.

Ale i one nareszcie skończyły rozmowę.

Chaskiel pokręcił kluczem, szarpnął kłódką, otworzyła się. Ostrożnie ją wyjął i delikatnie dwoma palcami odsunął skobel.

Pchnął drzwi i nagle gruchnęły, tuż przy jego twarzy, dwa głośne strzały pistoletowe, a blask prochu na sekundę rozświetlił ciemność.

Chaskiel puścił butelkę, kłódkę i padł na ziemię.

Niespodziewane strzały, bardzo głośne, wywabiły na ganki piętrowe mieszkańców kamienicy. Otwierały się drzwi, okna, zaczął się gwar głosów zaniepokojonych. — Posyapały się pytania, wykrzykniki zdziwieńia i trwogi.

— Co się stało?... Zbójcy... Napadli! Zastrzelono?... Kto zginął?

Chaskiel zerwał się z ziemi, jakkolwiek był pewny, że jest zastrzelony, a przynajmniej śmiertelnie raniony.

W oczach miał jeszcze blaski ognia, w uszach dzwoniły mu strzały.

Taki bliski strzał każdego przerazi, a cóż dopiero Chaskla, który nie znosił huku.

Zachwiał się, zatoczył i byłby może znów upadł, gdyby nie nagle otwarcie drzwi sklepowych Lińskiego od strony podwórza i błysk światła. To dodało mu sił, już nie biegł, ale poleciął w kierunku sklepu Arona. Przypadł do drzwi sklepowych i zaczął gorączkowo szukać klamki, ażeby otworzyć.

W tem jednak zdenerwowaniu, gdy ręce mu latały na wszystkie strony, klamki nie mógł namacać, gdy rozległo się wołanie:

— Stróż! Zamknąć bramę, złodziej jest na podwórzu! Światła!

Chaskiel drżała cały, chciał wołać Arona, ale bał się zdradzić, a wiedział, że lada sekunda, stróż przyniesie światło, poznają, złapią...

Wtem ktoś z pierwszego piętra widocznie dostrzegł Chaskla, bo krzyknął:

— Ktoś pod drzwiami sklepowemi, pewno złodziej!

— Gdzie? Łapaj! Trzymaj! — zawała Mierski, który nocował w sklepie, ażeby pochwycić winowajcę.

W tej krytycznej chwili, w której Chaskiel czuł, że jest zgubiony, dostrzegł nagle Icka krawca, stojącego w oświetlonych drzwiach.

Jednym susem stanął przy Icku i szepnął:

— Sza! Nieszczęście!

Lecz prześladowca Chaskla śledził go widocznie, bo znów zawała:

— Złodziej wpadł do żyda! — wskazał palcem na drzwi Icka.

Mierski i stróż pobiegli w kierunku wskazanym; wprawdzie Chaskiel wbiegł do mieszkania krawca, ale Icek nie miał czasu zamknąć drzwi i do jego mieszkania wpadli Mierski i stróż wołając:

— Gdzie złodziej?

Chaskiel w pierwszej chwili, gdy znalazł się w izbie mieszkalnej, chciał zamknąć się w szafie, wleźć pod łóżko, ale gdy spotkał się oko w oko z niebezpieczeństwem, obudził się w nim lew, jak to później opowiadał Josiowi, siadł na krzesło i gładząc brodę, patrzał na Mierskiego i stróża:

— Ktoś ty? — zawała Mierski. — To ty wpadłeś tutaj!

— Ja, nie!

Icek pospieszył mu zaraz z pomocą i zaczął krzyczeć:

— Co to jest? Czego pan chce? Czy pan policya? To mój gość, on tu był od godziny.

— To Chaskiel, kupiec, — rzekł stróż.

— Więc to on dobierał się do naszej komory... Ma nawet twarz opaloną od prochu!... Czuć go naftą...

— To jest sadza! — zawała Chaskiel, — to żaden proch, i gdzie nafta?

— Skąd sadza? Jaka sadza? — zawała Mierski.

— Czego pan krzyczysz? Czy mi nie wolno powalać się sadzą? Co to jest za gwałt?

— Michale, — zwrócił się Mierski do stróża, — pamiętajcie, bo zeznacie przed sądem, że o dziesiątej w nocy, schronił się Chaskiel kupiec do krawca... miał twarz opaloną od prochu... śmierdzi naftą... Czy wiecie, kto wołał do nas z pierwszego piętra?

— Pewno pan Morendowski, znam go.

— Pójdziemy do niego, on poświadczyc, że ten żyd skrył się tutaj. Ja ci tego nie daruję, — groził Eibenszycowi, — ominęła cię kula, ale stryczek cię nie minie. Chodźmy!

Icek już nic nie mówił, on widział, że Chaskiel robi się coraz bledszy i omal nie pada z krzesła.

— Dawaj wody! — przyskoczył do Chaskla i podtrzymał go, dał mu się napić wody i spytał czule:

— Chaskiel, co tobie? Ty jesteś u swoich, ty żyjesz.

— Ja nie wiem! — jęknął Chaskiel, — aj, co ja przeżył, co mnie spotkało!

W tej chwili wszedł Aron drzwiami frontowymi, a zobaczywszy Eibenszycę, zawołał radośnie:

— Chaskiel! Ty żyjesz! Ja myślałem, że ten zbój ciebie zastrzelił, ja słyszałem ten wielki strzał raz i drugi raz! Ja się bardzo przestraszyłem.

— Ty się przestraszyłeś? Nu, a co ja miałem zrobić, jak do mnie strzeliło?

— To straszne! Aj, to okropne! I to do ciebie strzeliło?

— Prosto w twarz, ja zaraz upadłem jak zastrzelony.

— Aj! aj! — potrząsał głową z podziwem, — wiesz Chaskiel, ja byłbym umarł, a ty?

— Ja myślałem, że już umarłem, ale ja się zerwałem i pobiegłem.

— Aj, jaki ty odważny! A czemu ty do mnie nie uciekałeś?

— Jak uciekać, kiedy drzwi zamknięte.

— Były otwarte i ja czekał na ciebie.

— Ja już idę, — powstał z trudem i opadł na krzesło, — ja nie mam głowy, rąk, nóg, ja nie mogę chodzić. Ten przeklęty goj mówił o kulach, ja może mam kule? — macał głowę, szwy i piersi.

Aron i Icek z wielką ostrożnością i czułą przyjaźnią odprowadzili Chaskla do domu.

Na drugi dzień Mierski zawiadomił policję o zakradaniu się Eibenszycy do sklepu towaru w komórce i prosił o śledztwo.

Liński był ucieszony pochwyceniem winowajcy, lecz nie miał czasu śledzić sprawy, zdał wszystko na Mierskiego, mówiąc:

— Jasiu zrób z nim porządek. Może Eibenszyc nie zostanie skazany, ale ręczę ci, że odechce mu się raz na zawsze

puć nam towar. Ja jadę z towarem do sklepów wiejskich.

— Kiedy wrócisz?

— Za dwa, może cztery dni.

— Tak długo?

— Muszę puścić w ruch interes.

### XIII.

Podliszewer czuwał nieustannie nad Lelickim, upatrzywszy w nim dobre narzędzie do osiągnięcia swych celów.

Cenił w nim dom solidny, który przez szesnaście lat swej działalności nie popadł w żadne zatargi nietylko z klientami, ale ani z policyą, ani z sądem. Taka czysta firma to majątek, ona usuwa wątpliwości, skłania do zaufania i wiary.

Koncesję na taki dom komisowy mógłby uzyskać jakiś bankier, albo żyd, to jest zawsze możliwe do zrobienia, ale mieć do rozporządzenia firmę wypróbowaną, z Polakiem na czele, to inny interes, i inaczej przemawia się do upatrzonego klienta, któremu proponuje się interes.

Reinherc zawiadomił Podliszewera, że jego zdaniem Lelicki jest już dostatecznie przygotowany do przyjęcia mądrzej rady i Podliszewer udał się do kantoru.

Lelicki przyjął go w swym gabinecie, a Podliszewer, z brodą świeżo podciętą, ubrany czysto i przyzwoicie, z miną łagodną i

szczerą, pożdrowił bardzo uprzejmie Lelickiego po rosyjsku, a zaproszony, ażeby zajął miejsce, wybrał skromne krzesło i usiadł na brzeżku.

— Czego pan sobie życzy?

— Ja przyszedłem z bardzo ważnym interesem, na którym można dobrze a uczciwie zarobić! Pan mnie jednak nie zna, ja świeży na gruncie tutejszym. Czy pan może słyszał co o mnie. Ja się piszę Aleksander Aronowicz Podliszewer.

— To wiem... coś wspomniał o panu Reinhercu...

— No, tak, on jest bardzo przywiązany do pana. Ja chciałbym mieć takiego przywiązанego i życzliwego podwładnego... Teraz ja krótko powiem o sobie... Ja znam dobrze Kijów, Żytomierz, Humań, Łuck, ja tam pracowałem, handlowałem, robiłem interesa. Jak nam nie pozwolono mieszkać, to chociaż ja w Warszawie, panowie znajomi z tamtych stron zwracają się do mnie i piszą o radę. Ten ma dużo wagonów pszenicy na sprzedaż, tamten rzepaku, trzeci nasienie buraków, ten się buduje, potrzebuje drzewa, tamten las ma na sprzedaż ktoś chce parcelować folwark, albo szuka wielkiej dzierżawy. Czy to trzeba panu mówić?

— No, tak, wiem o tem.

— Ja nie mogę sam to załatwić, ja najlepsze interesa puszczać, bo mnie nie wolno tam jechać, siedzieć. Nu, ja szukałem po całej Warszawie, komu można powierzyć te interesa? Ja nie znalazłem, tylko dom komisowy pana. To prawdziwe i rzetelne złoto. Pytałem też Reinherca, on przysiągł, że tu się robi interesa czyste, jak brylant. Tak ja przyszedłem z pytaniem, czy pan chce zrobić majątek? Jeśli pan chce, to ja dam sposób, dam moje znajomości, dam ludzi, powiem z kim można robić na słowo, z kim u rejenta. Pan potrzebuje tylko złoto zbierać. Czy dobrze?

— Ile pan chce za ten interes?

— Jakto ile? Ja nie żaden faktor, nie żaden pryzaszczyk, ja mam swoje kilkadesiąt tysięcy rubli, ja szukam tylko wspólnika do interesu. Jak pan da kopiejkę ja dam także kopiejkę albo i więcej, bo panu wolno tam otworzyć swoją filię. Ja panu tak wierzę, że oddaję mu swoje pieniądze. Ja wiem, że pan mnie nie skrywdzi nie to na rubla, ale na pół kopiejki.

— Hm... więc to spółka?

— Tak, to rzetelna spółka; wszystkie wydatki, jak podróż, urządzenie biura, pensye urzędników naszych, my płacimy do połowy. Przyjdzie jakiś interesant do kantoru, my do połowy robimy wkład i do połowy zyski. Pan ma prawo kontroli, pański peł-

nomocnik jest na miejscu, bez jego podpisu żadna umowa nie ma wartości... ale i ja mogę albo sam kontrolować książki, albo przez mego pełnomocnika. Czy to nie jest sprawiedliwe i bezpieczne?

— Zapewne... namyślę się...

— Po co namyślać się? Czy tu są jakieś interesa? Ten chce maszyny, tamten stokorcy zboża, inny ma sumkę do umieszczenia. To dobre dla kramu, ale nie dla takiego kantoru. Tam obraca się dziesiątkami tysięcy, jak tu rublami. Ja panu daję złoty interes do ręki, trzeba się tylko schylić i zbierać złoto. Nu, i niema ryzyka. Przecież pan ma żonę i dzieci, i ja także chwała Bogu. Czy ja mam jakiś w tem interes, ażeby moje pieniądze, zarobione ciężko, rzucać na niepewne? Ja chcę zarobić i panu daję zarobić. Pan ma ten przywilej, że panu wolno tam operować, to ja panu daję mój kapitał i powiadam: róbmy razem ten interes. Nu, co pan na to?

— Ile trzeba wkładu? — spytał Lelicki.

— Ile? Zawsze trzeba tysiąc rubli, może dwa, a może więcej. Trzeba mieszkania, trzeba urządzić biuro, ogłoszenia porobić, ludzi opłacić, znajomość zrobić, dać prowizję, zaliczkę. Wydatki idą na połowę. Czy pan się zgadza?

— Dobrze... ja się namyślę.

— Kiedy mam przyjść, ażeby interes skończyć? Ja długo nie mogę czekać, teraz jesień, sama najlepsza pora do zaczęcia interesu. Wszędzie zboże gotowe, każdy ma coś do sprzedania, każdy czeka na kupca, na interes. Ja mam list, że jeden pan, mój znajomy, chce sprzedać dwadzieścia wagonów pszenicy, to nie jest wielki interes, ale jak dobrze pójdzie, można zarobić tysiąc pięćset, może dwa tysiące rubli. Tu niema czego czekać, trzeba brać, kiedy samo idzie do ręki. Nu, kiedy ja mam przyjść?

— Jeszcze jedno, panie Podliszewer... Gotówki nie trzymam w domu, i nie rozporządzam znaczniejszą sumą.

— Ale pan może dać ubezpieczenie? — spytał żyd.

— Tak jest, najzupełniesze.

— Nu, to niema strachu, — zaśmiał się, — od tego jestem ja, wspólnik. Weksel pana to dla mnie gotówka. Kiedy mam przyjść?

— Jutro. Obgadamy bliżej interes i może się zgodzimy.

Podliszewer ze zbyt widocznym szacunkiem, ażeby miał być szczerym, pożegnał Lelickiego i przechodząc przez kantor rzekł do Reinherca:

— Wieczorem zajdę do sklepu waszej żony, może coś kupię.

Lelicki, odprowadziwszy Podliszewera do drzwi, zapalił papierosa i rozsiadł się wygodnie na fotelu.

Twarz miał rozjaśnioną, wygładziły się zmarszczki, uśmiechał się do swych mów. Nie opuściło mnie jednak szczęście, rozmyślał, ni stąd, ni zowąd zjawia się u mnie ten żyd rosyjski i proponuje doskonały interes. Istotnie, tam na Wołyńiu, Podolu i Ukrainie, po wypędzeniu wielu żydów brakuje pośredników; dom komisowo-handlowy ma przyszłość przed sobą. Tam są fortuny magnackie, wielkie obroty, kraj bogaty, żywny, a zaniedbany pod względem handlowym. Dom mój znany jest w Królestwie, jako solidny i rzetelny... nawet kilka tranzakcyi robiłem na Podolu; gdy tam utworzę dwie, trzy filie, dostanę komisów co nie miara. Miałem kiedyś sam ten plan i szkoda, że go nie przeprowadziłem; ale może to i lepiej. Ten żyd zdaje się uczciwy, przynosi do interesu swe doświadczenie, znajomość stosunków lokalnych i siły pomocnicze, w rodzaju faktorów.

No, i niechże mi ci nasi antysemici rozwinią interes bez żyda. To rasa, która w swojej krwi ma talent do handlu i interesów.

Każdy z naszych to kombinowałby, obliczał, badał, jeździł na miejsce, wahałby się,

a zanimby się zdecydował, żyd ubiegłby go kilka razy i interes załatwiał.

Nareszcie wyrwę się z tych drobnych naprawdę kramarskich interesów. Tu, u nas, gdzie stąpić, czego się jąć, zaraz zjawiają się konkurenci, którzy kopią dołki, wyrywają sobie klientów, obniżają zarobki do śmiesznie niskich cyfr, i jeszcze bardzo dobrze, gdy zarobię tyle, ażeby żyć. Tam, inne stosunki. Jak lekceważąco mówił on o dwudziestu wagonach pszenicy, a u nas sto korcy, to już wielki interes, uśmiechnął się ironicznie.

Jednak trzebabły dowiedzieć się czegoś bliższego o tym żydzie, a przecież nikt inny nie potrafi tego tak dobrze spełnić jak Reinherc. On nie ma żadnego interesu popierać tego żyda, przeciwnie, może się nawet obawiać pewnej konkurencji z jego stroną i wpływów na bieg spraw komisowych.

Wstał z fotela i otworzywszy drzwi do biura rzekł:

— Panie Reinherc, proszę do mnie, — wskazał mu krzesło, poczęstował papierosem i zaczął: — chciałbym posłyszeć zdanie pana w pewnej sprawie.

— Słucham, panie pryncypale, o co idzie?

— Był tu Podliszewer, proponuje mi spółkę domu, na Wołyń, Podole, Ukrainę. On przedstawia wprawdzie ten interes w ró-

żowych barwach, ale mam pewne wątpliwości co do niego samego. Kto on jest? Czem się trudnił? Czem się teraz zajmuje? Jaki charakter, czy uczciwy?

— Panie pryncypale, skąd ja miałem wiezieć, że pan pryncypał będzie pytał o niego? Ja tyle wiem, że to jest Aleksander Podliszewer, podobno bogaty, i na tem koniec. Ale, jeśli pan pryncypał każe, ja się dowiem najdrobniejszych szczegółów. On bywa u mego teścia, nawet jest jakieś kuzynostwo między nimi. On zna Osipa Lewite i żyje z nim dobrze. On zna kilku moich znajomych, to ja mogę się dowiedzieć i powiem rzetelną prawdę.

— Proszę o to pana, i da mi pan odpowiedź jutro rano, bo on ma przyjść jutro. A teraz, co pan myśli o samym interesie utworzenia filii w tamtych stronach?

— Panie pryncypale, co to jest interes? Interes, to obliczenie dobre i dużo szczęścia, — uśmiechnął się, — czy nie tak? Tu obliczenie jest takie, że wypędzono żydów z tamtych stron i jest dużo miejsca, tam można się rozwinąć, a jak dom nasz się rozwinie, to interesa same do niego przyjdą.

— Może ma pan słuszność... zatem na jutro postaraj się pan o informację.

— Ona będzie — ukłonił się i wyszedł.

Lelicki zaniepokoił się jednak wydatkami złączonymi z filią. Jeśli interes nie pójdzie, pogorszy się bardzo znacznie jego stan materyalny. Dotychczas naruszył tylko pieniądze przeznaczone dla żony, teraz trzeba będzie włożyć w interes posagowe pieniądze córek. Przechodząc w myśle, kto mógłby mu dać informacje o tamtych stronach, przypomniał sobie, że Płachetka pracował w Kijowie. Zawołał go tedy do siebie, przedstawił mu propozycję Podliszewera i spytał o zdanie.

— Filia domu komisowego, — odpowieǳiał po namyśle Płachetka, — może po kilku latach rozwinąć się, ale będzie miała do zwalczenia silnych konkurentów żydów, bo tylko część wydalono, a bogaci, wpływowi zostali. W ręku żydów jest dużo cukrowni, młynów, handel zbożem. Gdyby pan rozporządał znacznym kapitałem, zawiązał stosunki z bogatymi właścicielami, znalazł obrotowych agentów, można wtedy liczyć na powodzenie.

Lelickiemu żał było rozstawać się ze złotemi marzeniami i dodał wyjaśnienie:

— A jeśli mam człowieka doskonale obznajmionego z tamtejszymi stosunkami i mam kapitał obrotowy?

— W takim razie, — rzekł Płachetka, — dom może mieć bardzo poważne obroty, zwłaszcza, jeśli się uniknie współdziałania

z żydami, którzy mają tam złą markę i bogatsi unikają ich pośrednictwa.

— No, wystarczy przecież moja firma, — uśmiechnął się, — nikt mnie za żyda nie weźmie.

— Zapewne, — mówił z pewnym wahaniem Płachetka, — pana samego nie posądzą o żydowskie pochodzenie, ale...

— Jakie ale? Mów pan szczerze.

— W naszym biurze mają jednak żydzi przywileje. Jeśli są kapitały na hipotekę, otrzymują je najczęściej żydzi; jeśli są jakieś interesa do załatwienia, żydowskie firmy biorą udział przeważny; faktorami są tylko żydzi u nas.

Na twarzy Lelickiego odbiło się niezadowolenie i spytał cierpko:

— Czy zdaniem pana krzywdzę naszych?

— To, nie; ale żydzi mają pierwszeństwo, chociażby w sprawie doktora Grzelkiego i Osipa Lewite... Są to pokatne działania Reinherca.

— Wiem, wiem, — uśmiechnął się Lelicki, — pán nie lubi Reinherca, ale musi pan przyznać, że to zdolny i sprytny człowiek.

— Tylko że swych zdolności i sprytu używa wyłącznie na korzyść swych współwyznawców. Może zechce szanowny pan przejrzeć książkę załatwień komisów, sa-

me firmy i nazwiska żydów i to trwa już blisko dwa lata.

— Ale żadnych skarg nie było i wszystko jest w porządku.

Płachetka przypomniał sobie sprawę Nakielskiej.

— Było jednak pewne nieporozumienie w sprawie umieszczenia dziesięciu tysięcy rubli pani hrabiny na kamienicy pani Nakielskiej.

— Tak, ale to wina poczty.

— Może... ja nie wiem.

— Czy pan podejrzewa Reinherca w tej sprawie?

— Nie mam faktów, mam tylko podejrzenia.

— Jeśli pan nie ma dowodów, to nie wolno rzucać plamy na honor i uczciwość Reinherca. Niechęć zaślepią pana. Zdaje się panu, że ja mam słabość do Reinherca, daj mi pan dowody winy, a wtedy zobaczymy.

Wbrew woli Lelickiego słowa Płachetki wzbudziły w nim pewne podejrzenia co do uczciwości i bezinteresowności Reinherca. Różne drobne szczegóły, do których na razie nie przywiązywał znaczenia, nasunęły mu się i odnowiły w pamięci, ale zaufanie do Reinherca było tak wielkie, że odtrącił wszelkie wątpliwości, a pozbył się ich tem łatwiej, że wierzył, iż słowa Pła-

chetki były podyktowane niechęcią i zawiścią względem Reinherca.

Zastanawiając się nad planem założenia filii, postanowił Płachetkę zrobić naczelnikiem biura filii do czasu, póki nie przyjedzie syn Władysław, który, otrzymawszy płatną posadę w Londynie, odłożył swój powrót do kraju na czas jakiś. Wierzył w uczciwość i pracowitość Płachetki, a jego niechęć do żydów zaostrzy tylko kontrolę pomysłów i planów Podliszewera.

Na drugi dzień rano zdał Reinherc wyzerczącą relację o Podliszewerze, jego majątku, uczciwości i doskonałej znajomości tamtejszych stosunków majątkowych i handlowych.

To też gdy przyszedł Podliszewer przynosząc ze sobą spisany projekt umowy, Lelicki przyjął go przychylnie i umówili się, że po naradzie z adwokatem pójdą do rejenta i tam podpiszą umowę.

— Czy pan ma kogo upatrzonego na kierownika filii? — spytał Podliszewer, — bo ja proponowałbym pana Moluskiego, bardzo porządnego pan, ma doskonałe świadectwa i zna tamten kraj. Ja go przyszłę do pana, czy dobrze?

— Na razie nie mogę korzystać z pańskiej propozycji, już przeznaczyłem na kierownika pana Płachetkę.

— Kto on taki? — spytał Podliszewer.

— Pracuje u mnie w biurze razem z panem Reinhercem.

Podliszewer przypomniał sobie z jaką niechęcią mówił Reinherc o Płachetce i rzekł:

— Czy on będzie odpowiedni? Czy zna się na interesie? Czy on jest gładki? Tam trzeba niejedno znieść, na niejedno przymknąć oczy, a wszystko dla dobra interesu. Czy on będzie taki?

— Przypuszczam że potrafi, — rzekł Lelicki.

Podliszewer, który zamierzał wsunąć swą figurę, Moluskiego, mówił:

— Ten pański protegowany nie zna kraju, nie zna ludzi, jak on będzie dumny, albo zbyt grzeczny, to my stracimy klientów. Niech go pan zatrzyma tutaj, a tam da Moluskiego. Ja go przyszłę do pana i pan zaraz zgodzi się z nim. Czy dobrze?

— Nie, panie Podliszewer, ja muszę mieć na zastępcę mej firmy człowieka, którego ja znam dobrze. Nie mogę ryzykować mojej dobrej opinii. Gdyby Reinhercowi wolno było tam mieszkać, posłałbym tylko jego, ale gdy nie można, będzie naczelnikiem filii pan Płachetka.

— Nu, co mam robić? Ja ustąpię, chociaż mnie bardzo żał pana Moluskiego.

— Więc weź go pan ze swej strony na pomochnika filii.

— Ja nie wiem... może go wezmę, ale ja już przyrzekłem to miejsce memu kuzynowi. On bardzo zdolny, sprytny i obrotny. Ja wiem, że on i Moluski byliby w zgodzie, a zgoda dużo znaczy... Nu, niech pan weźmie Moluskiego, a będzie zły, pan go zaraz odprawi. Co to panu szkodzi?

To naleganie nie podobało się Lelickiemu i powiedział głosem stanowczym:

— Panie Podliszewer, według umowy ja sam naznaczam naczelnika filii i już wybrałem.

— Nu, jak pan chce, to co mam robić? — westchnął.

Umówili się o pensję urzędników, kontrolę, o wydatki wstępne i późniejsze i Podliszewer okazał się niezwykle zgodnym, co ujęło Lelickiego i sam stał się ustępliwym.

Gdy w kilka dni podpisali umowę, Podliszewer przyszedł do biura, jak gdyby do niego należało i rozsiadłszy się na kanapie, rzekł do Płachetki:

— Niech pan tu przyjdzie, mam wam coś powiedzieć.

— Słyszę i tak, o co idzie? — nie ruszył się z miejsca.

— Nu, jak ja was proszę bliżej, dlaczego nie chcecie przyjść?

— Już powiedziałem, że słyszę.

— Tak ja do was przyjdę, — zbliżył się

do biurka Płachetki i patrząc na niego, dodał: — ale tu niema krzesła.

Płachetka udał, że nie rozumie żądania, i spytał uprzejmie:

— Czego pan sobie życzy?

Podliszewer uczuł się obrażonym, poczerwieniał i rzekł z powstrzymanym gniewem:

— Nu, czy to jest grzeczne zachowanie?

W tej chwili uchyliły się drzwi gabinetu, Lelicki w nich stanął, czego nie zauważał Podliszewer i mówił dalej: — najpierw, ja was proszę bliżej, wy nie ruszacie się; ja tu przychodzę, mówię, że nie mam krzesła, wy sobie siedzicie; jeśli wy tak postąpicie z gośćmi, każdy ucieknie z kantoru. Wy nie nadajecie się na to miejsce, słyszycie?

— Tak, słyszę, i mogę zapewnić pana, że jeśli kto zachowa się tak, jak pan przed chwilą, zrobię to samo, co z panem. A teraz, czem mogę panu służyć?

— Ja nie będę z panem mówił, ja idę do gospodarza.

Lelicki cofnął się, a Podliszewer oburzony zaczął:

— Nu, ja chciałem zrobić próbę z waszym prykaszczykiem i wiecie, co on mnie, spółnikowi i swemu przełożonemu zrobił?

— Wiem, słyszałem. On jest w porządku. Dlaczego pan żądał, ażeby przyszedł do

pana? Krzesło stało obok, dlaczego pan sobie sam nie przysunął, tylko żądał tego od niego?

— Nu, ja bardzo zdziwiony waszym obyczajem i on nie nadaje się na prykaszczyka do naszego interesu. On musi być dla ludzi grzeczny, usłużny, zawsze uśmiechnięty, pokorny i giętki, inaczej każdy się obrazi, skrzyczy go, zaklinie, trząśnie drzwiami i już nigdy nie przyjdzie. Ja nie mogę zgodzić się na takiego jak on prykaszczyka. Dlaczego nie chcecie Moluskiego? Co?

— Panie Podliszewer, pan może być dobrym kupcem, doskonale znać się na interesach, robić wyborne operacye, ale o tem, jak trzeba i należy się zachować w biurze, tego pan nie wie i nie rozumie. Kupiec czy subjekt musi mieć poczucie swej godności, i nie pozwolić na lekceważenie siebie i pomiatanie. Jestem zadowolony z pana Płachetki i on zostanie, czy pan chce, czy nie chce.

— A jeśli my przez niego poniesiemy stratę, to co będzie?

— Mamy czas... wówczas pogadamy.

— Mnie bardzo dziwi upór pana, ale co mam robić? Niech on jedzie, — westchnął żałośnie, że nie udało mu się skompromitować Płachetki i dać na jego miejsce odanego mu Moluskiego; ale pocieszał się, że to da się zrobić później, przecież jego

przyjaciele mogą napisać skargę i to nie jedną, ale dużo.

Wyszedłszy do gabinetu, zbliżył się do Płachetki i rzekł uprzejmie:

— Proszę pana zapisać sobie, że jak do pana w Łucku zgłoszą się moi kuzyni: Adler Ginda albo Lewenfisz Fisz, i powiedzą, że interes dobry, to pan może zaraz go robić, ja za nich ręczę.

Płachetka zapisał obydwa nazwiska i powiedział grzecznie:

— Jak mnie zawiadomią ci panowie, zaraz napiszę do pana Lelickiego i zaczekam na jego polecenie.

— Czy nie wystarcza panu moje poręczenie? — zaśmiała się z przymusem.

— Owszem, ale muszę być posłuszny instrukcji mego pryncypała.

— Nu, dobrze, niech i tak będzie.

W dwa dni później wyjechał Płachetka, w biurze pozostał Reinherc i nowoprzyjęty pisarz, Turniakowski, młody szatyn, z bystremi, przenikliwemi oczyma.

Podliszewer, jako wspólnik filii, uważał za stosowne zachodzić raz, dwa razy dzennie do kantoru i pytać, czy niema listu od Płachetki. Przyszedłszy, rozsiadał się na kanapie, słuchał z czem przychodzą ci i owi, zaczął udzielać rad, a po kilku dniach przyjmował w kantorze swych interesantów, korzystając nietylko z lokalu i telefonu, ale i

z pomocy Reinherca i Turniakowskiego w pisaniu listów.

Przez kilka dni z rzędu usprawiedliwiał się przed Lelickim, że zachodzi do biura i tu chwilę odpoczywa. Tłumaczył się, że jest bardzo ciekawy listu Płachetki, co tam w Łucku słychać i jak on się tam urządził.

Lelicki odpowiedział uprzejmie, że może przychodzić i że rozumie jego chęć dowiezienia się szczegółów.

Przyszedł list jeden i drugi od Płachetki, który dość krytycznie zapatrywał się na stosunki tamtejsze i donosił, że żydzi opowalali tam handel i nie dopuszczają do bezpośrednich stosunków z wytwórcami, że wprawdzie faktor, Adler Ginda, proponował mu nabycie pięciu wagonów pszenicy z późniejszym terminem dostawy, a zapłata natychmiastową, ale jest to już spekulacja na zwykłą cenę. Jest to ryzyko, może niewielkie, ale jest, i nie wie, czy Lelicki zgodzi się na tego rodzaju interes.

Podliszewer, który równocześnie otrzymał list od Adlera Gindy, przyszedł wzburzony do Lelickiego i spytał:

— Czy pisał do pana Płachetka?

— Tak jest.

— O pięciu wagonach pszenicy? — a na potwierdzające skinienie głową mówił: — ja powiedziałem Płachetce, że jak

przyjdzie Adler Ginda, on może zaraz robić umowę. Dlaczego on mnie nie słucha?

— Czeka na moje zezwolenie, bo taka jest umowa... i co za interes, kupować pięć wagonów, płacić gotówką i spekulować na przyszłą cenę... to nie jest pośrednictwo, tylko spekulacja handlowa.

— Nu, i to jest prawdziwy interes. Ja powiem pod sekretem: Ten szlachcic, co sprzedaje na pierwszy grudzień pięć wagonów, on ich nie ma, bo już dziesięć sprzedał do młyna; on może ma dwa, może trzy. Jak on nie dostawi pięciu wagonów, płaci karę za brakujące i zwraca pobrane za nie pieniądze z procentem, a jak on nie dostawi tej pszenicy, co ma w toku, na termin, znów płaci karę i procenta. Czy pan rozumie, jaki to złoty interes? — uśmiechnął się patrząc porozumiewawczo, — on teraz potrzebuje pieniędzy zaraz, bo żonę i dziecko musi posłać na leczenie do Włoch, on się zgodzi na wszystkie warunki, nu, a Adler Ginda już potrafi tak napisać kontrakt, że on zapłaci nam dwa razy tyle, ile wziął. Adler Ginda nie mówił tego wszystkiego Płachetce, bo poco ma wszystko wiedzieć prykaszczyk? ale pan już wie, i niech pan telegrafuje do Płachetki, niech on robi umowę.

— Ile on żąda za pszenicę? — spytał objętnie Lelicki.

— Trzy tysiące. Ja zaraz dam moją polowę, pan swoją i niech on robi kontrakt. Aj, dlaczego ja nie tam?

Lelicki oburzył się na tę podstępna grę i na to lichwiarskie wyzyskiwanie człowieka będącego chwilowo w potrzebie. Zdecydował się nie brać udziału w tym interesie, zaciekało go jednak, jakim sposobem Adler Ginda dowiedział się, ile pszenicy posiada w toku poszukujący nabywcy.

— Czy to tylko pewne, że on nie ma pięciu wagonów do zbycia?

— Pisze mi Ginda, że to wiadomość najpewniejsza, bo pochodzi od pachciarza królów, a u nas, panie Lelicki, swój swemu mówi tylko prawdę. Nu, niech pan napisze depeszę do Płachetki, a ja sam zaniosę dla pewności. Pan ma szczęście, panie Lelicki, zaraz pierwszy interes przyniesie panu najmniej pięćdziesiąt procent, a pewno więcej. A co? Czy nie mówiłem, że tam robi się złote interesa. Tutaj miałby on banki, syndykaty, różne towarzystwa, a tam on musi przyjść do nas. I on będzie uradowany i my także. Co?

— Nie, panie Podliszewer, tego interesu nie zrobi mój dom komisowy. Ta sprawa ociera się o kratki sądowe, pachnie kryminałem.

— Aj, jaki pan dziecienny! — zaśmiała się, — czy ten szlachcic nie jest pełnoletni?

czy nie wie co robi? czy jego kto zmusza? On sam nikomu nie powie, że zrobił taki kontrakt, bo inni śmieliby się z niego. To jest pewny interes, bo on ma konie, krowy, powozy, meble, może być licytacja, ale on nie dopuści i może nam sprzeda przyszłoroczną pszenicę, bo przecież jemu dla chorej żony, dla chorego dziecka nie wystarczy trzy tysiące. Nu, i gdzie tu sąd? Gdzie kryminal? Czy to nie interes czysty, jak brylant?

— Dla pana, panie Podliszewer, jest czysty, ale nie dla mnie, i dom mój nie zrobi tego interesu.

Podliszewer wpatrzył się w niego trochę zdziwiony, a bardziej jeszcze rozgniewany i zawała:

— A jakiego interesu pan chce dla swoego domu? Co to jest? Naco była mi ta spółka? Jeśli spółnik mówi, że to pewny i dobry interes, dlaczego pan nie chce? Niech pan spyta prawdziwych kupców, czy to nie jest czysty, uczciwy interes? Niech tylko wszyscy robią zawsze takie interesa, to sądy są niepotrzebne, ani kryminaly, a wszyscy adwokaci zbankrutują. Czy pan tego nie rozumie? Czy pan dziecko?

— Nie mamy o czem mówić, panie Podliszewer, nie zrobię tego interesu i podobnych nie przyjmę.

— Nu, ja się tego nie spodziewałem, ja widzę, że muszę sam zrobić ten interes, tylko ja temu Adlerowi Gindzie nie mogę powierzyć tyle pieniędzy; a nie mógłby zrobić Płachetka tej umowy, a potem kontrakt odstąpić? Pański dom nie pilnowałby tego szlachcica, tylko nabywca kontraktu. Co, czy tak dobrze?

— Nie! Nie mogę.

Podliszewer spojrzał na Lelickiego z nietajoną wzgardą i rzekł z przekąsem:

— Dlaczego pan nie chce pomóz swemu, gdy on jest w biedzie? On przecież szlachcic, chrześcijanin, taki jak pan. I wie pan, co on zrobi? On sprzeda tę pszenicę spółce żydowskiej, oni wezmą od niego nie sto, ale dwieście procent. Z nami nie miałby on kłopotu, my możemy mu zrobić ustępstwa, bo my delikatni ludzie, a żydzi zedrą skórę z niego. Czy pan ich nie zna?

— Szkoda wymowy pana, nie zrobię tego interesu. Mogę ostatecznie kupić dwa czy trzy wagony z umiarkowanem odszkodowaniem w razie niedotrzymania umowy.

— Nu, i co to za interes? W handlu nema braci, ani krewnych. I poco mam szkodzić innym? Jeśli ja nie zrobię interesu, dlaczego inny niema go zrobić? A może się pan namyśli?

— Nie; i niema o czem mówić.

Podliszewer wyszedł, spojrzał na Lelickiego ze wzgardą i gniewem, nie omieszał też wytoczyć przed Reinhercem swych żałów i skarg.

— To wasza wina, — tłumaczył mu Reinherc, — wy nie znacie Polaków. Jemu trzeba było powiedzieć, że ten szlachcic bardzo potrzebuje, że ma chore dzieci, że on potrzebuje zaraz tych pieniędzy, a w zastaw dotrzymania oddaje cały majątek, nu, interes byłby gotów, a co napisane w umowie, on byłby i w dziesiątej części nie zrozumiał. I można było potem odprzeć kontrakt z dobrym zarobkiem, a on byłby kontent, że dostał kapitał z piątym procentem. Czy nie tak?

— Aj, dlaczego ja byłem głupi? Dlaczego ja nie poradziłem się ciebie?

#### XIV.

Podliszewer prawie stale przebywał teraz w biurze, tu załatwiał swoje sprawy, tu schodzili się różni żydzi i często panował hałas taki, że aż Reinherc musiał uspokajać ich i torować drogę dla tych, którzy zgłaszały się do biura.

Lelickiego drażniła obecność Podliszewera i jego znajomych, stał się bardzo chłodny dla niego i skrzyczał nie raz żydom, ale przez wrodzoną miękkość i ma-

jąc wzgłydy dla wspólnika, tolerował ten stan rzeczy.

Jednego dnia, gdy Podliszewer miał ważną konferencję z dwoma żydkami, wszedł do biura hałaśliwie i butnie jeden pan, szpakowaty blondyn, z wąsem zawiesistym, ubrany w nowiutki garnitur, a tuż za nim pokorny żydek, czekający zda się skinięcia pana.

— Czy jest pan Lelicki w biurze? — spytał głośno.

— Za minutę, za dwie, przyjdzie, — odpowiedział uprzejmie Reinherc, — niech pan dobrodziej spocznie.

— Chaimek, — spojrzał na żydka, — a mówiąłeś, że jest; znów skłamałeś, — uśmiechnął się.

— Panie dziedzicu, minuta to nic, to jakby nie było. On zawsze jest o tym czasie, może zabrakło mu papierosów, może spotkał kogo, czy ja wiem? — uśmiechnął się Chaimek.

— Mogę udzielić informacji, — ofiarował się Reinherc, — ja prowadzę biuro.

— Przyszedłem do pana Lelickiego, nie do pana... cóż to u was za jarmark, tyle żydów? — gdyż właśnie nadeszło dwóch jeszcze.

— To w interesie... może pan dobrodziej pozwoli Kuryerka, świeży, — podawał dziennik.

— Nie potrafię czytać w takim rozgar-dyaszu.

Wszedł Lelicki, a zobaczywszy gościa wśród tylu żydów, niezadowolony zawa-łał:

— Czego się tu pchacie? Przejść nie można.

— Oni zaraz pójdą... oni na chwilę, — rzekł Podliszewer, wyciągając rękę na po-witanie.

Lelicki ledwie jej dotknął, i patrząc u-ważnie na gościa zawałał:

— A, to pan Wachłowski, jeśli się nie myle?

— We własnej osobie, — uśmiechnął się, — a już myślałem, że się omyliłem, tyle tu faktorów żydowskich.

— Interesa, panie szanowny... proszę do gabinetu.

Zaledwie zamknęły się drzwi za nimi faktor Chaim podszedł do Reinherca i sze-pnął:

— Ja od Farbsteina... interes ważny, mo-żna zarobić.

Reinherc spojrzał przelotnie w stronę Turniakowskiego, mrugnął okiem potaku-jąco, mówiąc:

— To rozstrzyga pan pryncypał.  
Chaim z pokornym ukłonem cofnął się, przysłuchując się pilnie rozmowie Podli-szewera z żydami.

Tymczasem w gabinecie, Wachłowski o-powiadał Lelickiemu:

— Wie pan, na wsi, przynajmniej u mnie, stosunki są niemożliwe. Chłopstwo zaraz z wiosną ucieka do Prus. Płać, proś, niema robotnika. W polu wszystko mar-nieje, długi rosną... sprzedałem tedy wieś, zostało mi dwadzieścia tysięcy i przenoszę się dla dzieci do Warszawy.

— Tak, tak, słyszałem od wielu obywa-teli, że na pograniczu Prus, brak wielki robotnika... może papierosa? — podał Lelicki.

— Dziękuję.. co to brak, wcale go nie-ma. Otóż znajomi i sąsiedzi radzili mi, a-żebym udał się do pana w sprawie umie-szczenia mego kapitału.

— Bardzo chętnie... zatem dwadzieścia tysięcy... najpewniejsza lokata, to hipoteka.

— Otóż to... a jaki procent?

— Zaraz po Towarzystwie, można do-stać sześć, a na trzecim, siedem procent.

— O, to mało! Tysiąc czterysta rocznie, a mam troje dzieci. Sądziłem, że co naj-mniej osiem, a może dziewięć procent. Mam żonę gospodarną, oszczędną; dwóch sąsiadów obiecało mi dać synów na stan-cję, no i ja mogę znaleźć jakieś zajęcie... Jakoś żyłoby się, ale przy siódmym bar-dzo ciężko.

— Przy pewnej lokacie trudno o wyższy procent... może uda się siedem i pół.

— No, widzi pan, — uśmiechnął się, — pan daje taki nizki procent, a Chaimek rai mi lokatę na dziesięć procent.

— To niemożliwe... chyba na przepadłe.

— Zaraz zobaczymy, — i krzyknął ostro: — Chaimku! Tutaj!

Żyd sklonił się niziutko i szepnął:

— Co pan dziedzic rozkaże?

— Opowiedz tu o tej lokacie.

— Nu, co tu wiele gadać? Tu na Muranowskiej ma kamienicę bardzo wielką i piękną Farbstein Stanisław, a po naszemu Srul. On na spłatę wspólnika interesu manufakturnego potrzebuje dwadzieścia tysięcy. Jemu bardzo pilno, to on daje dziesięć procent.

— Masz wykaz hipoteczny?

— Dlaczego nie? — wyjął papier, — on tu jest... to najpewniejsza lokata.

Lelicki przeglądając, rzekł drwiąco:

— I ty śmiesz to nazywać pewną lokatą? Przecież pieniądze pana nie mieszczą się w sumie wartości kamienicy?

— Jakto? Co pan mówi?

— Nie mówię do ciebie, ale do pana Wachłowskiego, niech pan posłucha. Kamienica wartości dziewięćdziesięciu pięciu tysięcy ma Towarzystwa czterdzieści, jakiegoś Bialera sukcesorów dwadzieścia pięć, pani Dolskiej dwadzieścia osiem, a na miejsce Silberfasa Szai, przychodzi dopiero

pan z dwudziestu tysiącami, czyli w ogólnej sumieńska lokata przewyższa wartość kamienicy o osiemnaście tysięcy. To nie jest lokata, ale strata pewna.

— Bardzo przepraszam pana dobrodzieja, — zaczął Chaim, — Towarzystwo dało wtedy, kiedy dwie oficyny nie były zbudowane, teraz ta frontowa kamienica ma wartość trzy razy po dziewięćdziesiąt pięć tysięcy, to jest dwieście osiemdziesiąt pięć tysięcy. I niech pan czyta dalej, taki bank, taka firma, jak Wawelberg i Rotwand, dała trzydzieści tysięcy. I naco onaby dawała, jeśli nie było tej wartości. Pan dziedzic idzie przed bankiem, czy to nie jest pewne?

— Czuję tu jakieś krętactwo, — rzekł Lelicki, — to nieczysta sprawa.

— Powiedz mi pan, — odezwał się Wachłowski, — czy firma Wawelberg i Rotwand pewna? bezpieczna?

— To jedna z najbogatszych.

— Więc jeśli ona po moim numerze dała trzydzieści tysięcy, kamienica tego żyda, daje chyba gwarancję.

— Tak się wydaje, a jednak ja nie dałbym i grosza, w dodatku dziesięć procent, to coś podejrzanego. I dlaczego niema w wykazie nic o oficynach?

— Bo one dopiero zbudowane.., on nie miał czasu chodzić do hipoteki.

— No, cóż pan radzi?

— Co do mnie, namyśliłbym się bardzo, czy dać kapitał... taki daleki numer... taki procent niezwykły...

— Stara historya, — zaśmiała się Wachłowski, — pan prowadzi po polsku interes i daje siedem, a żyd daje dziesięć. Idzie mi o to, ażeby mi pan szczerze poradził, co mam robić?

— Sam jestem dziś bardzo zajęty, ale poszle mego pomocnika do hipoteki, trzeba sprawdzić każdą pozycję.

— Tyle mi mówiono o panu, że wierzę mu, zaczekam do jutra. Niech pan każe sprawdzić... Idź, Chaim, mam coś do pogadania z panem, — i zaczął dopytywać się o cenę mieszkań, warunki życia, o możliwość otrzymania płatnej posady...

Chaim zastał w biurze Farbsteina Srula rozmawiającego z ożywieniem z Podliszewerem, swoim dobrym znajomym. Prosił on Podliszewera, ażeby pogadał z Reinhercem w sprawie Wachłowskiego.

Gdy wszedł Chaim, poskoczyli obydwaj do niego, pytając co zaszło. Odpowiedział, że Reinherc ma iść do hipoteki sprawdzić wykaz. Obydwa odetchnęli, a Farbstein dawał najpierw jeden procent za pomyślne załatwienie pożyczki, postąpił, ale Reinherc uparł się i dostał trzy procent.

Na drugi dzień Reinherc upewnił Lelickiego, że wypis jest zgodny z księgią hipotecną i tego samego dnia Wachłowski, wbrew usilnemu odradzaniu Lelickiego, pożyczły Farbsteinowi dwadzieścia tysięcy, pozostałych mu po sprzedaży wsi.

Podliszewer bardzo szczerze winszował interesu Reinhercowi, który za spacer do hipoteki dostał sześćset rubli i westchnął:

— Kiedy ja się doczekam, ażeby moje pieniądze, uwięzione w Łucku, przyniosły mi dochód?

A stało się to przedzej, aniżeli przypuszczał, bo w kilka tygodni zawiadomił Płachetka Lelickiego, że jest do zrobienia interes pewny i czysty. Jeden z obywateli sprzedaje sekcyę leśną, wyłącza z niej dla siebie starodrzew, kwalifikujący się na belki, słupy, deski, ale i tak, z młodszych drzew będą cieńsze słupy, krokwie, łaty i znaczną ilość drzewa opałowego. Cena tej sekcji leśnej wynosi piętnaście tysięcy, a po średnictwo w sprzedaży powierzył domowi Lelickiego.

Podliszewer umiał przedstawić interes w tak świętych kolorach, że Lelicki pojechał osobiście na miejsce, sprawdził drzewostan i w imieniu domu komisowego zawarł umowę z właścicielem, zapłaciwszy mu gotówką za las.

XV.

— Czy skończyłeś bilans roczny? — spytał Mierski.

— Już! — i patrząc na cyfry mówił Liński: — sklep sam w sobie opłaca się i przyniósł zyski.

— Jakie?

— Najpierw inwentarz sklepowy wzrósł o tysiąc pięćset rubli, a dochody z targów dały nam za naszą pracę dwa tysiące rubli, które wydaliśmy na nasze utrzymanie.

— To już dobrze, mamy możliwość istnienia i rozwoju, bo wydatki sklepowe odliczyłeś?

— Tak jest.

— No, a sklepy wiejskie?

— Miłe ziego początki, lecz koniec żałosny, — uśmiechnął się z przymusem, — ten dział przedstawia się nieszczególnie. Dołożyliśmy dosyć.

— Tylko bez ogólników, Tadziu, mów cyframi, one są wymowniejsze.

— A więc, z trzydziestu założonych sklepów wiejskich, osiem utrzymało się przy życiu. Koszta i straty w towarze wynoszą pięć tysięcy osiemset rubli netto, nie licząc mego czasu.

— To źle, — zasępił się Mierski, — a ile mamy długów?

— Kupcom winniśmy tysiąc osiemset, a weksle bankowe dwa tysiące sto, razem, trzy tysiące dziewięćset.

— To bardzo źle, — westchnął Mierski, — jesteśmy w przededniu bankructwa. Stan czynny, a mianowicie sklep ten i osiem wiejskich, posiada w urzędzeniu i towarze osiem tysięcy sto rubli, stan bierny trzy tysiące dziewięćset, zostaje nam majątku w sklepach cztery tysiące dwieście. Pierwsze znaczniejsze niepowodzenie, odmowa kredytu, a jesteśmy zgubieni.

Liński słuchał, patrząc uporczywie w cyfry wpisane do książki, które niestety potwierdzały słowa Mierskiego.

— Gdybyśmy się mogli tylko pozbyć tych drobnych długów, — westchnął, — i spłacić trochę naszych dostawców, już byłoby nam lej. Jakieś tysiąc pięćset rubli, pozwoliliby nam przetrzymać te ciężkie czasy, nieprawdaż Jasiu?

Mierski zbliżył się, patrzył na cyfry i rzekł zniechęcony:

— Przedłużymy tylko naszą agonię, nic więcej. Widzisz, Tadziu, gdyby nie twe urojenie z wiejskimi sklepami, dziś staliśmy bardzo dobrze, a przynajmniej na pewnych nogach.

— Mój kochany Jasiu, poco te wyrzuty? Przy zawarciu spółki, jako pierwszy warunek postawiłem zakładanie sklepów.

wiejskich. I ja nie żałuję tego, ostatecznie stworzyliśmy osiem placówek, a i tamte dwadzieścia dwie nie są stracone, pozostała w tych wsiach myśl wyzwolenia się ze szponów żydowskich i to tli, a przy sprzyjających warunkach wybuchnie płomień.

— Dajże pokój z twoim idealizmem. Straciliśmy na tych głupich sklepach pięć tysięcy osiemset rubli, a ten nawet nie żałuje. Ty powinieneś być poetą, apostolem, nie kupcем.

— Przepraszam cię, Jasiu, że omyliłem się w powołaniu, — uśmiechnął się, — ale i ty, taki kupiec, a mylisz się, bo doliczasz do straty na sklepach towar zepsuty nam przez żydów, a to rubryka bardzo poważna. Czy to sklepy winne, że żydzi wysilają się, ażeby niszczyć nam towar?

— Co mi zwracasz głowę, — zawała gniewnie, — gdyby nie te sklepy, nieeliby żydzi sposobności niszczenia nam towaru. A i teraz, — wziął inną książkę rachunkową i patrząc w rubryki mówił: — dwa sklepy ledwie dyszą, a sześć zarabia tylko tyle, że istnieje bez pomocy. Ogromne powodzenie! — drwił zamkając książkę. — A chcesz zdrowej rady?

— Ano, posłucham.

— Otóż mojemu zdaniem, zamknijmy te dwa sklepy, które prowadzimy na nasz ra-

chunek; tym sześciu trzeba kredyt ograniczyć, aż póki nie spłacą należności, a my sami zajmijmy się tym jednym sklepem, a może, wybrniemy.

— Czy już wszystko? — spytał Liński.

— Nie. Chcę ażebyś nareszcie zrozumiał tę zasadę podstawową, że kupiec i jego powodzenie zależy tylko od publiczności. Może kupiec wysilać się jak chce, koziołki wywracać, nic nie zrobi, gdy brakuje odbiorców; a teraz patrz na naszą publiczność, jak ciśnie się do sklepów żydowskich. Udowodnisz im, wykażesz naocznie, że żydzi dają gorszy towar, oszukują na wadze, sprzedają braki wysortowane za materyał bez zarzutu i skazy, to nic nie pomaga, bo żydzi za lichy towar biorą taniej o kopięjkę, powalają targować się do upadłego i udzielają kredytu żonom bez wiedzy męża, dzieciom bez wiedzy rodziców, mając jako niezawodną broń zrobienie skandalu. Otóż, póki ta publiczność, a raczej nasze kobiety idą na pasku żydów, wszelkie usiłowania pozbycia się i złamania monopolu żydowskiego, muszą się skończyć klęską chrześcijańskich kupców, jak tego dowodzi nasz sklep, bo jakkolwiek nie idzie zupełnie źle, jednak rozwija się nazbyt powolnie w stosunku do naszych starań.

— Skończyłeś?

— Tak jest, — oddychał szybko zmęczony wysiłkiem.

— Pozornie masz słuszność Jasiu, ale gdyby wszyscy tak rozumowali, nie byłoby sklepów chrześcijańskich, a jest ich w Warszawie bardzo pokaźna liczba. I czy myślisz, że one nie miały wrogów w żydach? nie walczyły? nie ponosiły strat?

— I to wiem, — przerwał mu Mierski, — że one stając do konkurencji z żydami obliczyły swe zasoby i siły, ograniczyły się do swego sklepu, ale nie goniły wiatru w polu, nie biegły za marzeniami.

— Jak to się jednak mści brak filozoficznego zastanowienia się nad zjawiskami życia! — zaśmiał się Liński swobodnie, — ugrząłeś w sklepie i zahypnotyzowała cię lada.

— Proszę cię, bez tych żartów! — zawołał Mierski tonem obrażonym, — albo mówimy poważnie, albo nie?

— No, no, uspokój się Jasiu, powiedz mi, czy słyszałeś o podziale pracy? Otóż zauważ, nie możemy wszyscy zakładać sklepów na Warszawę i dla Warszawy, gdyż jest ich względnie dosyć na potrzeby warszawskie. Szukaliśmy tedy we dwóch nowego pola zbytu i uradziliśmy zakładanie sklepów wiejskich. Doskonały pomysł, musisz sam przyznać; zrobiliśmy szczerbę w murze żydowskiej twierdzy, a ty, małoduo-

szny młodzieńcze, składasz broń, prosiś o pardon, bo twierdzi jeszcze stoi i broni się... Zobaczysz Jasiu, jakie zwycięstwo odniesiemy, tylko odwagi i wytrwałości.

— Zazdrość ci twoego dobrego humoru, — odparł kwaśno, — usuwa się nam ziemia z pod nóg, a ten filozofuje.

— Namyśl się tylko skąd dostać tysiąc pięćset rubli, — rzekł Liński, — zażegnamy burzę, a po burzy słońce zaświeci, jak zwykle.

W tej chwili usłyszeli lekkie pukanie do drzwi od podwórza, gdyż robili rachunki w niedzielę i drzwi frontowe były zamknięte.

— Cóż to za gość? Otwórz Jasiu!

W drzwiach stanął bez nakrycia głowy, z miną pokorną, żydek i mówił nieśmiały głosem:

— Ja byłem w mieszkaniu, ja szukałem wielmożnego pana... stróż mi powiedział, że wielmożny pan tutaj, to ja ośmielony tu przyjść.

— Czego chcesz? — spytał Mierski szorstko, podejrzewając jakiś podstęp.

— Ja z interesem, z bardzo ważnym interesem do wielmożnego pana, i do tamtego wielmożnego pana.

— Wpuść go Jasiu! Czego chcesz?

Żyd wszedł, rzucając baczne spojrzenia na lewo i prawo, posuwał się wolno, a

doszedłszy do środka sklepu, skłonił się i rzekł:

— Kłaniam się wielmożnym panom.

— Dzień dobry, czego? — spytał Liński.

— Wielmożny pan mnie nie poznał? A ja tak dobrze znam wielmożnego pana. Ja jestem Pomeranc, Sruk Pomeranc, z Wólki Księżowej. Czy pan wie, gdzie ona jest?

— A, to pewno ty tam kramarzysz?

— Ja, wielmożny panie. Ja tam siedzę od wielu, wielu lat. Czy pan nie słyszał?

— Nie, tyle wiem, że mi przeszkał dasz, i czego chcesz?

— Ja szkodzę? Źeby jemu język kołkiem stanął, co to opowiadał, ja dobry sąsiad, ja cichy i spokojny. Niech wielmożny pan spyta ludzi?

— No, już dobrze, co mi powiesz?

— Proszę wielmożnego pana, ten sklep co trzyma Jasiek Bruzda, on wcale niepotrzebny. Ja dziwuję się bardzo, naco wielmożny pan go zrobił. Z kim on handluje? Co on tam robi? Raz na tydzień kupi ktoś krup, albo gwoździ za sześć groszy i koniec? Nu, i co to za interes? Czy to dochód?

— Co to ciebie obchodzi? Czy to twój interes? twoje pieniądze?

— Ja to wiem, ale mnie żał wielmożnego pana. Cały rok dokładać, czy to nic? A płacić za chałupę, czy to nic? Nu, i ten

Jaśko Bruzda potrzebuje kosztować, czy to mało?

— Gadaj, czego chcesz, albo się wyrzuś!

— Zaraz... ja wielmożnemu panu coś powiem... naco panu tracić? Ja kupię ten sklepik w chałupie. Ja zapłacę towar po cenie kupieckiej, i będzie spokój. Wielmożny pan przestanie dokładać, czy to będzie źle?

— A ile dasz za ten sklep? — wmeyeział się Mierski do rozmowy.

— Co ja mogę dać? Ja nie wiem, ile jest towaru, i jaki towar?

— To ja ci powiem, — wziął Mierski książkę inwentarzową, — w sklepie Wólka Księża, suma towaru netto dwieście osiemdziesiąt pięć rubli.

— Nu, ja zobaczę, ja obliczę i zapłacę, dlaczego nie?

— A za firmę, za urządzenie, za ubezpieczenie, za klientów nic nie dasz?

— Co ja mogę dać? Ja dam razem z towarem trzysta pięćdziesiąt rubli.

Mierski zaczął się targować. Pomeranc był zdecydowany dać czterysta rubli, wtem odezwał się Liński:

— Chociażbyś dał pięćset rubli, to i tak interes nie przyjdzie do skutku.

— Co nie ma przyjść? Dlaczego zaraz mówić: nie? A jeśli ja dam więcej? Niech wielmożny pan nie patrzy, że ja biedny ży

dek, u mnie może się znaleźć sporo pieniędzy.

— No, gadaj, czego chcesz?

— Zaraz... wielmożny pan ma sklep w Paciorekowicach i Zadębiu, czy tak?

— No, i co z tego?

— Ja kupię wszystkie trzy kramy, ja dobrze zapłuję, ale wielmożny pan da na piśmie, że w tych trzech wsiach, żadnego kramu, żadnego sklepu nie założy, a gdyby jakiś chłop chciał mieć tam sklep, wielmożny pan nie da mu towaru z tego sklepu warszawskiego. Nu, ja już powiedziałem, co teraz?

— Nie sprzedam.

— Zaczekajże Tadziu, — rzekł Mierski, — jeśli on da dobre warunki, może się zgodzimy. Ile dasz za wszystkie trzy?

— Razem dam z towarem, co tam jest, i z półkami, stołami, pakami, — nagle urwał i spytał: — nu, a ile tam towaru?

— Za towar osobno zapłacisz, według rachunku, a za sklepy ile?

— Po sto rubli od kramu. Czy to zły interes? Wielmożny pan pozbywa się kłopotu, dopłaty, szkody, całego kramu, a dostaje gotówkę na stół. Co?

Mierski zająrzał do książki z inwentarzem i usunąwszy się w głąb z Lińskim, szeptał:

— Wiesz, Tadziu, za trzy sklepy dostaniemy przeszło tysiąc rubli, to nas posta-

wi na nogi, pozbędziemy się co najpilniejszych długów, przestaniemy dokładać do sklepików; namyśl się, radzę ci przyjąć.

— Nie mogę, te sklepiki wiejskie to moja duma, moja praca.

— Bez tej deklamacji, zastanów się. Sprzedamy trzy, zostanie nam jeszcze pięć, a pójdzie nam dobrze, założysz w innych miejscowościach nie trzy, ale dziesięć. Ta suma jest nam bardzo potrzebna, lada dzień Fuchs zechce zapłaty za towar wzięty, mamy kredyt zachwiany, a jeśli padniemy tutaj, sklepiki zginą. Czy nie lepiej dla pięciu poświęcić trzy?

— Mój kochany, czy za tysiąc rubli dałbyś sobie odrąbać nie trzy, ale jeden palec?

— Co za stawianie kwestyi? — oburzył się, — palec mi nie odrośnie, a sklep ząłzę.

— Nie dasz palca?... To ja nie dam sklepu wiejskiego. Czy nie rozumiesz, że to placówka wojenna? Sprzedając ją, zdradzam społeczeństwo, a przynajmniej siebie, swoje dążenia. Zważ, że najpierw szkodzili nam żydzi na różne możliwe i niemożliwe sposoby, a gdy nie udała się sztuka, kuszą pieniędzmi.

— To romantyzm, to urojenie, trzymaj się rachunku.

— Dobrze. Jeśli dziś daję sto za sklepik, za pół roku dadzą dwieście, zarabiam grosz

na groszu. Zresztą, nie sprzedam. Pomyśl, jak się zdemoralizują te wsie, gdy za ruble oddamy je na pastwę żydom? To byłoby klęską, a tej nie chcę.

— Zastanów się, Tadziu.

— Nie dam, — i do Pomeranca, który czekał cierpliwie z uśmiechem tryumfu: — interesu z nami nie zrobisz, ani jednego sklepiku nie sprzedamy i bądź zdrów, idź sobie!

Pomeranc przybladł, rzucił wściekłe spojrzenie, ale zaraz się uspokoił i rzekł:

— Pan odrzuca dobry interes. Te trzy kramy nic nie są warte, ja dla spokoju chciałem kupić... i pan pożałuje... a może się pan namyśli?

— Nie, i zapowiadam ci, ażebyś ani ty, ani inni żydzi nie przychodzili z takimi propozycyami. Nie sprzedam i koniec.

— Nu, dobrze, my zobaczymy koniec, ale ja nie wiem, czy pan będzie kontent?

— To moja rzecz.

Mierski po wyjściu Pomeranca chodził chmurny tam i z powrotem po sklepie, rzucając złe spojrzenia na Lińskiego siedzącego nad książkami.

— Jasiu, czy już cię ominęło?

— Nie ominie ani ciebie, ani mnie bankructwo, bądź spokojny! — mruknął w przechodzie.

— Dobrze, ja zaczekam póki się nie uspokoisz... wtedy pogadamy.

— Masz jakiś plan?

— Mam, czy możesz posłuchać?

— Co takiego? — stanął przed Lińskim.

— Trzeba nam w tych dniach, tysiąc pięćset rubli. Na pokrycie tego dłużu mamy w towarzę, firmie i urządzeniu sklepowem, cztery tysiące dwieście rubli, czyli zupełnie, podwójne pokrycie. Wiem, że Towarzystwo wzajemnego kredytu dałoby nam więcej aniżeli potrzebujemy, tylko trzeba wzmościć nasz weksel dobrym podpisem. Ja prawie nie mam znajomych, a ty, Jasiu?

— Tych co miałem, już prosiłem i dali swe żyro... Mam wprawdzie mego pryncypała dawnego, ale te jego nauki, zastrzeżenia, obawy, nie są warte podpisu... Dlaczego jednak nie udasz się do pana Lelickiego?

— Do niego?... Wiesz, on nie wierzy w nasze powodzenie, zapowiedział upadek, może nie zechce? odmówić? Zepsuję sobie stosunek z rodziną, u której bywam.

— Wiem... wiem, — uśmiechnął się, — nie chcesz wobec ojca panny Hali odkrywać nieszczególny stan interesów, bo to mogłoby popsuć plany twoje.

— Cóż znowu? Ani myślę o pannie Hali, sam nie mam z czego żyć i miałbym ją narażać na biedę i kłopoty, — mówił za-

cerwieniony, — nie o nią mi idzie, ale ogólnie, to niemiła rzecz prosić o podpis kogoś, z kim nie łączą nas stosunki przyjazni lub wzajemnych usług.

— A prócz Lelickiego, nie masz nikogo?

— Do żyra nikogo, nie mogę przecież prosić naszych dostawców?

— A mnie się zdaje, Tadziu, że Lelicki podpisałby ci chętnie. Wiesz, panna Hala widocznie sprzyja ci, zachodzi do sklepu, rozmawia z tobą, zaprasza cię do rodziców... to nie jest bez ale, no i nie robi tego bez wiedzy rodziców. Przypuszczam, że oni wydaliby ją za ciebie, a w takim razie on, jako swemu przyszłemu zięciowi, podpisze weksel.

— Nie! Nie! Byłaby to ostateczność, i to kto wie, czy udałbym się do niego?

— W takim razie ja mam jeszcze jednego. Mój kolega, założył swój interes na Siennej. Jeśli Wzajemny kredyt żyro jego przyjmie, mogą być pieniądze.

Rozmawiali jeszcze chwilę i wyszli ze sklepu. Na ulicy, przed sklepem Eibenszyca, zobaczyli grupę kilku żydów, a wśród nich Pomeranca, który z obrzydzeniem i gniewem spojrzał na nich.

— Pewno przeklinają nas za nieudany interes, — zaśmiał się Liński, idąc w stronę Placu Aleksandra.

Nie omylił się, że żydzi widząc ich obydwoch klęli i złorzeczyli, ale prócz tego roztrząsali sprawę, co należy zrobić, ażeby zniszczyć przeklętych gojów. Od roku otoczyli ich siecią szkodników, psuli towar, zmuszali do zamknięcia sklepów, ale teraz Liński zgodził takich furmanów, że nie sposób było dostać się do wozu i towar zanieczyć.

— Wiecie co? — odezwał się milczący dotychczas Joś, który przysłuchiwał się narzekaniom na przeklęty sklep gojów, — jemu trzeba tak zrobić, ażeby żaden furman nie chciał wozić jego towar.

— Jak on płaci dobrze, zawsze się znajdzie, nie ten, to drugi chciwy chłop, — wzruszył ramionami Pomeranc, — lepiej podrzucić jemu bombę do sklepu, a może będzie z nim koniec, czy nie tak?

— Bombę! — zakrzyczał Aron, — czy ty, Srul, zwarzował? Ja mam sklep zaraz obok a z drugiej strony Esterka, i bomba może zwalić ścianę, zniszczyć mój towar. Jak ty rzucisz bombę, ja dam znać policyi i będzie z tobą koniec. Czy ty zrozumiałeś?

— Bomby nie można, — rzekł Joś z powagą, — ona ciebie samego może zabić, i nas także. To niema sensu. Co innego, gdyby on miał sklep między gojami, ja sam namawiałbym do tego, ale między nami

nie można. Nu, czy wy nie macie żadnej rady na to, ażeby on nie wywoził?

— Poco te gadanie, — niecierpliwil się Chaskiel, — jak ty masz co w głowie, ty powiedz. Czy nie tak?

— Nu, ja radziłbym mu zniszczyć towar w komórce, — spojrzał z uśmiechem na Chaskla, — może kto z was pojedzie?

— Joś, ty wiesz, co ja ci powiem? — zawała oburzony Chaskiel, — niech ty masz taki strach, jak ja przed kulą; niech ciebie tak włóczę po sądach, jak mnie za to, że usłuchałem rady rebe Jankla, czy to tobie dosyć, za twoje żarty?

— Dlaczego dosyć? — zaśmiała się Aron, — ty, Chaskiel, jemu życz, ażeby on wyszedł taki czysty ze sądu, jak ty. Czy nie tak?

— Nu, Chaskiel, — przemówił Joś, — chociaż ty mi powiedziałeś takie ładne życzenie, ja tobie powiem co zrobić z naszym wrogiem. Czy dobrze?

— Aj, poco pytasz?

— Nu, posłuchajcie, — zaczął Joś, — on może towar dać na wóz, on może chłopu powiedzieć, ty nie zajeżdżaj do karczmy, ty nie dopuszczaj żyda do wozu, ale co on zrobi, i chłop i wóz, jak nie będzie koni? Czy on nie zostanie na miejscu? Czy on może pojechać bez koni?

— Aj! Aj! Joś, a jak to zrobić? — zawała Pomeranc rozpromieniony.

— Jak?... Czy ty, Srule, nie słyszał, że koń dostanie kolki? Czy ty nie wiesz, że koń zdycha? Daj Boże, żeby wszystkie goje tak pozdychali. Nu, a czy taki przypadek nie może się trafić furmanowi z towarem tego goja?

— Dlaczego nie? Niech mu się trafi! — zawała Chaskiel, — a ty, Joś, masz na to sposób? ty pomyślałeś?

— Aj, Chaskiel, dlaczego twoje ucho takie głuchie? Czy ty nie słyszałeś o Janklu Dorożkarzu i o Josku Hazern?

— Czy to z Pragi?

— Nu, oni tam mają swój interes. Jankiel Dorożkarz handluje końmi, a Josek Hazern w swoim domu handluje owsem, sieczką i sianem, a obydwa są w spółce. Jeśli mu goj nie chce sprzedać konia, lub nie weźmie na faktora, oni robią krótki koniec z koniem, a Izrael Szcuba, trzeci ich wspólnik, kupuje skórę konia. Czy ty zrozumiałeś ich interes?

— Dlaczego nie? ale to niebezpieczny proceder, jabym się bał.

— Nu, on niebezpieczny, ale daje dochód dobry i czysty. Ten nasz goj wysyła do swoich sklepów towar każdej soboty rano, nu, niech idzie Srule do Jankla Dorożkarza, albo do Joska Hazern, i powie, żeby jeden z nich przyniósł lekarstwo dla koni furmana, on już wie i on będzie tu w sobotę rano. Czy rozumiesz, Srule?

— Nu, a jak oni nie zechcą?

— Ty im powiedz, że reb Jankiel kazał zrobić koniec z tym gojem. Czy ty myślisz, że oni nie usłuchają?

— Co nie mają usłuchać? A gdzie ja ich znajdę?

— Aj, Sruk, ty nie masz głowy do interesów! Ty idź na Pragę, jeden z nich ma dom na Brzeskiej, a drugi na Markowskiej, każde dziecko ich zna.

— Już ja ich znajdę, dlaczego nie mam ich znaleźć?

Nazajutrz Mierski zawiadomił Lińskiego, że Towarzystwo wzajemnego kredytu nie przyjęło podpisu jego kolegi, a tem samem nie otrzymają potrzebnej sumy, celem uregulowania spraw sklepowych.

Zmartwił się tem Liński, miał jednak nadzieję, że przedstawiwszy swym dostawcom — kupcom stan interesu, uzyska zwolękę na dogodnych warunkach kredytowych.

Następnego ranka spotkał się z Lelickim, który właśnie szedł do swego biura i zaproponował, ażeby Liński odprowadził go, szli bowiem w tę samą stronę.

**Lelicki**, pod wrażeniem dobrych wiadomości od Płachetki, że ceny obrobionego drzewa pokryją wydatki na kupno lasu, a drzewo opałowe przyniesie dość znaczne zyski, był wesoły i rozmowny. Pochwalił

się swym dobrym interesem lasowym i spytał Lińskiego, jak mu się powodzi?

— Sklep w mieście rozwija się normalnie, — odpowiedział Liński, — i byłyby zyski dobre, gdyby nie straty na sklepach wiejskich. Niektórzy zarwali nas, inni wyprzedali towar za bezcen żydom; zresztą żydzi szkodzą mi na każdym kroku, a jednak osiem sklepików rozwija się pomyślnie.

— A ma pan kredyt?

— Dość ograniczony, gdyż w komitetach dyskontowych naszych towarzystw zasadzają przeważnie żydzi, no, a ja nie cieszę się ich względami, — uśmiechnął się Liński.

— Otóż to są skutki antysemityzmu pana i pewno ciężko jest panu?

— No, bywa czasem, zwłaszcza w tej porze, odczuwam pewien zastój, i potrzebuję niewielkiej sumy, bo tysiąc pięćset, a jednak trafiam na trudności.

Lelicki spojrzał podejrzliwie na niego, i uprzedzając możliwą, a jak mu się zdawało, bliską propozycję, powiedział:

— Ja doskonale rozumiem trudność a prawie niemożliwość kredytu dla interesu pana, to przecież jasne dla każdego nieuprzedzonego, że pan musi sklep zamknąć. I tak, bardzo mnie dziwi, że pan rok przetrzymał. Ze względu, że pan przyjacielem Janka, gotów jestem, w razie osobistej —

podkreślił ten wyraz, — potrzeby pana, pomóż mu w ten lub inny sposób, ale na podtrzymanie interesu, który pana zniszczy moralnie i materyalnie, nawet gdybym miał zbędne pieniądze, nigdybym nie dał.

— Dziękuję za szczerość, — rzekł Liński, siągając się na spokój, — ale może pan być przekonany, że nigdy nie prosiłbym pana o jakąkolwiek pomoc, gdyż pan, zanim otworzyłem sklep, już mi prorokował niepowodzenie, nie mogłem tedy liczyć na jakąkolwiek czynną pomoc.

— I nie omyliłem się, panie Liński; zaczął pan walkę nad siły człowieka jednego... czy uniknął pan przynajmniej lichwiarskich, żydowskich długów?

— Czy może pan przypuścić, ażebym u tych, których zwalczam, szukał pomocy i pozwolił się obdzierać?

— Harda dusza w panu i szkoda, że się pan marnuje w tej walce bez wyjścia i przyszłości.

— O tem nikt nie wie, kto padnie, a kto zwycięży... Czy zjeżdża pan Władysław do Warszawy?

— Tak jest. Proponowano mu miejsce w Kanadzie, odmówił i przyjedzie, ażeby rozejrzeć się w kraju.

— Bardzo chętnie go poznam. A cóż z wyborami do dumy?

— Przyznam się panu, panie Liński, że te wybory są nudne i bez znaczenia dla kraju. Kogoś tam naznaczą na posła, my oddajemy głosy na niego i koniec.

— Zawsze są stronnictwa, jest walka, życie, krystalizują się przekonania, zasady, i już dla tego samego wynik wyborów jest dla mnie ciekawy i pouczający. A szanowany pan do którego stronnictwa należy?

— Ja, do polskiego! Czy wyjdzie ten czy ów, to obojętne, ale Polak być musi, a jaką drogą dąży do poprawy naszego bytu, to rzecz jego sumienia.

— Słyszałem jednak, że żydzi chcą postawić swego kandydata i tu, i w Łodzi. Cóż pan na to?

— To są plotki złośliwe antysemitytów, ażeby zohydzic żydów, a tymczasem żydzi ani myślą brać udziału w wyborach, i jak zawsze, pojedą ręka w rękę z nami.

— Ja mam pewne wątpliwości.

— Pan? — uśmiechnął się Lelicki, — nie dowiaduję się nic nowego. Zaś ja mówiłem z żydami i zapewniali mnie, że ani im się śni o jakichś kandydatach.

— I ja przypuszczam, — rzekł Liński, — że są to przechwałki żydowskie o stawianiu swych kandydatów, ale mogą poprzeć wrogiego nam kandydata.

— Jak widzę, antysemityzm przyprawia pana o halucynacje, — zaśmiał się Lelic-

ki, — a może pan wstąpi do mego biura?

— Nie... może innym razem. Paniom może uszanowanie.

— Dziękuję, — podał mu rękę, — i niech pan za złe nie bierze mego pesymizmu co do sklepu pana, mówiłem szczerze, co myślę... Może zechce pan nas odwiedzić wolum czasem.

— Skorzystam z łaskawych zaprosin, — ukłonił się i pożegnał.

Liński poszedł do składow głównych, w których zaopatrywał się w towary. Przyjęto go jak zwykle uprzejmie, ale gdy zajądał prolongaty, zaczęto się usprawiedlniać, że to niemożliwe, że gotówka potrzebna, że i tak przekroczyłudzieliły mu kredyt.

Gdy wychodził, buchalter, jego dobry znajomy, szepnął mu:

— Nie próbuj pan nawet; niektóre banki niepytane i nieproszone zawiadomiły nas, że kredyt pana wyczerpany, a pańska firma poważnie zachwiana.

— Dziękuję panu, to sprawka żydów.

— Niezawodnie, wie o tem i szef, ale boi się o swój towar i o to, że nie wytrzyma pan konkurencji żydowskiej.

Liński czuł, że usuwa mu się grunt pod nogami i że katastrofa się zbliża. Najbardziej bolało go, że aktywa przewyższały passywa i że względnie niewielka suma mogłaby go uratować.

Wszedł do sklepu chmurny i przygnębiony. W duszy żegnał się z tym sklepem, z półkami, z ladą, gdzie tyle chwil przebył. Postanowił ten sklep zwinąć, odprzedać katolikowi, a sam zamierzał zająć się ośmio- ma sklepami wiejskimi.

W sklepie zastał dość częstego gościa, pana Kureckiego, który podobnie jak w dniu otwarcia sklepu zachodził tu, zasiadał i sumiennie odczytywał poranne gazety. Obydwaj przyjaciele przyzwyczaili się do tych wizyt i uważali go za domowego.

Od czasu do czasu przyprowadzał on swego kolegę i znajomego, Aleksandra Zenowskiego, niegdyś urzędnika kolejowego, człowieka starszego, ale rzeźkiego, żywego i miłego w towarzystwie, który, narzekając zawsze na reumatyzm, nie odmawiał nigdy kieliszka wódki lub wina.

I dziś Zenowski, kazał dać butelczynę węgra i we dwóch z Kureckim pili i rozmawiali.

Liński, przywitawszy się z nimi, skinął na Mierskiego i opowiadał mu o spotkaniu Lelickiego, o jego opinii co do sklepu, a następnie mówił o swem niepowodzeniu w składowie głównym i o listach z banków. Obydwaj mieli miny posępne i przygnębione.

— Panie Liński, panie Mierski, cóż tam za ponure spiski knujecie? — zaśmiała się

Zenowski, — napijcie się kieliszek wina, jaśniej wam będzie.

— Gdyby to winem można się pozbyć kłopotów, — zaśmiał się Liński, — piłbym z panem na umor.

— Ach! takiś chwat, panie Liński? może się sprobujemy, ale najpierw jeden kieliszek z mojej butelki.

— Nie dzisiaj, jestem do niczego, chodzę struty.

— Główstwo! Gniecie cię mamona? Co tam, dziś jej niema, jutro będzie.

— Właśnie idzie o to jutro, — dorzucił Mierski.

— No, panie Liński, chodź pan bliżej trąć się z nami, — podawał mu pełny kieliszek, — i powiedz nam, jaki to robak ciebie gryzie. Dziewczyna, czy dług? no, gajaj waść!

— Mam kłopoty pieniężne, a targi nie szczegółowe...

— A co z wiejskimi sklepikami? Aleś załał żydom sadła gorącego, — śmiał się, — przeklinają ciebie. Słyszę to, bo mieszkam tuż pod Paciorkowicami. Czy zakładas nowe?

— Nie wiem, to zależy od funduszów.

— A dużo ci potrzeba, panie Liński?

— Dużo, nie dużo. Na razie potrzebuję tysiąc pięćset rubli.

— No, tyle nie mam; a jak z twoim kredytem? Pewno żydzi ci szkodzą i ocierają, to ich metoda.

— Istotnie szkodzą mi i Towarzystwo żąda żyra nowego.

— Jakie to Towarzystwo?

— Wzajemnego kredytu.

— Gdzie wasz telefon?

— Przy kasie.

Zenowski wziął słuchawkę telefoniczną do ręki i powiedział numer, a po chwili zaczął rozmowę z dyrektorem Towarzystwa.

— To ja, Zenowski... Jaki kredyt ma firma Liński i Mierski... Dlaczego odmawiasz?... A jeśli ja podpiszę?... Za godzinę czekaj na mnie... — i odłożywszy słuchawkę zwrócił się z uśmiechem do Lińskiego: — no, sprawa załatwiona, za godzinę są pieniądze.

— Dziękuję panu, — ściskał jego rękę Liński, — nie wiem czem sobie zasłużyłem na tyle względów i dobroci.

— Dajże pan pokój... widzę, że pan chcesz podnieść nasz handel, że męczą cię żydowiny, jakże ci nie pomóż?.. No, ale zakładu musisz pan dotrzymać, pijemy i obaczmy kto silniejszy. O szóstejjadę do chałupy, do Grodziska, mamy dosyć czasu, bo teraz po jedenastej.

— Zgoda, pijemy! — zawała uradowany Liński, — i bodaj takich więcej, jak pan!

— U nas, w Krakowskim wszyscy tacy, — rzekł z dumą, — czy nie tak, Kurecki?

— Tak, tak... tylko nie po stronie galicyjskiej, ale w Królestwie.

— Chodź z nami do Towarzystwa, potem na śniadanie. — zapraszał Zenowski, — A weksel gotowy? podpisany?

— Już, — Liński wziął kapelusz do ręki.

— Ja nie mogę... idę do domu, żona mnie czeka, — rzekł Kurecki.

— A idź, idź pantoflarzu, — śmiał się Zenowski, — a swoja drogą wypiję za twoje zdrowie.

## XVI.

W sobotę zajechał przed sklep Maciej Biedroń wozem kowanym i przez drzwi zawałał:

— Czy towar gotowy panie Mierski?

— Zaraz, Macieju, za chwilę skończę tylko paczkę do Paciorkowic.

— A jest i do Zadąbia?

— Jest.

— To chyba wezmę tylko do Wólki i Paciorkowic, bo Zadąbie mi z drogi, a w poniedziałek kum jedzie do Warszawy, to zabierze.

— A cóż to? Czy droga taka ciężka?

— To nie, ale kobyła mi się podbiła, przyjechałem jednym koniem.

— A dobrze, zaczekajcie chwilę.

Chłop oparł się o wóz, patrzał przez chwilę na domy, na ruch uliczny, namyślił się i dla wszelkiego bezpieczeństwa, ażeby koń nie ruszył, odpiął jeden postronek z orczyka. Rad byłby podkarmił konia, ale nie chciał narazić się na krzyki stróża, że zanieczyszczą mu ulicę i na surowe napomnienie policyjanta, że to nie jest miejsce na karmienie koni.

Z drugiej strony ulicy przypatrywali się chłopu bacznie żydzi, próżnujący w szabas, a wśród nich odznaczał się łagodnym wyrazem twarzy i przebiegłemi oczyma Josek Hazern, zaś Jankiel Dorożkarz wyróżniał się krzykliwością i bezczelnością śmiechu i zdecydowanymi ruchami.

— Nu, co będzie? — mówił niecierpliwy Chaskiel, — ten goj nie chce dać jeść koniowi? Co wy zrobicie?

— Poco to gadanie? zaśmiał się Jankiel Dorożkarz, — chłop kocha konia, on dba, on zawsze go nakarmi. Goj sam głodny i nie ma co włożyć do pyska, to on nie chce, ażeby koń głodował.

Gdy jednak chłop zwlekał z daniem obroku koniowi, a tem samem nie dawał sposobności do wsypania arszeniku w torbę z owsem, podszedł do chłopa Josek Hazern z układną miną i pozdrowiwszy rzekł:

— Hej, panie gospodarzu, z Paciorkowic?

— Nie.

— Jakto, jeszcze dalej? Nu, wy macie, chwała Bogu, ładnego konia, on wart jest między braćmi sto pięćdziesiąt rubli. Nu, czy nie tak?

Każdemu z gospodarzy pochlebia, że ktoś chwali konia jego, podobało się to i Maciejowi.

— Dobre bydlę, mocne, wytrwałe, — odpowiedział po chwili, — ale nie zapłaciłem tyle, co mówicie.

— Jakto? Nie tyle? Nu, a ile?

— Kupiłem go łoni w Łowiczu za osiemdziesiąt rubli, ale był zabiedzony, bo paszy nie było.

— Gdyby on był mój koń, ja dopilnowałbym jego. Bydlę jest nieme, nie powie że głodne... o! jaki to mądry koń, on słyszy o jedzeniu, o owsie, to on zaraz się ogląda. Aj, jaki to mądry koń! Wy macie wielkie szczęście gospodarzu, taki koń to rarytas, jak on wszystko rozumie!

Wprawdzie koń nic nie rozumiał i tylko opędzając się od much, zwrócił głowę na rozmawiających, ale Macieja to cieszyło, że posiada tak mądrogo konia, przystąpił do niego i poklepał go przyjaźnie, na co koń odpowiedział cichem rżeniem.

— Aj, gospodarzu, jaki to koń, on gada jak człowiek, on krzyczy, że głodny. Żeby nie szabas, ja sam wziąłbym opałkę z wo-

zu i dał mu owsa, bo taki mądry trafia się jeden na tysiąc.

I Maciej chciał nakarmić konia, ale się wahał, i stanąwszy w progu sklepu zawołał:

— Panie Mierski, czy gotowe? Konisko głodne z drogi, to popałbym za miastem.

— Zaraz, gospodarzu! W tej chwili chłopiec przyniesie towar i upakuję, zresztą, możecie konia nakarmić i tutaj.

— Kiedy stróż swarzy.

— Już ja go ułagodzę.

Josek Hazern z uśmiechem zadowolenia wysłuchał tej rozmowy, mrugnął i skinął głową potakującą w stronę grupy żydów.

— Ja wiem, gospodarzu, że teraz dacie mu jeść, ja mam takie serce, że nie mogę patrzeć na głodne bydle; a może chcecie napoić? Tu, na Placu możecie to zrobić. Czy wam pokazać?

— Wpierw niech podje, — odpowiedział biorąc opałkę w rękę.

Josek Hazern skończył swą rolę, teraz wystąpił Jankiel Dorożkarz. Podszedł do chłopa gryzącego chleb i mówił od niechcenia:

— Panie gospodarzu, owies u was drogi?

— Różnie płacą, ale za korzec dobrego trzeba dać trzy ruble i pół, a nawet cztery.

— Zawsze taniej, jak u nas... i ładny wasz owies?

— Niczego sobie.

Jankiel Dorożkarz podszedł do jedzącego konia, wziął z opałki garść owsa, dmuchął, patrzył, ważył w ręku, a gdy chłop się odwrócił, szybko wyjął z kieszeni drugą rękę z garścią arszeniku i wsypał do opałki.

— Nu, panie gospodarzu, wasz owies czysty i ma dobrą wagę. Jak będziecie mili na sprzedaż, przywieźcie tu kilka korcy, ja wam dobrze zapłacę.

— Na sprzedaż nie mam, dobrze będzie jak mi starczy dla koni.

— Nu, szczęśliwej drogi, panie gospodarzu.

— Z Bogiem. — skinął głową Maciej zadowolony z pochwały konia i owsa.

Żydzi, którzy pilnie obserwowali każdy ruch Jankla Dorożkarza, gdy ujrzel go przy opałce wsypującego truciznę, uśmiechnęli się uradowani, a Josek Hazern rzekł gładząc brodę:

— Nu, sprawia załatwiona, on może wyjedzie z miasta, ale za rogatkami jemu będzie koniec.

— Aj, to dobrze! — zaśmiała się Chaskiel, — jak koń zdechnie, to towar rozkradną, bo kto dopilnuje?

— Nu, chodźmy, — powiedział Jankiel Dorożkarz, śmiejąc się głośno, — interes skończony, i powiedzcie sami, czy robota była zła?

— Ona była doskonała! — cmoknął Joś z zachwytem, — wy oba majstry. Chaskiel, czy nie tak?

— Aj, Joś, dlaczego nie można tak zróbić temu gojowi Lińskiemu? Z nim byłby także koniec, czy nie tak?

— Chaskiel, — rzekł Joś z powagą, — prawda, że on takie same bydłe jak koń, bo jest goj i nuchrym, ale on nie je owsa na ulicy, i jemu ciężko wsypać proszek, to mogłoby naszym zaszkodzić; ale ty bądź cierpliwy, nasz Bóg pomści na nim nasze krzywdy. Czy ty nie wiesz o tem?

— Co ja nie mam wiedzieć? Ja wiem, że jak przyjdzie mesjasz, wszyscy chrześcijanie będą wygubieni, tak przecież stoi w naszych świętych księgach, ale ja chciałbym widzieć zgubę tego goja, on mnie skrzywdził najbardziej.

— To ty Chaskiel módl się, a może Pan Bóg udzieli ci tej wielkiej łaski.

W godzinę późnej zatelefonowano do sklepu z rogatek Jerozolimskich, że koń Macieja Biedronia padł na drodze, a część towaru odebrano złodziejom podmiejskim.

Liński siadł do dorożki, sprawdził nieszczęście, które spotkało Macieja, oddał zdechłego konia w ręce policyjny, ażeby zrobiono sekcyę, sprawdził znaczny ubytek towaru, a zabezpieczywszy wóz, wziął rozżalonego Macieja do siebie.

Tego samego dnia doniesiono mu telefonicznie, że koń został otruty arszenikiem, którego ślad znaleziono także w opałce.

Maciej opowiedział szczegółowo swą rozmowę z żydami przy wozie, i dla Lińskiego nie ulegało żadnej wątpliwości, że żydzi struli konia. W przypuszczeniu, że to się może jeszcze powtórzyć, pojechał z Maciejem na policyę, gdzie Maciej złożył zeznanie, a naczelnik biura, wyjątkowo energiczny, postanowił pochwycić sprawców, gdyż były już liczne skargi na otrucia koni.

— Czy poznacie tych dwóch żydów, którzy z wami rozmawiali? — spytał urzędnik chłopa.

— A juści, jeden chytry i składny, kot, a drugi jak zbój, to ten, co pytał o owies i był przy koniu.

— Kiedy pan wysyła towar ze sklepu? — zwrócił się do Lińskiego.

— We wtorki i soboty przed południem każdego tygodnia.

— Tak często?

— W sklepach wiejskich niema składów i bywają towary sezonowe.

— Do pana zgłosi się ajent, a swoją drogą rozgłoś pan, że wysyłasz znaczniejszą ilość towaru, może wpadną w zastawiony zatrzask.

Żydzi jednak byli ostrożni i przez cały miesiąc ekspedycja towarów odbywała się

spokojnie. Ajent zwałpił w powodzenie, a nawet przypuszczał, że koń Macieja nie był wcale otruty, lecz zdechł z choroby wewnętrznej, ponieważ jednak naczelnik nie odwołał swego rozporządzenia, ajent zgłaszał się do sklepu każdego wtorku i każdej soboty.

Jednego dnia przyszła Hala sama do sklepu i przywitawszy się, poprosiła Mierskiego o funt winogron, a gdy on odszedł, przemówiła zaczerwieniona do Lińskiego:

— Przyszłam przeprosić pana... — utknęła.

— Pani? I za co? Jeśli ja zawiniłem w czemkolwiek, bardzo przepraszam.

— Ależ nie pan, tylko tatus, który dopiero wczoraj opowiedział nam, że widział się z panem i uprzedził pana, że nie chce w niczem pomóź panu.

— Tak, to prawda, ale ja nie prosiłem o żadną pomoc, a to co usłyszałem, było tylko powtórzeniem tego, co mówił mi **kilkakrotnie u siebie**.

— I nie ma pan żalu do tatusia?

— Najmniejszego. Tatus wypowiada szczerze swoje przekonanie, ja swoje, i każdy idzie swoją drogą.

— I pan to mówi szczerze?

— Najzupełniej, zresztą to samo słyszę ze wszystkich stron i tatus pani nie jest odosobniony.

— A jak się panu powodzi?

- Idzie jakoś.  
— Czy znów struli konia panu, bo czytałam o tem w Kuryerze.  
— Dotychezas nie.  
— I pan nie ustąpi? I pan zwycięży?  
— Pragnę tego i może się uda.  
— Ale to musi się udać! — powiedziała z naciskiem, — ja wierzę w to.  
— I ja tak samo, — zaśmiała się.  
— Jeśli pan nie gniewa się, dlaczego nie był pan u nas? Tatuś zapraszał pana.  
— Panno Halu, zbliżają się wybory, mam tyle do roboty, agituję na wszystkie strony, a wieczorami wiecze, posiedzenia...  
— Kiedy wybory?  
— Jutro prawyborecy wybierają wyborców, a ich wybór zdecyduje, kto zostanie posłem z Warszawy.  
— A pan za kim głosuje?  
— Za listą endeków, bo oni jedni mili odwagę napiętnować podbój Polski przez żydów i wskazywać na zalew, który nam grozi.  
— I prawda panie, że endecy zwyciężą?  
— Nie wiem, żydzi rozwinęli szaloną agitację, a my śpimy. Nie wie pani, na kogo tatuś głosuje?  
— Coś mówił o koncentracji.  
— No tak, to w porządku, — uśmiechnął się, — chociaż i ten ich kandydat

- oświadczył się przeciw równouprawnieniu żydów w przyszłej autonomii miejskiej.  
— Ale Władek namawia tatusia, ażeby nie głosował za koncentracją.  
— Więc przyjechał pan Władysław?  
— Onegdaj i chce poznać pana.  
— I ja jego również.  
— Kiedy pan przyjdzie do nas?  
— Nie mogę dnia oznaczyć, ale w każdym razie po wyborach.  
— Czekamy pana, — podała mu rękę, — i niech pan nam przyniesie dobre wieści.  
— Tylko tego pragnę.  
Odeszła, zapominając o winogronach, które Mierski postawił przed nią, usunąwszy się potem dyskretnie. Gdy była na progu, Stefek zwołał:  
— A winogrona pani?  
— Prawda, — odwróciła się zarumiona, — dziękuję kawalerowi za przypomnienie.  
Zapłaciła i pożegnawszy jeszcze raz obydwóch, wyszła.  
— A co, Tadziu? Nie lgnie do ciebie? — uśmiechnął się Mierski, — nawet zapomniała o sprawunku!  
— Dlaczego zaraz posądzać ją o jakiś sentyment. Interesuje ją walka z żydami i dlatego przyszła. Zresztą nie mówmy o tem.  
Nazajutrz, z powodu wyborów, Liński

był nieobecny w sklepie, mimo że był to wtorek, dzień ekspedycji towarów na prowincję.

Ajent, nizki blondyn, z niespokojnimi oczyma, zjawił się w sklepie z pytaniem:

— Czy będę potrzebny?

— Może pan zechce dzisiaj śledzić, ruch na ulicy z powodu wyborów znaczny, mogą się pokusić żydy.

— To prawda, złodziejom najdogodniej w ścisiku; — i do chłopa, który stał w sklepie: — uważacie, jak tylko krzyknę, opałkę zabierajcie z przed koni, a nie bardzo się pilnujcie, ja sam wszystko zrobię.

Istotnie, w tym dniu postanowili żydzi popróbować szczęścia, ze względu, że snuło się dużo ludzi. Tym razem jednak stanęły się tylko Jankiel Dorożkarz, gdyż Josek Hazern kandydował na wyborcę w piętnastym okręgu. Chaskiel, Joś i Aron, chcieli być świadkami ciekawej operacji i stanęli na chodniku, tamując przejście. Jankiel Dorożkarz pożegnał ich przyjaznym skinieniem głowy, uśmiechając się łaskawie z gorącymi życzeniami powodzenia w tym interesie i skierował się do chłopa stojącego przy wozie, widząc jednak, że jest bardzo zajęty ruchem publiczności i automobilami, poszedł wprost do koni. Zbliżył się do opałki, ostrożnie obejrzał się wokoło i ruchem

szymbkim wsypał dobrą garść arszeniku w opałkę.

— Mam cię złodzieju! — krzyknął ajent i schwycił go za kołnierz.

Równocześnie chłop odtrąciwszy łby końskie, odwiązywał opałkę.

Jankiel wykręcał się na wszystkie strony chcąc się wyrwać, i wrzeszczał:

— Jaki ja złodziej? Co ja ukradł?

Chaskiel i Aron, mimo że Joś ich wstrzymywał, pobiegli uciśnionemu Janklowi na pomoc, także żydzi, żydówki i żydzięta podnieśli wielki gwałt, a sądząc, że ajent ubrany po cywilnemu jest prywatną osobą, rzucili się, ażeby uchronić współwyznawcę od napadu i rozboju gojów.

Najgorliwiej i z największym wrzaskiem bronili Jankla Chaskiel i Aron, szarpiąc ajenta, który bronił się nogami i wolną ręką. W pomoc ajentowi pospieszył Mierski i chłop. Mimo tego Jankiel Dorożkarz możeby się był wyrwał, gdyby nie nagły gwizd ajenta wzywający policyę. Żydzi osłupieli, zrozumieli, że to władza, i zaczęły się błagania i prośby:

— Niech pan naczelnik jego puści!... On nic nie zrobił?.. On niewinny! My go znamy, to kupiec, kamienicznik!

Jankiel starał się tymczasem oczyścić swą kieszeń i wyrzucić torebkę, w której była trucizna. Przeszkodził temu Mierski i wła-

śnie żydzi poczęli go szarpać i odtrącać, gdy nadbiegł stójkowy i na oślep zaczął rozdawać razy wśród tłoczących się żydów.

— Trzymaj go, — rozkazał ajent, — a ja go zrewiduję.

Wyciągnął z kieszeni zmiętą torebkę, zabrał mu zegarek, portmonetkę, pugilares i do drugiego stójkowego, który nadbiegł, zwołał, przytrzymując przypatrujących się z boku Chaskla i Arona:

— Prowadź tych także do cyrkułu.

Wszyscy żydzi podnieśli straszny gwałt i lament, bo i jak można aresztować takich porządnego i bogatych kupców! Jak śmie taki goj, taki nuchrym, kłaść rękę na żyda! Szarpali się też gwałtownie Chaskiel i Aron, ale stójkowy, rosły chłop rosyjski z tambowskiej gubernii, schwycił w jedną swą łapę dwie ręce żydów, drugą zaczął tłuc ich w karki.

Jęk żalu, rozpacz, oburzenia przeleciał wśród tłumu żydów, a Chaskiel i Aron zasłaniając się od razów wołały:

— My już idziemy! Poco bicie?

Joś, współczując z przyjaciółmi, podszedł poważnym krokiem do ajenta i rzekł z wyrozumieniem:

— Panie naczelniku, to są przecież kupcy, — wskazał na Chaskla i Arona, — oni odpowiadają majątkiem...

— Poszedł precz! Nie twoja rzecz!

— Ale jak można, panie naczelniku, prowadzić ich do cyrkułu, jak zbójców, jak złodziei. Cóż oni zrobili?

— Przeszkadzali w urzędowaniu, podnieśli rękę na władzę! Zgnią sukisny w więzieniu, już ja ich nauczę.

— Ale, panie naczelniku...

— Won! i ciebie wezmę.

Joś z miną pełną godności cofnął się, a spojrzawszy na sklep Lińskiego, zaczął rzucać bardzo srogie i dotkliwe przekleństwa, uważając Lińskiego za przyczynę prześladowania i cierpień uciśnionych synów Izraela.

Ajent, zabierając opałkę z nasypanym do niej arszenikiem, jako dowód zbrodni, rzekł wesoło do Mierskiego, stojącego we drzwiach sklepu:

— No, udało się nam przyłapać tego truciciela, teraz zapłaci on i za strutego konia i za towar.

— Dziękuję panu; czy telefonować do naczelnika o szczęśliwym połowie?

— Do naczelnika? — zawała się ajent.

— Chciałbym pochwalić pana za sprawność i służbistość.

— A dobrze, i dodaj pan, że żydzi porwali na mnie ubranie, że byłem w niebezpieczeństwie. Szkoda, że nie znam nazwisk tych żydów.

— Ja znam. To Chaskiel Eibenszyc i Aron Knochebein.

— Powiedz pan naczelnikowi, to będzie dobrze; a pan poświadcz, co oni wyprawiali ze mną?

— Naturalnie, i ja, i ten gospodarz, widzieliśmy przecież.

— To już dobrze, posiedzą też posiedzą, i zapłacą za ubranie, — zaśmiał się ajent i poszedł.

Joś był świadkiem tej rozmowy i aż zaniemówił z wielkiego oburzenia i żalu. Szedł zwolna do swego sklepu, ale w drodze rozmyślił się i wstąpił do żony Chaskiel, ażeby ją pocieszyć w nieszczęściu. Zastał tam i żonę Arona, obydwie wielce strapione, które przywitały go pytaniem:

— Co będzie? Gdzie oni? Co oni zrobili? Dlaczego ich wzięto? — wołały jedna przez drugą.

— Sza! — rozkazała Joś, — co tu wasz krzyk i płacz pomoże? Tu trzeba prędko radzić. Ten goj, ajent, bodajby był pierwej oślepł, nogi i ręce połamał, on schwycił nietylko odważnego Jankla, który był tylko posłuszny rozkazom rebe Rubinrota, ale wziął i waszych mężów.

— Ale zaco? Co oni zrobili?

— Co? Oni widząc nieszczęście Jankla, pobiegli jak prawdziwe lwy bronić jego, już mieli uwolnić jego i rzucili się na goja, co go trzymał, a ten gwizdnął... Ja jeszcze mam w uszach ten przeraźliwy gwizd. To

był łapacz z policyi. Chaskiel i Aron odpowiadzą za gwałt, za przeszkodzenie, to wielka kara.

— Aj, aj! Co tu robić?

— Zaraz... najpierw trzeba kupić nowe ubranie ajentowi i prosić jego, żeby on się nie gniewał. To potrzebuje się zaraz dziś zrobić, bo może być źle, może być więcej niż źle.

— A kto to zrobi?

— To zrobi Lejba Szpicmaus i ja. A wiecie, kto sprowadził ajenta? Kto trzymał Jankla, że nie mógł wyrzucić dowodu? Kto chce świadczyć przeciw waszym mężom? Nu, ja was powiem. To ten goj, nuchrym, malszinim, co ma sklep na naszej ulicy. On to wszystko zrobił.

Zgodnym chórem i z wielką zawziętością posyapały się przerozmaite przekleństwa. Joś zabrał pieniądze potrzebne do uwolnienia niewinnie uwięzionych i poszedł do Lejby.

A wieczorem, odprawiając zwykłą, codzienną modlitwę „birkał hamminim“, molił się z przejęciem i jękiem:

„Oszczercy nasi niech będą pozbawieni wszelkiej nadziei. Wszyscy, którzy czynią bezbożność, muszą zginąć w jednej chwili i jaknajszybciej, i to wszyscy razem mają być wytępieni. Panie! upokórz ich prędko i w tych dniach“.

XVII.

Liński znając zwyczaje domowe Lelickich przyszedł wieczorem, przypuszczając, że obiad już się skończył. Zastał jednak wszystkich przy deserze i czarnej kawie. Przywitanego uprzejmie, a gospodarz rzekł z przyjemnym uśmiechem:

— Już miałem osobiście zajść do pana i ściągnąć go do nas. Dlaczego pan nie pokażał się u nas przez tak długi czas?

— Byłem bardzo zajęty, — ściskał podaną rękę.

— Mój syn, Władysław, — wskazał na smukłego blondyna, z twarzą ładną, szczerą, którego oczy zdradzały wielką inteligencję i energię.

— Tyle dobrego słyszałem i czytałem o panu od Janka, — przemówił Władysław dźwięcznym głosem, — że bardzo rad pana widzę. Zachodziłem dwukrotnie do sklepu, ale nie zastałem pana.

— Żałuję bardzo, ale miałem rozjazdy po wsiach, sądy, — usiadł obok Władysława.

— Czytaliśmy w Kuryerze, — odezwała się pani, — o tym trucicielu koni, to okropne, bo co winno biedne zwierzę?

— No, i chłop manusiu, który przyjechał po towar, — dorzuciła Hala.

— I naprawdę chciał truć konie? — wątpił gospodarz, — to wydaje mi się niemal bajką.

— Która przemieniła się w rzeczywistość, — uśmiechnął się Liński, — gdyż znaleziono przy nim, w kieszeni, resztki arszeniku, a w opalce tę część którą wspaniał.

— I co się z nim stało? — spytał Lelicki.

— Jest w więzieniu, wyrok jeszcze nie zapadł. W każdym razie zostanie skazany.

— A czy zapłaci za tego pierwszego konia? którego struł? — spytała Hala.

— Poznał w nim truciciela poszkodowanego Maciej Biedroń i otrzyma odszkodowanie, i on za konia, i ja za towar.

— To bardzo dobrze, — uśmiechnęła się Hala, — i jak to szczęśliwie, że zbrodniarza pochwyccono.

— Jakieś tu wstępne stosunki, — rzekł z obrzydzeniem Władysław, — na całym świecie jest konkurencja, ale chyba tylko u nas, żydzi używają zbrodni jako broni konkurencyjnej.

— To dziwne, że dotychczas prawie nie słyszałem ani o tego rodzaju szkodach, ani o zbrodniach, dopiero od pana Lińskiego, — uśmiechnął się Lelicki, — mogę to sobie wytlumaczyć tylko tem, że w grę wchodzi nienawiść. Pan ich nienawidzi, oni pana.

— No, tak, — zaśmiała się Liński, — tylko, że mimo mej nienawiści nie zakradam się do ich magazynów, nie niszczę ich to-

waru, nie namawiam do złodziejstwa sklepikarzy, nie truję koni...

— To naturalne, — rzekł Lelicki, — pan jesteś kulturalny człowiek, a to ludzie ciemni, bez wykształcenia, a chciwi zarobku i pieniędzy.

— Wszyscy są jednacy, — mruknął głośno Władysław, zapalając papierosa.

— O, nie! Wy, młodzi, lubicie zaraz uogólniać i huzia na żydów! Ja tymczasem mam przyjaciół w żydach, jak Reinherca, Podliszewera i wielu innych, którzy w stosunku do mnie są poprawni i uczciwi, daleki też jestem od nienawiści i antysemityzmu.

— Już ja wolę z nimi walczyć, aniżeli być z nimi w spółce, — powiedział twarzą do Władysław, — i kiedyś przekona się o tem tatuś.

— Tak to, tak, — westchnął Lelicki, — młodzi nigdy nie chcą korzystać z doświadczenia starszych. I dopiero gdy się sparzą, gdy zmarnują siły w niepotrzebnej walce, przychodzą do rozumu.

Gospodyn, widząc błyski oczu Władysława, starała się zażegnać spór i spytała Lińskiego:

— Cóż pan mówi na wynik wyborów?

— Większość wyborców żydów była dla mnie tak nieoczekiwana, tak dziwna, że chodziłem oszołomiony, jak po uderzeniu obu-

chem. Ta Warszawa, ta stolica Polski, wybrała żydowską większość wyborców!

— To następstwo waszej agitacji antysemickiej, — rzekł Lelicki, — żydzi czuli się zagrożonymi i wybrali swoich.

— A my wybraliśmy filosemitów, — uśmiechnął się ironicznie Liński, — utraciliśmy antysemitytów, ażeby nie ranić uczucia żydów. Woleliśmy nawet wstrzymać się od głosowania, byle nie był wybrany antysemita. O, myśmmy bardzo uprzejmi i ustępliwi ludzie wobec żydów.

— To są drwiny nie na miejscu, — rzekł Lelicki poważnie, — i polityka zgodę odniesie tryumf nad rozpasaną nienawiścią.

— Czyli innemi słowy, tatuś sądzi, że żydzi wybiorą kandydata koncentracyjnego... a czytał też tatuś, co pisze żargonowy „Hajnt“ o większości żydowskiej?

— Coś słyszałem...

— Władku, powiedz, myśmmy nie słyszały! — prosiła Hala.

— Przeczytaj! — zachęcała matka.

— W tej chwili, manusiu, odłożyłem ten numer gazety z wyjątkami.

Wkrótce wrócił z gazetą i czytał:

— „Hajnt“ pisze: „Zwycięstwo nasze w Warszawie, wywoła wzruszającą radość w całym świecie żydowskim, bo to nie jest zwycięstwo wyborcze, lecz żydowskie zwycię-

stwo narodowe" ... Cóż, tatusiu, czy jest tu mowa o Polsce? Ale jeszcze bezczelniej pisze żargonowy „Frajnd“: „Trudno przypuścić, że i teraz wyborcy nasi, będą się trzymali rezolucji poprzednio powziętej — wysłania Polaka, będącego za równouprawnieniem żydów. Nie jest wcale wykluczone, ażebyśmy mając faktycznie mandat warszawski w swem ręku, mieli go oddać koniecznie w „białe“ ręce polskie... Politycznie młody Dawid żydowski złamał potęgę polskiego Goliata“.

— Tatuś chyba przymyka, — zawała Hala gorąco, — że to niesłychana bezczelność. Żydów jest tylko piętnaście procent, a chcą być gospodarzami naszego kraju i reprezentować go w Dumie.

— No, no, nie tak gorąco, — uśmiechnął się pobłażliwie, — do tego nie przyjdzie, co innego żargonowe pisma, a co innego wyborcy żydowscy.

— Bardzo wątpię, — rzucił Liński.

— Zaraz pana przekonam. Dziś był u mnie redaktor jednego z najpoważniejszych organów i zażądał, abym wyrozumiał kilku wyborców, których znam osobiście.

— Kogóż tatuś zna? — spytała Terenia.

— Najpierw Reinherca, tego jestem najzupełniej pewny, że pójdzie z nami; następnie Lewite, Frejlicha, Podliszewera; trochę Nestenowera, teścia Reinherca, i Fejkin-

da. Redaktor był ucieszony, gdyż zaraz rozmówiłem się w tej sprawie z Reinhercem, i dziś mają się ci panowie zejść do kantoru. Będzie też i redaktor, który jest przekonany, że gdy żydzi się zastanowią, nie zechą iść przeciw nam, lecz z nami. Zauważcie też, że pomiędzy wyborcami żydowskimi są lekarze, doktorzy, adwokaci, którzy tu się urodzili, kształcili, tu znaleźli chleb i uznanie; czy można nawet przypuścić, ażeby oni wystąpili przeciw woli całej polskiej Warszawy?

W tej chwili dał się słyszeć dzwonek telefonu.

— Władziu, zobacz kto dzwoni? — powiedział ojciec.

— Tatusiu, to Reinherc, — zawała z programu Władysław, — chce mówić z samym tatusiem.

— To jakaś niespodzianka ze strony żydów, — uśmiechnął się Liński.

Po chwili wrócił Lelicki, widocznie rozdrażniony, usiadł przy stole i wypił szklankę wody.

— Co się stało, tatusiu? spytał syn.

— Ach, nic wielkiego, drobnostka, — i zwrócił się do żony: — wyobraź sobie, że ci żydzi, dlatego, że ich osobiście nie prosiłem, nie chcieli przyjść na moje listowne zaproszenia.

— Arogancya zwycięzców, — rzekł półgosem Liński.

— Istotnie, to arogancya; bo chcieli, ażebym ich osobiście zaprosił, nie do biura, ale do siebie, tutaj.

— Przecież tego nie zrobisz! — powiedziała gniewnie żona.

— Ani myślę... zresztą, Reinherc powiedział mi, że zaprosił ich do siebie i jeśli chcę, to mogę przyjść do niego z redakcą.

— To w porządku, — zaśmiała się Władysław, — dają oni poczuć swą przewagę, i nie oni do tatusia, lecz tatuś do nich musi iść z poklonami.

Żona, widząc przykrość malującą się na twarzy męża, rzekła pojednawczo:

— To przecież nic ubliżającego, że pojdziesz do Reinherca.

— No, zapewne; ale w tym ich kroku czuję intencję upokorzenia mnie i redaktora, bo musisz wiedzieć, że ci żydzi uważali sobie dotychczas za zaszczyt, gdy wpuszczaliem ich do mego gabinetu, a teraz mają im pisemnego zaproszenia i nie chcą przyjść do biura...

— Tylko do żyda musi pójść redaktor i tatuś, — dokończył Władek. — Ale to jeszcze nic, to tylko początek, a teraz dopiero przyjdzie koniec załosny, gdy tatuś pojedzie do nich.

— Co myślisz zrobić? — spytała żona.

— Muszę pójść, to obowiązek; zresztą przyrzekłem redaktorowi, który liczy, że ich zjedna... muszę telefonować do redaktora o zaszlej zmianie, — wstał i poszedł do telefonu.

— Władziu, — powiedziała matka zniżonym głosem, — nie drażnij tatusia, sam widzisz, jak mu to przykro.

— Mamusiu, ja tylko chcę przygotować tatusia do filozoficznego przyjęcia goryczy i żółci, którymi nakarmią go żydzi dzisiaj, — zaśmiała się.

— Proszę cię, nie baw się w doktora.

— W takim razie nie odpowiadam za katastrofę, — zawała ze sztuczną powagą, która wszystkich rozbawiła.

— O jakiej katastrofie mówisz? — spytał ojciec wchodząc do pokoju.

— O tej, że żydzi wybiorą żyda na przedstawiciela Warszawy, co byłoby może lepszym...

— Aniżeli co? — uśmiechnął się ojciec.

— Aniżeli wroga ochrzczonego, który zapiera się Polski, jej przeszłości i przyszłości.

— Urojenia, — wzruszył Lelicki ramionami, — powiedział mi w tej chwili redaktor, że jeśli pozyskamy tych siedmiu, wybór Polaka zapewniony.

— A co mówił o tem, że zebrał się u Reinherca? — spytała żona.

— Naturalnie, niebardzo mu miło, ale z poczucia obowiązku przyjdzie.

— O której godzinie zebranie, tatusiu?

— O pół do dziewiątej.

— A kiedy się skończy? — dopytywała się Hala.

— Cóż ci na tem zależy?

— Jestem bardzo ciekawa wyniku, i chcę czekać powrotu tatusia.

— Niewiasto, idź spać w spokoju, — zwołał Władysław, — nie jestem wieszczbiarzem, ale zaprawdę powiadam ci, że wszyscy żydzi, jak jeden mąż, powiedzą, iż nie pójdą do koncentracji, lecz koncentracja musi przyjść do nich, pocałować ich w brodę i pokornie wysłuchać, kogo oni wybiorą.

Roześmiali się wszyscy; tylko ojciec rzekł niezadowolony:

— Widać, że odwykłeś od kraju, gdy drwisz z tak poważnej sprawy.

— A pan co sądzi? — spytała Hala Lińskiego.

— Jestem zdania pana Władysława, żydzi ten interes wyborczy wyzyskają do granic ostatecznych.

— Sprzeciwia się pan sam sobie, — powiedział Lelicki, — mówi pan o interesie, a przy wyborach żydzi narażają swe interesa, gdyż nie ulega wątpliwości, że jeśli

oni nie pójdą z nami, wzrośnie nienawiść do nich.

— Zdaje mi się, — odpowiedział Liński, — że widzę jasno rozumowanie żydów: Interesa wszystkie mamy w ręku i chrześcijanie mało albo nic nam nie zaszkodzą, a jaką to słodką rozkosz zemścić się na gojach, opluć ich marzenia, skopać przedmiot ich czci i miłości. Przecież taka zemsta miła jest ich mściwemu Bogu.

— Z fanatykami trudno rozprawiać, — wzruszył ramionami Lelicki, — a ja zaręczam, że żydzi mają na tyle zdrowego rozumu i mądrości praktycznej, że dla mrzonek nie porzucą swych realnych interesów. Znam ich przecież od tylu lat i tyle interesów prowadziłem z nimi.

— Więc, tatusiu, kiedy się skończy ta konferencja polityczna?

— Przypuszczam, że najpóźniej około jedenastej, bo Reinherc, Lewite, Podliszewer i Nestenower, jako związani z interesami moimi, pójdą z nami, a tamci ulegną większości.

— W takim razie, — rzekła Hala, — ja proponuję spacer. Tatuś pójdzie do Reinherca, my w świat, a zejdziemy się o jedenastej na kolacyi.

Wprawdzie pani Lelicka miała to i owo do zarzucenia temu projektowi, ale ostatecznie zgodzono się. Ponieważ godzina wy-

znaczona na konferencję zbliżała się, Lelicki pierwszy opuścił mieszkanie i wsiadłszy do dorożki, wskazał adres Reinherca na Marszałkowskiej.

Ze względu na pracownię bluzek i strojów damszych, Reinherc zajmował na trzecim piętrze mieszkanie składające się z czterech pokoi. W dwóch pokojach frontowych mieszkał z żoną i dzieckiem, a w dwóch od podwórza mieściła się pracownia.

Lelicki doszedłszy do drzwi wejściowych, posłyszał gwar licznych głosów, zadzwonił. Otworzył mu drzwi jakiś żyd i zawałał:

— A pan tu czego?

— Przyszedłem do pana Reinherca.

— On teraz zajęty, tu teraz wielkie polityczne posiedzenie, pan potrzebuje przyjść jutro, dziś nie można.

— Poproś pan pana Reinherca, — rzekł zniecierpliwiony i chciał usunąć żyda stojącego we drzwiach.

— Zaraz! — i zatrzasnął drzwi wejściowe.

Lelicki poczerwieniał z gniewu, ale uzbroił się w cierpliwość i czekał, stukając laską w podłogę.

Otworzyły się drzwi i ten sam żyd spytał:

— Jak pan się nazywa?

— Lelicki.

— Nu, dlaczego pan zaraz nie powiedział? Pan Reinherc czeka na pana.

— Gdzie?

— Gdzie ma być? Pan Reinherc jest w swoim salonie. Czy pan nie widział salonu?

W pokoju dość obszernym tłoczyło się ze dwudziestu żydów. Panował tu gwar i hałaś rozmów w szwargocie i po rosyjsku. Zdawało się, że wszyscy mówią, a nikt nie słucha. Lelicki wszedł i szukał oczyma Reinherca. Dojrzał go w kącie rozmawiającego z wielkim ożywieniem z jakimś żydem chudym z kościstą, silnie semicką twarzą, z fanatycznem spojrzeniem i ruchami nerwowymi, nieopanowanymi.

Lelicki, czuł się tu obcym w niemiłem i niechętnem otoczeniu, pochwycił bowiem kilka drwiących spojrzeń. Dotknęło go to niemile, że Reinherc, wiedząc o jego przybyciu, nie myśli go przywitać. Widział i innych znajomych sobie żydów, ale wszyscy byli pochłonięci rozmową i nie zważyli na niego. Podszedł tedy do Reinherca i rzekł zimno:

— Dobry wieczór panu.

— A, pan pryncypał; przepraszam, że nie przywitałem, a ten mój młodszy brat, który otwiera drzwi, nie chciał puścić pana, ja go już nakrzyczałem... Ja teraz przedstawię pana pryncypała naszemu redaktorowi, — wskazał na żyda, z którym rozmawiał przed

chwilą, — pan Hetzel, redaktor, a to pan Lelicki, mój pryncypał w interesie kantorskim.

Hetzel leniwie podał rękę, tak, że Lelicki miał ochotę cofnąć swoją, ale się przemógł.

— Pan należy do chrześcijańskich wyborców? — zapytał po rosyjsku Hetzel.

— Nie.

— Dlaczego pan przyszedł na posiedzenie?

— Byłem zaproszony.

— To tak sobie, przez ciekawość tylko?

Nu, pan może być, — i odwrócił się, zaczynając rozmowę z innym żydem.

Lelicki nie wiedział co zrobić ze sobą. Reinherc znikł, a po chwili wprowadził z wielką uroczystością żyda z twarzą bezczelną, otyłego, z wielkimi, opadającymi wargami, w ubraniu nowem, ale z kołnierzem od koszuli brudnym, wyłożonym, z haftem rosyjskim, i zawałał głośno po rosyjsku:

— Panowie! Pan Weinlaus z Petersburga! Nasz kochany gość!

— Zdrastwujcie! — krzyknęli żydzi, ciśnąc się do rozpromienionego Weinlausa, który wyciągnąwszy rękę, łaskawie pozwał ją ściskać obecnym.

— Ja wprost z kolei, z Petersburga,

chciałem radować się waszą radością z naszego zwycięstwa.

Żydzi zaczęli cmokać i unosić się nad jego mądrością i dobrocią, aż Weinlaus zawałał:

— Nu, a gdzie redaktor Hetzel?

— Hetzel! Hetzel! — zaczęto wołać głośno.

— Nu, czego? Ja idę! — zbliżył się chudy, z pałającymi oczyma.

— Hetzel! czy słyszysz? — zawałał Weinlaus uśmiechnięty, — ja chcę uściąkać twoją rękę... Ty dużo zrobiłeś na chwałę Izraela, ale co ty zrobiłbyś, gdyby nie oni?

— Czy to co nowego? Ja to już napisałem kilka razy w mojej gazecie. Wy powiedziecie nam, co mówią w Petersburgu o naszych wyborach, kogo mamy wybrać, ażeby nasza sława rozbrzmiewała?

— Ja to powiem. Czy myślicie, że ja zaraz odjadę? Ja potrzebuję także trochę spocząć, czy nie tak?

— Jeśli chcecie, ja odstąpię wam moje łóżko, — ofiarował się Reinherc, — dla czego nie macie się przespać?

— Ja się namyślałem, może zechcę, a może nie? Czy ja wiem?

Wszedł redaktor polskiego dziennika, wysoki, elegancko ubrany, poprawił binokle i przywitał się z Lelickim, stojącym na uboczu.

— Co tam? — wskazał oczyma na ścisnątą grupę, — czy dyskusya już się rozpoczęła?

— To przyjechał jakiś kacyk, czy rabin z Petersburga, a co do dyskusyi, jeszcze jej nie było.

— Obawiałem się, że się spóźnię. No, zaczynajmy, nie mam dużo czasu. Wpadłem na chwilę, aby się dowiedzieć, czy żydzi wyborcy godzą się na naszego kandydata?

— Nie wiem.

— Nie mówiłeś pan z nimi?

— Nie, jeszcze.

— A gdzież pański Reinherc? On, jako gospodarz, powinien to zorganizować.

— Zaraz go poszukam... a, oto jest... panie Reinherc! panie Reinherc!

— Za minutkę, panie pryncypale.

Minutka przeciagnęła się tak długo, że zniecierpliwiony redaktor zwołał:

— Ależ, panie Lelicki, oni nas lekceważą, obrabiają jakieś swoje interesa, a na nas ani spojrzą.

Lelicki poczuł rumieniec wstydu; on zaprosił redaktora, on zapewnił go, że wymienieni wyborcy żydowscy połączą się z koncentracją, a tymczasem zaniedbują ich dwóch, jak gdyby rozmyślnie. Właśnie przyszedł Reinherc, a oburzony Lelicki powiedział surowo:

— Zaprosiłeś nas [pan na omówienie kandydata koncentracji, a tymczasem żadnego tu ładu, porządku, dyskusyi, więc po co pan nas prosił?

— To się zrobi zaraz, — uśmiechnął się i do żydów po rosyjsku: — panowie! teraz dyskusya o wyborach, pan Weinlaus prezyduje! Są tu dwaj wysłannicy ze strony polskiej, potrzebujecie ich wysłuchać i powiedzieć co myślicie?

Istotnie nastął względny spokój, głównie dzięki krzykom i łajaniom Weinlausa, który zagaiwszy posiedzenie, udzielił głosu redaktorowi.

— Panowie, — zaczął redaktor, — stojmy wobec bardzo ważnego...

— My nie rozumiemy tego języka! — odezwały się liczne głosy, a przewodniczący dodał:

— Wy musicie, panie redaktorze, mówić naszym językiem, na polskim języku mówcie sobie w domu.

Redaktor pobladł z oburzenia, tego ani on, ani Lelicki nie spodziewali się, ażeby w Polsce, wyborcy przedstawiciela Warszawy nie chcieli słuchać polskiego języka. Po chwili namysłu, redaktor dla dobra sprawy, zdecydował się przemawiać po rosyjsku.

Przedstawiał im wymownie, że nie powinni nadużywać chwilowej przewagi, że

oburzą cały polski naród na siebie, że antysemityzm silnie się rozkrzewi, że stracą ekonomicznie, że to wbrew logice, ażeby na przedstawiciela całego narodu polskiego został wybrany żyd, gdy żydzi stanowią tylko piętnaście procent ludności.

Mówił szczerze, z przejęciem, upominał, prosił, a w odpowiedzi otrzymał drwiące uśmiechy żydów i złośliwe uwagi.

Przewodniczący po skończeniu tej mowy spytał, kto chce mówić. Wszyscy zaczęli krzyczeć, każdy chciał mówić, pogodził ich Weinlaus, wołając z uśmiechem:

— Sza! Cicho!... Redaktor Hetzel niech odpowie polskiemu redaktorowi... Czy to nie są równe siły?

Hetzel wstał i gestykulując nerwowo, zaczął namiętnie:

— Czego wy, Polacy, od nas chcecie? Co wy za jedni w tym kraju? My mamy cały handel, cały przemysł, my mamy wszystkie miasta i miasteczka, które są mózgiem i mądrością kraju! My wam zostawiamy wieś, wy pracujcie w ziemi i gnoju, wy pilnujcie naszych lasów, wy doglądajcie wody, która obraca nasze młyny i wy możecie żyć spokojnie i cicho. My sobie urządzymy miasta według naszej potrzeby, a jeśli ma być samorząd miejski, to wy nie macie prawa wrącać się do naszej własności, wy postarajcie się o samo-

rząd wiejski, my nic nie mamy przeciw temu, tylko niech będą uszanowane nasze prawa wiejskie. Jeśli wy razem z nami chcecie wybrać na posła takiego, który będzie starał się o samorząd miejski z całym zastrzeżeniem praw naszych, my możemy was dopuścić do równouprawnienia. Tu szkoda naszego i waszego gadania. Najpierw musicie się zgodzić na kandydata naszych interesów. My chcemy żyć z wami w zgodzie, my chcemy, ażeby ten prysiąski kraj zakwił, a bez naszego miejskiego samorządu, on przemieniłby się w pustynię. Czy nie tak, bracia moi? — spojrzał na rozmienionych słuchaczy, którzy wybuchnęli oklaskami i okrzykami radosnego zwycięstwa.

Gdy się cokolwiek uciszyło, zwołał przewodniczący do redaktora polskiego:

— Wy usłyszeli tu, co myślą nasi o zgodzie. My chcemy, ażebyście zrozumieli, że my silni; że my zrobimy co dla nas dobre i korzystne; że my waszych groźb się nie boimy. My potrzebujemy waszej pszenicy, żyta, warzyw, my potrzebujemy stróżów, woziwodów, mamek, praczek i innych do czarnej roboty, i wy możecie żyć z nami w zgodzie, naco nam kłotnie, krzyki, poco mamy słuchać waszych narzekan i żałów?

— Tak toczno!... Recht! — wołali inni.

Reinherc, któremu już szepnął był Weinlaus o rozkazach żydowskich powag z Petersburga, ratując swą sytuację, jako urzędnik Lelickiego, poprosił o głos i zaczął:

— To prawda, że my mamy większość, to prawda, że możemy wybrać każdego, kogo zechcemy; to prawda, że my nie potrzebujemy się bać nikogo, bo wszystko odbywa się legalnie i nasze wybory będą także legalne, ale dlaczego my mamy sobie robić wrogów z tutejszych ludzi? Czy wy wiecie, że nawet mały komar, a i on może dokuczyć lwu, jak zacznie mu siadać na nosie i gryźć! Dlatego my uszanujemy uczucia mieszkańców Prywišla, my potrzebujemy być szlachetni, bo lew izraelski był zawsze szlachetny i straszny, my nie wybierzemy żyda! Naco nam żyd!?

Na te słowa podniósł się wrzask, krzyk, łajania, ale nad całym hałasem zapanował wrzask przewodniczącego, który wstał, bił ręką w stół, szarpał bliższych, i wreszcie uzyskawszy posłuch rozkazał:

— Czego wy krzyczycie, jak proste muzyki? jak goje? Niech Jankiel Boruchowicz skończy.

— Jak my żyda wybierzemy, — mówił Reinherc, — to wszyscy powiedzą: patrzcie, jak oni wyzyskują chrześcijan!? jak oni narzucają zaraz żyda! My możemy wybrać chrześcijanina, bez zgody nawet tutejszych

ludzi, ale takiego, żeby on był cały przejęty wolnością, nietylko dla chrześcijan, ale dla wszystkich. Nu, co wy na to?

— Niema zgody!... Nie chcemy!... Ty zwaryowałeś!

— Cicho! — krzyknął tubalnym głosem gruby Weinlaus, — ja wam teraz powiem!.. Jankiel Boruchowicz Reinherc ma recht!

Słuchacze po chwilowem milczeniu zaczęli szemrać, ale przewodniczący zawałał:

— Żadnych hałasów! Myśmmy gadali w Petersburgu z opozycją i ona powiedziała, że jak wyjdzie żyd z Warszawy, to Puriszkiewicz narobi takiego gwałtu, że cała prawica stanie przeciw żydom i uchwałą, ażeby wszystkich wypędzić z Rosji. Nu, czy to dla nas interes? Dlaczego my nie mamy być szlachetni, — uśmiechnął się, — i wybrać takiego chrześcijanina, żeby on tylko nas popierał, a co polskie kopał nogami. Czy my nie znajdziemy takiego? Tak ja wam opowiem, że w Petersburgu nie chcą żyda, a wy musicie słuchać, bo jak wasze zwycięstwo nie jest wasze, tylko całego narodu wybranego, tak wasz wybór, nie jest wasz, ale dla dobra wybranego narodu. Zrozumieliście teraz?

Żydzi zaczęli zaraz szwargotać i naradzać się, kogo mają wybrać.

Lelicki spojrzał na redaktora i szepnął przygnębiony:

- Chodźmy, nie mamy tu co robić.  
— Wpadliśmy pomiędzy litwaków, — mówiąc redaktor, zabierając się do odejścia, — ale zostają nam tutejsi żydzi, ci są inni.  
— Nie, panie redaktorze, jeśli Reinherc, który wszystko mi zawdzięcza, bo wyciągnąłem go z nędzy i głodu, a jednak związał się z litwakami, nie wierzę temu, ażeby inni byli lepsi od niego.

Reinherc, widząc, że Lewicki z redaktem odchodzą, podbiegł i zawałał:

— Dlaczego panowie odchodzą? My jeszcze pogadamy o polityce. My chcemy tylko dobra kraju. Może panowie wypiąją herbaty?

Lelickiego te uprzejmie słowa wzburzyły i hamując się zawałał:

— Jesteście naszymi wrogami, jesteście żmijami, wyhodowanymi naszą krwią!

To rozgniewało żydów, wszczął się gwałt, a Weinlaus zawałał w czystym rosyjsko-żydowskim języku:

— Jankiel Boruchowicz, ty jego won! er wird ponimajen, wie er soll sich obraszczajen!

— Idźcie panowie! — szepnął przerażony Reinherc, — może być nieszczęście!

Lelicki był tak wzburzony, że nie chciał wracać do domu w tym stanie podrażnienia, poszedł przejść się ulicami miasta.

Stopniowo uspokajał się i zaczął rozumować na zimno.

Z przykrością wyznał przed sobą, że podtrzymując stosunki z żydami, trzymając żyda w swem biurze i obdarzając go zaufaniem, szedł dotychczas błędnią drogą. Dzisiaj, gdy oni poczuli swą siłę ekonomiczną, sięgając do zajęcia placówek politycznych i z całą brutalną, upokarzającą bezczelnością spychają naród polski do roli parjasów, którzy mają pracować na wybrany naród, a ten wzamian pozwala im wegetować. Wzdrygnął się z bolu i wstremu na tę ohydę żydowską. To naigrawanie się z narodu polskiego, to pomiatanie językiem polskim, ta wymyślona katusza upokorzenia narodu przez wybór jednostki chrześcijańskiej, pomijającej swoim narodem i jego religią, napełniły go grozą niebezpieczeństwa bliskiego, które zawisło nad wszystkiem, co przywykł kochać i czcić od dzieciństwa.

— A niedoczekanie ich! — mruknął z wziętością.

Uczuł dopiero pewną ulgę, gdy pomyślał o Hali, Władku, Janku i Lińskim. Oni zrozumieli to bezpieczeństwo zdobycia Polski przez żydów! Sercem przećuli wroga, który nas chce pograżyć w niewolę najgorszą ze wszystkich, bo

w zupełną zależność chleba i dachu nad głową.

A on taki był niesprawiedliwy dla nich, tak zniechęcał Lińskiego, nie podał mu ręki pomocnej, gdy padał pod ciosami żydowskimi. Ogarnął go żal i skrucha, i postanowił to naprawić w miarę możliwości.

Nadpływły obrazy dzisiejszego wieczoru: ten żyd, który nie chciał go wpuścić, ten Reinherc lekceważący jego przyjście, to ostentacyjne przyjęcie litwaka Weinlausa, to pomiatanie redaktorem, którego on prosił i wprowadził. Poczuł rumieniec wstydu i oburzenia. Z obelgą narodową złączyła się obelga osobista.

I jak ten Podliszewer, Lewite, Nestenower i inni, udawali, że go nie widzą, nie poznają, jak usuwali się niby od zapowietrzonego, ażeby mu dowodnie pokazać jego nicość i zbyteczną obecność w ich zgromadzeniu.

Znowu stopniowo się uspokoił i powziął plan zreorganizowania swego biura.

Spojrzał na zegarek, była godzina pierwsza; siadł do przejeżdżającej dorożki i kazał się zawieźć do domu.

### XVIII.

Rano wstał wcześniej aniżeli zazwyczaj, czuł się spokojny, silny i wypoczęty. Her-

batę kazał podać sobie jak zwykle do gabinetu i spytał żonę o Władka.

— Ubiera się, dopiero za kwadrans podadzą śniadanie.

— Powiedz mu, że chcę, ażeby ze mną dziś poszedł do biura.

— A to poco? Wiesz, jak on nie lubi twoego biura i interesów.

— Wiem, ale dzisiaj go potrzebuję.

— Dobrze, powiem mu. Cóż było wczoraj? Musiałeś wrócić późno, bo wcale nie słyszałam kiedy.

— A tak, było po pierwszej.

— Cóż żydzi? Zgodzili się na koncentrację?

— Nie. Mają swego kandydata.

— I Reinherc z nimi, czy z nami?

— Żyd, więc złączył się z żydami, to naturalne.

— I mówisz to tak obojętnie? tak spokojnie? — zdziwiła się.

— No, wiesz, cieszyć się nie mam powodu, ale też nie myślę rozpaczować. Pierwsza chwila przebudzenia była przykra, to prawda, ale dziś minęła przykrość, a zostało przebudzenie. Czy są ranne dzienniki?

— Jeszcze niema, tylko dla Władka przyszła „Gazeta Poranna“.

— Każ mi przynieść... przejrzę.

Żona spojrzała z lekkiem zdziwieniem

na niego, gdyż dotychczas nigdy do rąk nie brał „Gazety Porannej“ i krzywił się na Władka, że ją prenumeruje, ale nic nie powiedziała i wyszła.

Po chwili Lelicki czytał artykuł wstępny. Autor bezimienny, wskazując na nieprodukcyjność pracy żydowskiej, gdyż nie sieją, nie orzą, a jednak zgarniają pieniądze, obliczał, że jeśli wyżywienie jednostki ludzkiej kosztuje rocznie sto pięćdziesiąt rubli, to armia pośredników żydowskich musi wydusić z Królestwa rocznie dwieście pięćdziesiąt milionów, tylko na samo wyżywienie, a ileż wycisnie tak zwanego zarobku?

Rozmyślał nad tym artykułem i żywio stanęły mu przed oczyma słowa Płachetki, że żydzi obsiedli jego dom komisowy i on z własnej ochoty dawał im zarabiać na pośrednictwie, na rozmaitych komisach. Poczuł wyrzuty sumienia, że w interesach przez tyle lat nie pamiętał o swoich, którzy zapewne przymierali głodem i musieli szukać zarobku na życie w obcych krajobrazach.

Wszedł Władysław, a powiedziawszy dzień dobry, spytał:

— Czy mam iść z tatusiem?

— Tak jest. Ubierz się, idziemy.

Wyszli razem, a Władek chcąc przerwać milczenie, rzekł:

— Wczoraj do dwunastej czekaliśmy na tatusia. Jakiż rezultat narady?

— Przewidziałeś go. Żydzi w poczuciu swej siły nawet nie chcą słyszeć o kompromisie. Natrzasają się z nas i lekceważą.

— To w porządku, tatusiu; przecież im się zachciewa stworzyć tu państwo Judeo-Polonia, a z nas zrobić robotników pracujących dla wybranego narodu.

— Tak, tak, — skinął głową, — wiem o tem, słyszałem to wczoraj z ust żyda.

— I nie wtłoczył mu tatus tych słów w gardło?! — zawała popędliwie.

— Mój Władziu, nie zwykłem walczyć na pięści. — Szli jakiś czas w milczeniu.

— Ale tatus jest dzisiaj zmieniony i to na korzyść. Jest w twarzy i w ruchach tatusia jakaś energia, młodzieńczość. Widocznie spał tatus dobrze.

— Nie sen mnie wzmacnić, — uśmiechnął się, — ale przebudzenie.

— Tak, to prawda, i ja po przebudzeniu miewam czasem wielki napływ energii.

— Jakże ci się podobał Liński?

— Dzielny człowiek, lubię takich zawziętych i energicznych ludzi.

— I ja także, — dodał ojciec.

— A mówiono mi w domu, że tatus jest mu przeciwny i znosi go tylko jako przyjaciela Janka.

— To było dawniej, dzisiaj go lubię i szanuję.

— Ho, ho, to wielkie słowo, — zaśmiała się Władek, — powiem o tem w domu.

Zbliżali się do lokalu biura komisowego, i Lelicki powiedział:

— Zanim wyszukam kogoś odpowiedniego, zastąpisz w biurze Reinherca.

— Dobrze... czy zachorował?

— Nie, poprostu wypędzam go.

— To bardzo dobrze!

Weszli do biura. Reinherc w poczuciu wczorajszej winy, już siedział za biurkiem i przy wejściu Lelickiego sklonił się wprost mówiąc:

— Sługa pana pryncypała, ja bardzo przepraszam za swoich wczorajskich...

— Dosyć, panie Reinherc. Natychmiast opuścisz pan moje biuro, — rzekł surowo Lelicki.

— Panie pryncypale, to nie moja wina, to intryga litwaków.

— Wynoś się natychmiast! — zawała zniecierpliwiony.

— Co to jest, wynoś się! — krzyknął Reinherc, — ja nie żaden lokaj.

— Mateuszu! — zawała Lelicki na woźnego, — weź tego żydziaka za kark i wyrzuć za drzwi.

Mateusz, wysoki chłop, z rozradowaną

twarzą zbliżył się do Reinherca, który rzekł:

— Ja sam pójdę... ja tylko zabiore papiery swoje.

— Nie! Pan przyślij kogoś po papiery, kwestię pensyi ureguluje mój adwokat, i za drzwi!

Reinherc, widząc niekłamaną ochronę Mateusza wyrzucenia go za drzwi, wziął kapelusz do ręki i rzekł drwiąco:

— To zemsta za wybory; a pan myślał, że ja swoich opuszczę? nu, my się jeszcze zobaczymy! — i z miną dumną wyszedł.

— Tatuś jest dzielny! — zawała Władek rozezilonany i ucałowała rękę ojca.

— Siadaj Władek, — wskazał biurko Reinherca, — a Podliszewerowi zabronią załatwiania interesów tutaj.

— Dobrze, tatusiu, — i przywitawszy się z Turniakowskim oniemałym ze zdziwienia po scenie wyrzucenia Reinherca, zasiadł przy biurku.

Ze szafy wziął do ręki książkę komisów załatwionych i świeżo poleconych, przeglądał starannie i robił notatki.

Po pewnym czasie wszedł żyd faktor i podszedł do obróconego plecami Władka, mówiąc szwargotem:

— Panie Reinherc, ja znalazłem już siewnik... on będzie w sam raz.

— Co pan mówi? — odwrócił się Władek.

— Ja przepraszam... gdzie pan Reinherc?

— Zastępuję go, o co idzie?

— Ja nie wiem, czy pan zna ten interes?

— Znam, idzie o siewnik Sacka, — gdyż odczytał polecenie przysłania nowego siewnika Sacka, a znając język niemiecki zrozumiał szwargot.

— Nu tak... ja mam już taki. Niech pan powie panu Reinherc, że jak się jego pomaluje i naprawi, on będzie jak nowy.

— Dobrze... ale pan Reinherc wspomniał mi, że sam musi zobaczyć. Gdzie ten siewnik?

— Na Walicowie, u Hirsza Kulawego, czy pan wie?

— Nie.

— Nu, pan Reinherc go zna dobrze, on mu dostarcza towaru, niedawno dał sieczkarnię.

— Dobrze, powiem mu o tem.

Po wyjściu faktora wyszukał polecenie zakupna sieczkarni i przy komisie drobne literki: n. n.; w księdze załatwień komisowych ta sama pozycja figurowała z notatką, że sieczkarnię kupiono w znany składzie maszyn.

Po chwili zrozumiał manipulację Reinherca, kupował on towar tanio u żyda, odbiorcy liczył cenę normalną wysyłając

mu za pobraniem kolejowem, a następnie oddawał procent za pośrednictwo do kas biura, a różnicę kupna chował do kieszeni. Literki n. n. oznaczały komisy, z których miał w ten sposób lwią część zysku.

— Sprytny łotr! — mruknął, — ale jak psuł opinię domu komisowego?

Pozycyi opatrzonych literkami n. n. znał kilka w ciągu ostatnich miesięcy.

Do biura weszło dwóch żydów i szwarcując ze sobą usiedli na krzesłach.

— A wy czego? — spytał Władysław.

Spojrzeli zdziwieni, że to nie Reinherc, a jeden z nich odpowiedział:

— My, do pana Podliszewera.

— Idźcież do sieni, na ulicę, i tam czejkacie, tu niema miejsca.

— Jakto niema? On nam kazał przyjść tutaj.

— Mateusz! Wyrzuć tych żydów.

Zjawił się woźny z miną surową, położył rękę na barkach żyda. Zerwali się obydwaj z miejsca, wołając:

— My idziemy. Co to jest?

W tej chwili wpadł do biura Podliszewer, w czapce na głowie, i nie patrząc na nikogo biegł do telefonu.

— Mateuszu! Nie pozwól mu rozmawiać! — rozkazał Władysław, co spełnił woźny tak szybko, że równocześnie przy

słuchawce spotkały się ręka Mateusza z ręką Podliszewera.

— Nu, co to jest? — oburzył się żyd.

— Nie wolno.

— Kto zakazał? Jak ty śmiesz do mnie tak gadać?

— Pan zakazał, — spojrzał na Władysława.

— Jaki pan? — patrzał gniewnie na Władysłaka, nie wiedząc kim jest, — co to znaczy? Komu tu nie wolno?

— Nie krzyż pan, i najpierw czapka z głowy, gdy ze mną rozmawiasz, — powiedział spokojnie Władek.

Podliszewer oburzony, odstąpił krok od telefonu i patrząc z pogardą na Władysława krzyczał:

— Czy pan nie wie, kto ja jestem? Ja wspólnik interesu, a pan, pisarz, całkiem zwyczajny kantorszczyk, wzięty na jeden dzień.

— Mateusz, zrzuć mu czapkę:

Woźny z przyjemnością rzucił czapkę w kąt i spytał:

— Czy i jego mam wyrzucić?

— Ja was nauczę! — zawała rozwściekły Podliszewer i biegł ku drzwiom gabinetu, które w tej chwili otworzyły się i Lelicki spytał surowo:

— Co to za krzyki?

— Marku Antonowicz, co to za rozbój?

Jak możecie pozwalać, ażeby mnie wasz kantorszczyk obrażał?

— Ciszej! O co idzie?

— Ja chcę telefonować, a ten mi nie pozwala, — wskazał ręką na Władka, — i kazał mi czapkę zrzucić. Ty musisz mi ją podnieść! — krzyczał na Władka, — ja nie pozwolę się obrażać!

— Ten żyd, — rzekł Władyśław, — nie chciał zdjąć czapki, kazałem woźnemu zrzucić, to wszystko.

— W porządku! — skinął głową Lelicki, — i, panie Podliszewer, tu jest moje biuro, swoje interesa załatwiaj pan u siebie.

— Co to jest? Ja przecież wspólnik!

— Filii, ale nie mego biura... gdy będą wiadomości z filii, dam panu znać, a teraz wyjdź pan.

— Nu, wy tego pożądajecie! Ja zrywam spółkę... ja was nauczę!

— Mateusz! — mówił spokojnie Lelicki, — wyrzuć tych żydów! — cofnął się do gabinetu i zamknął drzwi.

Podliszewer osłupiał, takiego zakończenia wcale się nie spodziewał, a widząc surową minę Mateusza, podniósł czapkę i spytał spokojnie:

— Gdzie pan Reinherc?

— Nie wiem, — odrzekł Mateusz, — i wyność się pan, bo mam rozkaz.

— Nu, ja idę, ale ja tu wrócę i wy mnie poznacie! Ja was wszystkich wypędzę!

— O tem potem, — zaśmiał się Władek, a po wyjściu żydów do Mateusza: — otwórz okno, za dużo było żydów.

W czasie właściwym przyniósł chłopiec, syn Mateusza, korespondencyę z poczty i usprawiedliwiał się przed Władcą:

— Jeden list rozdarł się, sam urzędnik to widział, był przyklejony do gazety, to nie moja wina.

— Dobrze, dobrze... a na drugi raz pilnuj.

List z rozdartą kopertą pochodził z Częstochowy, adresowany do Reinherca, tytułowanego dyrektorem domu komisów handlowego.

Władek, sądząc, że list może zawierać jakieś polecenie do biura, odczytał go. Pisany był po rosyjsku przez żyda Majzelesa. Po odczytaniu poszedł do gabinetu ojca, mówiąc:

— Może tatus posłucha listu do Reinherca, bardzo ciekawy.

— Ty otworzyłeś cudzy list? — zdziwił się.

— Nie! Przypadkowo koperta była rozdana, a że adres był do Reinherca, dyrektora biura, więc przypuszczając, że list jest w interesie biurowym, odczytałem... Otóż jakiś Majzeles z Częstochowy pisze po rosyjsku:

„Dlaczego ja do was, Janklu Boruchowiczu piszę? Ja wam zaraz powiem. Ja piszę, bo ja o was słyszałem, a wszystko dobre i najlepsze, bo wy pamiętacie o swoich i dobrze im robiście. Teraz wy mnie posłuchajcie. Ja mam na oku dobry interes: on jest u goja, ale on będzie mój, jak wy mi pomożecie. Ten goj, Sirkowski, potrzebuje pieniędzy, i on wie, i ja wiem, że jedna szlachcianka przyjedzie do waszego kantoru z pieniędzmi. On już ją prosił, ażeby te pieniądze ona dała na kamienicę jego teściowej. Jak on dostanie, to on nie sprzedą tego interesu. Tak zróbcie, ażeby on nie dostał, a pieniądze tej szlachcianki są dla mnie potrzebne dla kupna interesu. Ja mam na kamienicy Birkemana zastrzeżone sześć tysięcy, niech ona te pieniądze da Birkemanowi, a ja się z nim zgodzę, bo on mój krewny. Ja wiem, że wy musicie zarobić i ja wam dam, nie jak Lewite jeden procent, nie jak Frejlich za swoją kamienicę dwa procent, ale ja wam dam trzy procent. Czy to źle? Jak tylko Burzecka, ta szlachcianka, zgłosi się do kantoru, telegrafujcie do mnie, a Birkeman będzie u was, bo ja i do niego piszę”...

— Cóż, tatusiu, miły żydziak z Reinherca? — zaśmiał się po skończeniu listu, — i jakie geszta prowadził pod firmą tatusia, dla dobra wybranego narodu?

— Skończony łotr! — mruknął Lelicki.  
— Nie, tatusiu, on tylko żyd! A co to za sprawa z Lewitem i Frejlichem?

— Hm... Lewite, wziął z biura czterdzieści tysięcy... a Frejlich... Frejlich, — starał się przypomnieć sobie i nagle zawała: — już wiem! A to złodziej! On był w spółce z tym żydem i to on przeszkadzał Nakielskiej w otrzymaniu dziesięciu tysięcy na spłatę dłużu. Żydzi otoczyli ją zwartem kołem i pozbawili majątku... a ja tak wierzyłem, tak ufałem Reinhercowi! — kończył z żalem.

— Wiara zaślepia, wiadoma rzecz, — powiedział Władek filozoficznie, — a teraz tatusiu, jeszcze kilka kwiatków z wonnego bukietu Reinherca.

Opowiedział ojcu o siewniku Sacka, o sieczkarni, i innych komisach.

— To wierutny łotr i oszust, — zawała Lelicki gniewnie, — idę do adwokata, muszę go poinformować o Reinhercu, ażeby mu stosownie odpowiedział, gdy zgłosi się z pretensją o odszkodowanie. Wkrótce wrócę, gdyby kto przyszedł od Reinherca o papiery jego, wydaj mu z biurka.

— Czy i ten list dzisiejszy? — podniósł papier w góre.

— Nie! Ten wezmę dla adwokata.

Po południu tego samego dnia przyszła depesza od Płachetki:

„W lesie wykryto oszustwo znaczne. Wiernik znikł. Obłożono aresztem całe drzewo i biuro filii. Czekam polecenia, list wysłany“.

Lelicki odczytawszy depeszę zbledł, zacchwiał się i byłby upadł, gdyby go nie podtrzymały Władek.

— Tatusiu! Spokoju trochę! Wody, panie Turniakowski!

Lelicki z trudem przełknął wodę i szepnął:

— Chodźmy do gabinetu.

Doszedł do fotela chwiejnym krokiem, a usiadłszy, zakrył sobie ręką oczy i siedział nieruchomo.

— Tatusiu, może doktora? — mówił zaniepokojony Władek.

— Nie trzeba... zaraz się uspokoję.

Istotnie, po pewnym czasie, odjął rękę od oczu i rzekł przygnębiony:

— To z pieniędzy posagowych Tereni i Hali... rozumiesz?

— I czego tatusi się martwi? Nie będą miały posagu, cóż to strasznego?

— Ty mnie nie rozumiesz?

— Owszem, bardzo dobrze... ile tatusi włożył w ten las?

— Las i koszta filii pochłonęły czternaście tysięcy. I wszystko stracone! To okropne!

— Najpierw, tatusiu, nic jeszcze nie wie-

my pewnego, depesza ogólnikowa, czekaj-  
my listu. Może to nieporozumienie jakieś,  
pozory, przesada...

— Nie znasz Płachetki; on ostrożny i  
prawdomówny. Pisał mi, że podejrzyna  
żydów o jakieś szalbierstwo, ale nie może  
pochwycić, bo żydzi bardzo się strzegą i  
pilnują. Dlaczegoż sam nie pojechałem na  
miejscie? Byłbym zbadał, dowiedział się,  
w danym razie zamknął filię i uniknąłbym  
nieszczęścia.

— Tatusiu, co się stało, już się nie od-  
stanie. Czekajmy listu. Kiedy nadano de-  
peszę? — spojrzał na papier, — o godzinie  
dziewiątej rano, i naturalnie zaraz na-  
pisał list, więc jutro dostanie tatuś.

— A gdybym dzisiaj pojechał?

— Tatusiu, tak na niepewne? Z listu do-  
wiemy się, co i jak, może potrzeba będzie  
zabrać jakieś papiery, pieniądze... poco ten  
pospiech? To nie żaden pożar, tylko oszu-  
stwo, i to żydowskie, skoro wiernik znikł.

Z biura, po przez drzwi, posłyszeli głos  
Podliszewera, a Władek spytał:

— Tatuś go przyjmuje?

— Tak jest, może da wyjaśnienie jakie  
ale ty zostań.

— Dobrze, tylko, mój tatusiu, dużo zim-  
nej krwi i spokoju.

— Nie obawiaj się, — i na odgłos pu-

kania zwołał zwykłym głosem: — proszę  
drzwi otwarte.

Wszedł Podliszewer z ziajany, spocony,  
sapiący i z progu zajęcał:

— Czy wiecie, co się stało?

— Cóż takiego?

— Aj, nieszczęście! Wielkie nieszczęście!  
A ten głupi Płachetka nic wam nie telegra-  
fował, i jaki z niego sługa?

— Cóż się stało? — spytał spokojnie  
Lelicki.

— Co?... Wszystko przepadło! Aj moje  
 pieniadze! Co ja zrobię teraz?

— Mówże pan wyraźnie. Czy otrzymał  
pan jaką wiadomość? Był pożar?

— Co tam ogień? Wolałbym ogień, bo  
drzewo było ubezpieczone, ale to gorzej,  
to całkiem źle!

— Jaką depeszę pan otrzymał?

— Jaką?... Zaraz odczytam, — wyjął  
zmiętą depeszę i czytał: — Wszystko prze-  
padło, wiernik uciekł, policya nakryła to-  
war... Czy wy rozumiecie?

— Niebardzo. Widocznie wiernik coś  
ukradł, czy co innego, i uciekł, no, a po-  
licja zabroniła wywozu towaru aż do wy-  
jaśnienia sprawy. Źle, że wiernik był zło-  
dziejem, ale on odpowiada za kradzież, nie  
filia.

Żyd spojrzał na niego z lekceważeniem  
wzgardliwem i rzekł:

— Nu, wy spokojny człowiek... Daj Boże, ażeby tak było, jak mówicie, ale tam może być także co innego.

— Co?

— Ja nie wiem... ja zaczekam listu. A wy nie jedziecie dziś do Łucka?

— Nie, zaczekam na list Płachetki.

— Nu, ja wam się dziwię... taka strata wam grozi, a wy nic?

— Jeszcze nie wiem o stracie.

— Nu, ja jutro zajdę, dowidzenia, — wrócił się od drzwi i spytał: — dlaczego wy odprawiliście Reinherca? On był taki dobry dla was, taki wierny i posłuszny. On jeden był więcej wart od dwudziestu, od stu kantorszczyków waszych. Ja wam radzę pogodzić się z nim; co, czy mam go tutaj przysiąkać?

— Nie.

— Wy pożałujecie, drugiego tak dobrego wcale nie znajdziecie, nu, weźcie go.

— Nie.

— On wam może proces wytoczyć o pensję, o obrazę honoru, o szkody i straty. Naco wam tego?

— Niech procesuje.

— A jak ja was proszę? weźcie wy jego, bo na nim cały interes kantoru. Do was nikt nie przyjdzie, nikt nie da komisu, jak się dowiedzą, że Reinherca niema. Nu, ja was bardzo proszę.

— Nie.

— Jak nie, to nie, ale wy pożałujecie tego.

— Nie.

Podliszewer odwrócił się i klnąc pod nosem wyszedł.

— Tatuś dzielnie się spisał, — śmiał się Władek, — ja byłbym go skłą, skrzyczał, a tatuś taki spokojny, tylko nie i nie!

— Bo stary jestem... wiesz, Władku, ten żyd wie dokładnie, co się stało, ale nie chciał się z tem zdradzić. Teraz przypuszczam, że tam było uplanowane jakieś łajdactwo, ale jakie?

— Tatusiu, jutro się dowiemy, a teraz czas na obiad.

— Idziemy, i proszę cię, ani słowa matce i dzieciom, poco je martwić? Przyjdzie czas, to się dowiedzą.

— Dobrze, tatusiu.

Na drugi dzień przyszedł list od Płachetki, który donosił szczegółowo o tej sprawie:

„Stosownie do polecenia Pana, dwaj protegowani p. Podliszewera, Adler Ginda i Lewenfisz Fisz, zajęli się wyrąbem kupionego lasu. Pierwszy był wiernikiem, drugi kontrolerem lasowym. Dozór nad zwiezionym do miasta towarem został powierzony mnie i żydom Ryba Manes, memu pomocnikowi ze strony Podliszew-

ra. Sznurowe kwity ja odbierałem i chowałem do kasy. Już od pewnego czasu dochodziły mnie wieści, o których zresztą pisałem, że w lesie wiernik i kontroler robią jakieś nadużycia. Pojechałem osobiście do lasu, sprawdzałem fury wywożące drzewo i znalazłem wszystko w porządku. Wtem, onegdaj, wpadł do biura filii pełnomocnik właściciela lasu z policyą, opieczętował książki, kasę, całe biuro, następnie skład drzewa i zaprowadzili mnie do tajemnego składu belek i pni w ogrodzeniu Hirsza Zajdelmana, kupca i właściciela realności. Znaleziono tam sto dwadzieścia pni i pięćdziesiąt belek, złożonych bez kwitów i mej kontroli. Okazało się, że wiernik i kontroler w porozumieniu z gajowym i służbą leśną ścinali starodrzew, ukrywali belki i pnie w wywożonych łatach i krokwiach, zajeżdżali najpierw do ogrodzenia Zajdelmana, tam je składali, a następnie resztę drzewa według kwitów sznurowych oddawano do naszego składu. Wykrycie tego oszustwa utrudniał mi Ryba Manes i położenie domu Zajdelmana przy drodze prowadzącej z lasu. Moja wina, że zbytnio zaufałem protegowanym Podliszewera i nie dodałem kontrolera leśnego z naszej strony, lecz większą winę ponosi właściciel lasu z braku dozoru. Pełnomocnik grozi nam

sądem, karą, wysokiem odszkodowaniem...

— I co tatusi myśli zrobić? — spytał Władek po odczytaniu listu.

— Jadę do Łucka, muszę porozumieć się z pełnomocnikiem, może przyjdzie do jakiejś zgody, a w razie sporu oddam sprawę adwokatowi. Wpierw jednak trzeba się porozumieć z Podliszewerem, zatelefonuj do niego.

— Dobrze, tatusiu, ale on nie przyjdzie.

— Dlaczego?

— Poco mu to, niech goj wyciąga go z błota, które on sam przyrządził, a jeśli warunki będą złe, zaskarży tatusia o samowolę w układzie z pełnomocnikiem.

— W każdym razie telefonuj.

Za chwilę Władek wrócił, mówiąc akcentem żydowskim:

— Mój mąż, pan Podliszewer, potrzebuje być bardzo zajęty, kiedy wróci, ja nie wiem, ja mu powiem, że pan Lelicki potrzebuje z nim się widzieć, ale czy on zechce przyjść, ja nie wiem... A co, tatusiu, nie przepowiedziałem?

— Przyjdzie, nie przyjdzie, w każdym razie jadę.

— Ale tatusi nie podpisze ostatecznej umowy?

— Nie.

XIX.

Stało się!

Z urny wyborczej wyszedł, tylko i jedynie głosami żydowskimi nowy pan »poseł« wybrany wbrew woli, nietylko Warszawy polskiej, ale całego kraju. Nie głosowali na niego jego towarzysze fabryczni, przeciw niemu oświadczyło się nawet stronictwo, do którego przyznawał się poseł żydowski.

Żydzi, którzy w całej Europie są żywiołem na wskroś kapitalistycznym, wybrali indywidualum z etykietą hasel przewrotowych i walki z kapitalizmem.

Nie o zasady, nie o przekonania, nie o ideały chodziło im, ale o zamanifestowanie swej siły, o narzucenie swej woli całego Królestwu, o sponiewieranie Warszawy, jako stolicy kraju.

Żydzi podnieśli okrzyki radosne i różne pomiotła żydowskie, w rodzaju Żabotyńskiego, zwołały:

— »Polska jest nasza! Zdobyliśmy Polskę!«

I radowali się synowie Izraela wielką radością. Zarołyły się ulice, place, ogrody publiczne, kawiarnie, cukiernie, wstrętnem robactwem litwackiem, natrząsano się z polskich gojów, drwiono, szydzono, a jedna z drukowanych szmat żydowskich, tracąc miarę z wielkiej radości, proponowała ilu-

minacyę Warszawy na cześć zwycięstwa lwa izraelskiego. W tym majufesie żydowskim, brały też udział żydowice i żydzięta, i z brudnych, śmierdzących nor, wypełzało to plugawe robactwo na ulice Warszawy, gdzie tylko spojrzeć, wszędzie grawowały wielkie, spuszczone, mięsiste nosy, oczy z grubemi, obwiślemi powiekami, odstające uszy, rączce ruchy w chodzeniu, nerwowe drapanie świerzbu, i śmiechy grube, bezczelne.

Polska Warszawa, kołysana od pół wieku narkotyzującą piosenką o asymilacji żydowskiej, wpatrzona w bezkrwisty ideał zgody polsko-żydowskiej, do ostatniej chwili sniła idyllę o braciach mojżeszowego wyznania.

Dopiero ten wybór uderzył jak grom wśród sennych, i pierwsza chwila przebudzenia, była chwilą oszołomienia po doznanym ciosie i jakby niezrozumienia manifestacji żydowskiej. Nie reagowano nawet na hałaśliwą radość żydowską, patrzano na nią ze zwykłą, spokojną pogardą.

Trwało to jednak krótko.

Nie wiadomo skąd, kiedy, w jaki sposób, ale cały naród otrząsnął się ze śladów senności.

Zdawało się że z pól, lasów, z fal Wiśły, z poszumu wiatru, spływało ostrzeżenie i pukało do drzwi i okien wołając:

— Już czas! Nieszczęście stoi u progu!

Zdawało się, że wici poszły w naród, i hasło przebudzenia podawano sobie z ust do ust, z ręki do ręki, od chat wieśniczych do pałaców.

— Już czas! Idzie wróg!

Żywiołowo, bez trąbki, krzyku, dzwonów, rozległo się wołanie, jak za czasów Piastowskich, tylko nie herbowe, ale ogólne dla całego narodu i wśród całego narodu:

— Swój do swego!

I nastąpiła przemiana dziwna, niemal cudowna. W kilka dni po tryumfie żydów, cała ta przebudzona Warszawa, rankiem gdy spieszły po zakupy, bez rozkazu, przymusu, przynaglania, omijała sklepy żydowskie starannie i żywe fale ludzi skierowały się do sklepów chrześcijańskich.

Ta Warszawa, taka spieszająca się gorączkowo, z chorobliwym brakiem czasu, teraz wystawała przed sklepami chrześcijańskimi, czekając swej kolej dociśnięcia się do lady, chociaż w sąsiedztwie, i tuż pod ręką i naprzeciw miała sklepy żydowskie zaopatrzone w ten sam towar.

Żydzi na razie przypatrywali się drwiąco tej, jak mówili, „modzie warszawskiej“, twierdząc, że to dzień, dwa, nu — trzy dni potrwa i minie.

I nie tylko żydzi tak sądzili, ale i wielu Polaków, powtarzając bezmyślnie banalny

frases o niestałości polskiej i braku wytrwania, a jedno z pism żydowskich, drukowane po polsku, miało tę bezczelność, że wystąpiło z artykułem pocieszenia Polski po doznanej obeldze, pisząc, że wybory wypadły i tak nieźle, bo mogły wypaść gorzej...

Te głosy, przeciwne przebudzeniu, rozchodziły się w próżni i ginęły.

W sklepie Lińskiego był wielki ruch, dwaj współwłaściciele i Stefan nie mogli nadążyć z ekspedycją towarów. Panowały tu nieustannie od samego rana wesoły gwar kupujących, twarze były pogodne, rozjaśnione, wesołe, rozbudzone. Czuć było radość z walki podjętej ze zmorą żydowską, która dławiała i dusiła żywego organizm narodu.

— Gdy pierwsza gorąca fala przedpołudniowych zakupów uspokoiła się cokolwiek, Liński, usiadłszy na chwilę dla odpoczynku, otworzył szufladę kasy, zapełnionej do połowy monetami i banknotami.

— Wiesz, Jasiek, jeden miesiąc takiego targu, a założymy dwadzieścia sklepów wiejskich! — zawała wesoło.

— Zgoda! ale pod warunkiem, że jeśli takie targi urwą się po dziesięciu, dwudziestu dniach, zadowolisz swoją manię istniejącymi już sklepikami.

— Czy sądzisz, że to ogień słomiany? — spytał Liński.

— Jestem nawet pewny. To tylko fajerwerk, co nie przeszkadza, że musimy się zaopatryć w towar, bo wiele artykułów jest na wyczerpaniu.

— Zrób mi spis, a ja załatwię. Chciałbym zobaczyć, czy u wszystkich kupców chrześcijańskich był taki odbyt jak u nas.

— A dobrze, siadaj i pisz, ja ci podyktuję.

Trwało to dosyć długo, gdyż przy poszczególnych artykułach trzeba było zastanowić się, ile potrzeba do sklepu i do ekspedycji na prowincję.

Wreszcie Liński wyszedł, a chcąc dostać się na Marszałkowską, musiał przejść obok sklepów Arona i Chaskla.

Obydwaj stali w drzwiach swych sklepów i z pogardą patrzyli na idącego Lińskiego. Chaskiel nie mógł znieść tego, ażeby ten goj przeszedł obok spokojnie, i zawałał na drugą stronę ulicy:

— Joś! Polacy są bardzo dumni z posła, którego my potrzebowali im dać.

— Ja to wiem, oni przekonali się, że my delikatni ludzie, na co nam dotykać się ich świątwa, niech to zrobi nasz goj, — zasmariał się Joś.

Liński stłumił w sobie gniew i oburzenie, udał że nie słyszy, szedł dalej i ucie-

ształ się widząc pustki w sklepach żydowskich, gdy do sklepów chrześcijańskich co chwila wchodzili kupujący.

Wszedł na Marszałkowską i tak był zajęty obserwowaniem ruchu po sklepach, że przechodził tuż obok Hali i nie zauważał jej, nie uklonił się, dopiero ona, zarymiona, mijając go powiedziała:

— Dzień dobry panu!

Poznał głos, spojrzał i uradowany podał jej rękę mówiąc:

— Widziała pani? Jaki to radosny objaw! Jak kocham tych ludzi! Jacy oni zaciśni, rozumni, dzielni!

— Ale zobacz pan tam dalej Marszałkowską, Krakowskie, Nowy Świat, — mówiła rozpromieniona, — ja od rana chodzę po mieście i takam uradowana, taka szczęśliwa!...

— I ja również, a pani gdzie idzie?

— Wracam do domu.

— Może przejdziemy się Marszałkowską razem, a potem pojedzie pani tramwajem do domu?

— Dobrze, — szli razem, — to przyjemnie mówiąc się podzielić z kimś swemi wrażeniami... O, widzi pan, dochodzimy do sklepu Reinherta, zobaczy pan ilu kupujących, — zaśmiała się.

Dochodzili do sklepu. W drzwiach stał Reinhert, patrzył na przechodzących i gryzł

z niecierpliwością paznogcie. Ujrzał Halę i Lińskiego, jeszcze bardziej wysunął się z drzwi i patrzał na nich drwiąco. Gdy przechodzili obok, zawała głośno do żony:

— Masza! Chodź, zobacz, z kim się łądaczyc ta uliczniczka, córka Lelickiego!

— Idź pani prędko naprzód, — szepnął Liński i szybko odwróciwszy się uderzył w twarz Reinherca, który się zatoczył i byłby upadł, lecz chwycił się drzwi.

— Co to jest? Policya! Rozbój! — wrzeszczał, trzymając dłoń na czerwonym policzku.

W jednej chwili, jak zresztą zawsze, zbiegły się tłum przechodniów, a Reinherc, wskazując na Lińskiego, krzyczał:

— Trzymajcie go! To zbój! On mnie bił!

— Co się stało? Co było?

— Ten żydziak obraził panią, z którą szedłem, i ukarałem go.

— Bardzo słusznie!... Bardzo dobrze! Za dużo te żydy pozwalają sobie!... A może mu poprawić z drugiej strony!

Reinherc zobaczył złe spojrzenia, oburzone i gniewne miny, i jak najszybciej schronił się do sklepu.

Liński uchylił kapelusza i wycofał się z tłumu, szukając oczyma Hali. Ujrzał ją na rogu Jerozolimskiej Alei, spoglądającą

z niepokojem w stronę sklepu Reinherca. Zbliżył się i dopiero, gdy był tuż przy niej, spostrzegła go i powiedziała z wyrzutem:

— To bardzo źle, że pan zważy na żydowskie gadanie! Czyż ono może nas obrazić?

— Gdyby był tylko o mnie mówił, byłbym zniósł spokojnie... Ale to już minęło, mówmy o bojkocie.

— Chciałam pana zapytać, jakim sposobem powstała ta zmowa przeciw żydom? Kto rzucił hasło?

— Formalnie „Gazeta Poranna“, ale jak tyle, tyle hasęt, byłoby i to hasło minęło bez echa, gdyby...

— Nie wybór posła, — dokończyła Hala.

— O, nie! Wybór był tylko symbolem, był manifestacją siły żydowskiej, był tym momentem, gdy nagle cały naród ujrzał przed sobą niebezpieczeństwo czwartego zaboru Polski. Zobaczyliśmy czającego się wroga, który czeka tylko sposobnej chwili, ażeby rzucić się na nas i zawładnąć wszystkiem co mamy, zdeptać wszystko co czcimy i kochamy. Większość naprzylądów służby naszej prawdopodobnie nie umie czytać, a w każdym razie nie zajmuje się gazetami, ale instynktownie kocha swój kraj i staje w jego obronie, czując bezpieczeństwo.

— I prawda panie, że zwyciężymy! — mówiła z błyszczącymi oczyma.

— Jeśli cały naród pójdzie zgodnie.

— Dlaczegoż nie miałyby iść?

— To zależy od naszych pań, bo nie mąż załatwia sprawunki, nie on kupuje, tylko żona, a kobiety, ażeby pozornie oszczęścić grosz jeden, gotowe są iść do najwstępniejszych nor żydowskich i kupić zbrakowany lub zleżały towar.

— To nieprawda, — powiedziała tonem rozdrażnionym, — ja pierwsza nigdy i nic nie kupuję u żydów. Nie przypuszczam, że i pan należy do tych, którzy wszystko złe widzą w kobietach.

— W innych, przeciętnych, ale nie w pań, bo pani jest najlepszą, najdoskonalszą istotą, i nie żadną kobietą, ale człowiekiem.

Zarumieniła się z radości, odczuła szczerość Lińskiego, ale zarazem uznała, że nie wypada mówić z nim o tem i spytała:

— A jak panu idzie w sklepie?

— Doskonale! urobiłem ręce, jak to mówią, po łokcie, tyle było zajęcia.

— Ach, jak to dobrze! — zaśmiała się wesoło.

— Czy to, że rąk nie czuję?

— I to także, bo przecież i pan woli, ażeby każdy grosz do nas wpływał, nie do żydów... Idzie mój tramwaj, muszę do domu.

— A, jeśli pani musi, to trudno... Chciałem jeszcze dowiedzieć się o ojcu pani, o panu Władysławie...

— Prawda!.. Pan wie, że tatuś wyrzucił Reinherca?

— Nie wiedziałem, to bardzo dobrze.

— Tatuś pojechał do Łucka, podobno są tam jakieś nieporządkie w lesie, kupionym przez filię tatusia.

— Jakie?

— Tego nie wiem. Władek coś wie, ale nie mówi. On teraz w biurze zastępuje tatusia, ale już więcej nic nie powiem, a jeśli pan chce się dowiedzieć, przyjdź pan.

— Bardzo chętnie.

— Mieszkamy na Wiejskiej, pewno pan zapomniał.

— Pamiętam! — zaśmiała się wesoło, — to dla mnie najmilsza ulica.

— I Janka spodziewamy się lada dzień... a teraz, do widzenia! — podała mu rękę i wskoczyła do tramwaju.

Liński patrzał za odjeżdżającą i westchnął. Rozważył, jaka ona miła, piękna, pełna zaangażowania do spraw społecznych, ma nawet pewną sympatię dla niego, ale on jest za ubogi, ażeby mógł z nią się ożenić. Nie bez goryczy przypomniał sobie o wykwintnym mieszkaniu Lelickich, o ich przyjaciach, o strojach Hali, Tereni i matki.

— Nie wiedząc sam jak, znalazłem się przed

składem hurtownym, w którym miał zamówić towary.

Właściciel przyjął go z niezwykłą u niego uprzejmością i serdecznością.

— Cóż panie, interes idzie? Rozwija się? Co? — zacierał ręce z zadowolenia, — prawdziwe żniwa!

— Przyszedłem zamówić towary.

— Bardzo dobrze, bierz pan. Podnoszę panu kredyt do podwójnej wysokości. Jestem pewny, że pan pobije konkurentów żydowskich, bo pan uczciwy człowiek. Ile targu miał pan dzisiaj?

— Cztery razy tyle, co normalnie.

— Otóż to, bardzo dobrze, tylko cen nie podnosić i dawać towar dobry.

— Wiem o tem... tu jest spis potrzebnych nam towarów.

Kupiec wziął w rękę, przejrzał i rzekł z uśmiechem:

— Dziś jeszcze każę wyekspedyować, trzeba się spieszyć, bo czas gorący, — podał rękę na pożegnanie.

## XX.

Słodka nadzieja butnych żydów, że unikanie żydowskich sklepów jest chwilowym porywem uczucia za wybór „goja szabasowego“, jak żydzi drwiąco mówili o wybranym przez nich pośle; że ten dziki i bar-

barzyński bojkot, krzywdzący lud wybrany, wkrótce się skończy, nadzieja ta zawiodła.

Wówczas synowie Izraela, a mianowicie ci, którzy znali literaturę polską, postanowili zagrać na uczuciu, i głosili głośno i szeroko, o tradycyjnym humanitaryzmie Polski, wskazywali na żydowskie powieści Orzeszkowej i na rozgłośną nowelę A. Świętochowskiego, cytując jego słowa:

„Biedna Chawo! ja ci to, żeś w moim kraju pracować i jego chlebem dzieci swoje karmić chciała, przebacząc“.

Na znane te dźwięki ogranej piosenki asymilacyjno-humanitarnej, pierwsze poszły na lep czułostkowe i sentymentalne worki sercowe niewiast z ptasiemi mózgami.

— Cóż winni ci biedni kramarze?... Co winne te przekupki?... Co za okrucieństwo pozbawiać ich zarobku?... Gdzie miłość chrześcijańska?... Gdzie współczucie z niedolą?

I tak śpiewały cieniutko, czule, przenikliwie, przewracając sztucznie załawione oczy, załamując białe, wypieszczone ręce, które nigdy nie trudziły się pracą, nigdy nie zarabiały na chleb w twardej i bezlitosnej walce z konkurencją żydowską, gdyż o chleb i wszelkie potrzeby stara się mąż i rodzina, a one, te czułe kapłanki, hodują i rozdmuchują same tylko szlachetne uczucia altruistyczne.

Mężczyzn nie wzruszały te tkliwe nawoływanie pasterek trzody żydowskiej, znaleźli się jednak i tacy, na wskróś skobicieni, których płeć, tylko strój męski poświadczają, i ci zawtórowali jekom czułostkowym.

Odprawę jednak ciętą i dobrą otrzymali i ci zbabiali mężczyźni, i te rozczułostkowane kobiety w słowach jednego z literatów polskich:

„Tak, Chawo, mogłaś karmić swe dzieci chlebem mego kraju, ale że w moim kraju chcesz być dziś władcynią; że ośmieszasz się Polsce zaprzeczać polskości; że na każdym kroku urągasz prawom gospodarza polskiego na polskiej ziemi; że nie chcesz, aby stolica Polski wybierała po polsku czującego posła; że posyłasz do Dumy, na urągowisko z patryotyzmu polskiego, socjalistę; że rzucasz nam zuchwałe wyzwanie: „nie wy, lecz ja rządzę krajem” — my tego, Chawo przebaczyć ci nie możemy”.

I nie przebaczono! Bojkot wzrastał z każdym dniem, z każdą godziną. Jak pod dotknięciem róźdżki czarodziejskiej wyrastały sklepy polskie. Z głębi kufrów, z tajnych skrytek, wyciągali biedacy zaoszczędzone na czarną godzinę pieniądze i tworzyli spółki, byle tylko odzysdzić Polskę

i nadać miastom nie wygląd, lecz i charakter polski.

Lelicki, bawiąc w Łucku, tylko bardzo ogólnikowo wiedział o ruchu społecznej samoobrony wszczętym w Warszawie. Do domu przyjechał późno w nocy, zbudził się zaś po dziesiątej, od żony dowiedział się, że Władek jest już w biurze, że córki zdrowe i wkrótce udał się do biura. Idąc w stronę alei, zauważył, że w oknach niektórych sklepów był umieszczony napis: „Sklep chrześcijański”, słowa te przypominały mu zasłyszany bojkot.

Zwrócił baczniejszą uwagę na sklepy, a zapomniawszy w domu zapałek, chciał po nie wstąpić do pierwszego spotkanego sklepu, już skręcił, gdy jakiś nieznany mu człowiek, z wyglądu rzemieślnik uboższy, ostrzegł go:

— To, panie, sklep żydowski.

Lelicki spojrzał na niego z pewnym zdziwieniem, a nieznajomy dodał:

— Trochę dalej jest chrześcijański... a może pan nietujszy, ja podprowadzię, — przyłączył się do niego.

— Więc nie kupujecie u żydów?

— Nie, panie, dosyć mamy już wyzysku i oszustwa, teraz każdy powinien iść „swój do swego”... a tu ma pan sklep chrześcijański, — sklonił się, zwrócił i poszedł swoją drogą.

— No, no, co za zmiany! — szepnął sam do siebie Lelicki z uśmiechem, i mimo licznych zmartwień, uczuł się pokrzepionym na duchu.

W biurze przywitał go serdecznie i we- soło Władek, a na pytanie, jak idzie biuro, odpowiedział:

— Mamy bardzo dużo zajęcia, przydałby się jeszcze trzeci pomocnik.

— Aż tak dalece?

— Tatuś zobaczy książkę komisów. Nas dwóch z panem Turniakowskim, nie mo- żemy podołać korespondencyi i załatwieniu, mimo pracy ponad normę.

— No, chodźmy do gabinetu, pogadamy o tych sprawach, a weź książkę komisów pewno są tam niedokładności.

Władek przyniósł książkę i kładąc ją na biurku, rzekł z uśmiechem:

— Najpierw, tatusiu, pozbądźmy się przy- krości, a później opowiem pocieszające ob- jawy w naszym biurze. Cóż tedy z lasem? filią?

— To istotnie smutne rzeczy, — west- chnął Lelicki; — ten wiernik Adler i kon- troler Lewenfisz, byli w cichej spółce z Po- dliszewerem i Rybą Manesem, pracującym w biurze filii.

— Czy tatuś ma dowody?

— Nie, oni są zbyt ostrożni; ale istnieje więcej niż prawdopodobieństwo, że tak

było. Przekupili oni służbę leśną i wywo- zili starodrzew nietylko z sekcyi wyku- pionej, ale z lasu właściciela.

— Dużo, tatusiu?

— Plenipotent likwiduje sobie szkodę na osiem tysięcy rubli. Przekonałem go wprawdzie, na mocy książek i kwitów, że moja filia nic nie wiedziała o kradzieży, on jednak upiera się przy żądaniu odszko- dowania, albowiem z poręki filii był i wier- nik i kontroler.

— I chce procesować tatusia?

— To zależy od właściciela, który bawi zagranicą. Plenipotent napisał do niego w tej sprawie i ja również.

— Cóż dalej?

— Tak, między nami mówiąc, zgodził- bym się, ażeby na pokrycie swej pretensji wziął sobie nasze obrobione drzewo i sęgi; wolę słomianą zgodę, aniżeli złoty proces, ale jak wiesz, mam wspólnika i muszę się z nim naradzić.

— A co z filią?

— Zamykam. Po takim głośnym skan- dalu, nikt mi komisu nie powierzy i boję się, że ta brudna sprawa odbije się na tu- tejszym biurze. Płachetka wraca do War- szawy, okazał się czystym, rzetelnym i pra- wdomownym.

— Takiego nam trzeba. A teraz, tatusiu,

niech mi wolno będzie powiedzieć moje zdanie o tej sprawie.

— Owszem... mów!

— Gdybym był na miejscu tatusia, powiedziałbym Podliszewerowi, że według zdania adwokata proces będzie przegrany, zażądałbym złożenia w banku czterech tysięcy rubli na odszkodowanie i pięciuset na koszta procesu, bo tylko tatuś, jako właściciel firmy, będzie procesowany. Następnie powiedziałbym, że wszelkich użycie się sposobów i środków, ażeby pochwycić Adlera i Lewenfisza, którzy przyprawili tatusia o straty, zniszczyli dobrą opinię filii, a byli osobiście poleceni przez Podliszewera.

— Tak, to dobry pomysł, i w ten sposób osiągnę wolną rękę co do ugody o las; przynajmniej nie dołożę, byle Podliszewer się zgodził.

— Musi to zrobić, gdy mu się poszle rejalne wezwanie, a nie zechce dać kaucyj na pokrycie przegranego procesu, spółka rozwiązuje się natychmiast i tatuś zawsze będzie mógł wystąpić z pretensją w razie straty.

— Co słyszać, Władku, w biurze? — wziął książkę komisową, otworzył i patrzał.

— Wszystko dobrze. Otrzymujemy coraz więcej zleceń, tem samem dochody wzra-

stają. Niech tylko tatuś spojrzy w książkę i obliczy.

— Tak jest, ruch wielki... to bardzo dobrze, — uśmiechnął się, — a już myślałem o tańszym lokalu, o oszczędnościach w budżecie domowym.

— Pomogli nam żydzi, tatusiu.

— Oni? A to jakim sposobem?

— Chcieli zbojkotować dom komisowohandlowy tatusia, za wypędzenie Reinherca, żydowskich faktorów i Podliszewera, rozmawiali o antysemityzmie tatusia i osiągnęli skutek wprost przeciwny. Żydzi i tak z komisami nigdy nie zwracali się do biura tatusia, gdyż popierali swoich, a katolicy dowiedziawszy się o antysemityzmie tatusia, zwróciłi się tłumnie do nas.

— A więc to tak?

— Nie uwierzy tatuś, ile miałem pracy i kłopotu, bo Reinherc w spisie fabryk i składow notował tylko firmy żydowskie. Cenniki i ogłoszenia w zbiorze naszym, tak krajowe jak i zagraniczne, były żydowskie, i trzeba było na nowo szukać, zbierać, starać się o firmy chrześcijańskie. Dziwi mnie, że tatuś na to pozwalał.

— Zbłądziłem; do końca życia uczyć się trzeba! — westchnął. — No, opowiedz mi, co w Warszawie słyszać? To wiem, że bojkotuje się żydów, — i opowiedział Władkowi o przygodzie swej z zapałkami.

— Tak, tatusiu ruch odżydzenia handlu i miast wzrasta, i co jest najbardziej pocięszające, że tak zwane niższe warstwy biorą większy udział w bojkocie, aniżeli bogatsi. Znalazły się kapitały, ludzie z inicjatywą, i rozwinięła się walka cicha, wytrwała, świadoma celu i środków. Sklepiki, kramy, przekupnie żydowscy padają jak muchy jesienią... ale teraz dopiero okazało się, w jakiej byliśmy szalonej zależności od żydów. Ich hurtownie i składy zmonopolizowały pewne artykuły handlu, i teraz trzeba zakładać nietyko sklepy, ale hurtownie, gdyż one dopiero mogą wejść w bezpośrednie porozumienie z fabrykami i wytwórcami.

— A cóż żydzi?

— Żydzi, jak sam słyszałem, byli przekonania, że jak ruch bojkotowy niemieckich towarów, tak i ten skończy się przedko i z klęską naszą. Po dwóch tygodniach zaczęli apelować do szlachetnych uczuć naszych, wspomagani w tem przez czułe damy i kilkunastu przeżytków zasad Wielopolskiego; teraz zaczyna się rwać ich cierpliwość i wściekają się. Co wymyślą, nie wiem.

— Słucham słów twoich, jak cudownej baśni, — uśmiechnął się Lelicki, — nie spodziewałem się nigdy, ażeby przebudze-

nie ekonomiczne takie szybkie postępy robiło. Cóż z Lińskim?

— Powodzi mu się doskonale; był tylko raz jeden u nas w czasie nieobecności tatusia, tyle ma pracy i zajęcia.

— No, wierzę, i naprawdę bardzo się cieszę, że przetrwał ciężkie czasy.

— Był też u nas z wizytą pan Wachłowski, mieszka w tej kamienicy, co i my.

— Wachłowski? Co on za jeden?

— Był właściciel ziemski; tatusi pomagał mu w umieszczeniu dwudziestu tysięcy rubli.

— A! Pamiętam... odradzałem mu szczerze, ażeby nie dawał na hypotekę Farbsteina, ale uparł się. Czegóż on chce?

— Szlachcic nudzi się w mieście, — uśmiechnął się Władek, — pod pozorem, że tatusi mając tyle spraw, znajdzie dla niego stosowne zajęcie, złożył nam wizytę. Żona dosyć przyjemna, mają kilkoro dorastających dzieci.

— I jakiej chce posady?

— Zdaje się, tatusiu, że sam nie wie dobrze, zresztą nie pytałem.

## XXI.

Nastały smutne dnie dla wybranego narodu. Bojkot trwał już drugi miesiąc, straty w handlu żydowskim były olbrzymie, padły już sklepiki i kramy opierające swe

istnienie na handlowych zarobkach tygodniowych i miesięcznych. Pozostały jeszcze sklepy mające być trwalszy, ale i one zaczęły się chwiać, gdy ustął ruch odbiorczy sklepików i kramów. Składy i hurtownie żydowskie, o ile opierały się na zbyciu towarów w Królestwie, przepelniione były towarem, który nie znajdował ujścia, kapitały włożone przestały się procentować.

Z dnia na dzień wzrastał tłum żydów pozbawionych chleba i zarobków, legiony faktorów wystawały na ulicach bezczynnie, do nich przyłączyli się zbankrutowani sklepikarze i setki ich pomocników, i wszyscy bardzo gorąco rozprawiali co zrobić, ażeby handel szedł, jak zmusić gojów do zaniechania bojkotu i gdzie znaleźć pomoc na biedę i nadzieję wybranego narodu.

Żadnemu z nich jednak, ani też ich oświetonym prowodyrom nie przyszło na myśl tak proste i tak zwykłe lekarstwo na nadzieję, ażeby wziąć się do produkcyjnej pracy, do rzemiosła, lub zostać robotnikiem fabrycznym. Pracę ręczną uważają oni za ujmę honoru Izraela, który od wieków zajmował się jeśli nie handlem, to tak delikatnymi zawodami, jak lichwiarstwo, faktorstwo, rajfurstwo, paserstwo i handel żywym towarem.

W tłumie głodnych i zbiedniałych żydów rosła gorycz, rozległy się narzekania i prze-

kleństwa, już nie tylko na gojów, ale i na tych, którzy stali się przyczyną tego nie szczęścia. Z początku skargi na czterdziestu dwóch żydowskich wyborców posła miasta Warszawy, odzywały się nieśmiało, taliły się i wybuchły sporadycznie, ale głód dokuczał, zarobków nie było, pomoc wznowiących była niedostateczna w stosunku do zapotrzebowania, a zakończenie bojkotu, mimo solennych obietnic i przyczeczeń żydowskich dzienników, odwlekało się w nieskończoność.

Oderwane głosy narzekania i żałów łączyły się, po gwałtownych naradach i namiętnych sporach, postanowiono wysłać deputację do bogatszych wyborców, ażeby oni teraz radzili co robić i jak usunąć to nie szczęście.

Cały ten tłum żydostwa nie miał i tak nic do roboty, więc uradzono, ażeby delegaci równocześnie udali się do wszystkich wyborców żydowskich, i zdali sprawę z poselstwa w domu modlitwy przy ulicy Dzikiej.

Wyborcy, a byli między nimi adwokaci, lekarze, przemysłowcy, kupcy, odpowiedzieli, że muszą się wpierw naradzić między sobą i sami zawiadomią, kiedy odpowiedzą wysłannikom tłumu.

Wyznaczyli komisję złożoną z najpopularniejszych wśród żydów członków, więc

Reinherca, Lewite, Frejlicha, Joska Hazzern, Nestenowera, Podliszewera, uproszono też redaktora Hetzla, ażeby im towarzyszył i pomagał.

Na punkt zborny wybrano jedną z większych bożnic.

Dyskusya była gorąca, namiętna i dłuża, wreszcie, na wniosek Hetzla postanowiono zwrócić się o pomoc i poparcie do żydów moskiewskich i petersburskich, redagujących pisma takie, jak: „Riecz“, „Dień“ i inne, ażeby przedstawiły ruch bojkotowy, jako rewolucję przeciw rządowi, gdyż tutejszym inorodcom nie chodzi o handel, na którym zupełnie się nie znają, ale o przesładowanie języka rosyjskiego, którego używają wszyscy żydzi.

— Niech oni tam, w Petersburgu, napiszą, — pienił się Hetzel, — że gdyby tu był generał-gubernatorem Hurko, nie przyszłyby do takiego rozboju w jasny dzień. On kazałby opornych uwiezić, siec rózgami i złamałby tę rewolucję w ciągu tygodnia.

Lewite, który pochodził z Litwy, uzupełnił tę instrukcję dawaną dziennikom rosyjskim, redagowanym przez żydów, takim żądaniem:

— Należy się postarać w ministeryum spraw wewnętrznych, ażeby na generał-gubernatora wyznaczono tak energicznego człowieka, jak był Murawiew wileński, a dzi-

kie i rozpasane objawy bojkotu, po ukraniu winnych szubienicą i zsyłką na Sybir, ustaną, i zapanuje w kraju prywiłańskim spokój i porządek.

Obydwa żądania przyjęto przez aklamację i z oklaskami.

Reinherc zaproponował, ażeby zażądano interwencji mocarstw zagranicznych w tem okropnem prześladowaniu narodu żydowskiego.

— Nu, ona byłaby bardzo dobra, ale jak to zrobić? — spytał Podliszewer.

— Rosja jest w przyjaźni z Prusami, a w Berlinie mamy nasze gazety; niech napiszą, że nas prześlą Polacy jako przyjaciół i sojuszników Niemiec, że ich bezdenna nienawiść do Prus przeniosła się na nas, że jeśli nas zgnębią, to jakby Niemcy zgnębili, i niech rząd rosyjski położy koniec tej krzywdzie niemieckiej.

— To dobrze!... To bardzo dobre! — odezwały się liczne głosy. — Co tu gadać, to jest prawda!

Gdy sekretarz chciał tę uchwałę wpisać do protokołu, krzyknął Frejlich wielkim głosem:

— Hałt! — wszyscy spojrzeli na niego, a on gładząc brodę, przemówił: — Z tą granicą trzeba ostrożnie robić...

— Nu, jak?... Dlaczego?

— Ja zaraz powiem. Nasz handel cały

ma swoje nogi zagranicą, on stoi na niej i żyje jej kredytem. Jak zagranica się domyśli, że my zrujnowani, że każdy z nas bankrut, ona odmówi kredytu, towarów, i co będzie?

— Recht!... Recht!

— Niech oni piszą o politycznym przeszładowaniu, o tem jak my cierpimy od tych polskich huliganów, ale niech oni też piszą, że ten podły bojkot zaszkodził dobrym, pracowitym handlarzom, którzy z głodu giną na ulicach, ale nasz wielki handel jest silny jak lew i on się nie boi tych huliganów. Czy nie tak?

— A soj! A soj!... Recht! — zawałano wokoło.

Wtem, gdzieś wśród ciżby cisnących się żydów, u drzwi wejściowych, zaczęto wołać:

— Telegram!... Telegram!... Jankiel Reinherc!... Reinherc!

Z trudem przecisnął się subjekt ze sklepu i oddając depeszę rzekł:

— Przyszła depesza do pana pryncypała z Petersburga, a pani Reinherc kazała mi zaraz oddać.

Już sam fakt, że aż tu szukano adresata, kazał się domyślać, że sprawą musi być ważna, więc w sąsiedztwie Reinherca zapewniał względny spokój i bacznie wpa-

trywano się w niego, chcąc z jego miny domyślić się treści.

On uśmiechnął się i podnosząc w górę otrzymany papier, zawałał:

— Depesza Weinlausa!

— Weinlaus!... Weinlaus! — powtarzano nazwisko żyda petersburskiego, znanego ze swojej działalności w czasie wyborów.

— Co pisze?... Sza!... Cicho! — woiano ze wszystkich stron, żeby i słowa nie stracić z jego depeszy.

— Weinlaus pisał do mnie, — zaczął Reinherc przy względnej ciszy, — że on i jego przyjaciele myślą dzień i noc, ażeby koniec zrobić z bojkotem i z Polakami, których Izrael zwyciężył, co stało się głośne na cały świat.

— Nu i co?... Co oni wymyślili?... Co teraz robić?

— Teraz telegrafuje Weinlaus, — podniósł depeszę w górę, — do mnie, a wy posłuchajcie!

Odezwały się wezwania do ciszy i spokoju, zwartą masą otoczono Reinherca, który czytał:

„Jak inorodcy naszych i nasze sklepy napadną, rząd zrobi z nimi cały koniec, a my postaramy się, ażeby im zabroniono handlować“.

Wprawdzie była to tylko obietnica, ale Weinlaus cieszył się takiem zaufaniem cie-

mnych i fanatycznych żydów, tak wierzono; że on wszystko co zechce, przeprowadzi w Petersburgu, iż zebrani oddali się wielkiej radości, zwłaszcza owo zabronienie Polakom zajmowania się handlem, pobudziło ich do złotych marzeń i tęczowych nadziei, a właściwa żydom megalomania pozwalała im wierzyć w najnieprawdopodobniejsze rzeczy, jeśli tylko one miały służyć do wybranego narodu wybranego nad inne.

W bożnicy słyszać było tylko nieustający, mieszany z wykrzyknikami szwargot naradzania się, jak to zrobić zręcznie i bez narażenia się, ażeby goje rzucili się na sklepy żydowskie i troszczkę, bardzo lekko, albo i wcale poturbowali żydków.

Zaroiło się od różnych projektów sprowokowania gojów, ale wszystkie rozbijały się o możliwość pobicia, albo i zabicia żydów przez brutalnych gojów. Postanowiono działać roztropnie i ostrożnie, bez narażenia się gojom. Były głosy, ażeby sprofanować kościół lub jaką świętostępstwo katolicką, ale zakrzyczano projektodawców, bo sprawa przyszła przed sądy chrześcijańskie i winowajca mógłby odpokutować, a goje wszliby bezkarnie.

Wśród żydów zgromadzonych był naturalnie Chaskiel, także Joś, Aron i Icek, a wszyscy pałali zemstą na Lińskiego. Po krótkiej naradzie udali się do wyborcy,

Joska Hazern, obecnego na zgromadzeniu, którego wspólnika, odważnego truciciela, Jankla Dorożkarza, Liński pochwycił i oddał pod sąd.

Pierwszy przemówił zawzięty Chaskiel:

— Josek, czy ty wiesz, kto ciebie pozbawił wspólnika?

— Co nie mam wiedzieć? — westchnął żałośnie Josek, — mnie jego bardzo brakuje, bo Izrael Szcuba nie ma tej odwagi, on się boi żywego konia.

— A wiesz, że ten Liński nietylko żyje, ale on z naszą wielką krzywdą robi teraz dobre interesa?

— Nu, a co mu zrobić?

Reinherc, zasłyszawszy nazwisko Lińskiego, zbliżył się do rozmawiających i pilnie nasłuchiwał.

— On jest zbój, złodziej, nuchrym i małaszym...

— Miso meszunno! — dodał Josek życzenie, ażeby go nagła śmierć spotkała.

— Jego, Josek, można wywabić i jego powieszą, albo wyszczą do katorgi, — gorączkował się Chaskiel.

— Ja jemu tego bardzo życzę, — dodał Reinherc, — ale ty, Chaskiel, mów.

— On jest młody, on jest raptownik, — mówił Chaskiel.

— Ja to wiem, — mruknął Reinherc przypomniawszy sobie policzek, — on za-

raz bierze się do bicia, do tego nie trzeba go namawiać.

— Jak my zaczniemy jemu dokuczać, — zaczął Joś, — on zechce nas bić, a my uciekamy do sklepu; on za nami pogoni, za nim huligany z ulicy, on wpadnie do sklepu, my przewrócimy różne towary i będzie rabunek, — kończył Joś z uśmiechem zadowolenia.

— Nu, a kto to zrobił? — zawała Chaskiel podniecony, — to zrobił ten zbój, Liński! Nu, a kto zapłaci za towar zniszczony? to zapłaci ten malaszim, Liński, i z nim zrobi się koniec! To ja cały ten napad Lińskiego ułożyłem, czy zły?

— Chaskiel! — rzekł Reinherc z uznaniem, — ja tobie powiem, ja, Jankiel Reinherc, że ty masz głowę. Ty tylko tak zrób, a ja tobie będę wdzięczny, i nietylko ja, bo ja słyszałem, że on zrobił interesa na prowincji, on tam targuje z chłopami i założył już trzy sklepy wiejskie! Czy to tak powinno być? Czy my możemy na to pozwolić?! Ten goj założył już trzy sklepy na wsi!

— Co trzy! — zadrwił Chaskiel, — on teraz ma nowych siedem, a dawnych osiem, to on ma piętnaście! Ale wy myślicie, że to sklepów piętnaście!? Nie! To piętnaście rodzin naszych, którym on wydał chleb od gęby! To piętnaście furmanów, którzy

zarabiali! To piętnaście pomocników i faktorów, którzy mieli zarobek u swoich i dowiadywali się, jaki można zrobić interes na wsi u chłopów i szlachciców. To jest Aman, i on zginie jak Aman, za krzywdę nam wyrządzoną.

Wszyscy słuchacze podzieliły poglądy Chaskla na tę sprawę i zgodnie przeklinali nienawistnego goja.

Zgromadzenie miało się ku końcowi, gdy przemówił jeszcze redaktor Hetzel:

— Bracia! Niech żyje Weinlaus, nasz opiekun w Petersburgu. On mądrze radzi i my idźmy za jego radą, ale my nie możemy pozwolić, ażeby goje znęcali się nad nami.

— Prawda! Prawda! — zawałano skwaliwie.

— Ja napiszę w gazecie, a wy rozpuścić głosy wasze po całym kraju, że polscy inorodcy zrobią pogrom w dniu ich święta. Goje w święto popiąją się, jak zawsze w takich dniach, i kiedy usłyszą, że my spodziewamy się pogromu, zechcą rabować nasze sklepy. Policya będzie już wiedziała, to się przygotuje i schwyci ich, uwięzi, wyszle na Sybir i zaprowadzi stan wyjątkowy. Czy nie będzie to dobry sposób?

— Aj! Aj! — zawała Lewite, — żeby tu tylko był jeszcze Murawiew!

I litwacy zaczęli z wielką lubością opo-

wiadać o szubienicach, knutach i zsyłkach Polaków. Zapragnęli szubienic dla gojów, którzy unikali sklepów żydowskich.

Skończyło się zgromadzenie, a chociaż na razie nie było żadnych realnych skutków, zgnębione bojkotem dusze narodu wybranego rozweseliły się nadzieję zemsty na Polakach, gdyż zawsze z oszczerstwa przylgnie coś do wrogów, a inne narody uwierzą w okrutne wybryki bojkotowców.

Reinherc wychodził razem ze swym tesciem, Nestenowerem.

— Nu, Jankiel, jak tobie idzie?

— Co ma iść? — odpowiedział Reinherc żałośnie, — u mnie wcale nie idzie. Goimki boją się kupować. Wczoraj jedna, która zawsze kupowała u mnie i była winna, weszła do sklepu mego, to na nią zasadzili się goje i przypięli z tyłu kartkę z napisem: „Ta świnia u żyda kupowała!“ Jak inne to zobaczyły, czy mogą zachodzić do mego sklepu?

— Jankiel, a ty na wystawie zniżyłeś ceny i wyraźnie stoi cena?

— Nawet ślepy zobaczyłby, ale to nic nie pomaga... i jak ten przeklęty bojkot potrwa do świąt, ja z Maszą, zbankrutowiemy.

— Ja to wiem, — westchnął Nesteno-

wer, — a ile wam zostanie po bankructwie?

— Co ma zostać!? — zawała ze złością, — trochę towaru ukryłem już, a co zostało, to i na komorze nie wystarczy. Nas wszystkich ten przeklęty bojkot zastał nieprzygotowanych. Gdybym był wiedział dwa tygodnie, no, tydzień naprzód, byłbym coś zarobił, a tak co?

— Ty powiedziałeś prawdę, kto mógł się spodziewać takiego skandalu po takim naszym zwycięstwie? Ja wolę russkich, oni najprzód krzyczą, przeklinają, grożą i dopiero pogrom, a tu taki chytry, taki podły naród.

— Co to pogrom? — uśmiechnął się Reinherc, — to głupstwo! To burza na wiosnę, ona grzmi, ona bije gradem, ale potem słońce i spokój. A ten polski bojkot nie krzyczy, nie grzmi, niema gradu, ale on nas dusi, zabija, wyrywa nam zęby, łamie ręce i nogi. Czy jest coś gorszego na świecie?

— Jankiel, ja tobie coś powiem, dobrze?

— No?

— Ja tobie i Maszy nie mogę pomagać teraz, i nie mogę później także. Ty na mnie nie licz, bo to zły rachunek. Ja nawet ciebie nie mogę wziąć do domu, bo u mnie bieda. Ja sprzedaję towar bez zarobku, ażeby tylko się nazywało, że mam sklep. Czy ty rozumiesz?

— Co nie mam rozumieć? — zawała drwiąco, — ja nie taki głupi, jak wam się zdaje. Wy teraz macie duże zarobki, większe aniżeli dawniej. Czy nie tak?

— Ty, Jankiel, zwaryował! Co ty gadasz? Jakie mogą być zarobki przy przeklętym bojkocie?

— Ja zaraz powiem... za ten bojkot nie wy zapłacicie, ale fabryka albo główny skład. Wy macie odbiorców po miasteczkach, nie w samej Warszawie. Jak wy zobaczycie, że fabryka wam nie zechce dawać więcej towaru, wy zrobicie bankructwo. I to wam mówię, wy musicie pomoż nam, bo ja potrzebuję tylko napisać do fabrykantów i będzie koniec z wami.

Nestenower z bezsilnym gniewem spojrzał na Reinherca, ale pohamował się, przecież Masza, jego córka, wie skąd przychodzi towar, ona powie swemu mężowi i co wtedy będzie?

— Jankiel, za te twoje głupie groźby, ja powiniensem odwrócić się i nie dać ci kopiejkę, ale ja kocham Maszę, i ja dla niej to zrobię, że ciebie nie zostawię bez pomocy. Ja mam dosyć tej rozmowy, dobranoc tobie.

— Dobranoc.

W kilka dni później, gazety rosyjskie wydawane przez żydów podniosły wielki lament nad obojętnością rządu wobec dzi-

kich objawów bojkotu i antysemityzmu Polaków. Jak zwykle w wielkich miastach, w zbiorowiskach mieszanych, zdarzają się niemal codziennie jakieś bójki, napady, kradzieże; żydowskie gazety oświetlały tego rodzaju przestępstwa i nieporządki, jako objawy bojkotu, a o ile wmieszany był żyd, jako rozmyślny napad antysemicki.

Korespondenci żydzi donosili do gazet żydowskich kłamliwe opowieści i sfałszowane fakty, to, że zamordowano żydówkę, to, że zamęczono na śmierć dziecko żydowskie, że śmiertelnie poraniono żyda, tak, iż mogło się zdawać czytelnikom tych gazet, że Warszawa roi się od zabójców, rozbójników, gwałcicieli; że lada chwila cała ludność żydowska będzie wyrznięta.

Skwapliwie rozszerzano wieści, iż Polacy postanowili urządzić pogrom w czasie świąt Bożego Narodzenia. Posyapały się denuncyacje, oskarżenia, widziano już noże przygotowane do rznięcia żydów, bomby, które miano rzucać na Nalewki, na ulicę Dziką, Gęsią i inne zamieszkane przez żydów.

Jednak, ku utrapieniu żydów, Warszawa i Polacy byli zupełnie spokojni, nie pomagały prowokacje, w rodzaju drwin, zaciągania do sklepów żydowskich, niewypuszczania kupującego, gdy przez pomyłkę zaszedł do sklepu żydowskiego, powstrzy-

mywania tych, którzy wchodzili do chrześcijańskich sklepów.

XXII.

Jednej soboty grudniowej otrzymał Liński bilet od Władysława zapraszający go na śniadanie w niedzielę. Ucieszył się tem zaproszeniem bardziej, aniżeli chciał po sobie okazać. Tęsknił za Halą, pragnął ją zobaczyć, ale powodowany ambicją człowieka będącego na dorobku, bał się narazić na odmowę rodziców panny, a i to go powstrzymywało, że nawet w razie ich zgody nie miał dostatecznych dochodów, ażeby żonie przyszłej zabezpieczyć takie wygody, jakich dla niej pragnął.

U Lelickich zastał Janka, o którym nic mu Władek nie wspomniał, chcąc mu zrobić niespodziankę.

Dwaj przyjaciele mieli sobie dużo do opowiadania. Liński z wielkim zapałem mówił o swych sklepach wiejskich.

— Wiesz, Janku, mam już czterdzieści, i nie spocznę, póki nie będzie ich przynajmniej sto. Nie masz pojęcia, jak chętnie garnie się lud do handlu, jak rozumie, że sklep własny, to wyzwolenie z ekonomicznej zależności od żydów.

— Panie Tadeuszu, — zaśmiała się Władek, — pan ambitniejszy aniżeli Piotr Włast,

który zadowolił się siedemdziesięciu kościołami.

— Za Krzywoustego, — rzekł Liński, — zakładanie kościołów było potrzebą społeczną, a gdyby Wlast żył dzisiaj, założyłby siedem tysięcy siedemset siedemdziesiąt sklepów.

— Ej, Tadziu, — uśmiechnął się Janek, — ty od żydów nauczyłeś się przesady.

— Ależ nie, tylko odzyskanie miast i unarodowienie handlu uważam za najpierwszy obowiązek obywatelski.

Lokaj prosił ich z salonu do jadalnego pokoju, gdy wszedł Wachłowski. Zaproszono go na śniadanie. Wprawdzie wymawiał się, ale ostatecznie został.

W czasie śniadania rzekł Lelicki uprzejmie do Wachłowskiego:

— Mam dla pana miejsce kontrolera magazynu fabrycznego. Wprawdzie pensja nieszczególna, ale w braku innej posady dobra i taka.

— A jaka pensja? — spytał z żywością.

— Czterdzieści pięć rubli, tylko warunek jeden, trzeba złożyć kaucję w wysokości dwóch tysięcy.

— Ależ ja nie mam.

— Wiedziałem o tem, i fabryka zgodziła się na zabezpieczenie kaucji na pań-

skiej sumie hipotecznej. Cóż, przyjmuje pan?

— Naturalnie, i jestem panu bardzo obciążany, bo w tej Warszawie straszna drożyna, wszystko kup, za wszystko płaci, — westchnął.

Jański czas rozmawiano o drożynie, ale wkrótce zaczęto mówić o najbardziej aktualnej sprawie, o bojkocie.

— A jak tam u ciebie, Janku? — spytał ojciec, — czy są sklepy chrześcijańskie? Jest ruch?

— Naturalnie... wszędzie budzi się poczucie konieczności bronienia się przed zalewem żydowskim. Są nietylko usiłowania, ale i fakta.

— A pan, panie Tadeusz, — uśmiechnął się przyjaźnie, — ile masz sklepów wiejskich?

— Tatusiu, czterdzieści, — zaśmiała się Władek, — a pragnie stu!

— Czy nie za wiele? — wyraził obawę Lelicki, — przecież te sklepy potrzebują kredytu, i gdyby pan im udzielił tylko sto rubli, już pan ryzykuje dziesięć tysięcy.

— Jeśli przed bojkotem, — uśmiechnął się Liński, — nie bałem się ryzykować towaru na trzydzieści sklepów i nie zbankrutowałem, teraz jestem niemal pewny po-

wodzenia. Bojkot przedostaje się do miasteczek, osad, wsi.

— Żyjemy w najszczęśliwszych czasach, — odezwała się Hala, — przynajmniej dla mnie.

— Najszczęśliwszy czas dla panien, — zaśmiała się Władek, — jest podobno czas narzeczeństwa.

— Ależ co znowu!? — zarumieniła się Hala, widząc uśmiechy innych, — to sprawa osobista, ale ja mówię o czasach walki o wolność ekonomiczną. Wyzwalamy się, odzyskujemy nasze prawa, odżydzamy miasta, handel.

— Byłoby to bardzo piękne, — rzekł Wachłowski, — gdyby nie to, że podkładem tego ruchu jest nienawiść do żydów, a nienawiść nie tworzy nigdy rzeczy dobrych i trwałych.

— I ja tak myślę, — westchnęła gospodynia, — ale mam nadzieję, że nienawiść zniknie z czasem, a zostanie polski handel.

Liński poczerwieniał i spytał tonem suchym Wachłowskiego:

— Czy szanowny pan sądzi, że przez nienawiść do żydów pragnie uczciwy obywatel jedności swego narodu, dobrobytu tegoż, rozwoju przemysłu i handlu?

— No, to... nie, — odpowiedział z wahaniem.

— My wszyscy, — zapalał się Liński, —

uważamy to za dowód wielkiej i głębszej miłości do kraju. Zresztą nie my pierwsi tego pragniemy, wszyscy pisarze polityczni od XVIII wieku, wszyscy historycy uważają za jedną z przyczyn upadku Polski, brak zamożnego i wolnego mieszczaństwa, brak przemysłu i handlu narodowego; i jeśli my pracujemy dla lepszej przyszłości w tym kierunku, dlaczego pan posądza nas, że czynimy to przez nienawiść?

— Ja też nie posądzam, — mówił lekko zmieszany, ale co do bojkotu, to chyba pan przyzna, że nienawiść gra tu wielką rolę.

— Tak jest, — uśmiechnął się Władysław, — w oczach żydów ten ruch jest objawem nienawiści, bo im szkodzi, zaś w naszym zrozumieniu, dyktuje go nam miłość do kraju, pragnienie jedności i zwałości narodu. Wyobraźmy sobie, że cudzoziemiec zwiedza nasz kraj i przyjeżdża do miasteczka, coż obaczy? Siedemdziesiąt lub więcej procent żydów, szwargocących niezrozumiałym językiem, cały handel w ich ręku; hotele, zajazdy, furmanki w ich ręku; przemysł w ich ręku... i cudzoziemiec słusznie zapyta: gdzież ta Polska? Może pan zjechać świat cały, wszędzie prócz u nas miasta są rdzenne narodowe, handel w ręku krajowców, przemysł ich własnością... a u nas wszystko żydowskie. I żaden z nas nie myśli o pogromie, o masowem wydalaniu,

o konfiskacie majątków; my, powodowani tylko miłością kraju, chcemy spolszczyć nasze, odwiecznie nasze miasta i odzyskać handel. Gdzież tu nienawiść?

— Hm.. słuchając pana, muszę przyznać słuszność panu, a jednak sam czytałem niedawno w polskiej gazecie utykiwanie, że bojkot trwa dzięki nienawiści, — kończył Wachłowski.

— Są również maniacy na punkcie humanitaryzmu, braterstwa ludów, wiecznego pokoju, i ci, nie chcąc się samodzielnie zastanowić nad istotą ruchu ekonomicznego, — mówił Janek, — powtarzają za żydami baje o rzekomej naszej nienawiści... A chce pan widzieć ofiarę nienawiści żydowskiej?... oto jest! — wskazał na Lińskiego.

Opowiedziano mu różne przejścia Lińskiego, straty, zawody, otrucie koni, uszczerbienie kredytu, a ten słuchał jak bajki, wreszcie rzekł:

— Coś podobnego słyszałem o konkurencji żydowskiej tu i ówdzie, ale nie przypuszczałem, aby naprawdę chwytali się takich sposobów.

— A w handlu zbożem czy inaczej postępują? — zaśmiał się Janek, — sam patrzę na oszustwa ich w Radomsku i tylko dzięki żydom nasza pszenica na rynkach zagranicznych zawsze jest tańsza od innych, bo zanieczyszczają, dosypują pośladu.

Wachłowski miał także do opowiedzenia kilka przygód z żydami z czasów swej gospodarki, lecz chyba najwięcej o żydach wiedział Lelicki, ale sptytany w tej sprawie przez Wachłowskiego, zadowolił się odpowiedzią:

— Moje dawniejsze stosunki z żydami uważam za ciężki i bardzo przykry sen ale przebudziłem się i teraz jest mi dobrze,

— Ach, tatusiu, — zawała Hala, — nam wszystkim dobrze, bo przebudzenie jest ogólne.

Wstano od stołu i całe towarzystwo przeszło do salonu. Liński stracił nadzieję rozmawiania z Halą, spochmurniał i na pytania odpowiadał krótko i niechętnie. Postanowił pożegnać towarzystwo, obwiniając Halę, że unika go i patrzy niechętnie na niego. Już gotował się do wyjścia siedząc w kącie, i patrzał nie bez zazdrości, jak dobrze bawią się inni. Janek opowiadał ojcu i Wachłowskiemu o ostatnim polowaniu przy ponowie. Władek z matką i Terenią zastanawiali się do którego teatru iść dzisiaj. Hala była na razie nieobecna w salonie i ażeby się z nią pożegnać zwlekał Liński z wyjściem.

Wtem weszła Hala i zbliżyła się do Lińskiego mówiąc z uśmiechem:

— Dobrze, że przynajmniej dla Janka przychodzi pan do nas.

— Janek jest moim przyjacielem, ale nie dla niego przychodzę tutaj, mogę się z nim zawsze spotkać, — rozjaśnił twarz.

— Dlaczego daje się pan prosić?

— Dlaczego? Jestem kupcem i kieruję się rachunkiem, a ten rachunek zabrania mi częstych wizyt u państwa.

— Jakiż to rachunek? — zaśmiała się, — dodawanie? odejmowanie?

— Nie, to rachunek prawdopodobieństwa.

— Cóż on wykazuje panu?

— Że upragnione moje szczęście jest nieprawdopodobne i istnieje tylko w mej wyobraźni.

— To szczególne, widocznie operuje pan fałszywemi cyframi, gdy dochodzi do fałszywych rezultatów. Trzeba cyfry sprawdzić...

W tej chwili Władek odwołał się do Hali w kwestyi spornej, odeszła od Lińskiego powtórzywszy z miłym uśmiechem:

— Trzeba sprawdzić.

Zakochany zwykle nie ma poczucia rzeczywistości w stosunku do ukochanej osoby, i z obawy utraty wymarzonego szczęścia, nie docenia lub przecenia fakta i słowa.

I Liński, zakochany, zaczął się głęboko zastanawiać nad znaczeniem słów Hali:

„trzeba cyfry sprawdzić!“ A jeśli ona miała na myśli cyfry prawdziwe? Jeśli ona mówiła o cyfrach jego sklepu? Ona taka naiwna, takie dziecko, niezawodna nie zrozumiała, co oznaczają dla niego te cyfry i rachunek prawdopodobieństwa. Ona, taka niewinna, nawet nie przypuszcza, że to idzie o nią, o jej miłość i pozwolenie rodziców.

I tak jest niezawodna, westchnął Liński, i poco ja głupi mówiłem o cyfrach? wdawał się w porównania?! A gdyby spytać się jej co ona rozumie pod sprawdzeniem? Ale może to nie wypada? Zresztą niezawodna mi odpowie, że sprawdzić, to znaczy zbadać prawdziwość wpisanych liczb i skontrolować księgi.

Postanowił wyjść i zegnał się najpierw z gospodynią.

— Już pan odchodzi? — spytała uprzejmie.

— Wprawdzie z przykrością, — patrzał z goryczą na Halę obok siedzącą, — ale jako zwykły kupiec otrzymałem polecenie sprawdzenia cyfr, — podkreślił te wyrazy, — i idę spełnić to polecenie.

— Dziś przecież niedziela, — zaśmiała się Hala swobodnie, — sklep zamknięty i na sprawdzenie sklepowych cyfr ma pan zawsze czas... i dlaczego pan taki chmurony?

— Drwiny nie należą do przyjemności, przyzna pani, — usiadł obok niej.

— A kto drwi z pana? — zdziwiła się.

— Jeszcze pani pyta? A który mnie odestał do sprawdzenia ksiąg i cyfr, gdy chciałem zapomnieć o całym świecie i tylko... tylko być tutaj, — kończył niepewnym głosem.

— Bardzo dobrze, — uśmiechnęła się, — ale kto pierwszy z nas zaczął mówić o cyfrach? Ja, czy pan?

— No, tak... ale ja co innego miałem na myśli, a pani nie chciała mnie zrozumieć.

— I ja co innego miałam na myśli, a pan nie chciał mnie zrozumieć, — zaśmiała się.

— Więc to tak? — patrzał na nią rokochany.

— A tak.

— Jakież to szczęście!... i już zgoda, panno Halu?

— Zgoda, — skinęła mu głową i odeszła.

Zamiast radości zdjął go teraz lęk przed przyszłością. Czuł, że już się oświadczył, że ona mu nie odmówiła wzajemności, chociaż to wszystko wisi na pajęczej nici. I co teraz? Trzeba poprosić rodziców o jej rękę, ale jak? Wodził zaniepokojonemi oczyma po salonie i spotkał się z przyjemnym spojrzeniem Janka. Postanowił dziś jeszcze roz-

mówić się z Jankiem i prosić go o pośrednictwo.

Janek nie chciał dziś wychodzić z domu, mimo prośby Lińskiego, który mu tłumaczył:

— Mam ważną sprawę do ciebie.

— Chodźmy do mego pokoju, nikt nam nie przeszkodzi.

Weszli do niewielkiego pokoju, który był sypialnią Władka i Janka, zasiedli na szeląku i Janek spytał:

— Cóż takiego? Mów!

— Kiedy bo widzisz, tak mi trudno... — zdawało się bowiem Lińskiemu, że na jedną kartę stawia przyszłość swoją, — czy nie byłoby lepiej przejść się?

— A tobie skąd ta nerwówka? — zasnął się Janek, — tu mu źle, tam nie dobrze, a możeby ówdzie? Nie marudź i powiedz... Czy idzie o pieniądze?

— Ależ nie! Mam dosyć i nie potrzebuję.

— Więc pojedynek?

— I to nie! Gdyby tak było, nie robiłbym ceremonii.

— Zatem niewiasta w grze? Co? — śmiał się Janek. — Masz zamiar się kochać, czy jesteś już zakochany? Ale cóż ja ci biedaku poradzę na tę chorobę?

— Ty żartujesz sobie, a ja chcę z tobą mówić poważnie... Idzie mi o to, ażebyś wyrozumiał twoich rodziców, czy byliby

sklonni przyjąć me starania o twoją siostrę?

— Mam dwie siostry, o którą chcesz się starać?

— Naturalnie o pannę Halę.

— Ażeby to było tak dalece naturalne, tego nie widzę, ale ostatecznie wiem. Zatem idzie o Halę?

— Tak jest. Kocham ją naprawdę bardzo szczerze i bardzo...

— Mój Tadziu, oszczędź mi wyznań miłośnych, zachowaj to dla Hali, — uśmiechnął się, — a teraz powiedz mi szczerze, mówiłeś już z Halą?

— No, wiesz, niby mówiłem, a niby nie, — odpowiedział zmięszany.

— Jak to mam rozumieć?

Liński zastanowił się i przyszedł do przekonania, że naprawdę nie mówił Hali o swej miłości, i ona także nic pewnego jemu nie powiedziała.

— Widzisz, Janku... naprawdę, nie oświadczyłem się pannie Hali...

Liński wydał się Jankowi w swem zmięszaniu i niepewności tak zabawnym, że przerwał mu żartobliwie:

— Zatem oświadczyłeś się na żarty?

— Cóż pleciesz? — oburzył się.

— Jeśli naprawdę nie oświadczyłeś się, a więc jak?

— Ty zupełnie tego nie rozumiesz, sądziłem, żeś mądrzejszy, — irytował się Liń-

ski, — czyż w miłości koniecznie potrzeba słów? Wystarczy półsłówko, spojrzenie, uśmiech.

— Przypuścemy; idzie mi o to, czy ty porozumiałeś się już z Halą, czy nie?

— Cóż ja ci mogę powiedzieć? Chwilami zdaje mi się, że tak, a chwilami, że nie.

— Czy ja mam o to spytać Halę?

— Nie! Wcale nie! Już wolę sam, ale ty sputaj ojca i matkę, co o tem sądzą?

— Hm... dobrze, mogę to zrobić.

— A jak myślisz, co powiedzą?

— Ja nic nie myślę, bo to nie należy do mnie. Ja radbym mieć w tobie szwagra, ale to jeszcze mało, że ja chcę... Muszę ci też powiedzieć, że Hala nie ma posagu i z tem oblicz się dobrze. Ty jesteś początkujący, na razie idzie ci nieźle, jestem przekonany nawet, że z rozwojem sklepików wiejskich twoje dochody wzrosną i ustalą się... ale żona, to ciężar nielada. Mieszkanie, usługa, życie, ubranie, przypuszczalnie choroba, dzieci, itd. itd.

— Teraz ja ci powiem. Na posag nie liczyłem i posagu nie chcę. Mam dochód tyle, a możesz się przekonać z książek handlowych, że mogę żonę utrzymać przyzwoicie. No, nie dam jej lokaja, apartamentów, koni, czy automobilu, ale napewno nie chce tego i panna Hala. Starczy

jednak na życie i rozrywki. Cóż, sputasz rodziców?

Wtem otworzyły się drzwi, w których stanął Lelicki.

— Matka pyta, czy pójdziesz do teatru. Cóż to za konferencja?

— Tatusiu, proszę bliżej, konferencja to familijna, w której tatuś, jako głowa rodziny, rozstrzyga, — wstał Janek wraz z Lińskim, który poczerwieniał po białka oczu i z zapartym oddechem czekał, co z tego wyniknie, klnąc w duszy Janka, że w jego obecności pyta ojca o rzecz tak ważną dla niego.

Lelicki widząc zmieszanie Lińskiego, domyślił się przedmiotu owej familijnej konferencji i siadając na szezlongu sputał przyjaźnie:

— O co idzie, Janku?

— Mój przyjaciel, Liński, zapałał tatusiu gorącym afektem ku Hali, i prosił mnie o pośrednictwo między tatusiem a nim. Powiedziałem mu już, że Hala nie ma prawie żadnego posagu, co w niczem nie zmieniło jego zamiarów, a teraz od tatusia zależy, czy zechce go przyjąć na zięcia?

— No, tak... czy pan mówił z Halą?

— Właściwie nie mówiłem, ale z pewnych, zresztą drobnych i nic nie znaczą-

cych szczegółów wnoszę, że panna Hala nie jest mi przeciwna.

— Postąpił pan uczciwie, — pochwalił go — to jeszcze dziecko, ma osiemnaście lat... a teraz, muszę panu powiedzieć, że żona, to nie kwiatek, czy posiada pan środki na utrzymanie rodziny?

— Zdaje mi się, że tak. W zeszłym roku handlowym, mimo strat i niepowodzeń, miałem tysiąc rubli dochodu. W tym roku, a dopiero połowa minęła, mam około dwóch tysięcy pięćset; nietylko targi są bardzo znaczne, ale i sklepy wiejskie wynajmują regularnie.

— Hm... najpierw muszę pomówić z żoną następnie z Halą. Przypuszczalnie żona, podobnie jak ja, nie będzie miała nic przeciw panu, gdyż uważały cię oboje za uczciwego człowieka. Wszystko jednak zależy od Hali, a jeśli i ona się zgodzi, dopiero przychodzi sprawa materialna. Wierzę, że wobec bojkotu, interesa pana idą świetnie, ale poczekajmy trochę... Hala jeszcze bardzo młoda, no i pan jeszcze młody... nie zaszkodzi, gdy poczekacie rok, a będziecie mieli sposobność przez ten czas poznać się bliżej.

— Jestem panu bardzo a bardzo wdzięczny! — zwołał rozpromieniony ściskając podaną rękę. — A kiedy dowiem się o de-

czyzyi panny Hali... to jest... pani Lelickiej i panny Hali?

— Hm... nie wiem..

— Jeszcze jedna prośba, — zaczął tonem błagalnym, — na co ten rok próby? Janek mnie zna przecież, a bywam u państwa drugi rok. Z niczem się nie ukrywałem, nie miał żadnych tajemnic...

— O terminie ślubu już powiedziałem, — a widząc nieszczęśliwą minę Lińskiego dodał: — zresztą, poradzę się z żoną.

— Ale kiedy?

— Nie bądź pan tak gorąco kąpanym, — zaśmiała się, — przyjdzie czas. A teraz chodźmy na obiad, — wstał i szedł pierwszy.

Liński, zanim opuścił pokój, serdecznie uścisnął i ucałował Janka szepcząc:

— Jakiś ty dobry, nigdy nie zapomnę ci tego, nigdy!

— Dajże mi pokój waryacie z pocałunkami, — śmiała się rozczulony Janek, — schowaj je dla żony.

Weszli we trzech do pokoju jadalnego w chwili, gdy matka, córki i Władysław już siedzieli, a wyraz ich twarzy był taki odmienny od zwykłego, że zwróciło to uwagę i żona powiedziała:

— Czekaliśmy; poszedłeś po Janka i pana Lińskiego, a siedziałeś tak długo?

— Rozmawialiśmy.

— Ja zgadnę o czem panowie mówili, — odezwał się Władek.

— O czem? — spytała Hala.

— Zaraz... nie mówili o interesach handlowych... nie mówili o polityce... nie mówili o bojkocie...

— Więc o czem? — uśmiechnęła się matka.

— A, niech teraz kto inny zgaduje, ja już swoje powiedziałem, — zaśmiał się Władek.

— Mylisz się, — przemówił Janek, — rozmawialiśmy i o bojkocie.

— Słówko: i, wskazuje, że bojkot był podzieloną rzeczą, a główną kto czy co?.., Powiedz Janku, — prosił Władek, — patrz jak ciekawe niewiasty giną z ciekawości.

— O, nie my! — zawałały siostry obie, — to tylko mężczyźni są zawsze ciekawi.

— Nauki, wynalazków, polityki, a was co zajmuje? suknie, stroje, teatr, koncert, — śmiała się Władek.

— Mamo, niech mu mama zakaże pleścia takie rzeczy, — upomniała się Hala.

— A więc tak, Halu, żądasz zaprowadzenia stanu wzmacnionej ochrony, zabronienia swobody myśli i krytyki, dobrze; a ja nie powiem ci, o czem radzili tatuś, pan Liński i Janek, a już wiem, — mówił z powagą i z udaną goryczą Władek, co innych pobudzało do śmiechu, — no, nie

zazdrościę twemu przyszłemu takich rządów policyjno-represyjnych. Jesteś wyrokiem w naszej rodzinie, bo jesteś despotyczna.

Hala wprawdzie śmiała się, a swoją drogą było jej niemiło, że słucha tych słów Liński, który widząc, że nikt nie staje w obronie Hali, przemówił:

— Odwołanie się panny Hali do opieki starszych, wcale nie dowodzi despotyzmu, lecz uległości.

— A to co znowu! — udał wielkie oburzenie Władek. — Jak pan możesz tak intygować i podburzać małoletnią do oporu!? Kto pana upoważnił do obrony Hali? czy ty, Halu!?

— Ja, nie! — zarumieniła się.

— Widzi pan, nawet Halę zapiera panu prawa wszelkiego, — zawała Władek.

— Daj pokój temu, — odezwał się rozbawiony Janek, — alboż wiesz, czy Tadzio nie pozyskał tego prawa?

— Już wiem! — zawała Władek wesoło, — a więc radziliście nad ustanowieniem opieki nad Halą. Słyszysz Halę, radzono o tobie, bez ciebie, i słusznie, bo jesteś małoletniem dzieckiem. Całe szczęście, że miałaś tam obrońcę „sans peur et sans reproche“, — śmiała się Władek.

Hala spaśowała i żarty te były jej tak

przykro, że załzawiły się jej oczy, co spostrzegła matka i powiedziała:

— Władziu, nie dokuczaj Hali, czy nie masz innego tematu do rozmowy?

— Owszem, owszem, dlaczego nie? — i z miną sędziego śledczego zaczął: — Obwiniony, Tadeusz Liński, szlachcic z rodu, powiedz tu nam prawdę, przed sądem wysokim, czy przekonania twoje są prawomysłne? Doszło bowiem do wiadomości wysokiego sądu, że jesteś burzycielem ustanowionego porządku i krzywdzisz lud wybrany, a przez twoje sklepy szerysz buntowniczą propagandę. Odpowiadaj, obwiniony!

— Prawdą jest, że nazywam się Liński, — odpowiedział wesoło, — prawdę jest, że moje przekonania względem kraju są prawomysłne; natomiast nieprawdą jest, że jestem burzycielem, nieprawdą, że krzywdzę lud wybrany, a prawdą jest, że dążę do odzyskania Polski.

— Wysłuchaliśmy spokojnie słabej obrony obwinionego, — mówił poważnie Władek, — coż na to członkowie wysokiego sądu? Pierwszy głos ma najmłodszy sędzia, Hala Lelicka.

— Skazać na zjedzenie leguminy, — zamilkała się, — bo prawie nic nie jadł.

— Sędzio zuchwały! — zawała oburzo-

ny Władek, — azali nie wiesz, że to są atrybucje żony, nie sędziego!

Matka widząc, że Władek ciągle żartuje z Hali, chcąc to przerwać, zaproponowała wypicie kawy czarnej w salonie.

— Bardzo dobrze, — rzekł Lelicki wstając z krzesła, — ale ja wypiję u siebie, mam listy do przejrzenia.

Pani Lelicka była naprawdę trochę zaniepokojona i zainteresowana tą konferencją w pokoju Janka, poszła tedy do gabinetu męża. Dowiedziała się szczegółowo o oświadczeniach Lińskiego, rzekła:

— Nic nie mam przeciw niemu. Janek chwali go, jest z nim w przyjaźni, a on pod tym względem jest bardzo wybredny, — chwaliła swego ulubieńca, — i przez ten czas w Warszawie prowadził się dobrze, pracował; tylko jedno mnie przestrasza.

— Cóż takiego? — spytał mąż.

— Hala jest jeszcze taka młodzietka, takie dziecko niedoświadczone, i spada na nią zaraz dom, mąż, gospodarstwo. Czy ona wydoła? Czy się nie zamęczy?

— Moja kochana, — uśmiechnął się, — ty miałaś lat siedemnaście, byłaś młodszą, no i pojęcia nie miałaś o swych obowiązkach gospodyni, a jednak dałaś sobie radę i podołałaś wszystkiemu.

— Hm... to prawda, ale...

— Poco to: ale? — zaśmiał się, — Hala jest rozsądna, ma bardzo dobre serce i prawdziwie szlachetne uczucia. Zobaczysz, Liński będzie tak pod pantoolem jak ja, — zaśmiał się, — bo rodem kurki czubate.

— No, jeśli ma być tak uległy jak ty, byłoby źle. Jesteś zupełnie niezależny i sam we wszystkiem decydujesz.

— Więc będą w takiej zgodzie jak my, czy dobrze?

— To co innego, byleby nie był taki skryty jak ty, — uśmiechnęła się.

— A jak sądzisz, czy on podobał się Hali?

— Myślę, że tak. Zauważałam już oddawną, że jest nim zajęta, a ponieważ wieǳiałam, że on w niej się kocha, nie sprzeciwiałam się i udawałam, że nic nie wiǳę.

— A gdyby tak dzisiaj skończyć z tem oświadczeniem? — spojrzał na żonę, — naco nam te formalności.

— Nie wiem... Hala nie jest przygotowana, i możeby to urządzić uroczystiej. Niema pierścionków zaręczynowych...

— Główstwo! — zaśmiał się, — zapowiem zaręczyny na wigilię i wszystko będzie w porządku.

— Dobrze... ale ty wiesz, będą wydatki

znaczne, wyprawa, srebro... a czy mówiąłeś mu, że Hala nie ma posagu?

— Janek mu mówił i powtórzył to przy mnie... ale wiesz, zawsze znajdę dla niej kilka tysięcy, może więcej, gdyż chcę, ażebym była niezależna od męża.

— To bardzo dobrze... ale to my musimy urządzić im mieszkanie, ja się tem zajmę.

— Dobrze, ale z ich współudziałem i ich gustem, bo nie ty, lecz oni będą tam mieszkać. I żadnych zbytków. Niech się sami dorabiają. A teraz zwołaj Halę, trzeba raz skończyć.

Hala weszła wzruszona i zmieszana. Do myślała się już przy obiedzie, że Liński mówił o niej z jej ojcem, i raczej była ciekawa jak się ta sprawa załatwia formalnie, aniżeli zaniepokojona.

— Siadaj, moje dziecko, — wskazał jej sofkę, — mamy z tobą do pomówienia w sprawie bardzo ważnej.

— Słucham tatusia.

— Dzisiaj, pan Liński pytał nas, czy wolno mu starać się o twoją rękę. My wprawdzie nie mamy nic przeciw niemu, ale niech cię to w niczem nie krępuje. Ty sama rozstrzygasz, bo ty sama będziesz z nim żyła, nie my. Cóż ty na to?

— Ja? — zarumieniła się jak wiśnia, — jeśli mama i tatusią sądzą, że tak będzie dobrze... ja się zgadzam.

— To w porządku, — uśmiechnął się, wstał, otworzył drzwi i zwołał: — panie Tadeuszu, proszę tutaj.

Zaczerwieniony, drżący, wszedł Liński i stanął nieporadny.

— Hala i my, zgadzamy się, ażeby pan bywał u nas jako starający się o jej rękę. Zaręczyny odkładamy do wilii.

Liński w pierwszej chwili miał ochotę ucałować ręce Hali i powiedzieć jej tysiąc czułości, ale zmiarkował się. Ucałował rękę matki, uścisnął ojca, bełkocąc słowa podziękowania i wdzięczności, i onieśmielony stanął przy Hali.

— Podziękujże pan Hali, — zaśmiał się ojciec, — czeka na to.

— Tatusiu! — zwołała obrażona, — wcale nie czekam! i chodźmy do salonu, — wyszła szybko z gabinetu.

Wieczór upływał bardzo przyjemnie, dzięki dobremu humorowi Władka, wtem, około dziewiątej zabrzmiął dzwonek i lokaj zawiadomił Lelickiego, że przyszła pani Nakielska.

— Proś do gabinetu, zaraz idę.

— Kto to, tatusiu? — spytała Hala.

— Biedna kobieta, ofiara przebiegłości żydowskiej, — poszedł do gabinetu.

Nakielska przepraszała, że nachodzi go w domu, ale dziś musi dać stanowczą od-

powiedź, czy przyjmie miejsce gospodyni na wsi.

— Okropnie mi ciężko zostawiać w Warszawie młodą córkę i synka dziewięciolatnego na obcej opiece, bo córka zamężna mieszka teraz na prowincji, ale nie sposób wyżyć z piętnastu rubli, które zarabia córka i z dziesięciu rubli za lekcyje, których udzielam na mieście.

— Ileż dają pani na wsi?

— Dwadzieścia pięć i utrzymanie. Pan mi wspomniał, że może znajdzie się gdzieś miejsce dla mnie, i dlatego przyszłam zapylać czy jest?

W tym samym czasie Janek i Władek opowiadali o przejściu kamienicy Nakielskiej w ręce żyda Frejlicha, i że została z dziećmi bez środków do życia.

— Biedna! — współczuła Hala, — i jak to okropnie, jak niesprawiedliwie, że jedni są tak szczęśliwi jak my, a drudzy tak cierpią. Czy nie można jej pomóż?

Liński, patrząc na nią rozkochanymi oczyma, zwołał nagle:

— Mam sposób! Wynajmuję sąsiedni sklep na norymberszczynę i galanterię papierową, jeśli jest uczciwa i umie rachować, wezmę ją do zarządu.

— Doskonale! — zwołał Władek, zrywając się z krzesła, — idę do tatusia.

Hala zarumieniła się z radości i spojrzała

z wdzięcznością na Lińskiego, który teraz żałował, że nie ma sposobności obdzielić innych posadami.

Władek wchodząc zastał ojca opowiadającego o trudności znalezienia miejsca w Warszawie i zawałał od razu:

— Przepraszam, że przerywam, ale Liński potrzebuje kogoś do zarządu sklepem norymberszczyzny i galanterii. Może tatuiowi przyda się ta wiadomość.

Nakielska zarumieniła się z radości, a Lelicki odpowiedział:

— Poproś tu pana Lińskiego, może się uda sprawę zaraz załatwić.

Liński, dowiedziawszy się, że Nakielska posiada stosowne kwalifikacje na sklepową, przyjął ją na próbę, z pensją miesięczną pięćdziesięciu rubli i procentem od dochodu czystego. Córkę jej, która skończyła kurs buchalterii, również przyjął z płacą początkową trzydzieści pięć rubli.

Nakielska z wielkiej radości rozplakała się i z trudnością powiedziała kilka słów podzięki. Proszono ją, ażeby została na herbacie, ale wymówiła się, spieszając do domu.

Hala dowiedziawszy się o zawartej umowie, szepnęła Lińskiemu przy sposobności:

— Lubię pana, to było zacenie.

### XXIII.

Jednego poranka wpadł do biura Lelickiego Podlisszewer, oświadczając, że ma bardzo ważny interes do samego pryncypała:

— Siadaj pan, — rzekł Lelicki w swym gabinecie, — o co idzie?

— Jakto o co? Pan się jeszcze pyta? — oburzył się, — czy pan wie, że otrzymałem rejentalne wezwanie? co to znaczy?

— Uprzedzałem pana, że jeśli pan dobrowolnie nie złoży kaucji cztery tysiące pięćset rubli, wezwę pana do tego rejentalnie i zażadam rozwiązania spółki.

— Co to rozwiązanie? Jak będzie po procesie, to my rozwiążemy. Dlaczego nie?

— O tem mowy niema. Pokrzywdzony właściciel lasu tylko mej filii, czyli mnie wytacza proces, a nie nam obu. Żąda jako odszkodowania ośmiu tysięcy odemnie, nie od pana, więc dla pewności złoży pan kaucję i rzecz skończona. Jeżeli pan nie zechce kaucji złożyć, tem samem umowa zostanie rozwiązana według paragrafu szóstego naszej umowy.

— Poco nam kaucja? naco? Czy my nie wspólnicy? Dlaczego pan mi nie wierzy? Czy ja nie dałem panu trzy tysiące na weksel?

— I zapłacę w terminie, a jeśli pan nie posiada gotówki, ja przyjmuję mój weksel w kaucyi pana.

— Ja nie chcę; co innego weksel, a co innego spółka. Ja panu coś powiem, na kosztu procesu ja mogę dać trochę pieniędzy, ale kaucyi nie dam.

— Nie mamy tedy co mówić, albo kauycya, albo zerwanie spółki.

— Nu, niech pan zaczeka, tydzień, może dwa, ja się namyślę.

— Miał pan dosyć czasu. Jutro upływa termin, do jutra czekam.

— Ta spółka cała to moje nieszczęście, — stęknął Podliszewer, — ja widzę, że pan chce także rozwiązania, niech mi pan da tysiąc rubli odstępnego i ja odstępuję od spółki.

— Czy pan oszalał? Do tylu tysięcy straconych mam dodać tysiąc!? I to panu, który mnie wprowadził w takie błoto! A to mi się podoba!

— To ja przez pana straciłem, — zakrzyczał namiętnie Podliszewer, — pan nie chciał mnie słuchać! Pan odrzucał najlepsze interesa! Pan mnie zrujnował! Ja pana zaskarżę o straty moje. Czy pan to rozumie?

Lelicki nacisnął guzik od dzwonka i w gabinecie znalazł się Mateusz, któremu rozkazał:

— Zostań tu, jesteś mi potrzebny. Podliszewer obejrzał się, zobaczył silnego chłopa i spytał niespokojnie:

— A ten tu naco?

— Gdyby pan zachowywał się nieprzyzwoicie, on pana wyrzuci.

— Co to wyrzuci, czy ja nie wspólnik?

— A złożył pan kaucyę?

— Nu, ja chcę kończyć zgodnie, bez procesu, ile pan da odstępnego?

— Ani grosza.

— A kiedy zacznie się proces?

— To zależy od właściciela lasu.

— Czy on skarży i wiernika, i kontrolera naszego?

— Nie, ja ich sam oskarżam.

— Poco panu ten kłopot? Ich już wcale niema. I co pan weźmie im? Oni nic nie mają.

— Posiedzą w kryminale.

— To nie jest interes. To biedne żydki, oni chcieli zarobić, nu, im się nie udało. A czy ich nic nie kosztował leśniczy? gajowy? i zwózka drzewa? Aj, ile oni stracili na tym interesie!

— I pan ich żałuje? Masz współczucie dla nich?

— Nu, dlaczego nie? Oni chcieli zarobić, oni ciężko pracowali, ale ich zdradził goj, któremu nie zapłacili.

— Zdaje się, że pan był z nimi w spółce?

— Co to jest? Co pan sobie myśli? Jak pan może tak mówić do mnie? Ja pana zaskarżę, pan potrzebował obrazić mój honor. To pan był w spółce z plenipotentem, ażeby zrabować moje pieniądze.

— Mateuszu, wyprowadź tego żyda.

— Ja sam idę... i kaucyi nie dam, i proces z panem wygram.

— Idź pan, bo pomoże Mateusz.

Podliszewer oburzony wyszedł, zastraszując drzwi za sobą w przedpokoju.

Lelicki wszedł do biura i rzekł z uśmiechem do Władka:

— Z Podliszewerem skończyłem.

— To bardzo dobrze... a tu listy... jest też i z fabryki.

W tej chwili wszedł Wachłowski, wyświeżony, rozweselony i po przywitaniu mówił:

— Wracam od Farbsteina, zgadza się na zabezpieczenie kaucyi, będę już i u rejenta, ażeby zrobił akt stosowny, ale on żąda zgłoszenia się fabryki.

— Może pan zechce tam się udać.

— A wie pan, rejent opowiadał mi, że wielu kupcom żydowskim grozi bankructwo z powodu bojkotu. Wezoraj zgłoszono upadłość dwóch.

— Nie pamięta pan nazwisk?

— Jednego nazwisko spamiętałem, bo tak nazywał się dawny mój pachciarz, Majer Munkier.

— Co? — zawała Lelicki, — panie Płachetka, zobacz pan, podobno wziął on pieniądze za naszem pośrednictwem.

Płachetka zająrzał do książki i rzekł po chwili:

— Majer Munkier wziął pieniądze pani Jariewiczowej, na trzeci numer po Towarzystwie.

— To spadnie napewno przy licytacyi, biedna kobieta, a tak odradzałem.

— Tak bywa zawsze z kobietami, — uśmiechnął się Wachłowski, — zawsze chcą się rządzić swym rozumem, a wszelkie rady odrzucają.

Lelicki spojrzał na listy i zawała:

— Jest tu list z fabryki, w której pan masz być kontrolerem. Zobaczmy, zaszło może coś nowego.

Otworzył i przeczytawszy, rzekł do Wachłowskiego:

— Źle, proszę pana. Zabezpieczenie na sumie pana uważają za niedostateczne.

— A to co nowego? — obruszył się — na dwa tysiące, dwadzieścia im za mało?

— Piszą, że pani Dolska wymówiła Farbsteinowi z powodu bojkotu swą sumę, dwadzieścia osiem tysięcy rubli, i wystawia kamienicę na licytacyę, a ponieważ i trzecia rata Towarzystwa nie jest zapłacona, licytacya jest pewna. Czy pan nie otrzymał urzędowego wezwania?

— Ja?... a tak, było coś takiego, ale uważałem, że sprawą rat Towarzystwa mnie nie obchodzi, tylko Farbsteina. Zresztą, po mnie posiada na tej kamienicy sumę bank Wawelberga, a taki bogacz napewno nie dopuści do licytacji.

— Może tak jest, ale dobrze pan zrobi, jeśli pan dowie się w banku, czy firma staje do licytacji?

— Niech mnie pan nie przeraża, — powiedział Wachłowski, — idę tam natychmiast i na szczęście mam przy sobie wykaz hypoteczny, — pożegnał się i wyszedł.

— Wie tatus, opowiadał mi dzisiaj Liński, na jakie sposoby biorą się żydzi, ażeby mieć tańszy towar.

— To znane rzeczy, sprzedają braki, resztki, marny towar.

— Tak, ale jaka przebiegłość w oszukiwaniu. Liński nie mógł dłucho zrozumieć, że żydowska hurtownia grzybów suszonych sprzedaje towar taniej, aniżeli hurtownia chrześcijańska; posyła tedy do żyda po grzyby. Waga dobra, grzyby ładne i czyste, tylko znacznie mniej idzie ich na wagę. Okazało się, że przed suszeniem w każdy grzyb wkładają kamyczek. Grzyb przy suszeniu zasklepia kamik i pozornie trudno poznać, że on tkwi wewnątrz. Czy nie jest to ładny przyczynek do tańszego towaru u żydów, aniżeli u nas?

— To prawda, — uśmiechnął się Lelicki, — z czasem, gdy zaczniemy kontrolować handel, znajdziemy dużo takich interesów.

— Zapomniałem powiedzieć panu, — odeswał się Płachetka, że sklep Reinherca zamknięto wczoraj na żądanie licznych wierzcicieli.

— Zasłużył na to, — mruknął Lelicki.

— I Nestenower także zbankrutował, — dodał Płachetka, — wogóle, na samej ulicy Marszałkowskiej od października zamknięto czterdzieści pięć sklepów żydowskich.

— Oby wszystkie! — zaśmiał się Władek.

Około południa wpadł blady i przerażony Wachłowski, wołając z progu:

— Ratuj mnie pan! Ratuj!

— Co się stało?

— Wie pan, — mówił złamany głosem, — w banku Wawelberga powiedziano mi, że nie wdawano się nigdy w żadne interesa z Farbsteinem. Poleciałem do hypoteki i tam mi wyjaśniono, że Farbsteinkazał wpisać na hypotekę swej kamienicy, iż winien jest bankowi Wawelberga trzydzieści tysięcy rubli. W ten sposób złapał mnie!... I co ja zrobię? To ostatnie pieniądze dla żony, dla dzieci! — łamał ręce w bezsilnej rozpaczce.

Lelicki jak mógł i umiał pocieszał go i uspokoił go o tyle, że poszedł do domu.

Po południu Lelicki przeglądał nadeszłe listy i zwołał na Władka:

— Mam dla ciebie przyjemną wiadomość.

— Jaką?

— Otrzymałem list od pana Stawiskiego, ażebym wymówił Lewitemu czterdzieści tysięcy rubli, pożyczonych na hypotekę jego kamienicy.

— Ach, jak to dobrze! — zwołał Władek, — bo wie tatuś, ten Lewite przechwalał się, że zbuduje swą kamienicę za pieniądze chrześcijan, a teraz otrzyma wymówienie kapitału... Czy on padnie?

— Nie wiem, ale w każdym razie będzie w ciężkim położeniu, bo teraz trudno mu będzie dostać taką sumę. Pisze też pan Stawiski, że kapitał ten włożyłyby chętnie w przedsiębiorstwo chrześcijańskie, ma na myśl hurtownię dla naszych sklepów.

— Dzielny człowiek i obywatel, — zapalał się Władek, — a co tatusiu, jak podziałał bojkot!?

— Władku, to nie bojkot, to przebudzenie.

KONIEC.

